

Czas niepokoju

Jagna Rolska

CÓRKI STOLICY



Prószyński i S-ka

Jagna Rolska

CÓRKI STOLICY

Prószyński i S-ka

Copyright © Jagna Rolska 2022

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce:
Kercelak w Warszawie /
Narodowe Archiwum Cyfrowe
© Mark Owen / Trevillion Images

Bazar na placu Kercelego, pieszczotliwie nazywany Kercelakiem to miejsce szczególne na mapie przedwojennej Warszawy. Na drewnianych straganach, czy w handlu naręcznym można było kupić właściwie wszystko. Od żywności przez odzież, zwierzęta, w tym psy, nierzadko „trefne”, a więc nie do końca rasowe, jak zachwalali sprzedawcy. „Fantów” a więc towarów niewiadomego pochodzenia też przechodziło tu z rąk do rąk co niemiara. Po spotkaniu ze sprytnym młodocianym kieszonkowcem można było stracić portfel a nad całością targowiska czuwał jego niekwestionowany król, wymuszający od wszystkich haracze, legendarny „Tata Tasiemka”. Mimo tego bazar przyciągał wszystkich warszawiaków a gdy po zajęciu miasta przez Niemców szybko stał się celem częstych łapanek i konfiskat towarów. Po każdej takiej akcji Kercelak zdumiewająco szybko wracał do formy stając się symbolem warszawskiej zaradności i lekceważenia okupanta. Wybuch powstania przerwał działalność targowiska i choć po zakończeniu wojny zaczęło powoli się odradzać, kres temu położyły nowe władze wytyczając w tym miejscu trasę WZ. Pamięć o Kercelaku, pomimo upływu lat nadal jest wśród warszawiaków żywa.

Redaktor prowadzący: Michał Nalewski

Redakcja: Rafał Dębski

Korekta: Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-650-4

Warszawa 2022

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Mojemu otcu

ROZDZIAŁ 1

WSPÓŁCZEŚNIE

Julia Malinowska z trzaskiem zamknęła laptopa. Praca zaliczeniowa z socjologii będzie musiała poczekać. Dziewczyna nie miała już siły na kolejną porcję przygnębiających wiadomości ze świata. Drażniła ją ta histeryczna otoczka sensacji i krzyczące wielkimi literami nagłówki w różnych mediach.

W domu panowała cisza, co stanowiło nowość. Ostatnimi czasy rodzice coraz częściej się kłócili. Miała tego serdecznie dosyć, choć oczywiście rozumiała, że sytuacja jest trudna dla wszystkich, jako że ojciec niedawno stracił pracę. Dziewczyna wyszła z pokoju i powędrowała do kuchni. Mama siedziała przy stole z nosem w komputerze. Zdawała się nie kojarzyć, co dzieje się wokół. I to też było zrozumiałe. Brała coraz więcej zleceń, żeby przeczekać trudny czas i nie zakopać się w dołku finansowym.

Julka bezszelestnie przemknęła do lodówki. Nawet przez myśl jej nie przeszło przeszkadzać matce. Chwyciła paczkę małych marchewek i zastanawiając się, gdzie podział się ojciec, zajrzała do salonu. Stał na balkonie i chyba palił papierosa. Zdziwiła się. Rzucił nałóg, gdy chodziła jeszcze do podstawówki.

Wycofała się do swojego pokoju i, wbrew wcześniejszej deklaracji, że nie zamierza ślęczeć w internecie, ponownie włączyła komputer. Wściekała się na siebie za marazm, który pochłaniał ją i obezwładniał coraz bardziej z każdym dniem. Tydzień wcześniej zerwał z nią chłopak, z którym spotykała się od roku, a ona, zamiast wziąć się w garść przed nadchodzącą sesją, torturowała się marzeniami o byłym i wizjami upojnych chwil we dwoje. Bardziej z nudów niż z poczucia obowiązku weszła na stronę Uniwersytetu.

– Ja to mam fart – mruknęła pod nosem. – Pierwszy rok i od razu wszystko się popieprzyło.

Jęknęła, gdy zobaczyła nową wiadomość. Jedna z nadgorliwych profeserek wyskoczyła z kolejną pracą zaliczeniową i oczekiwała jej złożenia w ciągu miesiąca.

– Stwórz drzewo genealogiczne swojej rodziny. Sięgnij do jak najdalszych źródeł i udokumentuj je – przeczytała na głos i przewróciła oczami.

Myślenie o rodzinie było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Z drugiej strony im szybciej wykona pracę, tym więcej czasu zostanie jej na granie w sieci ze znajomymi. Tu nawet nie chodziło o samą grę, tylko o to, że mogła rozmawiać z ludźmi chociaż przez słuchawki. A to stanowiło dla niej odskocznię.

Jak miała się zabrać za zadanie? Na próbę wpisała własne nazwisko w wyszukiwarce, ale efekt był beznadziejny. Google wyrzuciło kilkadziesiąt stron wyników, a żaden z pewnością nie odnosił się do niej. Sprawa z rodziną mamy miała się tak, że ta wychowała się w domu dziecka i do tego sprowadzała się jej historia. Wyszła z biduła, poznała ojca – i tyle. Nie kryła się za tym żadna romantyczna historia, Julka wiedziała to z całą pewnością. Poza tym nie miała chęci ogłaszać światu, skąd pochodzi matka. W grę wchodziła wyłącznie rodzina ojca, o której też miała niewiele wiadomości. Jej ojciec, Marcin Malinowski, był jedynakiem, babcia nie żyła od paru lat, a z dziadkiem Markiem niezbyt często się widziała, bo skłócił się nie wiedzieć o co z własnym synem.

Westchnęła ciężko. Zależało jej na dobrych ocenach, ale jak stworzyć cokolwiek interesującego z tak nudnego i krótkiego rodowodu? Stwierdziła, że zanim zacznie przeczesać internet, porozmawia z ojcem. Zastała go na kanapie wpatzonego w serwis kolejnych przygnębiających informacji.

– Tato?

– Tak? – odparł machinalnie, ale nawet nie oderwał wzroku od ekranu.

– Słuchaj, mam takie zadanie do zaliczenia na uczelni...

– Aha? Tak, tak...

– Mógłbyś mnie czasem posłuchać? – zirytowała się.

– Nie kłóćcie się! – zawołała z kuchni matka.

– O co chodzi? – ojciec przyciszył telewizor i dla odmiany zainteresował się córką.

– Potrzebuję się dowiedzieć jak najwięcej o naszej rodzinie. Praca zaliczeniowa – streściła.

– No to właściwie wszystko wiesz. Ja jestem jedynakiem, jest dziadek Marek, czyli mój ojciec. Moja matka, Wanda, nie żyje, a moi dziadkowie nazywali się Helena i Apoloniusz. I to właściwie tyle.

– A możesz coś o nich opowiedzieć? – zapytała Julia z nadzieją.

– Niespecjalnie – wzruszył ramionami.

– No to pomogłeś! – parsknęła.

– Marcin, nie ignoruj jej! – krzyknęła machinalnie matka.

– Serio, młoda, jakoś nigdy mnie to specjalnie nie interesowało – odparł ze skruchą Marcin. – Mam parę dokumentów, pamiątek, ale nic specjalnie fascynującego.

– Możesz mi je pokazać?

– Jasne! – odparł entuzjastycznie. Julka nie miała wątpliwości, że ów entuzjazm podsycala nadzieja, że się od niego odczepi. Ona zajmie się papierami, a ojciec odzyska święty spokój.

– Idę się przewietrzyć – oznajmiła. – Mogę liczyć, że w tym czasie odzyskasz co trzeba?

Ojciec przytaknął, więc założyła buty i zbiegła z drugiego piętra na parter. Wieczorne majowe powietrze było miłą odmianą po dusznym mieszkaniu. Zaczęła spacerować po wewnętrznym patio strzeżonego osiedla. Wokół panowała cisza przerywana jedynie sporadycznymi trelami skowronków. Dziewczyna zawsze sądziła, że te małe, szare ptaszki zaczynają wydawać dźwięki o świcie, więc ze zdumieniem przeczytała, że zdarza im się to czynić także nocą. Choć zdecydowanie w terenach niezurbanizowanych. Aż dziw, że śpiewały w samym środku niespecjalnie malowniczego Ursynowa.

Kiedyś Julka nie zwracała uwagi na okoliczną architekturę. Urodziła się tutaj i wychowała. Oczywiście bywała w innych dzielnicach, ale wszystko, łącznie z liceum, miała na miejscu. Od października zaczęła studia na Uniwersytecie Warszawskim, a codziennością nagle stał się Mariensztat z położonym niemal nad Wisłą budynkiem starej łaźni Teodozji Majewskiej, gdzie mieścił się jej wydział. Bezwiednie chłonęła atmosferę małych brukowanych uliczek ze stylizowanymi latarniami i porośniętych zielenią skwerów opadających w stronę rzeki po łagodnym w tym miejscu zboczu skarpy warszawskiej.

Często bywała na Starówce i w budynkach kampusu uniwersyteckiego na Krakowskim Przedmieściu. Każdego dnia przemierzała Nowy Świat i Chmielną. Wcześniej, gdy myślała o Warszawie, widziała przede wszystkim słoneczne podwórka pomiędzy nowoczesnymi blokami. Teraz nasiąkała historyczną atmosferą i cieszyła się, że może być jej częścią.

Jak dotąd nie poczuła specjalnej więzi z nikim z uczelni. Do zeszłego tygodnia jej myśli bez reszty wypełniał były chłopak i paczka znajomych z liceum. Na nowe, studenckie znajomości jakoś zabrakło chęci. Oczywiście wdawała się w rozmowy, poszła na parę imprez, ale niespełna dwa semestry to zbyt mało, żeby tak naprawdę się zżyć. Przynajmniej dla osoby mającej pewne trudności w nawiązywaniu bliższych kontaktów.

Obeszła podwórko kilka razy, lecz poza osiedle nie wyszła. Lubiła tutejsze oczka wodne i roślinność utrzymaną w japońskim stylu. Osiedle stanowiło dla niej zieloną, spokojną wyspę ukrytą pośród gwarne Ursynowa.

Na górę wracała z ociąganiem. Nie miała złych relacji z rodzicami, ale ostatnio w domu panowała napięta atmosfera. I pewnie nic się nie zmieni do czasu, gdy ojciec znów nie zacznie pracować. Pomyślała ponuro, że choć panowała przepiękna wiosna, ona po raz pierwszy w życiu zupełnie się z niej nie cieszyła, co więcej, nie znajdując ani jednej szczęśliwej myśli, postanowiła skupić się na pracach zaliczeniowych. Rozsądek podpowiadał, że wprowadzie nastroju w ten sposób sobie nie poprawi, ale przynajmniej go nie pogorszy wizją niezaliczonej sesji.

– Córkuś, znalazłem ten stary list, o który pytałaś – oznajmił ojciec, gdy tylko weszła do domu.

– List? – zdziwiła się. – Myślałam, że mówisz o dokumentach?

– Też jakieś są – odparł. – A tego listu nikt nigdy nie był w stanie odczytać. Mój dziadek ewidentnie nie był mistrzem kaligrafii. Zresztą to pewnie nic ciekawego. Twój pradziadek Poldek napisał go do prababci Heli w tym samym roku, w którym się poznali, czyli w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Pewnie jakieś wyznania miłosne albo coś w tym stylu – zbagatelizował.

Żółta koperta zawierała także kilka złożonych na czworo przedwojennych obligacji państwowych na okaziciela. Jedne datowane na 1935, inne na 1937 rok.

– Czas potrząśnięcia szabelkami i panicznego zbrojenia wojska w obawie przed Hitlerem. Skądś trzeba było na to czerpać fundusze – powiedziała do siebie Julka.

Zdawała na maturze historię i nawet nieźle poruszała się w wydarzeniach dwudziestego wieku. Wyjęła z koperty list i zamrugła z niedowierzaniem. Chaotyczne, nieregularne pismo częściowo wyblakło. Zastanowiło ją, dlaczego nigdy wcześniej ojciec jej tego nie pokazał. Refleksja nadeszła natychmiast. Czy gdyby ona naskrobała niewyraźny list, to ktokolwiek za kilkadziesiąt lat poświęciłby choć chwilę własnego życia, żeby go odcyfrować?

Nie.

Ostrożnie rozprostowała kartkę i przysunęła bliżej lampkę.

Droga Helu,

choć chodzę od tygodnia ze szczerym zamiarem napisania kilku słów...

– Jezu, to pisał kompletny analfabeta czy co? – wkurzyła się Julka, raz za razem przebiegając oczami dalszy ciąg listu. Stłoczonych liter nie dało się w żaden sposób odcyfrować, a wyblakły tusz zdecydowanie nie pomagał. Zamaszyste końcówki trudnych do odczytania wyrazów nie układały się w żaden logiczny ciąg.

List był jasnoniebieską płataniną, której nie zdołała odszyfrować przez kolejną godzinę. Zniechęcona zgasiła lampkę i położyła się spać, ale myśli kotłowały się jej w mózgu, nie pozwalając usnąć.

– Kim byłeś, pradziadku? – szepnęła, wpatrując się w budzący się za oknem świt.

Przespała niespokojnie może ze cztery godziny i nie zawracając sobie głowy śniadaniem, usiadła do komputera. Rzuciła okiem na list i skupiła się na firmowym nadruku papeterii. Wytłuszczony nagłówek głosił: Ap. Malinowski. Niżej wydrukowano adres sklepu na Nowym Świecie i pracowni na Solcu, wraz z numerem telefonu. Odcyfrowała zalane rdzawym zaciekiem litery układające się w słowa: „Wytwórnia Rękawiczek. Skórkowych, Sportowych i Roboczych”.

Rękopis, poza kilkoma początkowymi słowami, nadal pozostawał nieczytelny.

Bez większego przekonania zaczęła przeczesywać fora historyczne i ostatecznie trafiła na ciekawy czat ludzi polecających sobie nawzajem stronę, na której można było bez wychodzenia z domu wyszukać i przeczytać skany z ksiąg parafialnych. Oczywiście te, które przetrwały płomienie powstania warszawskiego. Na próbę wpisała swoje nazwisko, ale ponownie liczba wyników, jak w Google, powaliła ją na kolana.

Próbowała skupić się na nieczytelnym liście. Wytężała wzrok, ale bezskutecznie.

1935

Poldek obudził się tuż po wschodzie słońca. Jak zwykle, gdy przez mansardowe okno wpadło słońce. Usiadł na łóżku i donośnie ziewnął. Podrapał się po rozczochranych jasnych włosach, po czym przeciągnął się i nieprzytomnym wzrokiem poszukał kapci. Stały nieopodal politurowanego biurka, niegdyś służącego mu do nauki. A jeszcze częściej do czytania książek, których czytania zdecydowanie nie popierał jego ojciec. Chłopak trzymał je pod materacem i bacznie uważał, żeby nie znalazła ich służąca Gienia podczas zmiany pościeli. Wczorajszej nocy czytał *Jadą wozy z cegłą* Kornackiego i Boguszewskiej. Ojciec twierdził, że książek napisanych przez kobiety nie należy czytać. Według niego trwały jadem swoich piór zdrową strukturę społeczną. Czyli taką, w której mężczyzna jest panem i władcą własnej żony oraz dzieci. I rządzi twardą ręką, operując stosownymi cytatami z Biblii. A wszelkie rewolucyjne bzdury w postaci praw robotniczych powinny być odgórnie zakazane. Na kpinę zakrawał fakt, że ojciec wywodził się właśnie z najniższej warstwy społecznej. Powieść podwójnie by mu się nie spodobała. Nie dość, że jej współautorką była kobieta, to jeszcze poruszała temat walki robotników o lepszy los. Dlatego Poldek dwa razy sprawdził, czy po schowaniu książki dokładnie wcisnął pod materac prześcieradło.

Przeciw otaczającej go rzeczywistości Poldek wewnętrznie się buntował, ale ojca i tak musiał słuchać, choć skończył już dziewiętnaście lat. Właśnie dlatego czytał tchnące duchem nowych czasów książki po kryjomu, zarywając nocki, lecz i tak stawiał się na śniadanie o siódmej rano w dni

powszednie, a w niedzielę o ósmej, by o dziewiątej stać grzecznie w kościele Świętego Krzyża obok matki, ojca, siostry i brata. Teraz też pospiesznie się umył i założył świeżą bieliznę. Zdjął z oparcia krzesła wyprasowane, modne pumpy i codzienną koszulę. Kwadrans później zszedł z najwyższego, piątego piętra kamienicy na niższe. Te dwa poziomy, połączone wewnętrznymi drewnianymi schodami, stanowiły przestrzeń życiową jego rodziny. Łącznie ze służówką mieszczącą się za kuchnią mieszkanie składało się z pięciu sypialni, salonu i nowoczesnej łazienki z bieżącą wodą i toaletą. Wiele lat wcześniej ojciec kazał doprowadzić prąd, więc w każdym pomieszczeniu były żarówki. Co nie zmieniało faktu, że węgiel i zakupy służąca nieodmiennie dźwigała na czwarte piętro.

Chłopak podszedł do okna. Widok srebrzącej się w promieniach porannego słońca Wisły i żółtego piasku na praskim brzegu był jedyną nagrodą za mieszkanie na poddaszu.

Poldek zżymał się w duchu, że jego ojciec, Apoloniusz Malinowski, postanowił ulokować rodzinę na górnych piętrach swojej kamienicy. Właściciele domów czynszowych z reguły zajmowali apartamenty na pierwszym piętrze, a wyższe kondygnacje przeznaczali pod wynajem. Ojciec jednak miał własną filozofię. Lepsze lokale wynajmował, rodzinie zaś kazał się gnieździć pod dachem. Poldek, nie zaprzatając sobie dłużej tym głowy, wszedł do salonu i zdawkowo przywitał się z rodzicami. Rodzeństwo jeszcze się nie pojawiło, a ojciec pił herbatę, czytając poranne wydanie „Kurjera Warszawskiego”. Naprzeciwko niego siedziała matka, jak zwykle skromnie ubrana i małomówna.

– To jest niebywałe! – wrzasnął Apoloniusz i rzucił gazetę na stół. – Jak gazeta może twierdzić, że ludzie nie poszli do wyborów z powodu fatalnej pogody? Co to za ordynarne kłamstwo! Wybory odbyły się ósmego września w Polsce, a nie w styczniu na Kamczatce! I jeszcze ten przedwyborczy bojkot socjalistów! Mam nadzieję, że żaden nie dostał się na listy wyborcze. Tę bandę przydałoby się w całości wywieźć na Syberię! Bojkotu wyborów im się zachciało!

– Nie denerwuj się, mężu – zaszemrała łagodnie matka, po czym wyjęła mu delikatnie filiżankę z dłoni i dołała herbaty.

Zabytkowy samowar przetrwał powszechną konfiskatę z czasów okupacji niemieckiej przed dwudziestu laty i dalej służył rodzinie. Apoloniusz hołdował tradycji, że herbatę pije się wyłącznie z samowara, a jego obsługą

ma zajmować się pani domu, więc matka wstawiała godzinę przed innymi domownikami. Rozpalała kawałki węgla drzewnego na przeznaczonej do tego celu blasze, a gdy rozżarzyły się na czerwono, przekładała je szczypcami do znajdującej się wewnątrz mosiężnego naczynia metalowej rury, by podgrzać nalaną do samowara wodę. Zajęcie niewdzięczne i długotrwałe, ale Apoloniuszowi wyłącznie taka herbata smakowała.

Mawiał, że to tęsknota za czasami, gdy chadzał na kolacje, zwane zresztą właśnie herbatami, i na jednej z nich, w mieszkaniu pewnego mecenasa, poznał swoją przyszłą żonę. Poldek niespecjalnie wierzył w tę rzewną opowieść. Ojciec nie był sentymentalny. Matka, Eleonora Chlebowska, pochodziła ze zubożałej rodziny z nieco zakurzonym rodowodem szlacheckim i wraz z rodzicami mieszkała w zwyczajnej chłopskiej chałupie w podwarszawskim Świdrze. Apoloniusz miał pieniądze, a ona nazwisko. To imponowało mężczyźnie, więc szybko pojął za żonę młodszą o dziesięć lat dziewczynę. Sam do zakładania rodziny wziął się późno, wcześniej całkowicie pochłonięty pomnażaniem kapitału.

Poldek kompletnie nie potrafił zrozumieć ojca. Z jednej strony pogardzał klasą wyższą i przy każdej okazji podkreślał, że doszedł do pieniędzy pracą własnych rąk, ale jednocześnie odrzucał wszelkie żądania klasy robotniczej, a wydawanego przez socjalistów „Robotnika” zwykł nazywać oszczercą szmatą sączącą truciznę do głów prostych ludzi. Swoich własnych pracowników nie traktował lepiej niż bogaci fabrykanci.

– Poldek, omlet zjedz – powiedziała cicho matka. – I kanapkę w papier zawiń, żebyś na drugie śniadanie miał.

– Przecież przyjdę coś zjeść. Po co mam brać? Z pracowni przez podwórze daleko nie mam – zdziwił się chłopak.

– Dzisiaj pójdziesz na Nowy Świat – oznajmił ojciec tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Ja mam ważne spotkanie z właścicielem składu towarów z Łodzi, a nasz subiekt już dawno prosił o pół dnia wolnego, bo musi wyjaśnić sprawę urzędową. Sklep ktoś musi otworzyć. Trzeba też przyuczyć nową pannę sklepową, która zaczyna właśnie dzisiaj.

Poldek w ostatniej chwili powściągnął szeroki uśmiech. Nie przepadał za pracą w zakładzie rękawiczniczym ojca, a właśnie roztoczyła się przed nim perspektywa całodziennej ucieczki z Solca. Lubił swoją ulicę, ale niekoniecznie uwielbiał współpracę ze starym Apoloniuszem, jak nazywała ojca cała rodzina, a za jego plecami także pracownicy. Jego nazywali

młodym Apoloniuszem, ale on zawsze się upierał przy zdrobnieniu. Nie cierpiał swojego imienia i doskonale wiedział, że zawdzięcza je rodzinnej tradycji nadawania go najstarszemu synowi.

Chłopak kompletnie nie pojmował sensu takiego obyczaju. Nie lubił staroświeckiego imienia i wdawał się w bitkę z kolegami już w gimnazjum, gdy tamci próbowali robić sobie z niego żarty. Argument o spuściźnie kolejnych pokoleń, jaki przedstawiała matka, nie trafiał mu do przekonania. Swoją drogą, co za różnica, czy było się pierworodnym synem? Jego brat Janek znacznie lepiej nadawał się do roli dziedzica, chociaż jeszcze chodził do szkoły powszechnej. Młodszy o rok od Poldka, od dzieciaka interesował się rodzinnym przedsiębiorstwem i chłonał jak gąbka wiedzę od ojca. A ojciec ignorował go i całkowicie skupiał swoje oczekiwania na starszym synu. Wbrew faktom i logice.

– Lećże już – zniecierpliwiał się ojciec. – Chwilę ci zejdzie, a masz być na miejscu, zanim panna przyjdzie.

Ojciec miał obsesję na punkcie punktualności. To oczywiście była tylko jedna z jego wad. Posiadał wiele cech, które w umiarkowanej dawce bywają zaletami, ale w nadmiarze potrafią skutecznie zatruć życie najbliższemu otoczeniu. Jak choćby jego nieśmiertelne powiedzenie, że u niego słowo jest droższe od pieniądza. I tak właśnie było. Jeśli Apoloniusz Malinowski coś powiedział, choćby największą bzdurę, szedł w zaparte i realizował zadeklarowany plan. Po trupach i choćby ze szkodą dla samego siebie. Co raz zostało powiedziane, wypełnione być musi. Wyjątkowo despotyczny, całkowicie zdominował żonę, trwającą przy jego boku jak milczący cień.

Poldek bał się ojca. Wiedział, że będąc niepełnoletnim, jest od niego zależny. Ojciec dawał mu dach nad głową i pracę, dlatego słuchał go we wszystkim. Z porywczym charakterem Apoloniusza lepiej było nie igrzać. Wystarczyłoby raz rzucone w złości, że się syna wyrzeka, i postanowienia by nie zmienił. A dokąd miałyby pójść niedoświadczony czeladnik rękawicznictwa ze skończoną szkołą powszechną? Jeśli w ogóle znalazłby pracę, prawdopodobnie szef pomiałałby nim tak samo jak ojciec swoimi pracownikami. Z tymi niewesołymi myślami chłopak wyszedł z mieszkania na błyszczący czystością korytarz z drewnianymi schodami.

Podwórze przed kamienicą budziło się do życia. W znajdującym się tuż obok rodzinnym zakładzie rękawicznym rozpoczął się nowy dzień.

Poldek, zadowolony, że dzisiaj ominie go ciężka fizyczna praca, minął drewniany płot z niewielkim ogródkiem warzywnym matki. Ojciec złościł się nieraz, że kobieta ma zainteresowania jak chłopka, ale w tym jednym mu się sprzeciwiała i co roku kazała któremuś z pracowników kopać grządkę, a na niej siała marchew, pietruszkę i sadiła pomidory. Wiele tego nie było, ale matkę wyraźnie cieszył ten ogródek. Teraz grządki niemal świeciły pustkami, a koper przywiadł przez nocny przymrozek. Wbrew temu, co sądził o pogodzie i niskiej frekwencji wyborczej jego ojciec, faktem było, że miniona wrześnieowa niedziela należała do wyjątkowo zimnych. Jeśli wierzyć wczorajszej wieczornej prasie, w górach przedwcześnie spadł śnieg, a resztę kraju przez cały dzień siekły strugi lodowatej wody. Teraz też nie było najcieplej.

Poldek dopiął modną skórzaną kurtkę, jakiej nie powstydziliby się niejeden lotnik, i poprawił kaszkiet. Minął bramę i wyszedł na Solec. Wyszynk znajdujący się w niskim budynku frontowym jeszcze był zamknięty, lecz w sąsiednim lokalu druciarz właśnie ustawiał przed sklepem miotły i metalowe cebry. Poldek poczuł lodowaty powiew wiatru, więc postawił kołnierz i ruszył dziarsko brukowanym chodnikiem, starając się trzymać jak najdalej od rynsztoku. Minął znajdującą się po przeciwnej stronie lecznicę i sklep spożywczo-nabiałowy. Po ulicy terkotały już drewniane dwukołowe wózki ciągnięte przez handlarzy od strony składów.

Choć zza chmur wyszło wreszcie słońce, nadal panował ziąb i wilgoć. Jakby pogoda się uparła, żeby jak najszybciej zatrzeć w ludziach wspomnienie ciepłego lata. Chłopak spojrzał ze współczuciem na konie zaprzęzione do stojących u wylotu ulicy dorożek. Zawsze na widok tych biednych, przeważnie eksploatowanych ponad siły zwierząt zastanawiał się, czy wypierane przez samochody oraz autobusy, znikną w przyszłości z brukowanych ulic Warszawy.

Trzymając się lewej strony ulicy, skręcił w Tamkę, ledwie omiatając wzrokiem pustą parcelę, znajdującą się po przeciwnej stronie. Minął zakład fryzjera Michalskiego, cukiernię i doszedł do Ordynackiej. Na ulicach widać było coraz więcej ludzi, dorożek i samochodów, więc bojąc się spóźnienia, Poldek przyspieszył kroku i wyszedł na Nowy Świat.

Pomyślał z zadumą, że nazwa ulicy jest nad wyraz trafna. Może niekoniecznie nowy, ale tutaj zaczynał się lepszy świat, a nawet Wszechświat. Poldek, rozbawiony własnym porównaniem, minął

widniejący na fasadzie neon reklamowy Radia Kosmos, z uznaniem obejrzał się za przejeżdżającym właśnie czarnym bentleyem, a potem dziarsko ruszył w stronę sklepu ojca, mijając po drodze liczne witryny i wystawy. Nowy Świat, obok najbardziej reprezentacyjnej ulicy Marszałkowskiej, stanowił centrum handlowe bogatych mieszkańców Warszawy. Pewnie dlatego ojciec tak bardzo puszył się w cechu rzemieślniczym, że ma tu lokal z frontową wystawą w trzypiętrowej, eleganckiej kamienicy.

Poldek uchylił czapki kelnerowi z sąsiedniej lodziarni i własnym kluczem otworzył drzwi sklepu. Zapach skór, ten sam, który towarzyszył mu od najwcześniejszego dzieciństwa, w niewielkim pomieszczeniu wydawał się jeszcze bardziej intensywny. Na drewnianych półkach umieszczono na specjalnych stojakach różne modele rękawiczek, zarówno damskich, jak i męskich. Mieniły się pełną gamą kolorów i odcieni. Nawet najbardziej wybredne elegantki zawsze znajdowały tu coś dla siebie. Glansowane, zamszowe, krótkie z mankietem, ale i dłuższe z rozcięciem. Obok męskie z kremowej irchy i czarne, zapinane pod nadgarstkiem na buton, przeznaczone dla oficerów kawalerii. Niżej cyklistówki w stonowanych kolorach.

W drewnianych, częściowo szklonych ladach stały eleganckie firmowe pudełka z długimi za łokieć rękawiczkami balowymi z jagnięcej skórki, zapinanymi na guziki z masy perłowej. Patrząc na to wszystko, Poldek zawsze odczuwał niechętny podziw dla ojca, który sam ciężką pracą zbudował swój interes.

Nowa pracownica weszła do sklepu za kwadrans ósma. Dość niska, pyzata, z bardzo miłym uśmiechem. Zamknęła za sobą drzwi, czemu towarzyszył odgłos potrąconego dzwoneczka, i lekko dygnęła.

– Dzień dobry, jestem Jadwiga Szuleczanka – przedstawiła się nieśmiało, wygładzając przód granatowego fartuszka. – Czy zastałam pana Malinowskiego?

– Ja jestem Malinowski – odparł i ponieważ zorientował się, że dziewczyna miała na myśli jego ojca. Zawstydził się nieco wyrywności. – Ma się rozumieć, ja jestem Poldek Malinowski, a panna pewnie pyta o mego ojca, Apoloniusza – poprawił się szybko. – To ojciec mnie przysłał, żebym pannę do pracy przyuczył. Czy panna Jadzia jest z kasą sklepową obyta? – zapytał, wskazując na mosiężny model firmy National.

– Jestem obyta – potwierdziła.

Poldek odetchnął w duchu z ulgą. Większość sklepowych podchodziła do tych urządzeń nieufnie i trzeba było w nieskończoność tłumaczyć sposób obsługi. W ogóle panna Jadzia okazała się nad wyraz pojętna, więc gdy w południe pojawił się subiekt, dla Poldka nie było już nic do roboty. Kwadrans później opuścił sklep i stanął na chodniku, niezdecydowany, co robić dalej. W końcu się wypogodziło i zrobiło ciepło. Chłopakowi nie chciało się tak wcześniej wracać na Solec. Ojciec z punktu zapędziłby go do pracowni, a na to nie miał najmniejszej ochoty. Poszedł więc Nowym Światem, lecz zamiast skręcić w Ordynacką, ruszył prosto, chcąc pospacerować po malowniczym Krakowskim Przedmieściu. Minał skład mebli i doszedł do umieszczonego w narożnej kamienicy kina Europa. Zerknął na afisz. O szóstej po południu zaczynał się *Kaprys hiszpański* z Marleną Dietrich. Witrynę zdobił plakat z podobizną aktorki. Poldek spojrzał na piękną blondynkę o rozmarzonych oczach, cmokając z uznaniem. Uwielbiał kino. Gdyby to od niego zależało, chodziłby od jednego do drugiego na wszystkie seanse, a po cichu marzył o aktorskiej sławie Eugeniusza Bodo czy Aleksandra Żabczyńskiego.

Dosłownie sekundy później ożywiony gwar i jakieś skandowane hasła, których słów na razie nie odróżniał, kazały mu przerwać kontemplowanie zjawiskowej Niemki.

Od strony Krakowskiego Przedmieścia nadchodziła niewielka grupa uzbrojona w czerwone sztandary i transparent. Czarnymi literami wypisano na nim hasło „Nie dla wojny włosko-abisyńskiej. Precz z Mussolinim!”.

Na czele manifestacji szedł Stanisław Krzemieniecki, jeden z działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej, lecz on Poldka zupełnie nie zainteresował. Zamiast tego skupił uwagę na idącej nieco z boku najpiękniejszej dziewczynie, jaką kiedykolwiek widział. Szczupła, wysoka, ubrana dość modnie w spódnicę do połowy łydki i podkreślający talię żakiet, uczesana w pensjonarski czarny warkocz i z zaróżowionymi od energicznego marszu policzkami wyglądała zjawiskowo. Poldek momentalnie zapomniał o jasnowłosej aktorce.

– Nie dla agresji na Abisynię! – wyskandowali demonstranci, po czym skręcili w prawo, w Świętokrzyską.

Trzymając się lewej strony ulicy, Poldek jak urzeczony ruszył za nimi. Niespecjalnie przejmował się agresją faszystów w Afryce. Zbyt mało

wiedział o konflikcie, choć gazety poświęcały mu sporo miejsca. Jego ojciec z kolei uważał, że Mussolini jest potężnym mężem i przywódcą, który prowadzi włoski naród ku lepszej przyszłości. Poldek nie miał wyrobionego zdania i nagle pomyślał ze wstydem, że właściwie powinien bardziej interesować się sprawami świata. Ale to nie ciekawość ani nagłe zaangażowanie kazały mu iść za demonstrantami. Nie wiedział, skąd wzięło się to uczucie i dlaczego pojawiło się tak nagle, ale zrozumiał, że nie może stracić dziewczyny z oczu. Że jeśli zniknie, będzie tego żałował do końca życia. Przyspieszył kroku i teraz szedł prawie równo z pochodem.

Niespecjalnie się zdziwił, gdy grupa, wciąż skandując hasła, poszła ulicą Jasną i dalej na plac Dąbrowskiego, gdzie w pałacu Szlenkierów mieściła się ambasada włoska. Zdobna fasada dwupiętrowego budynku wyglądała imponująco. Demonstranci zapełnili asfaltową uliczkę tuż przed nim i coraz głośniej krzyczeli. Co odważniejsi podchodzili prawie do zaryglowanych od środka drzwi. W końcu ktoś chwycił kamień i rzucił nim w szybę. Inni poszli jego śladem.

Trzymający się na uboczu Poldek zauważył, że dziewczyna z warkoczami rozgląda się dezorientowana i coś krzyczy, trzymając uniesione do góry dłonie. Jeśli chciała przywołać ludzi do porządku, z pewnością jej się nie udało, a głos utonął w ogólnym rozgardiaszu. Poldek spojrział w stronę wlotu ulicy Kredytowej. Zza rogu właśnie wyłonił się oddział konnej policji i szarżował na demonstrantów. Chłopak spojrział w prawo. Z drugiej strony plac obstawili już kawalerzyści.

Nie zastanawiając się, chłopak wskoczył w tłum, chwycił pod ramię czarnowłosą dziewczynę i pociągnął ją w stronę niskiego metalowego parkanu. Pomógł jej sforsować przeszkodę. Trzymając się za ręce, przecięli zakrzewiony skwer, podążając w stronę wyjścia z placu przez ulicę Rysią. Biegli jeszcze chwilę, aż dziewczyna stanęła, ciężko dysząc, i oparła się o fasadę kamienicy.

– Już nas raczej nie dorwą – powiedział Poldek, z trudem łapiąc powietrze. – Ale lepiej wyjdźmy stąd na Marszałkowską.

Posłuchała bez słowa. Szli w milczeniu, starając się uspokoić oddechy. Zerkał na nią z ukosa, lecz nie zwracała na niego uwagi.

– Tu już nam nic nie grozi – oświadczył Poldek, gdy dotarli do głównej arterii miasta. – Możemy iść dalej jak gdyby nigdy nic.

Stała gwałtownie i spojrzała na niego. Miała najpiękniejsze orzechowe oczy, jakie kiedykolwiek widział. Cóż z tego, skoro ciskały w niego gromy?

– Dziękuję panu za pomoc, ale dalej pójdę już sama – odparła stanowczo.

– Niech panienska poczeka! Chętnie panią odprowadzę do domu.

– Dziękuję, trafię.

– No to może chociaż dowiem się, co panna robiła w tak niebezpiecznym miejscu? – zapytał. Pytanie miało wybrzmieć elegancko i uwodzicielsko, ale proszący ton sprawił, że wypadło raczej żałośnie.

O dziwo, dzięki temu jej spojrzenie złagodniało, a na ustach pojawił się lekki uśmiech. Choć jeszcze przed chwilą miała zamiar odwrócić się na pięcie, stała dalej na chodniku.

– Co pan wie o faszystach? – zapytała.

– Niewiele – przyznał ze skruchą. – Ale nie wydają się miłymi ludźmi. Ich wódz gada jak fanatyk, a jak świat światem, z fanatyzmu nigdy nie przyszło dla ludzi nic dobrego.

– Czyli jednak coś pan wie – pochwaliła. – Dobrze, pójdźmy więc. Pozwolę się odprowadzić do domu, a po drodze porozmawiamy o polityce.

Poldek zdziwił się w duchu, skąd u tak młodej dziewczyny podobne zainteresowania. Wyglądała może na szesnaście lat, a rozprawiała o bieżących sprawach z dużą swadą.

– Czym więc ów Mussolini tak paniencie dopiekl? – zapytał dla podtrzymania rozmowy, choć odpowiedzi był naprawdę ciekaw.

– Dzieli ludzi na lepszych i gorszych – odparła pewnie.

– Nie on pierwszy.

– To prawda – zgodziła się. – Jest jeszcze Hitler. Siebie warci.

– Bardziej chodziło mi o to, że w historii ludzi zawsze dzielono. Przyznam, że o przywódcy Rzeszy Niemieckiej też niewiele wiem, oprócz tego, że strasznie źle wypowiada się o Żydach. Gdzie pani mieszka? – zapytał, zmieniając temat.

– Niedaleko. Mój ojciec prowadzi mały antykwariat na ulicy Zgoda. Mieszkamy na jego tyłach.

Skręcili w lewo, w niewielką uliczkę Sienkiewicza i po paru chwilach stali przed księgarnią. Miała zaledwie jedno okno witrynowe z wyeksponowanymi książkami oraz wąskie drewniane drzwi.

– Muszę już iść. Dziękuję panu za ratunek – powiedziała dziewczyna z wyraźnym ociąganiem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział szarmancko i uchylił czapki.

– Ach! Jak ja się w ogóle zachowuję? Pan wybaczy. Nazywam się Helena Małecka i jestem pana wdzięczną dłużniczką.

– Poldek Malinowski, do usług. Choć nazwiska pani już wcześniej się domyśliłem, muszę przyznać, że imię także piękne.

– Domyślił się pan? No tak, oczywiście, szyld – roześmiała się, zerknąwszy na front księgarni.

– Pan Józef Małecki, jak rozumiem, to pani ojciec? – zapytał.

Przytaknęła skinieniem i nagle przekrzywiła głowę. Przez chwilę się nad czymś zastanawiała.

– A może, skoro pan jest zainteresowany różnymi sprawami świata, to wybrałby się pan ze mną na spotkanie świątłych i zaangażowanych w polskie bolączki towarzyszy?

– Z najwyższą przyjemnością – odparł pospiesznie, nawet nie do końca się zastanawiając, na co przystaje. Najważniejsze było, że spotka jeszcze piękną Helenę, jak zaczął dziewczynę nazywać w myślach.

Gdy w końcu pożegnała się z nim krótkim uściskiem dłoni, stał chwilę oczarowany, po czym ruszył, jakby go diabeł gonił, i poleciał niczym na skrzydłach w stronę Powiśla.

ROZDZIAŁ 2

1935

Apoloniusz Ignacy Malinowski urodził się w 1881 roku i choć z całego serca nienawidził Rosjan, musiał przyznać, że najpiękniejsze lata młodości nierozzerwalnie kojarzyły mu się z zaborem, a szyldy sklepów wypisane cyrylicą stanowiły tło jego beztroskich, dziecięcych wspomnień. Oczywiście cieszył się z wolnej Polski, ale nie podobała mu się do końca ta szalona frywolność, która opanowała młodzież. Z pogardą obserwował nowe stroje, a muzykę, szczególnie jazz, uznawał za jawną obrazę moralności. Synów trzymał krótko, a córkę zamierzał w stosownym wieku wydać za człowieka solidnego, majątnego i pobożnego. Lecz na to jeszcze był czas. Dorota miała dopiero trzynaście lat, ale już zapowiadała się na piękność. Uczęszczała na Piękną do prestiżowej pensji dla panien założonej przez Cecylię Plater-Zyberkównę. Nie tylko o wykształcenie chodziło Apoloniuszowi. Na pensji uczyły się córki bogatych ziemian pospołu ze stypendystkami z ubogich rodzin, więc także o zaprzyjaźnienie się z uprzywilejowanymi dziewczętami.

Założycielka pensji była prawdziwie bogobojna, a po jej śmierci kolejni dyrektorzy kontynuowali dzieło wychowania dziewcząt w duchu katolickim na dobre, posłuszne żony. Z całej trójki swoich dzieci Apoloniusz najbardziej kochał najmłodszą córkę. Ogromnie surowy dla synów, ją jedną rozpieszczał sukienkami, nalegając jednocześnie, żeby były skromne i dziewczęce. Wciąż bardzo dziecinna Dorotka słuchała ojca z radością. Dla niej jednej oczy Apoloniusza łagodniały, a czasami pod sumiastym wąsem błakał się nawet nikły uśmiech. Po szkole dziewczynka przybiegała do pracowni, żeby się przywitać, i słodko szczebiocząc, siadywała na stołku obok solidnego dębowego biurka stojącego w niewielkiej pakamerze. Ojciec z nosem w papierach słuchał jednym uchem szkolnych opowieści

córki, co jakiś czas chrząkając potakująco. Właśnie taki widok zobaczył Poldek, gdy wszedł do środka.

Apoloniusz spochmurniał, patrząc na syna. Nie uważał go za złego chłopaka, ale jeśli chodziło o rzemiosło, zawodził na każdym kroku. Choć przyuczał go najlepszy krojczy w zakładzie, nadal nie potrafił porządnie naciągnąć skóry, aby w odpowiedni sposób znaleźć jej słabsze miejsca i ominąć je w wykroju. Zamiast szanować materiał i pracować wydajnie, lecz z głową, myślał o niebieskich migdałach, wyglądał na zewnątrz przez okno pracowni, a czasem zastygał nad drewnianym stołem z nożycami w dłoni, szepcząc coś pod nosem. Rozbawieni pracownicy porozumiewali się wzrokiem, a pana Apoloniusza doprowadzało to do wściekłości. W jego odczuciu syn go ośmieszał.

– Co tak późno? – zapytał ostro.

– Niech ojciec się nie gniewa. Sporo demonstracji na mieście, policja wszędzie, więc szedłem okrężną drogą, żeby było bezpiecznie. – Poldek tłumaczył się, gorączkowo myśląc, czy ojciec zapyta jutro subiekta, o której ten wysłał go do domu.

Chłopak nawet nie spojrział na zegar wiszący nad drzwiami zakładu, więc nie do końca się orientował, jak długo był nieobecny. Sądząc po obecności Dorotki, zapewne dochodziła czwarta, a matka za chwilę będzie ich oczekiwała na obiedzie.

– Przez tę sprawę z Abisynią tak protestują? – wbrew sobie Apoloniusz poczuł zaciekawienie.

– Mają czerwone transparenty i krzyczą „precz z Mussolinim” – przytaknął Poldek, zadowolony ze zmiany tematu.

Przy odrobinie szczęścia ojciec zaraz weźmie głęboki oddech i wygłosi tyradę o niecywilizowanych afrykańskich tubylcach niepotrafiących zadbać o własną ziemię, a także o tym, jakim wielkim wodzem jest Duce. Oraz o czerwonym robotniczym motłochu zbratanym z ruskimi komunistami.

– Dzień dobry, ojczu – rozległ się głos za plecami Poldka. – Jest dla mnie co do roboty?

Do pakamery wszedł rozpromieniony Janek. Na ramieniu miał torbę z książkami. Przybiegł do pracowni, nawet nie zaglądając po drodze do domu.

– A lekcji nie masz do zrobienia? – burknął Apoloniusz. – Stopnie miałeś poprawić, nicponiu! A tu mi Poldek pomoże. Potem możesz przyjść.

Z Blumanem do garbarni zajdziesz. Dzisiaj wyjmują partię koźlęcych skórek z wyprawy. – Ostatnie słowa ojciec wypowiedział już znacznie łagodniej.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że w Janku miałyby lepszego dziedzica, lecz zasady były najważniejsze. Podzielenie interesu między obu chłopców też nie wchodziło w grę. Podobnie myślał jego ojciec, a przed nim dziadek. Takie spółki zawsze kończyły się kłótniami. Apoloniusz miał międzypokoleniowy dług do spłaty i obowiązki wobec pierworodnego. W szerszej perspektywie tylko to się liczyło.

– Dorotka, lećże do matki, przy obiedzie pomóż. Ty Janek też do domu idź – zadysponował Malinowski.

Dziewczyna poderwała się ochoczo, a jej brat zwiesił smętnie głowę i wyszedł za nią z ociąganiem. Poldek wiele by dał, żeby też się urwać, lecz to nie wchodziło w grę. Dopóki matka nie przyśle służącej, żeby poprosiła ojca na posiłek, Apoloniusz znajdzie dla niego kolejne nudne zadanie.

– Chodź, ponabijasz butony na cyklistówki – zarządził ojciec.

Poldek westchnął w duchu na myśl o żmudnej, powtarzalnej robocie. Stół warsztatowy z maszyną do mocowania zatrzasków znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie pakamery, w której urzędował ojciec. Co gorsza, uchylone drzwi pomieszczenia pozwalały staremu Apoloniuszowi na stałą obserwację poczynąń syna. To z definicji wykluczało rozmowy ze współpracownikami i jakikolwiek przestój w robocie.

Chłopak podszedł do blatu roboczego, wyjął z drewnianej kuwety owinięte paskiem papieru i związane kawałkiem sznurka paczki gotowych rękawiczek dla cyklistów. Z rozmarzeniem pomyślał, że wspaniale byłoby mieć rower, ale oczywiście ojciec podobne pomysły zbywał wzruszeniem ramion. Za kieszonkowe, jakie Poldek dostawał, na pewno nie byłoby go stać.

Poldek wiedział, że nie może liczyć na normalną pensję, a zapytany o nią ojciec natychmiast wygarnąłby mu, że mieszka w jego domu, je przy jego stole, a i kapotę na grzbiecie też ma dzięki niemu. To wszystko oczywiście było prawdą, tyle że młodzieniec był już prawie dorosły, a czuł się ubezwłasnowolniony jak dziecko. Wprawdzie ojciec powtarzał, że choć dopiero wyzwolił się na czeladnika, to wkrótce zacznie się pod jego okiem szkolić na mistrza. Jeśli zda egzamin w cechu rzemieślniczym, wówczas

otrzyma pewne przywileje, a na razie jest w terminie, jak kilku innych szkolących się w zakładzie Apoloniusza chłopaków.

Poldek odgonił ponurą myśl, że prawdziwej wolności zazna pewnie dopiero po śmierci ojca. Zawstydził się, jakie bzdury przychodzą mu do głowy, i na wszelki wypadek wziął się do pracy. Z przegródek wąskiego, metalowego korytka wyjmował elementy zatrasku, przykładając do pasków na czarnych, już wykończonych rękawiczkach i nabijał je, dociskając drewnianą wajchę. Maszyna była stara, przypominała nieco z wyglądu imadło, lecz zamiast uchwytu jej ramię zakończone było metalowym bolcem. To właśnie w tym miejscu należało umieścić rękawiczkę i zatrask. Z pozoru banalne zadanie trzeba było wykonywać bardzo uważnie, bo nieumiejętne przytwierdzenie elementu czyniło nieodwracalną szkodę. Poldek boleśnie się o tym przekonał, gdy nieopatrznie zniszczył niegdyś rękawiczkę, a ojciec potrącił mu koszty z niewielkiego uposażenia.

Na szczęście powtarzalne, nużące zajęcie przerwało pojawienie się Gieni, pomocy kuchennej. Poldek z ulgą porzucił pracę i wraz z ojcem poszedł w stronę kamienicy. Obserwował sapiącego z wysiłku Apoloniusza, który wspinał się po drewnianych schodach na czwarte piętro. Pomyślał kpiąco, że ojciec pewnie nie raz jeszcze pożałuje własnego uporu, gdy zacznie się starzeć. Ale w końcu u niego słowo było droższe od pieniądza, więc skoro wyznaczył ostatnie piętra na własne mieszkanie, niech sobie dalej dyszy i sapie. Złośliwe wizje były jedyną zemstą Poldka, więc lubował się w nich nadzwyczajnie. Nie zajmował się zresztą nimi długo. Zza drzwi mieszkania doleciał smakowity zapach rumsztyków z duszoną cebulą. Widocznie matka posłała rano kuchenną do jatki po mięso wołowe. Nie pojawiała się często na stole oszczędnego i skrupulatnego Apoloniusza Malinowskiego. Jednak i tak jadano je w tym domu znacznie częściej niż w innych rodzinach mieszkających w kamienicach przy Solcu.

– Apoloniuszu, wolisz ziemniaki tłuczone czy całe? – zapytała matka, patrząc wiernopoddańczo na męża.

Janek prychnął cicho pod nosem, ale nie powiedział nawet słowa. Upił łyk kompotu agrestowego i spojrzał spode łba na brata. Poldek wydawał się nieobecny. W zamyśleniu obracał w palcach widelec, zdawkowo reagując na szczebiotanie Dorotki.

– Wszystko mi jedno – odparł Apoloniusz. – Cokolwiek mi poda moja umiłowana małżonka.

– Zatem tłuczone – ogłosiła uroczystym tonem i przekazała polecenie do kuchni.

Obiad przebiegał bez zakłóceń i odstępstw od rytuału. Żadnemu z dzieci nie wolno było odezwać się bez pytania. Ponieważ stary Apoloniusz znów zatopił nos w gazecie, a matka nie należała do gadatliwych, jedli posiłek w ciszy przerywanej jedynie brzękiem sztućców.

– Co to za okazja, że nam tak przy poniedziałku dogadzasz, żono? – zapytał w końcu ojciec rodziny, wycierając usta białą serwetką.

– Ratajowa namówiła naszą Gienię, gdy poszła po sprawunki. Jak za wieprzowe policzyła. Dobrze dziewczucha zrobiła, że wzięła, widać zaraz, że bardziej rozgarnięta niż ta niecnota Weronka... – Eleonora umilkła w połowie wypowiedzi, zła na siebie, że niepotrzebnie przywołała ducha nieszczęsnej służącej.

– Czyli stara przekupa Ratajowa będzie chciała sprawić sobie rękawiczki i zawczasu dba o dobrą cenę – skwitował spokojnie Apoloniusz, puszcżając wzmiankę o Weronce mimo uszu. – Dołóżcie sobie, chłopcy – polecił.

Ojciec, choć oszczędny w czym się dało, nie żałował domownikom jedzenia ani porządnej odzieży. W tym jednym należało mu oddać honor – o byt rodziny dbał z pełną skrupulatnością. Ile w tym było prawdziwej troski, ile zaś obawy, co powiedzą ludzie, nie wiadomo.

Poldek posłusznie chwycił półmisek z ziemniakami, dorzucił pokaźną kopyść najpierw bratu, a potem sobie. Mięsa nie odważył się ruszyć. Niepisaną zasadą było, że obdziela nim matka, spod oka obserwując minę męża. Teraz też poderwała się na równe nogi, gotowa dołożyć mężowi rumszyk obłożony cebulą.

– Jestem syty – oznajmił stary, wymownie masując się po przodzie kamizeli. – Dzieciom dołóż, a i sobie weź, bo coś mi blado ostatnio wyglądasz, duszko.

Poldka zainteresował ten pokaz monarszej łagodności. Zupełnym przypadkiem łaskawe nastawienie Apoloniusza Malinowskiego łączyło się ze wzmianką o Weronce. Miał wrażenie, że tylko on zauważył tę zależność. Dorotka była niewinna, niewiele rozumiała, Janek też większość czasu spędzał na szczerzeniu białych zębów, pracy w zakładzie ojca i entuzjastycznym braniu życia za rogi. Był przy tym kompletnie naiwny, karmił się, ku zadowoleniu ojca, Biblią i przypowieściami umoralniającymi młodzież. W odczuciu Poldka to wszystko było papką, zbiorem

nielogicznych nonsensów kompletnie nieprzystających do obecnego świata. Nieco śmieszyło go, że brat z takim entuzjazmem słuchał ojca, a jednocześnie ponownie przed jego oczami pojawiła się Weronka, pokątnie zbrzuchacona nie wiadomo przez kogo i wyrzucona przez ojca bez litości na bruk. I to w styczniu, pośród trzaskających mrozów. Sprzeczne uczucia sprawiły, że Poldek z trudem uśmiechnął się do matki, która właśnie włożyła mu na talerz porcję mięsa.

– W niedzielę jest teatrzyk w Ogrodzie Saskim! – oświadczyła Dorotka. – Pójdziemy? Pójdziemy, papku?

Apoloniusz uśmiechnął się spod wąsa. Jego ulubione dziecko właśnie odezwało się rycząco w czas, podbudowując swoim niewinnym entuzjazmem wizję dobrotliwego ojca rodziny.

– Pójdziemy!

– Kocham cię, papku! – pisnęła dziewczynka i odłożyła widelec na talerz. Nie dbając o konwenanse, rzuciła się ojcu na szyję. Jego twarz w jednej chwili się rozpozogodziła, a usta rozciągnęły w szerokim uśmiechu.

Poldek starał się nie dopuszczać do siebie zawiści. Siostra w niczym mu nie zawiniła, przeciwnie, była najśłodsza istotką, jaką nosiła ta planeta. Uroczą dziewczynką z jasnymi lokami i pięknymi orzechowymi oczami. Przemknęło mu przez myśl, że przypominają mu oczy Heleny. Dopiero co poznana dziewczyna zawładnęła jego myślami, więc w głębi serca gratulował sobie, że uległ impulsowi, ruszając za nią w stronę ambasady włoskiej. Inaczej straciłby piękność z oczu na zawsze i pewnie nigdy by nie zdołał jej odnaleźć w liczącym ponad milion mieszkańców mieście.

– No już, już – Apoloniusz, skonsternowany nagłą eksplozją czułości u córki, odsunął ją od siebie, wcześniej niezgrabnie poklepawszy po szczupłych plecach.

– Chodź, Dorotka, pomożesz ze stołu znieść! – zarządziła matka.

– A my wracamy do pracowni – dodał ojciec, patrząc na Poldka.

Chłopaka uderzyło, że w tej całej sytuacji Janek pozostał dla rodziców całkowicie niewidzialny. Poldek zerknął na brata, który się przygarbił. Wyglądał jak kupka nieszczęścia, a po jego zwykle zaraźliwym dobrym nastroju nie pozostał nawet ślad.

– Ojczy, a Janek? – Poldek nie umiał zostawić tej sprawy.

Apoloniusz zerknął z roztargnieniem na młodszego syna.

– Musisz tak grymasić przy jedzeniu, chłopcze? – zganił go. – Weź się wreszcie za lekcje. A potem możesz iść z Blumanem do garbarni. Chodźmy! – ponaglił Poldka, po czym nie oglądając się na nikogo, wymaszerował z jadalni.

Chcąc nie chcąc, Poldek poszedł za ojcem. Janek odprowadził ich przygaszonym spojrzeniem i apatycznie wstał z za stołu. Do jadalni właśnie wróciła Dorotka. Zaczęła zwinnie zbierać resztę talerzy.

– Dlaczego jesteś smutny? – zapytała.

– Nie jestem – zaprzeczył, szczerząc zęby w sztucznym uśmiechu. – Jestem najweselszym starszym bratem na świecie!

Siostrze tyle wystarczyło. Łatwowierna i prostoduszna, przyjęła jawne łgarstwo za dobrą monetę. Podniosła kupkę naczyń i wyszła. Janek w pierwszym odruchu chciał zaszyć się we własnym pokoju na poddaszu. Sąsadował z pokojem Poldka. Gdy byli młodszy, dzielili jeden. Chłopak tęsknił do tych czasów, gdy leżąc na sąsiednich łóżkach, opowiadali sobie szeptem straszne historie o duchach. Właściwie to Poldek opowiadał, a on słuchał z zapartym tchem. Czas beztroskiego dzieciństwa bezpowrotnie minął, zaś obaj bracia, choć zawsze wobec siebie lojalni, nie byli już tak życzliwi. Choć Janek bardzo się starał, żeby nie wpłynęło to na ich stosunki, coraz trudniej znosił jawne faworyzowanie Poldka przez ojca. I choć wiedział, że jego brat czuje się z tym fatalnie, nie potrafił w pełni zapanować nad zazdrością.

Z kuchni dobiegł go podniesiony głos matki. Tak uległa w stosunku do męża, Eleonora potrafiła wykazać się sporym temperamentem, gdy chodziło o zarządzanie służbą. To drugie oblicze matki nieraz dawało Jankowi do myślenia. Łagodna z pozoru kobieta najwyraźniej musiała odbić sobie na kimś tłumione żale. Najłatwiej było na Gieni.

Starając się otrząsnąć z ponurych rozmyślań, Janek rzucił w korytarzu torbę z książkami. Ostatnią rzeczą, na jaką w tej chwili miał ochotę, było odrabianie zadań domowych. Zbiegł po skrzypiących schodach na podwórze. Jak zwykle na widok niskiego długiego budynku mieszczącego pracownię rękawicniczą, bezwiednie się uśmiechnął. Mógł mieć do ojca żal o wiele rzeczy, ale podziwiał go za skrupulatność i nowoczesne podejście do zorganizowania linii produkcyjnej.

Zakład podzielono na trzy części: pierwszą, gdzie przygotowywano i krojono skóry, drugą, mieszczącą szwalnię i wreszcie trzecią, w której

pracownicy zajmowali się pracami wykończeniowymi. Wyposażony w duże okna, doświetlony i należycie ogrzewany budynek był niezgorszym miejscem do pracy. Byłby jeszcze lepszym, gdyby Apoloniusz Malinowski płacił ludziom uczciwe stawki i liczył się z ich potrzebami. I oczywiście nie traktował ich z góry.

Janek doskonale znał wszystkich pracowników. W przeciwieństwie do wiecznie myślącego o niebieskich migdałach Poldka, od dziecka uwielbiał kręcić się między ludźmi, słuchać, o czym rozmawiają, i przyglądać się, co robią. Wszyscy bez wyjątku mieli dla niego dobre słowo i uśmiech. A on, coraz bardziej zafascynowany ich pracą, wciąż się od nich uczył, a przy okazji dowiadywał się o ich życiu, niedolach, radościach i smutkach.

W pierwszym odruchu zapragnął pójść do szwalni, ale zawstydził się tego pomysłu. W tej części budynku znajdowały się ustawione w równych rzędach maszyny Singera, a nad nimi pochylały się szwaczki. Nie miał ochoty słuchać ich stłumionych terkotem urządzeń chichotów. W tych warunkach nawet nie ośmieliłby się zamienić słowa z Baską. Musiał być cierpliwy i poczekać na koniec zmiany. Może wtedy dziewczyna znów pozwoli odprowadzić się do domu?

– Nie marzniesz, drogi chłopcze?

Janek odwrócił się gwałtownie. Mosze Bluman stał tuż za jego plecami i dobrotliwie się uśmiechał. Gładko ogolony, z włosami zaczesanymi do tyłu i przylizanymi brylantyną, kompletnie nie przypominał starozakonnego, którym niewątpliwie był. Nosił wyświechtane spodnie i podniszczony pulower, a skórzany fartuch opinał się na jego wydatnym brzuchu.

– Ciepło przecież, panie majster! – Janek wyszczerzył zęby.

Widok najlepszego krojczego w zakładzie ojca zawsze poprawiał mu humor, jednocześnie dodając otuchy. Wbrew temu, co sądził ojciec i co pisano w coraz bardziej zjadliwych artykułach w prasie sprzyjającej rządowi, nie cała ludność Warszawy dała się podzielić na wrogie sobie grupy etniczne. Ludzie wciąż pozostawali ludźmi.

Gazety, radio, a nawet propagandowe filmy puszczane w kinach przed seansami mogły tworzyć sztuczne podziały. Rzeczywistość była inna. Ludność wyznania mojżeszowego i katolicka wciąż stanowiły jeden organizm oddychający tym samym powietrzem wspólnego miasta. Warszawa była krojczym Moszem Blumanem, który od dziesięciu lat

pracował dla gojów. Była Apoloniuszem Malinowskim, który ślepo wierzył wieszającym na Żydach psy gazetom, ale jednocześnie klepał po plecach krojczego Blumana. Ale przede wszystkim Warszawa była młodzieżą, która nie zamierzała zastanawiać się nad podziałami, bo po prostu chciała oddychać pełną piersią. Młodych kompletnie nie obchodziła religia, obyczajowość czy cnotliwe życie. Chcieli jazzu, modnych ubrań, filmów i pełnych śmiechu spotkań z przyjaciółmi w Dolince Szwajcarskiej albo śródmiejskich kawiarniach i kinach.

– Idziemy zobaczyć, jak wyciągają skóry z wapna. Dość się należały – zarządził Mosze. – Przy okazji przyda nam się spacer. Jak tam w szkole, drogi chłopcze?

– Może być, panie majster. Tylko nie wiem, na co mi te nauki potrzebne, skoro ojciec w ogóle nie wiąże ze mną przyszłości zakładu?

– Cierpliwości, chłopcze. Czas pokaże, co komu pisane – odparł z zadumą Żyd.

Apoloniusz Malinowski i Mosze Bluman doskonale zgadzali się w tym, że białoskórnicstwo, czyli garbowanie skór na potrzeby produkcji rękawiczek, było wyższą sztuką obcowania z surowcem. Różnili się pod każdym względem, ale ten jeden cel, by pozyskiwać produkty najwyższej jakości, łączył ich na dobre i na złe.

– Idziemy już? – roześmiał się krojczy, widząc, że chłopak znieruchomiał, rozważając coś w duszy.

– Zamyśliłem się, majster wybaczy.

Zeszli nad Wisłę. Jej widok nieustająco cieszył Janka. Piaszczyste plaże dawały ułudę ucieczki z miasta. Chłopak nie widział w życiu wielu miejsc poza Warszawą. Oprócz rodzinnego, zdecydowanie zaściankowego Świdra, służącego warszawiakom za letnisko, wyjechał w zeszłe lato wraz z rodzeństwem do Gdańska. Oczywiście w gościnę do dalekiej rodziny. Innych form wyjazdów Apoloniusz Malinowski nie aprobował, a ruch turystyczny traktował jako fanaberię właściwą cyganerii artystycznej. W jego świecie istniały tylko podróże w interesach, a te w celu poznawania świata były zbytkiem i bezsensownym trwonieniem pieniędzy. Nie zgadzał się nawet na zapisanie dzieci do harcerstwa, co zamykało możliwości wysłania ich na letnie obozy. To było dziwne, bo przecież organizacja krzewiła w młodzieży tak popieranego przez Apoloniusza ducha patriotyzmu i katolicyzmu.

Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło Jankowi do głowy, była obsesyjna potrzeba kontrolowania domowników. A to sprawiało, że cierpła mu skóra.

– Białoskórnicstwo jest dla ludzi rozsądnych, a nie zamysłonych – zażartował Bluman, otwierając drzwi.

– Ależ tu śmierdzi! – skrzywił się Janek.

– Skóry leżące w wapnie nie będą ładnie pachnieć!

– Wolę siedzieć w pracowni niż tu. – Janek starał się nie wciągać nosem powietrza, co oczywiście z góry było skazane na porażkę.

– Cierpliwości, wrócimy na czas, żebyś mógł pannę odprowadzić do domu.

– Jaką pannę? – zapytał niewinnie Janek.

– Już ty wiesz jaką, nicponiu – roześmiał się majster.

Józef Małecki patrzył z troską na swoją jedyną córkę. Helena porządkowała półki z książkami zatopiona we własnych myślach. Już po raz kolejny podnosiła wolumin i bezwiednie odkładała w to samo miejsce.

– Czy coś cię trapi, moje dziecko? – Antykwariusz odłożył wygaszoną fajkę, którą trzymał z przyzwyczajenia. Zaparł się o blat kontuaru i wstał ze stęknieniem. Dobiegał pięćdziesiątki i choć czuł się młodo i zdrowo, ku jego własnej irytacji coraz częściej łupało go w kościach.

– Może ojciec powtórzyć? – wyrwana z zadumy Helena odwróciła się w jego stronę. Oprawioną w skórę książkę przycisnęła do piersi.

– Pytałem, czy masz jakieś zmartwienie.

– Nie, wszystko jest w najlepszym porządku – odparła.

Nie naciskał. Zresztą, skoro córka mówiła, że nie ma się czym martwić, zapewne tak było. Miał świadomość, że przemawia przez niego nadwrażliwość samotnego rodzica. Jego żona, Anna Gutman, zmarła kilka dni po porodzie. Siedemnaście lat to dość czasu, by myśleć już o tym bez dojmującego żalu. Niemniej dobrze pamiętał, jak bardzo kapryśna i nerwowa była matka Heleny, a jemu przez ostatnie lata towarzyszył lęk, by dorastająca panna nie upodobniła się do niej pod tym względem. Na szczęście nic na to nie wskazywało.

Helena uśmiechnęła się do ojca uspokajająco. Podeszła do regału z ciemnego drewna. Nawet nie musiała sprawdzać liter alfabetu na poszczególnych półkach. Znała antykwariat jak własną kieszeń, więc od razu odłożyła wolumin na miejsce.

– Przejdę się na spacer, a przy okazji zajrzę na Kercelak. A może masz ochotę na przechadzkę, ojcze? – zaproponowała.

– A jakoś nie mam chęci. Lepiej przejrzę rachunki... Na Kercelak musisz? Jeszcze cię jakiś szmondak okradnie – zatroskał się.

– Od kiedy to ojciec po warsiawsku mówi? – zażartowała Hela. – Nic mi nie będzie. Mnie tam nikt przecież nie ruszy. Wiedzą, że jestem krewniaczką Gutmanowej, to żaden się nie odważy! – zawołała buńczucznie, odrzucając czarny warkocz za ramię.

Józef westchnął, ale wiedział, że to prawda. Jego szwagierka, Sara Gutman, doskonale prosperowała na znanym warszawskim bazarze. Miała kilka stoisk, na których pracownicy handlowali dla niej wszystkim, czym się dało. Kiedyś obiecał Annie, że nie odetnie Heleny od jej żydowskiej części rodziny, i słowa dotrzymywał. Co nie znaczyło, że podobało mu się szwendanie jedynaczki po szemranym Kercelaku.

Helena takich obiekcji nie miała. Uwielbiała klimat targowiska, a jeszcze bardziej samotne spacerowanie po ulicach Warszawy. Zwykle szła w stronę bazaru przez plac Grzybowski i ulicę Krochmalną, ale dzisiaj nieco się spieszyła, więc postanowiła iść krótszą, choć zdecydowanie brzydszą trasą.

Ulica Sienna stanowiła zacieniony wąwóz cztero- i pięciopiętrowych kamienic. Po przekroczeniu Marszałkowskiej można było się poczuć, jakby wkraczało się w inny świat. Hela nie do końca rozumiała, na czym polegała różnica. Budynek w pierwszej części ulicy miały całkiem zadbane fasady, bruk i rynsztok taki sam jak wszędzie, jednak nie dało się tu zauważyć nawet pojedynczego drzewka. Oczywiście, władze miasta niespecjalnie dbały o nasadzenia, choć nieco drzew można było spotkać wzdłuż reprezentacyjnych ulic miasta. Tutaj dominowała szarość. To sprawiało przygnębiające wrażenie. Dzień był chłodny, więc Hela przyspieszyła, żeby rozgrzać się marszem. Jej myśli wręcz galopowały.

Starła się skupić na rzeczach istotnych, ot choćby na tym, co począć ze swoim życiem, gdy skończy szkołę powszechną. Zamiast tego jej myślami niepodzielnie zawładnął przypadkowo spotkany chłopak. Poldek. Rozmarzyła się jeszcze bardziej, gdy jej pamięć przywołała zgrabną,

smukłą sylwetkę chłopaka z niesfornymi jasnymi włosami i wesołymi błękitnymi oczami. Od ich spotkania, czy raczej od chwili, w której przybył jej na odsiecz pod ambasadą, minęło kilka dni, a ona wciąż rozmyślała, czy jeszcze się zobaczą. On doskonale wiedział, gdzie ją znaleźć, lecz ona nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Inna rzecz, że z pewnością by się nie odważyła. Dziewczyna nie powinna zabiegać o kawalera.

Gdy Hela odtwarzała przebieg rozmowy podczas ich krótkiego spaceru Marszałkowską, nie znajdowała absolutnie niczego, co zdradziłoby jej choć odrobinę, kim był chłopak. Zła na siebie, że zamiast mówić wówczas bez końca, nie zadała mu choć kilku pytań, bezwiednie przyspieszyła. Skręciła w prawo, w Żelazną. Za kwadrans powinna dojść na Kercelak. Im dalej zapuszczała się w dzielnicę żydowską, widziała coraz więcej ludzi ubranych w chałaty. Spokojna okolica zdawała się być innym światem niż znajdująca się ledwie kilka minut stąd elegancka Marszałkowska.

W myśli dziewczyny wbił się jakiś wysoki dźwięk, a później głuchy łomot. Ze zdziwieniem zrozumiała, że odgłos wywołał potężny samochód, a ona sama leży na ulicznym bruku.

– Czy wszystko z panią w porządku? Może się panią poruszyć? – rozległ się zatroskany, męski głos. – To moja wina! Nie zauważyłem!

Zdezorientowana Helena usiadła ostrożnie. Mężczyzna ujął ją za łokieć, a drugą dłońią przepasał jej talię, po czym bez wysiłku poderwał dziewczynę do pionu i natychmiast się odsunął. Lekko zamroczona, Hela zachwiała się, a nieznajomy natychmiast przysunął się, ponownie obejmując ją w pasie. Zamrugła. Wydawało się jej, że stoi przed nią Poldek. Dopiero po chwili zrozumiała, że to pomyłka. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka mogli wydać się podobni, bo nieznajomy też był wysokim blondynem.

– Już wszystko w porządku, moja wina. Nie powinienem tak gwałtownie ruszać... – tłumaczył się gorączkowo. – Tu obok jest pompa benzyny, zresztą z niej wyjeżdżałem. Na pewno poratują szklanką wody, a jak będzie trzeba, zadzwonimy po pomoc lekarską. Może pani iść?

Helena przytaknęła i ostrożnie stawiając kroki na nierównym bruku, dała się poprowadzić za wysokie pompy paliwa w stronę białego okienka stacji Vacuum Oil Company. Chwilę później siedziała na drewnianym krześle, dyskretnie rozglądając się po zapleczu warsztatu. Wszędobyłski zapach towotu o dziwo nie drażnił, raczej wydawał się interesujący. Jasnowłosa

mężczyzna zniknął na chwilę, a Hela miała sposobność, żeby się przyjrzeć plakatowi nieprzystojnie roznegliżowanych aktorek. Niektóre z nich znała z afiszów kinowych. Na stoliku pod ścianą stało radio firmy Natawis, a z niego płynęły właśnie dźwięki melancholijnej piosenki Binga Crosby'ego.

– Jak się panna czuje? – Niefortunny kierowca pochylił się nad Heleną z troską, po czym wręczył szklanekę z wodą. – Mam kogoś zawezwać? Nie uchylam się od odpowiedzialności. W żadnym razie!

– Dobrze się czuję. Tylko trochę w głowie mi się kręci – przyznała.

– Z całego serca przepraszam za ten niefortunny wypadek. – Blondyn teatralnym gestem położył dłoń na piersi, a Helenie w jednej chwili rozjaśniła się pamięć. Przed nią, pełen pokory i z przepraszającą miną, stał amant filmowy, Konrad Werner.

– Nic się nie stało – odparła, siląc się na neutralny ton, ale serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Jeszcze nigdy nie rozmawiała z nikim sławnym. A do tego tak przystojnym. Wbrew wcześniejszym obawom, prawie się nie potłukła. Ciepły płaszcz zamortyzował upadek. Jedynie lewy policzek nieco ją piekł.

– Otarła pani sobie twarz – zauważył aktor. – Proszę przyjąć pokorne przeprosiny...

– Będę żyć – powiedziała z lekką kpina i wydeła usta w zabawnym grymasie. – Na mnie już pora. Umówiona jestem...

– O nie! Ja nigdzie pani samej nie puszczę! Jeśli panna... – Werner zawiesił głos i przekrzywił głowę w oczekiwaniu.

– Helena Małecka – odparła z westchnieniem, w ostatniej chwili powstrzymując się od przewrócenia oczami.

– Panno Heleno, proszę pozwolić odwieźć się do miejsca przeznaczenia. Ogromnie na to nalegam!

– Niechże pan już tak nie dramatyzuje.

– Najdalszy jestem od tego!

Dziewczyna podniosła się z krzesła i skinąwszy zdawkowo głową na pożegnanie, wyszła z warsztatu. Nie zdążyła nawet minąć modnego samochodu aktora, gdy on sam stanął przed nią i złożył dłonie w błagalnym geście.

– Jeśli czymś uchybiłem, proszę przyjąć pokorne przeprosiny, panno Heleno! – Werner wyglądał na poruszonego. – Proszę nie dać się prosić

i pozwolić bezpiecznie odwieźć do domu.

Helena stała niezdecydowana. Przejazdźka luksusową maszyną, w jakiej nigdy nawet nie siedziała, była zdecydowanie ekscytującą perspektywą. Szczególnie że od dawna ciekawiły ją samochody, choć do tej pory mogła jedynie na nie popatrzeć. Kupno jakiegokolwiek maszyny pozostawało poza zasięgiem finansowym skromnego antykwariusza.

– Ale czy to wypada? – zapytała stropiona.

– Przecież jedynie oferuję pomoc. – Błysnął bielą zębów. – Zwłaszcza że to ja narobiłem kłopotu – dodał.

– Dobrze więc – zdecydowała i podeszła do samochodu.

Czerwony pojazd z opuszczonym dachem i błyszczącymi metalowymi progami płynnie przechodzącymi w elegancko wyprofilowane błotniki robił na niej ogromne wrażenie, lecz starała się nie dać tego po sobie poznać. Aktor otworzył przed nią drzwiczki i podał dłoń, pomagając jej umościć się na kremowym skórzanym siedzeniu. Okazało się zaskakująco wygodne. Zerknęła w stronę warsztatu. Dwaj chłopcy coś do siebie szeptali, trącąc się łokciami. Speszona dziewczyna odwróciła spojrzenie. Odważyła się odetchnąć głębiej, dopiero gdy motor zaskoczył.

– Dokąd więc jedziemy, szanowna pani? – zapytał Werner, naśladowując akcent warszawskich dorożkarzy. – Gdzie szanowna pani mieszkać raczy?

– Na Zgodzie. Ojciec ma tam antykwariat – wyjaśniła Helena, wodząc roziskrzonym spojrzeniem po wnętrzu.

– Więc na Zgodę! – odparł. – Zabrzmiało jak toast, ale taki chętnie wzniosę.

Aluzja do propozycji spotkania w restauracji, choć grubymi nićmi szyta, kompletnie umknęła Helenie.

– Nie! Raczy pan wybaczyć, zamyśliłam się. Wprawdzie mieszkam na Zgodzie, ale nie tam przecież szłam, gdy... – umilkła, nie chcąc mu przypominać wypadku.

– Dokąd więc jedziemy?

– Możemy do Szpitala Starozakonnych na Czyste? – zapytała, momentalnie rezygnując z odwiedzin na Kercelaku. Proślenie sławnego aktora, żeby ją zawiózł na bazar, wydało się prostackie.

– Jednak coś panią boli? – zaniepokoił się.

– Ależ nie! Mój kuzyn tam pracuje. Chciałam go odwiedzić.

Nawet jeśli Konrad Werner pomyślał, że szła w przeciwnym kierunku, niż znajduje się szpital, gdy nieszczęśliwie ją potrącił, zachował to spostrzeżenie dla siebie i skręcił w lewo w Żelazną. Przed wylotem ulicy do Alej Jerozolimskich musiał znacząco zwolnić. Wąski przesmyk brukowanej ulicy całkowicie zatarasował drewniany wóz konny wyładowany główkami kapusty.

Helena była pewna, że mężczyzna nie oderwie teraz spojrzenia od drogi, zbyt zajęty próbą wyminięcia wozu, więc zaczęła mu się przyglądać. Wyglądał na młodszego, niż zapamiętała to z seansu ostatniego filmu, w jakim zagrał. Wydawał się też szczuplejszy. Wcześniej sądziła, że jest brunetem, ale teraz zrozumiała, że to efekt czarno-białego obrazu. W rzeczywistości miał dość jasne włosy. Gdyby zmył z nich brylantynę, którą utrwalił zaczesaną do tyłu fryzurę, pewnie okazałoby się, że są słomkowego koloru.

Zupełnie inaczej niż u Poldka. Jego włosy powiewały niesfornie, często wpadając mu w oczy. Helena uśmiechnęła się do wspomnienia, po czym potrząsnęła głową, żeby je odgonić. Nie do końca rozumiała, dlaczego ciągle powraca myślami do przelotnego spotkania z tym chłopakiem. Minął już tydzień, on nie dał znaku życia i najwyższa pora się z tym pogodzić. A zamiast rozpamiętywać, lepiej cieszyć się przejażdżką w towarzystwie zapierającego dech w piersiach przystojnego aktora.

– Piękna maszyna – zagaiła, gdy Werner ominął w końcu wóz konny i sprawnie włączył się do ruchu w Alejach Jerozolimskich.

– To model...

– CWS T1 Torpedo, krajowej produkcji – wyrecytowała z przejęciem, nawet nie myśląc o tym, że niegrzecznie jest przerywać rozmówcy.

– No proszę! Panna Helena zna się na motoryzacji! – Zaskoczony aktor oderwał spojrzenie od drogi i zerknął na pasażerkę z uznaniem.

– A bo to dziewczyna nie może? – odparła buńczucznie.

– Niczego takiego nie mówiłem. Moja... koleżanka startowała z powodzeniem w wyścigu. Nie mam nic przeciwko kobietom za kierownicą.

Hela nie skomentowała. Chwila zawahania w głosie Wenera wystarczyła, by zrozumieć, że mówi o Idzie Wolińskiej, swojej kochance. Czy raczej, jak ją określała prasa bulwarowa, przyjaciółce. Dziewczyna oblała się rumieńcem i odwróciła głowę w prawo. Po swojej stronie Alej

Jerozolimskich nie odnotowała niczego ciekawego, jedynie ciągnące się wzdłuż drogi tory kolejowe.

– A prowadzić pani umie? – Werner nie zauważył, że dziewczyna się zawstydziała.

– Nigdy nie próbowałam – odparła, z ulgą przyjmując zmianę tematu.

Zatłoczone Aleje Jerozolimskie, pełne tramwajów, samochodów i dorożek, z każdą chwilą, gdy oddalali się od Śródmieścia, stawały się łatwiej przejezdne, a pobocza, dotąd wypełnione parkującymi pojazdami, opustoszały. Werner dodał gazu i torpeda przyspieszyło. Heli w pierwszej chwili serce podeszło do gardła, lecz osobliwe uczucie natychmiast zastąpiła euforia. Dziewczyna krzyknęła z radości, nie potrafiąc się powstrzymać. Uniosła się nieco i wyciągnęła ręce nad głowę. Jej twarz owiało chłodne powietrze. Pasma włosów, które wcześniej wysunęły się z kruczocznego warkocza, załopotwały na wietrze.

Werner roześmiał się.

– Niech panna Helena usiądzie, bo panią na ulicę wywieje! – zażartował, zwalniając.

Posłuchała. Opadła na siedzenie. Na jej zaróżowionej z radości i zimna twarzy wykwitł uśmiech.

– Niesamowite możliwości ma pańska maszyna!

Dotarli do placu Zawiszy, więc Werner wziął skręt w prawo w Towarową.

– Jechaliśmy ledwie sześćdziesiąt na godzinę! – wyjaśnił. – I tak stanowczo zbyt wiele, bo w stolicy nie wolno więcej niż dwadzieścia.

– A jakie są największe możliwości silnika? – zainteresowała się Helena.

– Sto pięć kilometrów na godzinę.

– Zdarzyło się panu kiedyś pędzić z taką prędkością?

– Nie, oczywiście, że nie. Polskie drogi na to nie pozwalają. Najwięcej, na ile sobie pozwoliłem, to siedemdziesiąt pięć. Ale drgania osi były na tyle niepokojące, że natychmiast zwolniłem.

Kiedy wreszcie zatrzymali się przed frontowym budynkiem rozległego kompleksu Szpitala Starozakonnych, Helena żałowała, że przejażdżka już się zakończyła. Werner był ujmująco miłym, szarmanckim mężczyzną. Zaparkował pojazd przy krawędzi chodnika, wyskoczył ze środka, po czym otworzył przed Helą drzwi.

– Bardzo dziękuję za podwiezienie – powiedziała. Podała mu dłoń na pożegnanie.

– Jestem na pani każde skinienie. Całuję rączki! – Uchylił kapelusza i skłonił się wytwornie.

Helena, zwalczając pokusę, żeby odprowadzić spojrzeniem odjeżdżający samochód, odeszła pośpiesznie w stronę szpitala.

ROZDZIAŁ 3

Basia Michalik wyprostowała plecy i ziewnęła przeciągle. Siedziała przy maszynie do szycia od ośmiu godzin z jedną tylko krótką przerwą na posiłek i skorzystanie ze sławojki. To słowo nieustająco doprowadzało do śmiechu. Choć minęło już parę lat od pionierskiego pomysłu byłego premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, by w każdym obojętnie powstały drewniane wychodki, naród w dalszym ciągu nie potrafił przestać kpić z poważnego polityka. A fakt, że rozporządzenie miało sporo sensu, nie przeszkadzało gawiedzi prześcigać się w niesmacznych dowcipach. Nieskanalizowane ustępy miały raz na zawsze kojarzyć się z premierem Felicjanem. Basia sądziła, że słowo „sławojka” przeżyje nie tylko jego, ale nawet ją.

– Co tak zęby suszysz? – zapytała ją siedząca przy sąsiedniej maszynie Stasia, patrząc z ukosa na starszą o rok Baškę.

– Nie suszę. Wydaje ci się. Cieszę się, że na dzisiaj koniec.

Były siostrami, co dawało się dostrzec od pierwszego wejrzenia. Obydwie jasnowłose, modnie uczesane w krótkie fryzury z lokami nad czołem, podobnego wzrostu i raczej mocnej budowy. Jednak temperamentem różniły się jak ogień i woda. Spokojna, łagodna Basia w niczym nie przypominała pełnej energii siostry. Podczas gdy Stasia chodziła zamasyście, głośno się śmiała i mówiła donośnym głosem, Basia była małomówna, uśmiechała się łagodnie i poruszała się z wrodzoną gracją. Te wszystkie różnice sprawiały, że jeśli już poznało się obie dziewczyny, nie dostrzegało się między nimi podobieństwa.

– A ten twój Janek znów cię dzisiaj odprowadza do domu? – zagaiła z niewinną miną Staška.

– Ani on mój, ani odprowadza. – Basia się zaczerwieniła. – Ot, zwyczajnie lubi spacerować po pracy, więc nam towarzyszy – wyjaśniała niezbyt przekonująco.

– Tere-fere! – parsknęła siostra. – Lubi spacerować i dlatego zasuwa za tobą z Powiśla aż na Czerniaków!

– Nie na żaden Czerniaków. Do Łazienek lubi chodzić, więc idziemy w tę samą stronę. Dzień jeszcze ciągle długi, a gdzie jest piękniej niż w Łazienkach? To nie ma nic wspólnego ze mną.

Basia dobrze wiedziała, że to nieprawda, ale nie chciała się przyznać. Po pierwsze rozumiała, że musi się mieć na baczności. Janek był synem Malinowskiego, więc o poważnym związku nawet nie odważyła się pomyśleć. Stary Apoloniusz w życiu nie zgodziłby się na podobne małżeństwo. Zresztą, choć miała do Janka dużą słabość, wiedziała, że chłopcy tacy jak on lubią się zabawić z dziewczyną, wyszumieć, a potem pójść w swoją stronę. A ona nie potrzebowała kłopotów, z którymi by wówczas została. I jeszcze pewnie straciłaby pracę. Świat wiele wybaczał mężczyznom, lecz kobietom nic. Nawet prawo ich chroniło, praktycznie zwalniając z odpowiedzialności. A ciężarna za próbę pozbycia się dziecka mogła trafić do więzienia nawet na pięć lat. Z kolei urodzenie nieślubnego, szczególnie gdy pochodziło się z miejsca, gdzie nikt nie stanie po stronie matki, stawiało nieszczęsną pod pręgierzem pogardy i szyderstw.

A mimo to na widok chłopaka serce Basi zaczynało mocniej bić. Wiedziała, że jest zakochana, i choć rozsądek jej podpowiadał, że powinna trzymać się od Janka z daleka, wizja spacerów tuż przy Wiśle i dalej ulicą Czerniakowską ogromnie ją ekscytowała, stanowiąc jeden z nielicznych jasnych punktów dnia.

Drugim z powodów, dla którego zaprzeczała, że widzi zaloty młodego Malinowskiego, było to, że nie chciała, aby siostra czuła się jak piąte koło u wozu. Zwłaszcza że za każdym razem, gdy ich trójka dochodziła do miejsca, gdzie chłopak powinien pożegnać się i skręcić w prawo, żeby dojść do Łazienek, nagle zmieniał zdanie. Za pierwszym razem wrócił w stronę rodzinnego domu, a podczas kolejnych odprowadzał dziewczyny nieco dalej niż poprzednio. Nigdy nie odważył się podejść pod samą kamienicę na ulicy Pancерnej. Być może tutejsi trzymali sztamę z Powiślem, ale ludzie pokroju Janka nie należeli do ferajny, więc bezpieczniej było, żeby chłopak nie zapuszczał się w wąskie uliczki, tym bardziej że nosił się modnie i wyróżniał się pod tym względem na tle tubylców w kraciastych kaszkietach.

– Słyszysz?

– Co? – Wyrwana z głębokiego zamyślenia dziewczyna w pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym mówi jej siostra.

– *Jesienne róże są jak usta twe kochane* – zanuciła razem z radiem Stasia. Miała słabość do Toli Mankiewiczówny, a piosenkę *Jesienne róże* wręcz uwielbiała.

– Słyszę, słyszę – odparła Baśka.

Tym razem to jej młodsza siostra nie zareagowała. Śpiewając szlagier, wstała z za maszyny i zaczęła poruszać się w takt muzyki, jednocześnie odwiązując fartuszek. Zdjęła go po chwili i przytuliła do siebie, jak partnera do tańca. Basia uśmiechnęła się na ten widok. Stasia zarażała wesołością każdego, kto znalazł się w jej zasięgu. Teraz też tak było, inne szwaczki, choć znużone długim dniem, wstawały od swoich stanowisk i zaczynały nucić.

– A co tu tak wesoło? – zapytał Mosze Bluman, stając w drzwiach szwalni.

Gdyby pytanie padło z ust starego Apoloniusza, dziewczęta spłoszyłyby się, ale krojczy nie był tak surowy. Potrafił dać reprimendę, kiedy któraś z nowych krzywo oblamowała mankiet, lecz przeważnie miał dla szwaczek ciepłe słowa. Zresztą to on przyniósł im do zakładu radio. Drewniane pudło stało na tyle blisko maszyn, że pomimo terkotu dźwięki dochodziły do uszu znudzonych monotonną pracą młodych dziewcząt. Apoloniusz Malinowski nie wpadłby na taki pomysł, a już z pewnością nie zdecydowałby się na tak hojny gest.

– Fajrant na dzisiaj, to się cieszymy, panie Bluman – odparła z rozbrajającą szczerością Staśka.

– No to lećcie do domów. I żeby żadna mi się jutro nie spóźniła – odparł mężczyzna, patrząc z wyrzutem na jedną z dziewcząt.

– Będziemy na czas, panie krojczy, się wie! – zapewniła tamta gorliwie.

Grupka szwaczek opuszczała budynek, przekomarzając się i chichocząc. Baśka szła z tyłu, dyskretnie się rozglądając. Poczula, że siostra daje jej kuksańca w bok.

– Szukasz swojego księcia? – zapytała cicho Stasia.

– Przestańże wreszcie! – ofuknęła ją Basia, choć jej łagodna natura sprawiła, że nawet nie podniosła głosu. Spojrzała na Stasię i nie dodała niczego więcej. Na policzki jej siostry właśnie wypełzł zdradziecki rumieniec, a ona sama zagapiła się w jakiś punkt w głębi podwórza

sąsiadującej z zakładem kamienicy. Basia spojrzała w tę samą stronę i dostrzegła Poldka. Ubrany tylko w koszulę i spodnie, kopał ogródek swojej matki. W tej samej chwili, gdy oparł się o łopatę, a rękawem otarł spocone czoło, Staśka wydała ciche westchnienie. A Basia w jednej chwili pojęła, że siostra jest beznadziejnie zakochana w starszym synu Malinowskiego.

– Idziemy? – zapytała cicho. – No chodźże, pora na nas.

Maszerowały w milczeniu chodnikiem, każda zatopiona we własnych myślach. Nie zwracały uwagi na pełną kontrastów zabudowę Solca. Wysokie kamienice o różnym stopniu zadbania przeplatały się tu z parterowymi domkami, najczęściej skrywającymi niewielkie sklepiki i punkty usługowe. Nawet pod łukiem wiaduktu kolei średnicowej przeszły bez słowa, podczas gdy zwykle przystawały w nadziei, że może za chwilę z dudnieniem przejedzie pociąg, a wysoka betonowa konstrukcja przeprawy w stronę mostu spotęguje echem stukot kół.

Z każdym pokonywanym odcinkiem popadały w coraz gorszy nastrój, a bliskość rodzinnego domu jeszcze go pogłębiała. Siostry nie miały w życiu łatwo. Oprócz nich w rodzinie było jeszcze trzech starszych braci. Najmłodszy z nich jako jedyny wyszedł na ludzi. Wyprowadził się na wieś, do Białej Rawskiej, ożenił się z tamtejszą panną i pomagał teściowi prowadzić gospodarstwo. Siostry nigdy tam nie były, lecz wiedziały, że bratu urodził się syn, a krótko później córka. Przynajmniej te dzieci może wychowają się w szczęśliwym domu. Basia i Staśka dorastały pośród pijackich burd wzniesanych przez ich ojca i okolicznych degeneratów. Matka, niestety, również nie stroniła od alkoholu. Pozostali bracia poszli w ślady rodziców i też pili. A żeby mieć za co pić – kradli co komu popadnie.

Najstarszego brata niedawno złapali i zamknęli do więzienia, więc w jednopokojowym mieszkaniu zrobiło się nieco luźniej, ale nadal dziewczyny nie mogły liczyć na spokój w nocy. Choć dwie gęby ubyły, nadal mieszkali w pokoiku w pięć osób.

Latem siostry chodziły spać na strych, do pomieszczenia za suszarnią, ale teraz pod dziurawym w kilku miejscach dachem hulał lodowaty przeciąg. Ostatnie, co im było potrzebne, to suchoty albo influenza. Basia nieraz marzyła, żeby wyprowadzić się z rodzinnego domu, ale przy jej i siostry zarobkach nie byłoby jej stać nawet na skromny pokoik, a współlokatorzy

mogliby się okazać gorsi od tego, z czym miały do czynienia obecnie. Ojciec, choć wiecznie pijany, trzymał ręce przy sobie i nie pozwalał na nic kamratom, którzy mieli do gospodarza szacunek i dziewcząt nie zaczepiali. Basia wprawdzie przypuszczała, że nie chodziło o poważanie, lecz obawę przed utratą meliny, ale nie zaprzętała sobie tym głowy. Cieszyło ją, że przynajmniej z tym mają spokój.

Nie jadły w domu, zresztą nie było co. Kupowały rano chleb w sklepiku przy Czerniakowskiej, część zjadały w drodze do pracy, a część na przerwie. Wracając, przeważnie wstępowały do baru dla robotników na niedrogie i sycące flaki albo jeszcze tańszy bigos. Po tym, gdy ktoś z domowników albo bawiących się u nich kumpli ojca ukradł w nocy tygodniówkę Staśki, obydwie siostry deponowały pensje u majstra Blumana, a on wydzielał im tyle, ile w danej chwili potrzebowały.

Pogodne popołudnie wręcz zachęcało do niespiesznego spaceru. Ulica skręciła w lewo, w stronę nabrzeża, a zabudowa zajmowała wyłącznie prawą stronę, dzięki czemu wzdłuż chodnika rozpościerał się widok na przystań i połyskującą w słońcu wodę. Po wyjątkowo zimnym tygodniu pogoda jakby sobie przypominała, że kalendarzowe lato wciąż trwa. Nie było upalnie, ale dostatecznie ciepło, żeby siostry mogły rozpiąć sweterki.

– Zobacz, fala wezbraniowa chyba już przeszła – powiedziała Stasia, przerywając milczenie, i wskazała na Wisłę. Od początku września intensywny deszcz podniósł stan wody, która gdzieś wystąpiła z brzegów. Teraz zagrożenie minęło, choć poziom rzeki nadal nie opadł do bezpiecznego poziomu.

Baśka mruknęła potakująco, ale nie podjęła rozmowy. Wobec jej własnych, ponurych myśli Wisła była kompletnie nieciekawa. Może zainteresowałaby się bardziej rzeką, gdyby przyszło się topić z rozpacz. W przeciwieństwie do niej Stasia zachowywała pogodę ducha, co dało Basi nadzieję, że jej zauroczenie Poldkiem może wcale nie jest tak poważne, jak jej się zdawało.

– Mam dość tego szlifowania trotuarów. Jakbyśmy nie mogły wydać tych głupich dwudziestu groszy na bilet – poskarżyła się Staśka na widok tramwaju jadącego Czerniakowską.

– Póki pogoda dobra, nie będziemy trwonić pieniędzy na zbytki – ucięła stanowczo Basia.

Argument był bezsprzecznie zasadny, więc Stasia zwiesiła z rezygnacją głowę i ruszyła za siostrą. Musiały przebyć jeszcze ponad dwa kilometry, zanim dotrą ruchliwą ulicą do rodzinnej kamienicy.

– Ciekawe, co się stało? – mruknęła Basia, patrząc na zbiegowisko pod sklepem spożywczym. Mężczyzna przepasany białym fartuchem stał naprzeciwko gromady ludzi i intensywnie gestykulując, coś im zawzięcie tłumaczył.

Z daleka rozpoznały starego Matysiaka, właściciela sklepu i sąsiadującego z nim małego wyszynku, czy też raczej baru czwartej kategorii.

– Pewno znów ktoś mu coś ukradł. Albo pieniądze na wódkę, albo od razu wódkę – zbagatelizowała sprawę Staśka. Przyspieszyła kroku, żeby ominąć zbiegowisko. Siostra, chcąc nie chcąc, ruszyła za nią.

– Michalikówny!

W pierwszej chwili żadna z nich nie zrozumiała, że sklepikarz zwraca się do nich. Gdy wołanie się powtórzyło, zatrzymały się i wolno odwróciły. Wszystkie oczy wpatrywały się w nie natarczywie.

– Tak, do was mówię, więc mi tu frajerek nie strugać! Gdzie wasz braciak, w kółko golony?

– A który niby? – odważnie zapytała Staśka, biorąc się pod boki i wysuwając prowokująco brodę do przodu. W przeciwieństwie do Basi była nieodrodną córą swojej dzielnicy i byle komu nie dawała sobie w kaszę dmuchać.

– A wielu ich na wolności zostało? Kuba w anclu, Józek siedzi przy babie na wsi – wychylił się ktoś z tłumu.

– No przecież, że o Bolka pytam. Gadaj mi tu zaraz, gdzie się kitra frajer ciężki?! – rozsierdzony Matysiak aż poczerwieniał na twarzy.

– A skąd ja mam niby wiedzieć? Z roboty wracamy, nie widać? – odcięła się Stasia. – Czego od Bolka chcecie?

Jakby podczas próby baletu zbiegowisko rozeszło się na dwie strony, a oczom siostr pokazał się trup jakiegoś mężczyzny z potłuczoną butelką po piwie wbitą w klatkę piersiową.

– Tulipana dostał – szepnęła Basia, po czym przykryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć, i odwróciła się plecami od szokującej sceny.

– No i? – zapytała zaczepnie Staśka.

– To robota Bolka – odparł sucho jakiś wysoki, szczupły chłopak w kraciastej marynarce, którego dziewczyna kojarzyła z widzenia, ale nie miała pojęcia, kim jest.

– Skoro jego robota, to go szukaj – zezłościła się Stasia. Wzięła Baśkę za rękę i pociągnęła w dół ulicy. – Wiesz, gdzie mieszkamy, więc zapraszam! – krzyknęła na odchodne.

– Jezu, Jezu... – szeptała gorączkowo Basia, posłusznie drepcząc za siostrą. – Co my teraz zrobimy?

– Do domu wrócimy – odparła Staśka. – Myślisz, że jeśli Bolek zasadził temu frajerowi tulipana, to odważy się pokazać? Już pewnie zwiął z kompanami z Czerniakowa aż za Piaseczno. Prędko nie wróci. A dla nas to lepiej. Z samym ojcem i matką łatwiej sobie poradzimy.

Basia spojrzała na siostrę. Miała niespełna siedemnaście lat i żadnych złudzeń co do tego, czego może się spodziewać w życiu dziewczyna urodzona w takim miejscu. Stasia nadrabiała miną, ale widać było, że trzęsie się jej broda.

Wbiegły po wypaczonych stopniach drewnianych schodów na drugie piętro kamienicy, w której nie było prądu ani kanalizacji. Nie miały pojęcia, czego można się spodziewać po kompanach sklepikarza i tym dziwnym wysokim chłopaku z lekkim zezem. Wyglądał na zdeterminowanego, żeby odegrać się za śmierć człowieka spod sklepu.

Ojciec, o dziwo trzeźwy, siedział przy chybotliwym stole, wpatrując się tęsknie w plecy matki, która mieszała coś na piecu. Śmierdziało przypaloną kapustą.

– Bolek był tu? – zagaiła Staśka.

– Nie, a co? – odburknęła matka, nawet się nie odwracając.

– Podobno człowieka zamordował w melinie u Matysiaka, a potem gdzieś zwiął – powiedziała cicho Basia.

– Ty się lepiej nie wtrącaj – huknął na nią ojciec, ale miał zatroskane spojrzenie. Tak jakby pamiętał, że dziewczyna jest najdelikatniejszym z jego dzieci.

Baśka posłusznie umilkła i przycupnęła przy stole, najdalej jak się dało od ojca.

– Jak nabroił, to nie przyjdzie – oświadczyła matka, stawiając na drewnianym stole rondel z kapustą. – Nakładajcie sobie.

Basia posłusznie wzięła miskę, ale w głowie jej się nie mieściło, że matka ot tak przeszła do porządku nad tym, że jej syn zamordował człowieka i gdzieś się ukrywa. Trzeźwość ojca i pierwsza ciepła strawa ugotowana w tym domu od bardzo dawna miały pewnie nadać ich życiu pozory normalności, lecz w oczach dziewczyny wydawały się podejrzane. Rzut oka na Stasię upewnił ją w przekonaniu, że siostra ma podobne spostrzeżenia. Rodzice o wszystkim wiedzieli. Co więcej, Bolek pojawił się w domu i opowiedziawszy o wszystkim, zawinął swoje rzeczy i z błogosławieństwem ojca gdzieś prysnął. A to, co obecnie odgrywało się w mieszkaniu, było niczym więcej, tylko komedią, obrazem sielskiej, choć ubogiej rodzinki. Ojciec czekał na policję.

– Jak tam w szkole? – zagadał uprzejmie do Stasi siedzącej po jego lewicy. – Jakież nowe oceny?

– Ojczy, myśmy już skończyły się uczyć – odparła zamiast siostry Basia, starając się zachować neutralny ton. – Pracujemy obydwie u pana Malinowskiego, na szwaczki się przyuczamy.

– A to świetnie, świetnie. Pewnie zarabiacie godziwie u tego Malinowskiego?

– Czesław, cicho bądź! – ofuknęła go matka, stawiając na stole dwie szklanki z czymś, co na upartego przypominało kolorem herbatę. Więcej szklanek w tym domu nie było, więc matka usiadła ciężko za stołem i podparła brodę dłonią. – Jedzcie! – nakazała.

W pokoju zapadła cisza, bo też i nikt nie miał nic do dodania. Wszyscy w napięciu czekali na łomotanie w drzwi. Gdy w końcu się rozległo, matka porwała ze stołu szklankę i duszkiem wypła jej zawartość, po czym nerwowo przełknęła ślinę.

– Idź otwórz! – zadysponował ojciec, wskazując brodą na Stasię.

– Dlaczego ja? – zaprotestowała szeptem.

– Bo jesteś niewinna, najmłodsza i raczej cię nie zastrzelą – odparła matka.

Basia zachnęła się w duchu. Nawet w takiej chwili rodzice kompletnie nie przejmowali się córkami, tylko narażali je dla własnych interesów. Nawet jeśli miało to służyć ukrywaniu kolejnego w rodzinie przestępcy. A to, że tym razem nie chodziło o kradzieże, tylko o morderstwo, najwyraźniej nie robiło na nich najmniejszego wrażenia.

– Kto tam? – zapytała Staśka, stając przed zaryglowanymi drzwiami.

– Policja! Otwierać!

Dziewczyna odruchowo odwróciła się i pytająco spojrzała na ojca. Ten tylko skinął potakująco głową i sprawdził, czy jego dłonie leżą równo i spokojnie na drewnianym blacie stołu. Stasia otworzyła na oścież i bez słowa odsunęła się na bok. Do środka weszło trzech policjantów, co już samo w sobie świadczyło, że sprawa jest poważna. Przebieg rozmowy, jak można było przypuszczać, ograniczył się do tego, że ojciec zaprzeczył, żeby Bolek ostatnio pojawił się w domu, a zapytany o syna oświadczył, że to dobry chłopak i z pewnością muchy by nie skrzywdził.

Cała przemowa była tak bardzo nieporadna i niewiarygodna, że Basia z trudem opanowała parsknięcie śmiechem i uporczywie milcząc, wpatrywała się w swoje dłonie. Miała osiemnaście lat, a jej palce, zahartowane ciężką pracą, już wyglądały na zniszczone. Skonstatowała, że zamiast przejmować się sytuacją, martwi się o własny wygląd. To dobitnie świadczyło, że nie żywi właściwie żadnych ciepłych uczuć w stosunku do mieszkańców tego domu. Oczywiście z wyjątkiem Stasi. Matka natomiast bredziła, jaki to jej syn jest wspaniały, pracowity i łagodny, więc nie ma mowy, aby kogokolwiek tknął palcem, o tulipanie z butelki nawet nie wspominając.

– Dobrze, chyba nam uwierzyli – westchnęła z ulgą, gdy za policjantami zamknęły się drzwi. – Polej coś, stary, bo od gadania farmazonów aż w gardle mi zaschło.

Ojcu dwa razy nie trzeba było powtarzać. Sięgnął za wersalkę i wyjął półlitrowkę bimbru. Nalawszy alkoholu do opróżnionych już z podłej herbaty szklanek, nie czekał na żonę, tylko od razu wychylił zawartość jednej. Basia spojrzała znacząco na siostrę. Jak zwykle porozumiały się bez słów i ulotniły z mieszkania.

– Jestem przekonana, że Bolek maczał palce w tym morderstwie – szepnęła Stasia, gdy wspinały się na strych drewnianymi skrzypiącymi schodami.

– Ciii... Tutaj ściany mają uszy, nie pamiętasz? Na górze porozmawiamy.

W suszarni było pusto. Wszystkie gospodynie domowe zabrały już pranie. Pozostawiając je na noc, ryzykowały, że ktoś coś ukradnie. W tej okolicy łupem mogło paść absolutnie wszystko i choć miejscowi złodzieje zarzekali się, że sąsiadów nie okradają i chodzili w dalsze rejony, o tyle z tamtych rejonów mogli przyjść inni amatorzy cudzej własności. Stare porzekadło, że

najbezpieczniej mieć złodziei za sąsiadów, zupełnie się w tej dzielnicy nie sprawdzało. Wokół panowała bieda, a ludzie kradli na potęgę.

– Jak myślisz? Dokąd przysnął? – szepnęła Staśka. Popchnęła skrzypiące złowieszczo drzwi. Prowadziły do dalszej, nieużytkowanej części poddasza. Gdy weszły do środka, z drewnianej podłogi poderwał się z łopotem skrzydeł gołąb. Chwilę miotał się w półmroku, by wreszcie uciec przez dziurę w dachu.

– My się pewnie nie dowiemy, ale jestem pewna, że ojciec z matką wiedzą.

– Co wiedzą? – rozległ się za ich plecami kpiący, męski głos.

Odwróciły się jak na komendę. Bolek, ich starszy brat, zatrzasnął drzwi poddasza i oparłszy się o nie, wpatrywał się w siostry z uwagą.

– Co tu robisz? – Pierwsza odzyskała rezon Stasia. – Przecież policja cię szuka!

– A to nie wiesz, mała siostrzyczko, że pod latarnią najciemniej? – parsknął śmiechem, po czym oderwał się od drzwi i powoli podszedł bliżej.

Basia, ku własnej konsternacji, odruchowo się cofnęła. W spojrzeniu brata, który nigdy nie był w stosunku do nich specjalnie troskliwy, było coś takiego, że zaczęła się go bać. Stasia, jakby wyczuwając jej lęk, chwyciła ją za rękę i pokrzepiająco uściśnęła.

– To ty zabiłeś tego frajera z mordowni Matysiaka? Wiesz, że jakiś chudy typek w kraciastej marynarce też cię szuka? Co to za jeden? – indagowała Staśka.

– Nie bądź taka ciekawska – odparował.

– Mów, bo trzeba wiedzieć, kogo się wystrzegać i z kim nie gadać – dodała spokojnie Basia, próbując opanować drżenie głosu.

– Ten kraciasty to Robal – wyjaśnił Bolek.

– Robal? – zdziwiła się Stasia.

– Robert Prusicki, tak go nazywają. A jego brat...

– Ten, co mu wbiłeś tulipana w serce? – podsunęła usłużnie kpiarskim tonem.

– To przywódca grupy z góry, frajer i miglanc – wyjaśnił z ociąganiem.

– Oszalałeś? Zadarłeś z Mokotowem? – Basia zbladła i przycisnęła dłonie do piersi.

Sielce i Czerniaków, ciągnące się obok Wisły poniżej skarpy warszawskiej, były ubogim krewnym zasobnego i eleganckiego Mokotowa

leżącego powyżej. Tutejsi ludzie, żyjący w ubogich czynszówkach, stanowili odrębny świat. Nawet jeśli niektórych z nich kierowano do szkół powszechnych w górnej dzielnicy, i tak byli traktowani jak ulepieni z gorszej gliny. Powiedzenie, że ludzi z dołu traktowano z góry, zawierało w sobie mnóstwo prawdy. Oczywiście na Mokotowie również grasowały różne bandy, ale ich członkowie też mieli się za lepszych.

– I co teraz? – zapytała pragmatyczna Staśka.

– A co ma być? – zdziwił się Bolek. – Muszę pryskać na wieś.

– Józkowi chcesz kłopotu narobić? – Basia spojrzała na brata z dezaprobatą. – Toż jemu dopiero urodziło się dziecko!

– Nie pleć głupot, durna babo. Krew to krew, a brat bratu zawsze pomoże.

– Szkoda, że nie siostrze – skrzywiła się Stasia.

– Jeśli o tym mowa...

Bolek podszedł bliżej i chwycił dziewczynę za ramiona. Przez chwilę potrząsał jak skarbonką.

– Rozum ci odjęło? Puszczaj! – rozeźlona dziewczyna odepchnęła brata z całych sił. Od całodziennej pracy przy maszynie miała sporo krzepy. Bolek potknął się, odskoczył dwa kroki, lecz utrzymał równowagę i znów przypadł do dziewczyny.

– Wiem, że pracujecie u tego fajansiarza Malinowskiego. Dawaj mi mamonę po dobroci, żebym nie musiał na siłę szukać! – wycedził Bolek, z całych sił ciągnąc Stasię za włosy.

– Zostaw ją! – krzyknęła Basia. – Czego chcesz? Zgłupiałeś chyba, jeśli myślisz, że my coś mamy. Ojcu na czynsz wszystko oddajemy...

– Tere-fere, siostrzyczko – roześmiał się Bolek.

Dopiero teraz zauważyły, że spodnie miał uwalane krwią. Basia wzdrygnęła się z odrazą, co nie uszło jego uwagi.

– Wynoś się! – Pobladła Basia próbowała wykrzesać z siebie groźny ton.

– Bo co? Policję zawołasz na rodzony brata? – zaszydził.

Na to nie znalazła odpowiedzi. Bolek strzelił Staśkę na odlew w twarz, aż się zatoczyła na ścianę. Kolejny gołąb, na którego prawie nadepnęła, poderwał się z furkotem i wzbił na legar tuż pod dziurawym dachem. Chłopak podszedł do Basi i bezceremonialnie ją przeszukał. Nie opierała się. Z kieszeni swetra wyjął kilka monet i jeden zwinięty banknot pięćdziesiątówkowy.

– Całkiem miłe ciało masz, siostrzyczko, ale nie tym razem – zarechotał obrzydliwie, po czym odwrócił się w stronę Stasi i splunął na ziemię w jawnej pogardzie. – Lecz się na nerwy, suko, i temperuj te swoje narowy, bo jeśli jaki dumny chłop nawet cię weźmie, to batem do porządku nie doprowadzi! – rzucił w stronę Staśki.

Wybiegł na schody, a na strychu zapanowała dźwięcząca cisza. Stasia podeszła do siostry i nie zważając na piekący policzek, wzięła ją w objęcia.

– No już, uspokój się. Wszystko będzie dobrze – kołysała drżącą Basię, która, jak to miała w zwyczaju od najmłodszych lat, przyłgnęła do niej całym ciałem. – Prześpimy się trochę, a jutro pójdziemy do zakładu pana Malinowskiego. Tam jest dobrze. Po drodze kupimy coś lepszego do jedzenia. Może kawałek kiełbasy do chleba?

– Ciekawe za co? – skomentowała ponuro Basia. – Wszystko mi psi syn zabrał.

– Może tobie zabrał, ale ja trochę mam – uśmiechnęła się blado Staśka.

Choć żadnej z nich właściwie nie było do śmiechu, wtuliły się w siebie jeszcze bardziej i zaczęły rechotać jak wariatki. Tylko tak były w stanie obronić się przed całą beznadzieją, jaką od dawna obdarowywało je życie na Czerniakowie.

ROZDZIAŁ 4

WSPÓŁCZEŚNIE

List doprowadzał Julię do szału. Właściwie żadna zbitka liter nie trzymała się w nim kupy, więc dziewczyna była bliska porzucenia pożółkłej kartki, a jeszcze bardziej podarcia jej ze wściekłości na strzępy. Przecież wzrok miała dobry, więc co sprawiało, że nie umiała odcyfrować tych bohomazów? Zaczynała czytanie już chyba dziesiąty raz i zawsze utykała na drugiej linijce.

Siedziała przy biurku w swoim pokoju, co jakiś czas wpisywała w wyszukiwarkę komputera idiotyczne hasła w stylu „niewyraźne pismo przedwojenne” albo „jak odczytać stary list?”. Oczywiście wszystkie porady, jakie się wyświetlały, nie nadawały się do niczego.

Z wyjątkiem jednego wyniku. Julka bez większej nadziei kliknęła w staromodny blog. Już pobieżne przejrzanie strony głównej wystarczyło, by stwierdzić, że nikt tu niczego nie aktualizował od dobrych kilku lat. Nie zdziwiło jej to. Porzucone strony i blogi dryfowały sobie po algorytmie wyszukiwania. Nigdy nie wiadomo, na co się trafi przy wpisywaniu kluczowych haseł. Sieć niczego nie zapominała.

Pierwszy od góry wpis głosił: „Zanim zagłębisz się w tekst z epoki, poznaj epokę. To sprawi, że pewne słowa, których dotąd nie rozumiałeś, być może staną się oczywiste”.

Julka prychnęła pogardliwie. Rada być może byłaby pomocna, gdyby jakkolwiek wyraz z listu układał się w coś sensownego, a ona miała czas na dogłębne studia, lecz ją gonił termin oddania pracy zaliczeniowej. Przewinęła post i kliknęła w kolejny, datowany na 2015 rok.

„Styl pisma to sprawa indywidualna i pozornie niezależna od epoki. Zgodziłbym się z tym, ale nie do końca, bowiem każdy etap piśmiennictwa...”

– Bla, bla, bla – mruknęła dziewczyna. Najechała myszką na krzyżyk, aby zamknąć stronę, gdy mignął jej tytuł archiwalnego wpisu – „Podstawowe litery”. Oczywiście znów nic, co mogłoby jej pomóc. Przez chwilę przedzierała się przez porady, jak czytać hieroglify, lecz przecież temat w żaden sposób nie mógł przydać się jej do odszyfrowania listu pradziadka, więc postanowiła nie tracić czasu. Z przyzwyczajenia weszła w komentarze. Większość niczego nie wносиła, jak zwykle w podobnych dyskusjach, lecz jeden ją zainteresował.

„Największym błędem przy rozszyfrowywaniu nieczytelnego pisma jest kurczowe trzymanie się chronologii. Jaki to ma sens? Przecież jeśli nie możemy odczytać początku, nie wydarzy się nagle cud, a klapki nagle nie spadną z oczu. Najsensowniejsze, co można zrobić, to przyglądanie się pismu kompleksowo, a nie linijka za linijką. Należy przy tym wypisywać kolejne charakterystyczne litery. Gdy rozpoznamy już choćby kilka, wtedy łatwiej przyjdzie rozszyfrowanie nieczytelnych wyrazów. To jest przecież banalne. Aż dziwne, że trzeba takie rzeczy ludziom tłumaczyć”.

Julka zawstydziała się po przeczytaniu porady. Oczywiście równie proste rozwiązanie nie przyszło jej do głowy. Przygotowała kilka kartek, długopis i zabrała się do pracy. W ciągu kolejnej godziny udało jej się odczytać osiem liter. Zachęcona sukcesem, siedziała pochylona nad listem, ciesząc się w duchu, że w końcu uda jej się przeczytać tajemnicze pismo. Podskoczyła na krześle, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Do środka wszedł ojciec.

– Obiad na stole. Zrobiłem wegańskie curry – powiedział.

Julia się ucieszyła. Rodzice gotowali na zmianę i o ile mama preferowała typowo polskie dania, to ojciec chętnie eksperymentował, przeważnie z sukcesem.

– Czym się zajmujesz? – zainteresował się, patrząc na porozkładane kartki.

– Walczę z tym cholernym listem. A nawet mam pewne sukcesy – pochwaliła się.

– Wiesz, co pradziadek tam nasmarował?

– Niezupełnie, choć jestem coraz bliżej. Ale coś innego udało mi się odkryć – oświadczyła triumfalnie, stukając palcem w pożątkłą kartkę.

Marcin, pochyliwszy się nad listem, wpatrywał się intensywnie w nagłówek, który pokazywała mu córka.

– Jaką datę tutaj widzisz? – zapytała.

– Kiedyś próbowałem do tego dojść razem z dziadkiem Markiem i uznaliśmy, że choć w papeterii firmowej wydrukowano „193...”, to trójka została przekreślona, a dalej dostawiono czterdzieści jeden. Co w sumie jest logiczne. Była wojna, panowała bieda, wykorzystywało się to, co człowiek miał. Choćby przedwojenną papeterię firmową.

– Najpierw pomyślałam dokładnie tak jak ty – przyznała Julia. – Tyle że coś mi w tym nie pasowało. Zobacz! – Wyjęła z szuflady biurka szkło powiększające. – Przyjrzyj się rzekomej jedynce w roku. Widzisz?

– Co mam widzieć? Jest lekko starta, ale to i bez lupy widać.

– Nie tylko o to chodzi, tato. Ona ma inny odcień i wypada dokładnie na zgięciu kartki. To nie jest żadna jedynka, tylko częściowo starte fabrycznie wydrukowane „r.”, czyli skrót słowa „rok”. Co więcej! Cyfra to wcale nie czwórka, tylko niechlujna siódemka. List został napisany w trzydziestym siódmym roku, a nie w czterdziestym pierwszym – oświadczyła. – Jestem skłonna założyć się, że chodzi o datę dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

– No, nie wiem. – Marcin spojrzał sceptycznie na córkę.

– Jeśli to cię nie przekonuje – dodała – zobacz, co udało mi się odczytać na drugiej stronie listu: „...gdy wyszliśmy z Adrii”.

– To ma sens – zgodził się. – W czasie okupacji była to restauracja tylko dla Niemców. Nie mogliby się tam spotkać w czterdziestym pierwszym. Coś tu ewidentnie nie pasuje.

– Jestem przekonana, że coś musiałeś źle zapamiętać ze wspomnień dziadka.

– Przecież mówię, że próbowaliśmy ustalić tę datę wspólnie. Dziadek wie tyle, co ja. Czyli nic.

– Nie wydaje ci się dziwne, że dziadek Marek tak niewiele wie o własnych rodzicach, że nawet nie zna roku, kiedy się poznali? Przecież pomiędzy rokiem trzydziestym siódmym a czterdziestym pierwszym jest różnica czterech lat. To sporo.

– Nie mam pojęcia – odparł ojciec. – Ja wiem tyle, że dziadkowie podobno poznali się w czasie okupacji w Warszawie.

– Odwiedzmy dziadka Marka – poprosiła. – Jestem przekonana, że musi wiedzieć coś więcej.

– Aż tak ci zależy na tej pracy zaliczeniowej? – wyrwało się Marcinowi, zanim zdążył się zreflektować.

– Dlaczego unikasz własnego ojca? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie unikam.

– Jasne – prychnęła.

– Możesz sama do niego pojechać. Jesteś dorosła, więc nie musimy się po mieście za rączki prowadzać, prawda? A teraz chodź wreszcie na ten obiad, zanim ryż wystygnie – uciął stanowczo i wymaszerował z pokoju.

Julka postanowiła nie dolewać oliwy do ognia. Uznała, że priorytetem jest odczytanie listu. Dziadka odwiedzi, gdy ustalą coś konkretnego i będzie wiedziała, jakie pytania zadawać.

Po chwili namysłu uznała to za cyniczne. Ze wstydem musiała przyznać, że w tych całych poszukiwaniach traktuje dziadka przedmiotowo. Nie była z nim zżyta, co oczywiście w żaden sposób nie usprawiedliwiało, że teraz, gdy już stała się dorosła, nie szukała z nim kontaktu na własną rękę. Co ją powstrzymywało od wzięcia do ręki telefonu?

Z drugiej strony dlaczego on nie zadzwoni do niej?

– Julka, obiad!

– Idę, tato! – wrzasnęła i zniecierpliwiona zatrzasnęła klapę laptopa.

1935

Helena ścierała kurz z półek w antykwariacie, muskając przy okazji opuszkami palców grzbiety oprawionych w skórę i płótno woluminów. Z rozkoszą wdychała ten jedyny w swoim rodzaju zapach starych książek, który towarzyszył jej od wczesnego dzieciństwa i już pewnie zawsze będzie się kojarzył z bezpieczeństwem rodzinnego domu. Ze szkoły wróciła godzinę wcześniej. Od tego czasu nie pojawił się żaden klient, a ją paradoksalnie cieszył ten bezruch.

Lubiła swoją szkołę, chociaż była to zwykła placówka powszechna. Czego by nie mówić o świętej pamięci marszałku Piłsudskim, dokonał ogromnej zmiany w systemie edukacji. I nawet obecna, chwiejna władza, tak otwarcie romansująca z faszystami, nie odważyła się niczego zmienić w tym zakresie. Słyszało się, że są projekty, aby wprowadzić getta

ławkowe, i o nieformalnie stosowanych limitach przyjęć na różne kierunki studiów dla uczniów wiary mojżeszowej, lecz podobne przykrości nie dotyczyły Heli. Co nie znaczy, że jej to nie denerwowało. Wprawdzie miała w rubryce wyznania wpisany katolicyzm, ale przecież była w połowie Żydówką, po matce. W dzieciństwie nie miało to dla niej kompletnie żadnego znaczenia. Nie dostrzegała w ogóle różnic pomiędzy mieszkańcami Warszawy, jej ukochanego miasta.

Sporo się zmieniło, gdy zaczęła odwiedzać Sarę Gutmanową na Kercelaku i kuzyna Michała w Szpitalu Starozakonnych na Czystem. Ciotka nauczyła ją gotować najlepsze żydowskie potrawy, a postępowy doktor wyjaśnił jej wiele spraw politycznych. Nie to, żeby Hela nie miała własnych poglądów, ale Michał otworzył jej oczy na wiele kwestii. Starszy o dziesięć lat przystojny brunet w oczach siedemnastoletniej dziewczyny zwyczajnie musiał uchodzić za człowieka w średnim wieku. Tymczasem doktor nadal pozostawał kawalerem, ku utrapieniu robiącej interesy na Kercelaku matki.

Poprzedniego dnia Hela wyszła ze szpitala na Czystem z zamętem w głowie. Miała świadomość, że nieoczekiwane i burzliwe w przebiegu spotkanie ze znanym aktorem Konradem Wernerem, a także brawurowa przejażdżka jego samochodem wywarły na nią ogromny wpływ, lecz słowa doktora Michała zdecydowanie nie ułatwiły odzyskania spokoju ducha.

– Helu, mówię całkowicie poważnie – prawil jej kuzyn znad zsuniętych do połowy nosa okularów – że to nie jest dobry czas na jakieś manifestacje polityczne, a już na trzymanie z rewolucjonistami na pewno nie.

– Dlaczego? – odparła ostro, odstawiając z trzaskiem porcelanową filiżankę z herbatą, którą chwilę wcześniej przyniosła do gabinetu kuzyna ubrana w białożółowy fartuszek uczennica szkoły pielęgniarstwa.

– Przecież wiesz, co się dzieje na świecie – westchnął. – Hitler umacnia władzę, a poglądy, jakie głosi ten szaleniec... – Michał zawiesił na chwilę głos. – W Polsce tego nigdy nie wydadzą, za bardzo się boją paniki, jaką publikacja mogłaby wywołać wśród ludzi, ale jeden znajomy doktor był z wizytą w Berlinie i przywiózł stamtąd manifest tego obłąkanego człowieka.

– Masz *Mein Kampf*? – zdziwiła się.

– Mieć nie mam, ale pożyczyłem i przeczytałem. Jak wiesz, dobrze władam niemieckim. Tobie też radzę się nauczyć tego języka, ale to już

temat na inną rozmowę. Dość powiedzieć, że Hitler pragnie podpalić świat, i obawiam się, że może wprowadzić swoje szalone wizje w życie. Co mówi o Żydach, pewnie wiesz z gazet...

– Wiem. Co więcej, w Polsce też są ludzie, którzy patrzą na Żydów jak na gorszych od siebie.

– Odmienność zawsze napawa lękiem. Zwłaszcza ludzi prostych i niewykształconych, i to oczywiście niezależnie od wyznania. Ale nie zbaczajmy z tematu – zreflektował się Michał. – Znam twoje socjalistyczne poglądy, choć nie wiem, jak je łączysz z chodzeniem do kościoła...

– Chodzę tam głównie ze względu na ojca – weszła mu w słowo Hela. – Lecz nie ukrywam, że lubię czasem posiedzieć w cichej, pustej świątyni. Atmosfera sprzyja przemyśleniom.

– Nie wspomniałem o tym, żeby cię ganić. Chciałem przez to powiedzieć, że łączysz w sobie wiele rzeczy, które przez ludzi są całkowicie nie do pogodzenia. Jesteś w połowie Żydówką, choć według zasad wiary, którą osobiście odrzucam, jesteś nią w pełni po matce, nie kryjesz przywiązania do tej kultury, a jednocześnie uznajesz się za katoliczkę, pochodzisz z inteligenckiego domu, a biegasz na demonstracje i sympatyzujesz z robotnikami. Poglądy na niektóre tematy masz tak skrajne jak niejeden komunista. Nie muszę chyba przypominać, że Polska Partia Komunistyczna jest nielegalna i za przynależność do niej można trafić do kryminału.

– To nie tak! – zaprzeczyła. – Nie mam nic wspólnego z komunistami.

– Ja ci mówię, jak widzą to ludzie. Większość z nich ocenia bliźnich powierzchownie. Przysłowiowe przyklejenie łątki to jedno z najprawdziwszych powiedzeń na świecie. Życie jest zbyt złożone, a wszyscy ludzie tak bardzo zajęci swoimi sprawami, że nie będą się zastanawiać nad jakimiś niuansami. Ze swoim płaskim spojrzeniem zwyczajnie wrzucą cię do wybranej szufladki.

– Cóż w tym złego? – zdziwiła się Helena.

– Nic, przynajmniej w normalnych czasach. Ale jeśli otworzysz szerzej oczy, zobaczysz, że świat stoi na krawędzi katastrofy.

Hela milczała, a jej smukłe palce bezwiednie bawiły się uszkiem filiżanki. W niewielkim gabinecie kuzyna zapanowała cisza przerywana jedynie monotonnym tykaniem ściennego zegara. Zza masywnych drewnianych drzwi odgłosy codziennej szpitalnej krzątaniny praktycznie tu nie docierały. Za oknem kołysały się na wietrze liście, a słońce przenikało przez

nieskazitelnie czyste okna szpitala na Czystem. Placówka była jedną z najnowocześniejszych w Warszawie i stale się rozbudowywała. Jej zamknięty charakter sprawiał, że wejście z zewnątrz dla osób nieuprawnionych nie było łatwe, ale dla Heli, krewnej doktora Michała, czyniono wyjątek. Co nie znaczy, że zdaniem pielęgniarek mogła tu przebywać, jak długo chciała, i nieraz dawały jej odczuć, że niepotrzebnie zajmuje doktorowi czas. Tak było i tym razem. Rozległo się pukanie, po czym do pokoju zajrzała jedna z pielęgniarek.

– Panie doktorze, Nowakowa z drugiej sali gorzej się poczuła – oświadczyła, patrząc krzywo na Helę.

– Już idę, siostrzo, dziękuję – odparł Michał, lecz nie ruszył się z krzesła. – Do czego zmierzałem, droga kuzynko? – zapytał, gdy drzwi zamknęły się ponownie. – Ach! Już wiem. Chodziło o to, że moim zdaniem czekają nas burzliwe czasy. A ty, nieprzypięta właściwie do żadnego miejsca i do żadnej grupy, będziesz najbardziej narażona na ciosy, bo zaczniesz je otrzymywać od wszystkich. Dlatego zaklinam cię, znajdź dla siebie jedno miejsce, środowisko, które w razie potrzeby będzie cię chronić.

– Nie przesadzasz aby trochę z tymi ponurymi wizjami, mój kuzynie?

– Zastanawiałaś się, co będziesz robić po skończeniu szkoły? – odpowiedział pytaniem, patrząc na dziewczynę badawczo.

– Pewnie dalej będę pomagać ojcu w prowadzeniu antykwariatu. – Wzruszyła ramionami.

– Mamy tu, w szpitalu, najlepszą szkołę pielęgniarską w całej Rzeczypospolitej. Pomyśl o tym. I nie pakuj się w coś, co mogłoby zaszkodzić tobie lub ojcu, dobrze? Obiecujesz?

– Obiecuję! – odparła i także wstała.

Lubiła wizyty u Michała. Co ciekawe, nigdy nie bywała w jego rodzinnym domu. Odwiedzin nie życzył sobie ich wspólny dziadek, na stałe mieszkający pod jednym dachem ze starszą córką, Sarą Gutman, oraz z jej niewydarzonym mężem, a zarazem ojcem doktora Michała.

Helena wielokrotnie zastanawiała się, dlaczego dziadek nie chciał mieć nic wspólnego z jej matką Anną i nią samą. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to fakt, że Szmul Gutman był ortodoksyjnym Żydem i nie akceptował, że jego córka wydała się za goja. To miało sens, choć ogromnie raniło Helenę, której ani ciotka, ani kuzyn nigdy nie zapraszali na rodzinne uroczystości. Ojca Michała, cichego, podporządkowanego żonie pijaczka,

prawie nie pamiętała, choć widziała go przelotnie kilka razy na Kercelaku. Dziadka nie widziała nigdy, nawet na zdjęciu. O jego istnieniu wiedziała jedynie od Michała. Nawet ciotka Sara nie chciała o nim mówić. To sprawiało, że Hela nie miała pojęcia, kim właściwie jest ten człowiek.

Przerwała odkurzanie regałów, gdy usłyszała brzęk dzwoneczka przy drzwiach wejściowych. Była przekonana, że to ojciec wraca z miasta, więc odwróciła się z szerokim uśmiechem, który niemal od razu spełzył jej z ust.

– Dzień dobry! Poznaje mnie pani? – zapytał Konrad Werner, opierając się o futrynę w uwodzicielskiej pozie.

– Oczywiście, dzień dobry – odparła, patrząc bacznie na mężczyznę. – Szuka szanowny pan rzadkiego woluminu? – spytała, choć nie miała złudzeń, żeby znany aktor przyszedł po książki.

– Jeśli panna będzie łaskawa poszukać! – wczuł się w rolę Werner i wszedł do środka, zamaszycie zgarniając poły modnego płaszcza.

– Czego więc szanowny pan poszukuje?

– Może czegoś o prowadzeniu samochodu? – Aktor błysnął okiem.

– Może znajdę coś o prowadzeniu statku podwodnego imć pana Verne’a, ale o samochodach niczego nie mam. – Wbrew sobie Hela poczuła rozbawienie. – Ale idę o zakład, że nie po książki o podmorskich łodziach ani innych maszynach szanowny pan raczył przybyć.

– Po co więc?

– Tego nie odgadnę.

– Przejrzała mnie pani, więc pokornie proszę o przebaczenie. Ot tak, przejeżdżałem Zgodą i przypomniałem sobie, że tu mieszka panna Helena. A potem doszło do mnie, że mógłbym nauczyć panią prowadzenia samochodu, skoro jest pani tak zainteresowana motoryzacją.

– A może i mógłby pan! – Hela uśmiechnęła się szeroko i wepchnęła wyrzuty sumienia głęboko pod drewnianą ladę antykwariatu. Wiedziała, że zadawanie się z takim amantem, i to jeszcze o wątpliwej reputacji, jest kiepskim pomysłem, ale nie potrafiła się powstrzymać.

– Zatem chodźmy, panno Heleno! Serdecznie zapraszam! – Werner skłonił się teatralnie, prawie zamiatając kapeluszem podłogę.

Hela nie wiedzieć dlaczego przypomniała sobie Poldka Malinowskiego, który w podobnie szarmanckim geście zdjął przed nią czapkę tuż po tym, jak wyratował ją z tłumu manifestantów pod ambasadą włoską. Od tamtego dnia minął tydzień, a chłopak, wbrew obietnicy, nie pojawił się w sklepie.

Hela wielokrotnie myślała o tym wysokim, szczupłym jasnowłosym młodzieńcu w pumpach i skórzanej kurtce uszytej według najnowszej mody. Ale nie strój wspominała, lecz ciepłe spojrzenie Poldka. Zdołał powiedzieć, że mieszka na Solcu. Niby tak blisko, a jednak nigdy go nie odnajdzie na jednej z dłuższych ulic Warszawy.

– Ciekawam, co szanowny pan skrywa pod maską! – odparła żartobliwie.

– Same dziwy, panno Helu – roześmiał się aktor.

– Samochodu! Maską samochodu, panie Konradzie!

Nie do końca wierząc, że zdobyła się na takie szaleństwo, zamknęła antykwariat i dała się zaprowadzić do czerwonego torpedo. Drgnęła, gdy Werner zatrzasnął za nią drzwiczki.

– Dokąd jedziemy? – wyszczerzył białe zęby, wskakując za kierownicę.

– Niechże pan wybierze – zgodziła się łaskawie.

– Zatem za rogatki! Przy Polu Mokotowskim możemy poćwiczyć manewry. Zgadza się panna?

– Niech będzie.

Jazda Marszałkowską w stronę rogatek mokotowskich zaparła Heli dech w piersiach. Chciało jej się krzyżeć z radości, a otwarte, zielone przestrzenie, choć nieco pokryte żółtymi liśćmi, sprawiły, że zaczęła śmiać się w głos. Gdy Konrad zatrzymał maszynę w zacisznej żwirowej uliczce, z trudem utrzymała na wodzy entuzjazm.

Werner otworzył drzwi i wysiadł.

– Spróbujemy? – zapytał.

Hela, nie zwracając sobie głowy odpowiedzią, podkasała spódnicę i przesiadła się na fotel kierowcy. Już wcześniej zaobserwowała kolejność czynności w wykonaniu aktora i bez większych problemów uruchomiła silnik. Działając intuicyjnie, wrzuciła bieg. Silnik zawarczał.

– Ej! Proszę poczekać na mnie! – roześmiał się Werner i ruszył kłusem za przyspieszającym samochodem.

W tej chwili Hela zrozumiała, że samochody po prostu muszą stać się największą pasją jej życia.

– Ledwo zdążyłem – poskarżył się Konrad, wskakując na miejsce pasażera.

– Proszę o wybaczenie – wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Nie ma panna prawa jazdy! Ostrożnie!

– I cóż z tego?

– W sumie niewiele – skapitulował. – Kontrole nie są częste. No, chyba że się trafi nadgorliwy policjant podczas tankowania przy pompie.

– Jak wtedy, gdy mnie pan prawie przejechał? – podrzuciła niewinnym tonem.

– Tego wolałbym nie wspominać. – Przybrał komiczną minę. – Niech panna jedzie, najwyżej mnie zamkną do kicia. Raz się żyje!

– Nie zamkną!

– Skąd to przekonanie? – zapytał przekornie.

– Uśmiechnie się pan jak w kinie i żaden funkcjonariusz nawet nie pomyśli o aresztowaniu sławnego aktora. Zresztą tu wokół tylko pola i wiejskie drogi, kto by miał nas złapać?

Konrad Werner z przyjemnością obserwował młodą dziewczynę. Policzki jej płonęły z ekscytacji, czarny niemodny warkocz puszczonej po plecach nieustająco go roztkliwiał. Poza pensjonarską fryzurę w pannie nie było nic niewinnego. Miała powabną sylwetkę, kuszące pełne usta i twarz jak z najpiękniejszego obrazka. Skupiona na prowadzeniu samochodu kompletnie nie zwracała uwagi na towarzysza.

– Proszę się zatrzymać tutaj – wskazał dłonią spokojną uliczkę.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Coś nie tak zrobiłam?

– Nie, panna Helena ma do tego dryg, ale coś mi przyszło do głowy.

– A co takiego? – Helena poczuła, że szybciej bije jej serce. Przeczynała, że aktor będzie próbował ją obłapiać albo pocałować, i zaczęła w duchu przeklinać własną głupotę, że dała się namówić na tę przejażdżkę.

Ku jej niewysłowionej uldze Werner stwierdził, że ma pewną niespodziankę, ale jeśli ma się udać, muszą się zamienić miejscami. Hela nie dyskutowała. Posłusznie wróciła na fotel pasażera.

– Tam, dokąd jedziemy, kręci się sporo wojskowych, a i ulica jest nieco bardziej ruchliwa – wyjaśnił.

– Ale właściwie dokąd mnie pan porywa? – zażartowała Hela.

– Cierpliwości, młoda damo! – Werner odpalił silnik. – Pojedziemy do Puławskiej, potem w stronę Filtrów Miejskich. Trochę naokoło, ale jak na razie innej drogi nie ma. Gdy w końcu budowa przebije się przez stare lotnisko mokotowskie i zrobią planowaną aleję Niepodległości, ten zakątek Mokotowa straci sielankowy charakter, ale komunikacja znacznie się uprości. Coś za coś.

– W istocie urocza okolica. Chociaż i tu, jak widzę, wkracza nowoczesna zabudowa – odparła, wskazując dłonią na szare, modernistyczne budynki.

– Kolonia „Szare Domy”. Nowoczesne kamienice z wewnętrznym ogrodem. Bardzo elegancki adres. Zdziwiłaby się pani, ilu znanych ludzi kupiło tu apartamenta. – Konrad mrugnął porozumiewawczo.

Hela nie wiedziała, jak to zinterpretować. Jako przechwałkę, że sam nabył tu mieszkanie, czy skierowane w jej stronę zaproszenie? Nic na to nie wskazywało, ale jeśli wpadła mu w oko, to bez wzajemności. Jej chodziło wyłącznie o możliwość przejażdżki tym wspaniałym samochodem. W głębi ducha wiedziała, że atencja znanego aktora łechcze jej próżność, lecz nigdy by się do tego nie przyznała. Nie zmieniało to faktu, że z jej strony wchodziła w grę jedynie niewinna znajomość. Może i czasy się zmieniły, dziewczęta miały znacznie więcej swobody i możliwości niż kiedyś, ale niezależnie od epoki mężczyźni mieli talent do znikania, gdy pojawiały się kłopoty.

– Też bym kupiła. Chociaż nieco dziwią pola uprawne wokół tak eleganckiego osiedla. Ale dzisiaj nie jestem w nastroju do wydatków, więc jedźmy! Obiecał pan niespodziankę, a ja jestem bardzo ciekawa – odparła, udając, że nie odczytała dwuznacznych słów Wenera.

– Zatem jedźmy.

Drogę pokonali w milczeniu. Choć Helena wychodziła ze skóry, żeby dowiedzieć się o cel podróży, postanowiła zdać się na bieg wydarzeń. Skoro Werner zachowywał się przyzwoicie pośród pustych pól, tym bardziej nic jej nie groziło teraz, gdy wracali do miasta. Walczyła z wyrzutami sumienia. Nie powinna zamykać antykwariatu i rzucać się w tę szaleńczą eskapadę, ale z drugiej strony jak mogła zaprzepaścić podobną gratkę, która pewnie już nigdy się nie powtórzy? Obiecawszy sobie w duchu, że za wszystko przeprosi ojca, poddała się nastrojowi chwili. Zresztą szacowny antykwariusz zawsze nosił przy sobie pęk kluczy. Zapewne wrócił tuż po tym, gdy ona zniknęła, otworzył sklep i myśląc, że Hela pobiegła na Kercelak do ciotki, wyciągnął kolejny wolumin i zatopił się w lekturze.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Konrad, hamując przed nowo wybudowanym gmachem Technologii Chemicznej Politechniki Warszawskiej.

– Zapisujemy się na kursy? – zażartowała Hela. Zaintrygowana wysiadła z wozu i wzięwszy się pod boki, podziwiała nowoczesne zabudowania.

– Choćbym chciał, mój rozum zawilóści chemii raczej by nie ogarnął, ale dla bystrego umysłu panny Heleny to pewnie by była bułka z masłem – odparł Werner. – Lecz nie po to tu jesteśmy! Właśnie otworzyła się wystawa dróg i motoryzacji. Pomyślałem, że to może panią zainteresować.

– Oczywiście, że tak! – Klasnęła w dłonie.

Weszli do pachnącego nowością budynku. Hela rozejrzała się roziskrzonym wzrokiem, a potem ruszyła do gablot oraz stołów z makietami, chłonąc absolutnie każdą nowinkę techniczną.

– Prawie połowa planów i eksponatów pochodzi z Niemiec – szepnęła do Wenera. – Skąd u nas ta nadzwyczajna propaganda kraju Hitlera?

– Wejźmy na dziedziniec, tam zobaczy pani więcej interesujących rzeczy – odparł wymijająco.

Na zewnątrz ulokowano nowoczesne, specjalistyczne maszyny służące sprawniej budowie autostrad. Oznakowane swastykami, prężyły się dumnie na placu. Hela obejrzała je z zainteresowaniem, po czym wróciła do oglądania planów oraz gablot w środku. Miała mętlik w głowie.

– W Niemczech panuje obecnie niesłychany postęp technologiczny i widać w nim metodyczność działania – powiedział Werner, przystając tuż za nią. – Proszę zobaczyć choćby te miniaturowe modele karetek i omnibusów.

– Przecież to pojazdy starego typu – zachnęła się.

– Może i starego, ale nawet w tym przejawia się niesłychana niemiecka precyzja i skrupulatność, którą osobiście podziwiam. Zadbano o pokazanie historii motoryzacji niemieckiej, a nie tylko technologicznych nowinek.

– Mnie natomiast zastanawia, dlaczego władarze tej wystawy tak wiele miejsca poświęcili eksponatom niemieckim, a na przykład francuskie ograniczyli wyłącznie do pokazania kolei i szlaków morskich – odparła Hela.

– Tego nie wiem, panno Heleno – Konrad uśmiechnął się. – Ale sama pani przyzna, że patrząc na te wszystkie cuda, nietrudno oddać się refleksji, że może ten Hitler nie jest taki straszny, jak go malują?

Słowa Wenera były racjonalne, a na pewno logiczne, jednak Heli, pomnej rozmów z doktorem Michałem i burzliwych obrad ze znajomymi socjalistami, przebiegł dreszcz po plecach.

Zmierzchało już, gdy Apoloniusz Malinowski doszedł do rogu Solca i Tamki, gdzie w świetle latarni czekały dorożki. Wsiadł do pierwszej i rozparł się wygodnie.

– Dokąd jedziemy, proszę szanownego pana? – zapytał dorożkarz, biorąc do ręki lejce.

– W stronę Nowego Świata, potem dalej pokieruję – rozkazał stary i ponaglająco machnął ręką.

Powodem, dla którego nie chciał od razu podawać adresu, było to, że wybierał się do kasyna z lupanarem, a w rodzinnej okolicy wszystkie ściany miały uszy. Apoloniusz wychodził z założenia, że im mniej o nim ludzie wiedzą, tym lepiej. Nie miał oczywiście najmniejszych wyrzutów sumienia, korzystając z podobnych przybytków. Hazard traktował raczej jako okazję do nawiązywania znajomości, które mogły się później do czegoś przydać. Nie trwonił bezmyślnie pieniędzy, a gdy się zgrał do końca założonej sumy, nigdy nie sięgał głębiej do kieszeni. Nie widział także najmniejszego problemu w tym, że zdradza małżonkę z prostytutkami. Z jego punktu widzenia obowiązek dochowania wierności miała jedynie kobieta. Zresztą z podobnego założenia wychodziło bardzo wielu mężczyzn.

Apoloniuszowi zależało na dyskrecji, ponieważ lokal, do którego zmierzał, był całkowicie nielegalny. Wprawdzie prostytucji nie zabroniono całkowicie, jednakże przepisy przed dwoma laty zdelegalizowały duże domy publiczne. Panny lekkich obyczajów mogły mieszkać jedynie parami, musiały mieć założone tak zwane czarne książeczki z systematycznie odnotowanymi badaniami w kierunku chorób wenerycznych. Zmiana, choć w założeniu dobra, niczego nie zmieniła. Przepisy wymierzone w sutenerów oczywiście spowodowały, że ci zeszli do podziemia jeszcze głębiej, bezwzględnie wykorzystując zależne od nich kobiety. Rzecz jasna, akurat ten aspekt procedury Malinowskiego w żadnym wypadku nie interesował. Utyskiwał jedynie na zwiększone trudności w korzystaniu z uciech życia i rozpamiętywał, jak to cudownie było bez najmniejszego skrupowania korzystać z młodych ciał za czasów zaboru rosyjskiego i panowania cara Mikołaja II.

– Jedź pan na Jasną, do Victorii – powiedział Apoloniusz, zniechęca zmieniając zdanie. Pomyślał, że przekąsi coś dobrego, zanim odda się

innym przyjemnościom. Na dobry wikt w lupanarze, mimo że ów należał do przybytków na pewnym poziomie, raczej nie mógł liczyć.

Wkrótce dorożka stanęła przez kamienicą mieszczącą hotel Victoria, a także restaurację o tej samej nazwie. Do środka wiodły dwie pary drzwi. Apoloniusz wybrał te pod markizą, prowadzące bezpośrednio do restauracji. Kompletnie nieświadom faktu, że dosłownie pięćdziesiąt metrów dalej jego syn Poldek ratował tydzień wcześniej obcą pannę z opałów w trakcie manifestacji pod włoską ambasadą, stary Malinowski wszedł do lokalu i z rozkoszą wciągnął w nozdrza smakowite zapachy.

– Szanowny pan na ile osób stoliczek sobie życzy? – zapytał usłużnym tonem przystojny kelner, gnąc się w ukłonie.

– Sam jestem – odparł Malinowski, rozglądając się po sali. Dochodziła siódma wieczorem, więc część stolików już była zajęta. – Coś na uboczu – mruknął do kelnera, wsuwając mu do kieszeni na piersi banknot.

– Służę uprzejmie! – Jasnowłosy kelner wskazał stolik stojący w dyskretnym miejscu nieopodal okna za podwyższoną sceną dla muzyków.

Apoloniusz usiadł ciężko na wyściełanym krześle. Rozejrzał się po sali i popadł w zadumę. Nawet zwykły kelner, niespecjalnie podobny do Poldka, przypominał rzemieślnikowi o nadziejach pokładanych w pierworodnym synu. Dłoń mężczyzny zacisnęła się w pięść, lecz po chwili uchwyciła podaną mu kartę dań. Malinowski przeglądał ją w roztargnieniu.

– Jakaś przekąskę i kotlet z drobiu z grzybami w śmietanie – zadysponował, gdy kelner ponownie pojawił się przy stoliku.

– Służę uprzejmie. Coś do picia dla szanownego pana?

– Kieliszek wódki.

– Baczewskiego? – zapytał kelner.

– Może być – zgodził się łaskawie Apoloniusz. W tej samej chwili ujrzał starego znajomego, wchodzącego w pojedynek do restauracji. Tamten namierzył go spojrzeniem i uchylił kapelusza na powitanie. Malinowski odpowiedział skinieniem głowy. – Panie starszy, pan da butelkę, a nie kieliszek – postanowił po krótkim namyśle.

– Służę uprzejmie. – Kelner ukłonił się i oddalił w stronę baru.

Malinowski, widząc, że przypadkowo spotkany znajomy kieruje się w jego stronę, wstał, przyglądając poły staroświeckiego surduta.

– Rad jestem pana widzieć, panie Apoloniuszu – zażywny rumiany mężczyzna z widocznymi zakolami rozpostarł ramiona w geście serdecznego powitania.

– Ja także, drogi panie January – odparł Malinowski, podkreślając wąsa. – Zapraszam! Jeśliś pan dzisiaj bez zobowiązań towarzyskich, chętnie ugoszczę. A i porozmawiać będzie miło.

– Z największą przyjemnością.

January Melner miał liczne jatki i zakład mięsno-wędliniarski na Pradze. Ostatnio otworzył kilka sklepów firmowych, głównie po prawej stronie Wisły, ale wiosną tego roku rozpoczął ekspansję na lewobrzeżną, bardziej elegancką część Warszawy. Posiadał sklepik w samym Śródmieściu, nieopodal Marszałkowskiej, a do tego miał stoiska w Hali Mirowskiej i na Koszykach. Apoloniusza doszły słuchy, że przedsiębiorczy masarz kupił już dwie kamienice na praskim brzegu i rozgląda się za kolejną, więc był liczącym się rzemieślnikiem z widokami na awans społeczny.

– Rad jestem tu pana widzieć, panie January – autentycznie uradowany Malinowski ponaglił niecierpliwym gestem dłoni kelnera, idącego w ich stronę z butelką wódki i dwoma kieliszkami. – Zwykle wokół sami wojskowi, aktorzy i ta cała śmietanka towarzyska. Z nikim słowa zamienić – poskarżył się, jakby nie wiedział, że do Victorii nieczęsto zaglądali ludzie spoza elit. On sam bywał tu często, lecz zawsze sam. I to nawet nie dlatego, że miał coś do ukrycia. Wysokie ceny przyprawiły o zawrót głowy, więc obiad dla całej rodziny był wykluczony. Oczywiście na sobie Apoloniusz nie zamierzał oszczędzać, choć doskonale wiedział, że dniówka szwaczek w jego pracowni nie pozwoliłaby nawet na kupno kotleta bez dodatków.

– Nie bywam tu często, właśnie z powodu braku towarzystwa – przyznał Melner. – Lecz trzeba przyznać, że tutejsza kuchnia jest wyśmienita. Dlatego czasem robię wyjątek.

– Tym bardziej jestem rad z naszego przypadkowego spotkania – dodał Apoloniusz i skinieniem głowy odprawił kelnera. Osobiście nalał wódki do kieliszków, po czym jeden wręczył masarzowi.

Mężczyźni znali się słabo. Rok wcześniej przedstawił ich sobie wspólny znajomy, mistrz szewski, i od tamtego czasu, gdy wpadali na siebie w kasynach czy lupanarach, pozdrawiali się uprzejmie, lecz nie wdawali w rozmowy. Tutaj, na obcym gruncie, poczuli się naturalnymi sojusznikami w sali zapełniającej się właśnie gośćmi z socjety.

– I jak szanownemu panu idą interesy? – zagaił Melner.

– Odpukać w niemalowane, bardzo dobrze. Produkcja coraz wyższa, a i sprzedaż coraz bardziej zadowolająca. Znać, że wielki kryzys już za nami. A jak u pana? – zapytał Malinowski, choć z grubsza się orientował w sprawach rozmówcy.

– Kryzys najgorzej za oceanem ludziom dokuczył. Oj dostali Amerykanie w kość. Chociaż pewnie ich bieda to dla nas nieosiągalne bogactwo – roześmiał się January. – A u mnie nawet, nawet, drogi panie Apoloniuszu. Nie można narzekać.

– Słyszałem, że pan kamienicę kupił? – podsunął chytrze Malinowski.

– A i owszem! Dwie! I jeszcze jednej potrzebuję.

– Na cóż panu kolejna? – indagował Malinowski, rad, że jego wiadomości okazały się prawdziwe. – Chcesz pan mieć miasto na własność? – zażartował, próbując zatuszować zbyt wścibskie pytanie.

– Tajemnicy w tym żadnej nie ma, szanowny panie! Ot, dwie córki mam. A wiano w postaci kamienicy powinno im zapewnić zainteresowanie pierwszorzędnym kawalerów. Dla moich dziewcząt tylko to, co najlepsze! Trzecia kamienica zostanie dla mnie i żony.

Malinowski natychmiast pomyślał o Dorotce. Zawstydział się, że nigdy nie pomyślał, by zabezpieczyć dziewczynkę w podobny sposób. Po chwili uznał, że ma jeszcze czas. W końcu jego ulubienica miała dopiero trzynaście lat.

– Pańskie córki mają nadzwyczajnego ojca – skomplementował Melnera.

– Ileż wiosen sobie liczą?

– Starsza siedemnaście, a druga to jeszcze dziecko, ledwie dwanaście skończyła.

– Duża różnica wieku – odruchowo skomentował Apoloniusz, tak naprawdę myśląc wyłącznie o tym, że masarz zapewnia przyszłość tak młodego dziewczęcia.

– Między nimi był jeszcze syn, ale... – Melnerowi załamał się głos. – Ech, napijmy się.

– Serdecznie upraszam wybaczenia, panie January. Nie chciałem być wścibski. Napijmy się!

Wychylili zawartość kieliszków. Chwilę później kelner postawił przed nimi talerze z zamówionymi daniami, a rozmowa w naturalny sposób przeszła na sprawy rzemieślnicze. Przy drugiej butelce wypili bruderszaft,

a Melner ucałował Malinowskiego jak z dubeltówki. Padli sobie w objęcia i pokleпали po plecach. Godzinę później wyszli z restauracji w znakomitej komitywie.

– Drogi January, to był najbardziej udany wieczór, odkąd pamiętam. Ubawiłem się setnie i z przyjemnością to powtórzę – oświadczył uroczyście Malinowski. – Jeśli oczywiście będziesz łaskaw przyjąć zaproszenie.

– Mój drogi Apoloniuszu! Uparłeś się uregulować cały rachunek, więc o żadnym zaproszeniu z twojej strony nie może być mowy, bo teraz ja zapraszam ciebie! Gdzie tylko sobie życzysz. Może pójdziemy do Adrii? – zaproponował Melner.

– Z najwyższą przyjemnością! – rozanielony rzemieślnik serdecznie uściśnął dłoń kompana i odczekawszy, aż tamten wtoczy się do dorożki, poszedł do swojej. Żałował, że nie mogli jechać wspólną, by przedłużyć ten miły wieczór, ale rozjeżdżali się w różnych kierunkach. Apoloniusz wracał na Solec, a January przez most Kierbedzia na Ząbkowską, gdzie mieszkał wraz z rodziną.

Miarowy stukot końskich kopyt prawie uśpił Malinowskiego. Siedział rozparty na wygodnej kanapie dorożki, rozmyślając o inwestycjach Melnera. Na granicy jawy i snu kotłowały się mu w głowie przeróżne pomysły na zabezpieczenie własnej córki, która w jego mniemaniu zasługiwała na co najmniej księcia z bajki. Przelotnie pomyślał o Poldku i nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na miejsce. Stary usiadł prosto i zarechotał triumfalnie. Ożeni chłopaka ze starszą córką rzeźnika! Zdumiony, że wcześniej tak proste rozwiązanie nie zaświtało mu w głowie, zatarł ręce z uciechy.

ROZDZIAŁ 5

Nad Solec nadciągnęła ulewa, kolejna tej jesieni. Pogoda jakby się uparła zatrzeć w ludziach wspomnienie ciepłego, choć niezbyt upalnego lata. Strugi wody zalewały okna pracowni, a wewnątrz pociemniało, jakby już zaczynał się zmrok.

Poldek był wściekły. Od tygodnia myślał, jak tu się urwać z zakładu i spotkać z piękną Heleną, ale ojciec nie odpuszczał mu nawet na chwilę. Od samego rana chłopak musiał towarzyszyć mu w pracowni. A jeśli nie jemu, to majstrowi Blumanowi. Stary Apoloniusz uparł się, że do końca roku jego pierworodny zapozna się dokładnie z każdym procesem trzyfazowego etapu produkcji rękawiczek i wkrótce złoży w cechu rzemieślniczym majstersztyk, czyli własnoręcznie stworzone dzieło rękawicznicze, wystarczające do awansowania na mistrza rzemiosła.

Chłopakowi kompletnie na tym nie zależało. Poruszał się po zakładzie jak automat, nie odnotowując niczego, co ważne w zawodzie. Nie słyszał, co mówili do niego krojczy, bezmyślnie przytakiwał Blumanowi i z głową w chmurach odmierzał czas, kiedy będzie mógł opuścić warsztat.

– Poldek, szmondaku nieszczęsny, tyś się jak nic zakochał! – Majster Mosze z ubolewaniem spojrzął na przypaloną rękawiczkę i jednym ruchem zerwał ją z przegrzanej formy. – Prasować miałeś, a nie puszczać znaki dymne za Wisłę.

Chłopak zbladł. Ojciec nie miał dla niego cienia litości i gdy zmarnował jakikolwiek surowiec, kara była sroga. W najlepszym układzie mógł liczyć na to, że nie dostanie kolacji, w najgorszym, że stary Apoloniusz po raz kolejny odbierze mu przywilej wolnej niedzieli. A to byłoby dla niego kompletną katastrofą. Marzył o kupnie biletów na *Panienkę z poste restante* z Alną Kar. Chciał pobic na Zgodę, żeby zaprosić na seans Helenę. Nie miał pojęcia, w jakich filmach gustuje dziewczyna, więc lekka komedia zdawała się najlepszym wyborem.

– Gdzie tam zaraz zakochał! Co pan, panie majster? – Poldek zbył Blumana.

– Masz tu kolejną parę do naprasowania, a potem kończ i idź na drugie śniadanie. Jak wrócisz, to posadzę cię do rozbijania szwów na płasko po okrętcie. Zaczny ścieg maszynowy, ale szycie pozostaje tak wypukłe, że bez przyklepania pasetą rękawiczek się nijak nie da nosić – wyjaśnił Bluman. – No idź, chłopcze, powietrza zażyj. Zimno wprowadzie i leje jak diabli, ale ty masz młodą, gorącą krew. Albo pogadaj ze szwaczkami, też przerwę mają. Rozerwij się. I o głupotach nie myśl! – Majster poklepał Poldka po ramieniu.

Młody Malinowski nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie. Myślał ze wściekłością o tym, że już nigdy nie pójdzie do szkoły ani nie zrobi niczego sensownego ze swoim życiem. Do końca świata będzie musiał tyrać u ojca od rana do późnego popołudnia. Pomyślał, że jego życie kończy się, zanim na dobre zaczyna.

– O czym kawaler tak rozmyśla?

Poldek zorientował się, że nie wiedząc kiedy wszedł do szwalni i gapi się ponuro w okno. Odwrócił się zawstydzony i ujrzał Michalikównę, jedną ze zdolniejszych szwaczek w pracowni.

– Tajemnica, panno Stasiu! – Choć starał się z siebie wykrzesać choć odrobinę entuzjazmu, by nie wyjść na gbura, wyraźnie mu się nie udało.

– Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać – stropiła się dziewczyna i wykonała ruch, jakby natychmiast chciała odejść.

– To ja przepraszam, nie chciałem być niemiły. To pewnie ta pogoda – tłumaczył się.

– Wiecznie padać nie będzie. O, niechże pan zobaczy, już się przejaśnia.

Poldek zazdrościł dziewczynie tego wiecznego optymizmu. Młodszą z siostr wręcz rozpierała energia. Gdy człowiek był blisko niej, po prostu musiał się zarazić dobrym humorem, a świat stawał się radosny. Skądkolwiek pochodziła Staśka, musiała wieść szczęśliwe życie.

– Najwyższa pora, bo chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza – mruknął pod nosem i wysłał dziewczynie zdawkowy uśmiech. – Do potem, panno Stasiu!

– Do potem, panie Poldku.

Dziewczyna uśmiechnęła się z przymusem, aby nie pokazać zawodu. Musiała w końcu przyznać w duchu, że młody Malinowski traktuje ją jak

powietrze. Może i miło, ponieważ był dobrze wychowanym młodzieńcem, ale z kompletną obojętnością. To bolało. Za każdym razem, gdy go widziała, serce zaczynało szybciej bić, a bolesna tęsknota, żeby go dotknąć, mąciła zmysły. Zawsze wiedziała, że chłopak nie jest dla niej, ale to, co rozum pojmuje, serce zwykle odrzuca.

Stasia nieraz chciała wybić klin klinem, znaleźć sobie porządnego chłopaka, lecz na Czerniakowie trudno o takiego, a poza tym, nawet jeśli się trafił jakiś w miarę przyzwoity, zawsze wypadał blado przy przystojnym, jasnowłosym Poldku. W pracowni narzucał roboczy fartuch, lecz wiedziała, że ubiera się z fasonem. Czasem widywała go, jak przechodził przez podwórko w eleganckich pumpach i skórzanej kurtce lotniczej. Wyglądał pięknie, niczym model z żurnala od Hersego. I był dla niej tak samo niedostępny jak stroje tego salonu mody.

Dziewczyna westchnęła ciężko i wróciła do maszyny. Spojrzała na siostrę pochyloną nad precyzyjnym ścięciem. Pracowała z uwagą nad białymi jagnięcymi rękawiczkami. Łatwo było poplamić jasną skórę, więc Staśka postanowiła Basi nie rozpraszać.

Wróciła myślami do poprzedniego dnia i aż się wzdrygnęła na wspomnienie brata. Czy to możliwe, że naprawdę był mordercą? Stasi nie mieściło się w głowie, że można odebrać komuś życie. Rozmyślała o tym podczas bezsennej nocy na sienniku, przytulając się do boku siostry. W drugim kącie pokoju chrapali w pijackim śnie rodzice. Ich chyba zupełnie to nie obchodziło. A może przez ciągłe picie interesowała ich wyłącznie wódka?

– Nie pracujesz? – zdziwiła się Baśka, rozprostowując plecy. – Przecież nie skończysz na czas.

– To nie skończę! – zirytowała się nagle Stasia. – Nie masz czasem dość tego pustego życia? Nic się nie dzieje, nie mamy żadnych marzeń, a jedyne, co nas zajmuje, to czy da się jakoś przespać, gdy w domu znów będzie pijacka burda, i czy starczy grosza na jedzenie...

– Cicho, nie tutaj – zmięgowała ją siostra. – Czego jak czego, ale pracy bardzo potrzebujemy. Chodź na przerwę. Chyba przestało padać.

Stasia bez protestu wstała z krzesła. Zwykle to ona grała pierwsze skrzypce, lecz tym razem pozwoliła sobą pokierować. Człapała w stronę drzwi z apatycznie zwieszoną głową. Nie zdążyły wyjść przed warsztat, gdy do sióstr dołączyła Hanka mieszkająca na Sielcach, nieopodal Dolnej.

– Co to za miny, jakby pogrzeb był? – parsknęła śmiechem, otulając się szczerzej fartuchem. – A, już wiem, bo pogrzeb akurat będzie!

– O co ci chodzi, Hanka? – zmierzyła ją wzrokiem Stasia, momentalnie odzyskując rezon.

– Słyszałam o Bolku...

– A co takiego słyszałaś? – rozzłościła się dziewczyna.

– Mówią, że...

– A ty taka chętna do plotkowania nagle? To nie wiesz, że spraw z dzielnicy się nie wynosi i przy obcych nie pucuje?

– Zaraz tam przy obcych! – odparła Hanka. – Przecież same tu stoimy, a nawet jeśli, to na Solcu też ludzie z dołu, co nie? Ale ja nie o tym chciałam...

– A o czym? – zapytała cicho Basia, dopiero teraz włączając się do rozmowy.

– Jest zabawa w sobotę w parku Sieleckim, słyszałyście? I zastanawiałam się, czy nie boicie się przyjść.

– A niby dlaczego byśmy się miały bać? Zrobiliśmy coś złego? – zmierzyła ją wzrokiem Staśka.

– No ja nic nie mówię przecież – wycofała się Hanka i w obronnym geście wystawiła przed siebie dłonie, po czym czmychnęła do warsztatu.

– To franca jedna – skomentowała Stasia. – Żeby jej ten jadowity jęzor urwało!

– Ale ma trochę racji. Będziemy trędowate, zobaczysz. Już sama nie wiem, czy twój pomysł, żeby odłożyć na bilety i wyjechać stąd jak najdalej, nie jest najlepszym, co możemy zrobić. – Basia zaczęła przygryzać wargę, jak zawsze gdy się denerwowała.

– Tylko dokąd? – roześmiała się ponuro jej siostra. – Wszędzie w Polsce jest taka sama beznadzieja. Robotnice są kompletnie nic niewarte. Płacą ochłapy i traktują jak psy! Taki świat wielkich panów! Do Ameryki? Zgoda, tam może by nam się udało, ale lata miną, zanim uda się odłożyć na bilety.

– Ale spróbować można. Tylko musimy nieco mniej jeść...

– Już jesteś prawie przezroczyista.

– Nic mi nie będzie – zaprotestowała Basia i jak na zawołanie na jej błądą twarz wypęzły rumieńce, a oczy uciekły w bok.

Stasia podążyła za jej spojrzeniem i w ułamku sekundy zrozumiała, co się święci. Z bramy wychodził Janek Malinowski, z książkami pod pachą

i w szkolnym mundurku. Wyglądał uroczo, świeżo, jak kwintesencja szczęśliwej młodości.

– Zaproś go na zabawę – szepnęła Staśka.

– Chyba na głowę upadłaś! – Basia spojrzała na siostrę ze zgrozą w oczach.

– Cykor! – parsknęła cicho Staśka i w tej samej chwili w jej głowie zaczął się klarować podstępny plan.

Poldek uznał, że jego dzień w pracy dobiegł końca. Nie wrócił z przerwy, na którą wysłał go Bluman, i całkowicie cynicznie wykorzystując fakt, że ojciec gdzieś pojechał w interesach, postanowił wybrać się na węgry. Był niemal pewny, że stary majster go nie wyda. Zresztą tuż przed sezonem zimowym roboty było huk, więc istniała możliwość, że nawet nie zauważy jego nieobecności. Zwłaszcza że – tak uczciwie mówiąc – chłopak bardziej przeszkadzał niż pomagał. A i bez niego Mosze miał co robić.

Przekradłszy się do swojego pokoju, Poldek błyskawicznie pozbył się roboczego stroju, przebrał w najmodniejsze ubranie, dokładnie obwąchując pachy koszuli. Uznał, że wszystko z nią w porządku. Skradając się na palcach obok kuchni, w której trzaskała garami podkuchenna Gienia pod dyktando jego matki, wyszedł pospiesznie z kamienicy. Deszcz przestał padać, a słońce wyglądające coraz śmielej zza chmur przyjemnie grzało.

Chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu, chłopak przeciął rodzinną ulicę i zakradł się na tereny klasztoru Szarytek. Wśród roślinności wiła się wydeptana ścieżka, świadcząca o tym, że wielu ludzi z Powiśla wybierało tę drogę na skróty. Skarpa wiślana wspinała się w tym miejscu ostro w górę, ale Poldek leciał jak na skrzydłach i nawet oddech mu nie przyspieszył. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy zobaczy Helenę. Wprawdzie widzieli się tylko raz, ale intuicja podpowiadała mu, że dziewczyna przyjmie go ciepło. Minął pałacyk i wszedł w Foksal. Krótką uliczkę rok wcześniej przemianowano na Pierackiego od nazwiska ministra, który zginął tu w zamachu z ręki ukraińskiego nacjonalisty. Oczywiście gazety rozpisywały się na ten temat, ale Poldkowi umknęły szczegóły. Niezależnie od prób tłumaczenia pobudek zamachowca, faktem pozostawało, że był mordercą, i to jak dotąd nieuchwytnym. Chłopakowi przemknęła przez

głowę myśl, że musi koniecznie zapytać Helenę, co ona o tym sądzi, lecz niemal natychmiast skupił się na przejściu przez zatłoczony pojazdami Nowy Świat. Zatrzymał się przed podzwaniającym tramwajem jadącym w stronę zbiegu alei 3 Maja z Alejami Jerozolimskimi. Chłopak poszedł w drugą stronę i po kilku minutach marszu dotarł na Zgodę, gdzie mieścił się antykwariat.

Dotąd szedł szybko, lecz teraz zwolnił kroku, aż wreszcie niezdecydowany stanął na chodniku. Opadły go wątpliwości. Co, jeśli Helena nie będzie miała ochoty zamienić z nim nawet słowa? A może w ogóle go nie pamięta, a on tylko się zbłąźni? Czując, że jeszcze chwila, a stchórzy, wziął się w garść, po czym podszedł do drzwi. Uznał, że i tak już narobił sobie kłopotów, wymykając się z pracy, więc trzeba zaryzykować. Najwyżej odejdzie jak niepyszny i będzie w zaciszu jakiegoś baru topić smutki. Odetchnąwszy głęboko, wszedł do środka. Nieco zbiło go z tropu, że za kontuarem stał siwiejący mężczyzna w średnim wieku, a nie Helena, lecz natychmiast zrozumiał, że to jej ojciec i właściciel antykwariatu we własnej osobie, który przywitał go serdecznym uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedział niepewnie Poldek. Niczego więcej nie udało mu się wydusić.

– Dzień dobry młodzieńcze! Serdecznie zapraszam – odparł Józef Małecki. – Nieczęsto tacy młodzi kawalerowie tu zachodzą. Zapraszam. Czego kawaler szuka?

– Ja... właściwie... – Poldkowi wydało się nie na miejscu, by powiedzieć, że szuka jego córki, więc ponownie zamilkł.

– Mam tu coś niezmiernie interesującego – niezrażony antykwariusz wyszedł zza kontuaru.

Podszedł do regału, przysunął twarz do grzbietów książek w odruchu zdradzającym krótkowzroczność i zaczął wodzić po nich palcem.

– Gdzież to było? Niewielka i szczupła książeczka, a taka zajmująca – mamrotał do siebie. – O! Jest! Czytał kawaler? – zapytał, wręczając tomik.

– *Więzień na Marsie* – przeczytał na głos Poldek. – Nie znam! To o kosmosie? – dodał zaintrygowany.

– A i owszem. Wydana prawie trzydzieści lat temu we Francji. W 1911 roku doczekała się pierwszego polskiego przekładu. To właśnie egzemplarz z tego wydania trzymasz w dłoniach – wyjaśnił Małecki.

– Och, musi być bardzo droga – zasepił się Poldek i odruchowo oddał książkę.

– Nie taka droga – roześmiał się antykwariusz. – Nie znajdziesz wielu amatorów podobnie fantastycznych czy nawet niestworzonych opowieści o życiu na Marsie.

– Myśli pan, że tam jest jakaś cywilizacja? – zapytał chłopak, patrząc łakomie na książeczkę.

– Tego nikt nie wie! I być może nigdy się nie dowiemy.

W tej samej chwili zabręczał dzwoneczek przy drzwiach wejściowych i do środka weszła Helena. W dłoniach trzymała szkolną torbę z książkami. Miała nieco potargane włosy i policzki zaróżowione od prędkiego marszu. Na widok chłopaka uśmiechnęła się szeroko.

– Dzień dobry, panno Heleno! – Poldek natychmiast się skłonił, a potem zaczerwienił aż po cebulki włosów.

– Dzień dobry! Widzę, że już pan poznał tatusia...

Zmieszany młodzieniec natychmiast odwrócił się w stronę mężczyzny.

– Szanowny pan wybaczy, Poldek Malinowski, do usług – rzucił pospiesznie. Z ulgą zauważył, że antykwariusz uśmiecha się domyślnie.

– Józef Małecki, ojciec Heleny. – Mężczyzna mocno uściśnął dłoń Poldka. – Nie przypuszczałem, że przybył pan w odwiedziny. Proszę wybaczyć mój przydługi wywód literacki...

– To było bardzo ciekawe – gorąco zaprzeczył chłopak. – I nalegam, żeby szanowny pan zechciał się do mnie zwracać po imieniu.

Małecki przytaknął, po czym usprawiedliwiwszy się, że musi coś znaleźć, wyszedł na zaplecze.

– Czemu więc zawdzięczam to miłe spotkanie? – zagaiła Helena.

Poldek skupił się na dziewczynie, na jej słodkim, zalotnym głosie i w jednej chwili na myśl przyszła mu wielka aktorka Jadwiga Smosarska. Wprawdzie Hela była dużo ładniejsza, miała zupełnie inną fryzurę, ale jeśliby ktoś ją zauważył, z pewnością zrobiłaby jeszcze większą karierę. Chłopak był zapalonym miłośnikiem kina i urodę zdolną uwodzić kamery widział jak na dłoni. Zamrugął, próbując powrócić do rzeczywistości.

– Wspominała panna, że porozmawiamy o ważkich sprawach, więc stawiam się na spotkanie i przy okazji cieszę się, że widzę pannę Helę w zdrowiu – wyrecytował poważnie.

– Ach tak! To miłe – dziewczyna roześmiała się serdecznie, po czym weszła za kontuar. Z hurgotem otworzyła szufladę, chwilę w niej czegoś szukała i w końcu wyjęła pudełko z papierosami. – Zapalimy? – zapytała niewinnym głosem, spoglądając na Poldka spod teatralnie trzepoczących rzęs.

– Nie przystoi, żeby... – młody Malinowski miał na tyle rozumu, żeby nie dokończyć. – Pani jest...

– Inna niż takie, które szanowny pan sobie wyobrażał? Myśląca? A może taka, która nie potrzebuje mężczyzny, żeby jej mówił, co ma robić i myśleć? Skąd pomysł, że pan ot tak może sobie wejść do mojego antykwariatu i strofować mnie w jakiegokolwiek sprawie? – Helena przypaliła papierosa, a zapalkę cisnęła do popielniczki.

– Panno Heleno, nie miałem zamiaru pani obrazić...

– Nie chciał pan! Oczywiście. Żaden z was nie chce, tylko dlaczego każdą napotkaną pannę próbujecie strofować? Mitygować? Ustawiać do pionu? Albo zwyczajnie pouczać? Mówi pan, że coś mi nie przystoi? Skąd pan wie, że nie? I co więcej, skąd pomysł, że ma pan prawo o tym decydować? Albo mi to ogłaszać?

– Właściwie to ja chciałem tylko powiedzieć...

– Niech pan nie kończy, panie Poldku! – rozsierdzona dziewczyna spojrzała zabójczym wzrokiem na chłopaka.

– Ja chciałem tylko powiedzieć, że ma pani rację i pokornie przepraszam za impertynencję, ale...

– Ale co?

– Papierki w popielniczce się zajęły i zaraz będzie śmierdziało dymem...

Hela, zdradzając kompletny brak wprawy w paleniu, pobiegła na zaplecze, zgasła płonące papiery w ubikacji i bez namysłu dorzuciła papierosa, który zdążył sparzyć jej palce. Spuściła wodę, rumieniąc się ze wstydu na myśl, że wybrała najgorszy z możliwych sposób, żeby imponować dorosłością. Wzięła dwa wdechy, poprawiła włosy.

– Więc jest pan ciekaw, jak spędzam popołudnia? – zapytała, wróciwszy na front sklepu.

– Właściwie tak. Oczywiście jeśli nie obdziera pani pokojowo nastawionych mężczyzn ze skóry w bocznej uliczce, jestem skłonny zaryzykować – zażartował, jak gdyby nic się nie stało.

Helena zirytowała się w pierwszej chwili, ale widząc rozjaśnione uśmiechem niebieskie oczy Poldka, szybko zrozumiała, że kpina w gruncie rzeczy jest fajką pokoju. Chłopak coraz bardziej jej się podobał i choć wmawiała sobie, że szeroki zgrabny tors, jasne, niesforne włosy i nienaganna sylwetka nie mają nic wspólnego z jej afektem, wkrótce musiała przyznać, że po prostu próbuje oszukać samą siebie.

Obydwoje odstawali od ogólnie przyjętych standardów mody i młodzieńczego piękna. Ona z tym swoim czarnym warkoczem zamiast tlenionych blond loków ułożonych nad czołem i on z jasnymi kędziorami zamiast zaczesanych na brylantynę pociemnionych włosów. Tylko że to było stanowczo za mało. Helena zbyt wiele rozumiała, żeby rzucić się w ramiona pierwszego przystojnego chłopaka, który zawrócił jej w głowie. Jednak dlaczego jej serce mówiło coś innego?

Przy Konradzie Wernerze zachowywała rozsądek, a przy Poldku drżały jej kolana. Jednocześnie coś kazało cały czas się z nim droczyć i forsować własne zdanie. Z drugiej strony niczym strwożona gołębica obserwowała jego gestykulację, prawie nie oddychając w chwilach, gdy zdawało jej się, że jego dłoń dotknie jej choćby zdawkowym gestem. Ale oczywiście nic takiego nie nastąpiło.

– Przejdziemy się na spacer? – zapytała nie swoim głosem.

– Z najwyższą rozkoszą – odparł egzaltowanie i wbił spojrzenie w dziewczynę.

– Chodźmy więc! – odparła i nie oglądając się na niego, wyszła z antykwariatu na brukowaną uliczkę. – Pójdźmy do mojej ciotki. Ma pan coś przeciwko?

– Nigdy w życiu – odparł. – Chyba że ciotka jest smoczyką pożerającą ubogich rękawiczników z Solca.

– Nie pożera! Robi pan rękawiczki? – zainteresowała się Hela. – To chyba niełatwy fach?

– Pewnie nie, ale znacznie trudniejsze jest życie z moim ojcem. – Poldek skrzywił się komicznie.

– Jak z każdym ojcem – przewróciła oczami dziewczyna. – Chociaż mój to akurat pocziwina. Ale ja poważnie pytam! To musi być interesujący zawód. Gdy patrzy się na elegantki, aż zatyka z wrażenia, jakie piękne noszą rękawiczki.

– Pewnie tak, ale mnie to kompletnie nie interesuje – odparł z rozbijającą szczerością. – Kim jest pani ciotka? – odbił piłeczkę.

Helena stanęła, nie bacząc na mknące tuż obok samochody, i zaśmiała się serdecznie. Przerzuciła warkocz na pierś, poprawiła kapelusz.

– Był pan kiedyś w dzielnicy północnej?

– W żydowskiej? Nie miałem okazji! – przyznał. – Ale jestem przekonany, że wygląda tak samo jak nasza część miasta.

– Nasza?

– Znaczą pani, moja...

– Panie Poldku, sądziłam, że z pana bardziej rozgarnięty kawaler! – droczyła się Hela i pobiegła przodem. Dzień był pogodny, słońce przeświecało przez korony pożółkłych drzew. Roześmiana dziewczyna obróciła się kilka razy, po czym zatrzymała się i spojrzała poważnie w oczy chłopaka. – Oni, jak pan raczył zauważyć, są też mną. Nie ma czegoś takiego jak oni i my. Jest jedno miasto i jego mieszkańcy. Rozumie pan?

– Rozumiem – odparł machinalnie Poldek, z zachwytem wpatrując się w błyszczące oczy dziewczyny, jej rozchełstany popielaty płaszcz i czarne włosy, na które opadały liście.

– Pan nadal nie rozumie!

– Czego? – zbaraniał.

– Jestem Żydówką, przynajmniej w połowie – wyznała.

– Zupełnie mi to nie przeszkadza! – oświadczył gorliwie Poldek.

– I to jest właśnie kwintesencja naszego polskiego spojrzenia na świat – roześmiała się. – Pan zapewnia, że mu to nie przeszkadza, jakby domyślnie innym miało przeszkadzać! Tak jakby z tym, że ktoś ma żydowskie pochodzenie, trzeba się było pogodzić.

– Nie miałem niczego takiego na myśli – stropił się. – Jeśli czymkolwiek pannie uchybiłem, od razu przepraszam!

– Przecież ja się wcale nie gniewam – odparła łagodnie. – Widzę, że z pana porządny człowiek.

Szli w milczeniu przez plac Grzybowski. Pierwsza przerwała ciszę Helena.

– Moja ciotka handluje na Kercelaku. Naprawdę nigdy pan nie był w tej okolicy?

– Nie, choć oczywiście o najśłynniejszym targowisku słyszałem. Ale zawsze jakoś bardziej po drodze mi było do Różyckiego.

– Tam z kolei ja nigdy nie byłam!

– Mogę panią kiedyś zabrać... Chociaż, jeśli mam być szczery, panno Heleno, najchętniej to bym panią do kina zaprosił. Może pójdziemy w tę niedzielę?

– Kiedy ja pana chciałam na wiec PPS-u zabrać! Zaraz po kościele!

Poldek zagryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Socjalistyczne konszachty z robotnikami, ale najpierw msza? I jak to się miało do żydowskich korzeni? Ta dziewczyna stanowiła nieprawdopodobną wręcz mieszankę. Tak jakby stanęła mu na drodze, żeby obalić za jednym zamachem całą jego wiedzę o świecie.

Bazar na placu Kercelego nie różnił się od innych tego typu targowisk. Niskie drewniane budy ciągnęły się w szeregiach, a pomiędzy nimi wiodły wąskie przejścia. Na obrzeżach sprzedawcy wykładali towary na niskich stolikach bądź kamiennych murkach, a pomiędzy tym wszystkim przechadzali się handlarze naręczni. Obok stoisk kręciło się sporo kupujących, a gdzieś tam widziało się wyrostków bacznie obserwujących okolice. Dla Poldka był to sygnał, żeby dobrze pilnować portfela.

Wbrew wcześniejszemu wyobrażeniu Poldka, ciotka Heleny okazała się przyzwoicie, by nie powiedzieć ładnie ubraną kobietą, kompletnie niewyglądającą na bazarową przekupę. Chłopak sądził, że znajda ją na jakimś straganie z serami czy warzywami, tymczasem ona siedziała w barze i przeliczała pieniądze. Część schowała za pazuchę, a kilka banknotów złożyła na pół i podała młodemu chłopakowi czekającemu cierpliwie po drugiej stronie stolika.

– Smarkacz zanieś pieniądze Tacie Tasiemce – szepnęła cicho Hela. – Każdy na Kercelaku musi mu oddać dołą, inaczej nie miałby życia.

Poldek zrozumiał, że ów Tata Tasiemka musi być szefem tutejszych bandziorów. O więcej nie zamierzał pytać. Kłopotów nie szukał.

– Hela, dziecko, jak cię dobrze widzieć! – Ciotka Sara rozjaśniła się na widok dziewczyny i nie wstając z krzesła, wyciągnęła do niej rękę.

– Dzień dobry, ciociu! Poznaj mojego kolegę, pana Malinowskiego. – Dziewczyna dokonała prezentacji.

– Moje uszanowanie! – Poldek zdjął kaszkiet i się uklonił.

– Siadajcie kochani, zjecie coś – zarządziła Sara Gutman.

Poldek podsunął Heli krzesło, po czym przycupnął na kolejnym.

– Na co masz ochotę, kawalerze? – zapytała ciotka.

– Serdecznie dziękuję, ale... ale nie jestem głodny – odparł, w panice próbując sobie przypomnieć, ile ma przy sobie pieniędzy.

– Co za bzdura, miły chłopcze – zbyła go kobieta, w jednej chwili domyślając się powodu odmowy. – Młodzi zawsze są głodni. Na koszt zakładu. A że zakład jest mój, więc czuj się jak na rodzinnym obiedzie. – Sarze nie umknęło, że Hela się zaczerwieniła. To wystarczyło, żeby pojęła, że coś między tymi dwojgiem jest na rzeczy. – Agata! – krzyknęła w stronę zaplecza.

– Słucham, pani Gutmanowa? – zza szarej zasłonki wyłoniła się rumiana twarz.

– Podaj porcję flaków! – zarządziła. – Lubisz? – zreflektowała się gospodyni, zwracając się do chłopaka.

– Oczywiście – odparł.

– A co dla ciebie, Helu? – zapytała Sara.

– Ja też poproszę flaki!

Poldek dyskretnie rozglądał się po wnętrzu. Lokal wyglądał skromnie, lecz czysto. Wprawdzie trudno było się doszukać jakichkolwiek ozdób czy choćby obrusów na drewnianych stolikach, ale sprawiał dobre wrażenie. Zapachy napływające zza zasłonki też zachęcały. Jeśli Poldek spodziewał się odnaleźć jakieś charakterystyczne żydowskie akcenty, z punktu się poddał. Zresztą ciotka Heleny skutecznie odwróciła jego uwagę pytaniami o to, gdzie mieszka i co robi, a czyniła to z takim wdziękiem, że nawet nie odczuł skrępowania i po chwili opowiadał jak najęty.

Godzinę później, pożegnawszy się, ruszyli w drogę powrotną.

– Ma pani bardzo miłą ciotkę. Flaki też podaje pierwszorzędne, choć trochę inne, niż zwykłem jadać. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy flaki są kosztowną potrawą? – zagaił Poldek.

– Oczywiście, że są, jednakże pod warunkiem, że zachowa się odpowiednie zasady przygotowania. Przede wszystkim nie wolno łączyć mięsa z mlekiem lub jego przetworami. Co pan zwykle ma we flakach po warszawsku? – zapytała.

– Na przykład klopsiki. Tu ich nie było – odparł.

– To też, ale to już wynika z przepisu na flaczki po żydowsku, które za to mają mnóstwo czosnku i papryki. Ale chodzi o parmezan. Zapiekanie pod

parmezanem to specjalność warszawska. Żeby było koszernie, żadnego sera być nie może.

– I dlatego pani ciotka go nie dodaje?

– Wątpię – parsknęła śmiechem. – Ciocia jest bardzo praktyczna, a parmezan bardzo drogi. Nie sądzę, żeby przykładała specjalną wagę do koszerności. No, chyba że w domu... – Helena urwała raptownie.

– Rozumiem – powiedział ostrożnie Poldek. Dziewczyna nie chciała o czymś mówić, a on nie zamierzał pytać. – Odprowadzę panią.

Wkrótce stanęli przed drzwiami antykwariatu. Obydwoje zegnali się z ociąganiem.

– Zatem, panie Poldku...

– Zatem widzimy się w niedzielę? – zapytał z nadzieją.

– Spotkajmy się pod bombą w południe, dobrze?

– Oczywiście. Do zobaczenia.

Poldek uchylił czapki i niechętnie ruszył w swoją stronę.

– Niech kawaler zaczeka! – dobiegł go zza pleców głos ojca Heleny, więc natychmiast się odwrócił. – Proszę. – Małecki wręczył mu książeczkę *Więzień na Marsie*. – Odda kawaler, gdy przeczyta.

– Ależ ja nie mogę tak po prostu...

– Podejrzewam, że będzie kawaler tu częściej zachodził? – zapytał chytrze antykwariusz.

– Z całą pewnością – wydukał Poldek. – Oczywiście jeśli szanownemu panu to nie wadzi.

– Nie wadzi, nie wadzi – odparł ojciec Heleny i poklepał chłopaka po ramieniu.

– Zatem dziękuję bardzo za użyczenie książki i obiecuję strzec jej jak oka w głowie, a gdy tylko przeczytam, w te pędy ją odniosę!

– Dobrze już, dobrze – uśmiechnął się pobłaźliwie Małecki i wykonawszy nieokreślony ruch dłonią, wrócił do środka.

Poldek po raz ostatni ukłonił się Helenie i ruszył dziarsko w stronę Solca. Dopiero teraz, gdy zaczął zbliżać się wieczór, chłopak oprzytomniał. Zaczął się zastanawiać, czy ojciec już wrócił do domu, a Mosze Bluman zauważył nieobecność podopiecznego.

– Warto było – mruknął do siebie Poldek i prześlizgując się niebezpiecznie blisko jadącego tramwaju, pobiegł zaułkami w stronę opadającej ku Wiśle skarpie.

ROZDZIAŁ 6

Stasia podniosła się z pryczy, na której spała wraz z siostrą, i omiotła spojrzeniem pokój. Nie od dzisiaj wiedziała, że mieszka w melinie, ale ten poranek sprawił, że zaczęła sobie zadawać pytanie, dlaczego właśnie ona musi znosić to całe gównno, w którym przyszło jej żyć. Kraj niby zapewnił jej szkołę powszechną, potem pracę, jeśli zgadzała się na żebraczą pensję u Malinowskiego, ale kim była naprawdę? Wyciągnęła spod siennika jedyną wyjściową sukienkę, jaką posiadała. Uszyła ją za połowę pensji z grudnia zeszłego roku i dotąd nie miała okazji założyć. Druga połowa tamtej wypłaty poszła na identyczną sukienkę dla Basi. Gdy Staśka przypominała sobie pełne wzruszenia, a jednocześnie niedowierzania oczy siostry, z punktu stwierdzała, że warto było znosić upokorzenia i połajanki starej Dubieckiej. Sprzątała u niej po szkole, żeby cokolwiek odłożyć. Stare babsko wykorzystywało ją, jak tylko można, a jeszcze na koniec nie chciało zapłacić. Wtedy, po raz pierwszy i zarazem ostatni, przydał się Bolek. Poszedł z siostrą, postraszył Dubiecką, aż się kobieta zaczęła trząść i pomstować na czym świat stoi. Ale zapłaciła. Bolek przymówił się o parę groszy na piwo za fatygę, więc Staśka dała mu aż dwa złote, żeby się odczepił, a sama pobiegła prosto do krawcowej, wybrała piękny kwiecisty materiał, zapłaciła z góry za całe zlecenie, bojąc się, żeby jej ktoś w domu nie okradł z pieniędzy. A do starej Dubieckiej nigdy już nie poszła.

W czerwcu, gdy skończyły szkołę, trafiły do terminu u pana Malinowskiego. Minęły trzy miesiące, pracodawca płacił marnie, lecz przynajmniej nie oszukiwał, a Stasia nie zamieniłaby tej pracy na żadną inną, ponieważ nigdzie indziej nie mogłaby widywać Poldka. Na wspomnienie chłopaka z jej piersi wyrwało się przeciągłe westchnienie.

Podczas bezsennych nocy leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemny sufit, i układała w głowie historię, jak to wszyscy czworo, czyli ona, Poldek, Basia i Janek, uciekają na statek i płyną do dalekiej Ameryki, żeby tam żyć długo i szczęśliwie. I choć dziewczyna wiedziała, że to durna

mrzonka, zacięła się w uporze, że choćby po trupach, ale uzbiera pieniądze na bilet. Tak jak na kwieciste sukienki. Stasia przytuliła materiał do twarzy, po czym złożyła go starannie i schowała głęboko pod siennik. Tam matka nigdy nie zaglądała, nie sprzątała izby od dawna. Ojcu to do głowy nie przyjdzie, a ostatni z braci musiał uciekać z rodzinnego domu, więc niczego jej już nie ukradnie. Natomiast sukienki przydadzą się jak nigdy wcześniej. Stasia była zdecydowana, że wymyśli jakiś podstęp, żeby zwabić braci Malinowskich na sobotnią zabawę.

– Basiu, Basiu! – Potrząsnęła siostrę delikatnie za ramię.

– Mhm...

– Wstawaj, do roboty idziemy.

– Jeszcze chwileczkę – wymamrotała Baśka, wtulając twarz w zagięcie łokcia.

Wyglądała przy tym tak rozbrajająco i dziecinnie, że siostra pogłaskała ją odruchowo po włosach, tak jak to miały w zwyczaju robić, gdy się nawzajem podtrzymywały na duchu, będąc małymi dziewczynkami.

Stasia nie miała zbyt wielu szczęśliwych wspomnień z dzieciństwa. Może oprócz jednego, czyli wakacji spędzanych na koloniach organizowanych przez harcerstwo, do którego obie z Basią krótko należały. Tylko dzięki temu obydwie wyjechały poza Warszawę i zobaczyły prawdziwe jezioro otoczone szumiącym lasem. Dziewczyna nawet nie pamiętała nazwy tego miejsca, jedynie to, że jechali krótko kolejką jabłonowską ze stacji Most na brzegu praskim.

Westchnąwszy ponownie, Stasia machnęła ręką na siostrę. Poszła za wiszący na sznurku kawałek szmaty, do miednicy udającej łazienkę. Umyła się pośpiesznie, po czym zlała pomyje do wiadra. Przygotowała czystą wodę, żeby siostra mogła jeszcze chwilę dospać, ubrała się pośpiesznie i poszła brutalnie zedrzyć kołdrę z Baśki. To było jedynym pewnym sposobem, żeby ją obudzić. Usypiała zawsze bez trudu, a potem spała snem sprawiedliwego. Cierpiąca na chroniczną bezsenność Stasia ogromnie jej tej umiejętności zazdrościła.

Dzień zapowiadał się pogodny, choć na razie było jeszcze zimno. Różnice temperatur pomiędzy nocą a dniem w drugiej połowie września były spore, więc tuż po siódmej rano szadz pokrywała pobliską łąkę, gdy wędrowały wzdłuż Czerniakowskiej w stronę Solca.

– Myślisz o Bolku? – zapytała Stasia.

Basia zmieszała się. Kompletnie wyrzuciła brata z głowy, wciąż obsesyjnie myśląc o Janku Malinowskim. Rzuciła spojrzenie na mijany wyszynk Matysiaka, w którym Bolek rzekomo zamordował jednego z Prusickich.

Od kilku dni Czerniaków nie plotkował o niczym innym, więc i do uszu siostr doszło co nieco. Łącznie z tym, że pozostali przy życiu trzej bracia nieboszczyka szykują się do zemsty na Bolku. Natomiast Basia nie miała złudzeń – niezależnie od tego, czy winny, czy nie, chłopak już dawno zwiął z Warszawy, gdzie się przyczaił i czeka na rozwój sytuacji.

– Trochę tak – skłamała Basia. – Ale bardziej o tym, żebyśmy zdążyły na czas do pracy, a po drodze zdążyły kupić coś do jedzenia. – Szczupła aż do przesady dziewczyna wiedziała, że choć obie z siostrą mają spory trening w głodowaniu, jeść trzeba, żeby nie wpędzić się w jakąś chorobę.

Zdobywanie pożywienia stanowiło od zawsze ich największą troskę. Próbowaly nawet uprawiać nieco warzyw w kącie podwórza, lecz mijało się to z celem. Czego nie obsikali pijacy, matka zamieniała na bimber. Zżymając się w duchu na swoją niewydarzoną rodzinę, Basia nieznacznie przyspieszyła i jako pierwsza weszła do sklepu spożywczego.

– Mogłabym ciągle jeść – przyznała Staśka, wkładając do ust kawałek bułki. – Nie uważasz, że to najprzyjemniejsze zajęcie na świecie?

Basia roześmiała się, lecz w głębi ducha myślała to samo. Ciągłe wyrzeczenia w obydwu rozbudziły wieczną tęsknotę za treściwym jedzeniem.

– Chodźmy lepiej – odparła. – Jeśli chcesz, możemy dzisiaj przejść koło gimnazjum Batorego i kolonii profesorskiej.

– Nie wiem tylko po co – odburknęła Stasia. – Chyba żeby sobie przypomnieć, że dziewczyn do tej szkoły nigdy nie przyjmą, a takiego pięknego domu jak profesorowie też się nie dorobimy.

Siostra nic na to nie odpowiedziała. Staśka miała rację. Jakkolwiek próbowały się pocieszać, zaczepiać myśli na czymś przyjemnym, zawsze natrafiały na mur beznadziei i braku perspektyw. Może i rząd uprawiał propagandę sukcesu, a nawet odtrąbił zwycięstwo w walce z analfabetyzmem, lecz robotnicy nadal nie mogli liczyć na poprawę warunków życia. To, co tak pięknie wyglądało na filmach, owszem – było bardzo piękne, lecz dostępne dla wąskiej, uprzywilejowanej grupy ludzi. Widywały ich nieraz, gdy mijały korty tenisowe. Ubrani w letnie garnitury

przystojni panowie, śmiejące się beztrosko panny w białych bluzkach i spódnicach do połowy łydki. Kiedyś nawet podejrzały przez pręty mistrzynię Jadwigę Jędrzejowską. Słusznej postury, z gładko spiętymi włosami rozprawiała się z każdym przeciwnikiem, nie mając sobie równych.

Czasem w niedzielę siostry szły pospacerować Marszałkowską czy Nowym Światem aż do Krakowskiego Przedmieścia. Podglądały piękne samochody, ładnie ubrane dziewczęta jedzące lody w kawiarnianych ogródkach. Cudowny świat, który choć na wyciągnięcie ręki, znajdował się poza ich zasięgiem. Z czasem zamiast się frustrować, obierały za cel niedzielnych spacerów swoją własną dzielnicę. Wędrowały za Czerniaków nad tamtejsze jezioro otoczone malowniczymi nadwiślańskimi łąkami albo na którąś z dzikich plaż na Siekierkach.

Latem, gdy wracały z pracy, zaglądały czasem do Yacht-Klubu na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Tamtejszy port przywodził na myśl inny, lepszy świat, wywołujący tęsknoty, więc i to miejsce nauczyły się omijać. Na modną plażę braci Kozłowskich nie chodziły z prozaicznego powodu – należało wykupić bilet wstępu za pięćdziesiąt groszy. Właśnie dlatego wołały dziką plażę na Siekierkach.

– Ja wiem, że nieco nadkładamy drogi – marudziła Basia – ale mnie już chodzenie przez Czerniakowską tak zbrzydło! Codziennie to samo.

– No to chodźmy, na szczęście wyszliśmy z domu wcześniej niż zwykle – uległa Staśka. – Ale idziemy tylko przez Rozbrat obok gimnazjum Batorego i zaraz skręcamy w stronę Solca. Nie chcemy się spóźnić do roboty, prawda?

– Nie chcemy.

– Myślałaś już, kiedy zaprosisz Janka Malinowskiego na zabawę? – podsunęła niewinnie Stasia.

– Nie ma mowy, żebym to zrobiła! Prędzej bym się ze wstydu pod ziemię zapadła. Głos przez gardło by nie przeszedł. A poza tym co Malinowski miałby robić w tym naszym pozał się Boże sąsiedztwie?

– A co on, z lepszej gliny? Przecież to żadna arystokracja, zwykli ludzie jak my, tylko pieniądze mają – mruknęła Stasia, ale wątku nie ciągnęła. Wiedziała, kiedy odpuścić. Kiedy Basia stanowczo mówiła „nie”, dalsze przekonywanie miało się z celem. Chociaż siostra miała łagodny charakter, czasami stawiała się uparta jak osioł. Staśka uznała, że jedynie podstępem

coś tu może zaradzić. – Zobacz, już się cieplej robi – zgrabnie zmieniła temat.

– Ciepłej – potwierdziła odruchowo Basia, lecz widać było, że jej myśli krążą gdzie indziej.

Dalszą część trasy pokonały w milczeniu. Minęły stadion Legii i odkryty basen rozciągający się po lewej stronie. Zamyślona Baśka wyszła na ruchliwe skrzyżowanie tuż przed gimnazjum Batorego.

– Uważaj! – krzyk Staśki zbiegł się z piskiem hamulców.

– Oczu panna nie ma? – wrzasnął kierowca czerwonego samochodu.

– Widać, że wieśniaczka jakaś – zawtórował mu jasnowłosy, młody chłopak rozparty na siedzeniu pasażera.

– Zamknij się, Ignas, bo w łeb strzelę – warknął na niego kierowca. Zjechał do krawężnika i wysiadł z maszyny. – Nic pannie nie jest? – zapytał Basię znacznie łagodniej.

Dziewczyna potrząsnęła głową, ale było widać, że drży na całym ciele i bardzo pobladła.

– Musi pan tak pędzić? Wyścig jakiś jest w Warszawie, o którym prasa nie informowała? – Stasia spojrzała na mężczyznę z wyrzutem.

– Nie jechałem szybko – zaprotestował. – To pani koleżanka weszła mi prosto pod koła.

– Siostra – sprostowała machinalnie, otaczając Basię opiekuńczo ramieniem.

– Może do szpitala trzeba? – zatroszczył się kierowca.

– Ja pana skądś chyba znam! – Stasia dopiero teraz spojrzała na niego uważniej.

– Możliwe – odparł z roztargnieniem, bacznie patrząc na Basię. – Nie chce pani do szpitala jechać? – zapytał ponownie.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Konrad, nie wygłupiaj się! – arogancki młodzik z samochodu postanowił przypomnieć o swoim istnieniu. – Przecież się do gimnazjum spóźnię! – uniósł się na siedzeniu i dopiero teraz dało się zauważyć, że jest ubrany w szkolny mundurek.

– To się rusz, wałkoniu, tuż obok jesteś! – warknął na niego mężczyzna, nie odwracając się w jego stronę.

Chłopak prychnął coś pogardliwie pod nosem, ale posłusznie chwycił tornister i ruszył w stronę gmachu za żeliwnym ogrodzeniem.

– Jeśli panna nie chce do szpitala, podwiozę obie panie tam, dokąd zmierzacie – powiedział Konrad i dopiero ta kwestia przypomniła mu, że ledwie kilka dni temu w podobny sposób prawie rozjechał pannę Hełę, po czym zaproponował odwiezienie w wybrane miejsce. W jednej chwili poczuł wyrzuty sumienia i zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy może rzeczywiście nie zachowuje się jak drogowy rozbójnik.

– Dziękujemy, nie trzeba. Nic się nie stało – Basia w końcu się odezwała.

– Już wiem! Pan jest tym aktorem! Konrad Werner! – skojarzyła Staśka.

– Do usług, panno...

– ...Stasiu. A to moja siostra Basia.

– Bardzo panie do siebie podobne. Wybaczcie okropne zachowanie mojego nieopierzonego brata. Młode to i porywcze. Co oczywiście go nie usprawiedliwia.

– Widać, że paniczyk i klasą robotniczą pogardza. – Stasia nie wiedziała, po co prowokuje mężczyznę. Najchętniej cofnęłaby własne słowa, lecz na to było już za późno. Spłonęła rumieńcem i odchrząknęła z zakłopotaniem. Wbrew jej oczekiwaniom sławny aktor nie zirytował się, za to ryknął śmiechem.

– Lepiej bym tego nie ujął! Właściwie powinienem mu życzyć, żeby ktoś mu tego pańskiego karku nagiął, ale to jednak brat. Tylko niestety nie rozumie, że jego uprzywilejowane życie to zwykłe zrządzanie losu, a nie coś, na co sobie zasłużył. Ale może kiedyś mu przybędzie rozumu.

– Być może – wtrąciła Basia. – A tymczasem tu się z panem pożegnamy, ponieważ jeszcze chwila i spóznimy się do pracy. Idziemy! Do widzenia panu!

Stasia próbowała zaprotestować, lecz jej siostra już ruszyła przed siebie, więc tylko obrzuciła go pełnym żalu spojrzeniem i ruszyła w drogę.

– Na pewno nie trzeba podwieźć...? – krzyknął za nimi Konrad.

– Nie trzeba! – ucięła Baśka.

Werner chwilę patrzył za nimi, po czym wsiadł do samochodu. Ruszył, starając się tym razem utrzymać przepisową prędkość. Jechał w stronę Yacht-Klubu, w którym umówił się na wczesne śniadanie z dawnym szkolnym kolegą, a obecnie potentatem przemysłowym. Istniała spora szansa, że tamten będzie zainteresowany zainwestowaniem w najnowszą produkcję filmową z udziałem Konrada.

Pomyślał o swoim przyrodnim bracie Ignacym. Miał szesnaście lat, gwałtowny charakter i przekonanie, że odgadł wszystkie tajemnice świata, a także zna receptę na jego bolączki. Gdyby chodziło wyłącznie o to, Konrad pewnie wrzuciłby ramionami, lecz oprócz właściwej wiekowi arogancji chłopak przejawiał ogromne przywiązanie do władz sanacyjnych, zupełnie nie pojmując, że dzieciaki są zbyt naiwne, by rozumieć wielką politykę i jej bezwzględny cynizm. Ignaś ślepo wierzył w słowa rządzących i bezrefleksyjnie przyswajał propagandę. Niewątpliwie sporo było w tym winy ich ojca, który jakby nie zauważając pełzających zmian ustrojowych, pchał Ignasia do harcerstwa, szkół będących kuźnią prawicowych patriotów i oczywiście do Kościoła, co wpisywało się w rodzinną tradycję arystokratycznego domu.

Konrad to rozumiał i sam był gorącym patriotą. Bez wahania poświęciłby dla kraju życie, nie splamiłby honoru zdradą i podpisywał się pod hasłem „Bóg, honor ojczyzna”. Tyle tylko, że ostatnio te wszystkie wartości jakby zmieniały swoje znaczenie w życiu społecznym. Między ludźmi zarysowywało się coraz więcej podziałów, a rzeczy, które Konrad kiedyś uznawał za proste i oczywiste, wcale takimi nie były.

Choćby ów patriotyzm – z gruntu szczere uczucie, wydawałoby się szlachetne i niepodlegające dyskusji. A jednak propaganda rządowa wykorzystwała owe porywy gorących serc, by zapalać młode umysły, a później je prać na kolejnych obozach, koloniach, lekcjach szkolnych. Zmiany postępowały prawie niedostrzegalnie, lecz Konrad miał pewność, że kolejne roczniki młodzieży były wychowywane na mięso armatnie, które z romantyzmem w sercu i entuzjazmem w głowach pobiegnie wojować za sprawy, których nawet nie będzie do końca rozumieć. A to wszystko w otoczce kultu świętej pamięci Marszałka, który z miłującego Polskę patrioty awansował do figury świętego. Nie można się było nigdzie ruszyć, żeby nie znaleźć szkoły imienia Piłsudskiego, placu, skweru, statku, domu czy parku. Brakowało tylko, żeby ogarnięty manią wielkości polski rząd wydobył Marszałka z krypty wawelskiej, zmumifikował niczym ruscy Lenina i obwoził jak kukłę po jarmarkach.

Werner zmitygował się w myślach. Jeszcze trochę i sam sprzeniewierzy się własnym wartościom. Cóż jednak, jeśli owe wartości po majowej śmierci Piłsudskiego gwałtownie się dewaluowały? Czy to świat się zmienił, czy on dojrzał?

Z drugiej strony cóż otoczona coraz groźniejszymi sąsiadami Polska mogła uczynić oprócz przygotowywania się do potencjalnej wojny?

Konrad westchnął ciężko, zaparkował przed klubem i poszedł oddać się temu, co wychodziło mu najlepiej, czyli wesołemu życiu towarzyskiemu.

WSPÓŁCZEŚNIE

Julia nie była w mieszkaniu dziadka od bardzo dawna, lecz gdy tylko weszła do środka, w nozdrza uderzył ją znajomy zapach. Mieszanka starego dymu, zleżałych wyrobów skórzanych i kurzu. O dziwo, nie była to przykra woń, a jednocześnie kojarzyła się z czymś dawnym, już zapomnianym, lecz miłym i szczęśliwym.

Salon szczelnie wypełniały regały z książkami. Beżowa kanapa z pewnością pamiętała lata dziewięćdziesiąte, podobnie stół, na którym rozpięta była płaska wprawdzie, ale już nie najnowszy telewizor. Obok niego stały w ramkach stare fotografie. Na jednej z nich Julka rozpoznała siebie z wczesnego dzieciństwa. Było też ślubne zdjęcie jej rodziców, czarno-biały portret nieżyjącej od lat babci Wandy i plenerowa, pożółkła ze starości fotka dwojga trzymających się za ręce ludzi.

Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania. To dziadek szykował herbatę. Julka wstała z kanapy i zaczęła odruchowo odczytywać tytuły książek na półkach. Czego tam nie było! Od romansów, przez fantastykę, kryminały po powieści historyczne.

– Lubisz czytać? – dobiegł ją od drzwi głos dziadka Marka.

– Bardzo – przyznała. – Chociaż ostatnimi czasy czytam jakby mniej. Mam wrażenie, że studia i inne zajęcia pochłaniają mi większość czasu.

Spojrzała na dziadka i uśmiechnęła się. Wyglądał bardzo młodo jak na swoje lata. Sylwetkę też miał szczupłą, a ruchy energiczne i sprężyste. Musiał uprawiać jakiś sport albo chociaż regularnie chodzić na długie spacerunki. Julka zdała sobie sprawę, że przyglądają się sobie jak dwoje wprawdzie przyjaźnie nastawionych, lecz jednak kompletnie obcych ludzi. Zrobiło jej się przykro, a nie wiedząc, kogo powinna obwiniać o ten stan rzeczy, na wszelki wypadek oskarżyła w myślach ojca, że z niezrozumiałego powodu odciął ją od jedyne go krewnego, jakiego

obydwoje jeszcze mieli. I teraz ów krewny w niezobowiązującej pogawędce pyta ją, czy lubi czytać. Bo nawet tego nie wie o własnej wnuczce.

– Herbata gotowa, chodź, napij się, póki gorąca – dziadek przerwał niezręczną ciszę. – Jak sobie radzisz na studiach? – zadał nieśmiertelne pytanie dorosłych.

– Dobrze, dziękuję. Właśnie w związku ze studiami przyjechałam... – wyrwało jej się i dopiero poniewczasie zrozumiała, że zabrzmiało to dość obcesowo. Spojrzała na dziadka z przeproszającym uśmiechem, lecz ten nie wydawał się urażony.

– Jeśli mogę w czymś pomóc, jestem do dyspozycji – odparł po prostu.

Julia upiła łyk herbaty i rozpoczęła opowieść o pracy zaliczeniowej, starym liście, który próbowała odszyfrować, i próbach odnalezienia przodków rodziny Malinowskich w internecie. Dziadek słuchał uważnie, ani razu jej nie przerywając. Gdy doszła do sprawy datowania listu, uniósł brew z niedowierzaniem, lecz nawet wtedy milczał.

– I tak to właśnie mniej więcej wygląda – zakończyła opowieść dziewczyna. – Miałam nadzieję, że rzucisz nowe światło na to, co próbowałam ustalić – dodała z nadzieją.

– Choć twoja teoria, że moi rodzice znali się przed wojną, wydaje się niegłupia, ja sam nigdy o czymś takim nie słyszałem. Wręcz przeciwnie, obydwójce utrzymywali, że poznali się w czasie okupacji, a pobrali po wojnie.

– Wiem, tata wspominał, że do takich wniosków doszliście – odparła Julia, ze zdumieniem widząc, że na wzmiankę o jej ojcu dziadek wyraźnie drgnął. – Ale to, że pradziadkowie to mówili, wcale nie znaczy, że tak było, prawda?

– Po cóż mieliby kłamać? – zdziwił się.

– Może nie tyle kłamać – próbowała załagodzić niegrzeczne stwierdzenie – co ukryć pewne fakty, być może dla nich istotne?

– Niewykluczone. – Dziadek nie wydawał się całkowicie przekonany. – Jak myślisz, ile czasu zajmie ci odczytanie tego listu? – Wskazał brodą poźółkłą kartkę na blacie stolika. – Nie ukrywam, że urywki o Adrii czy o telefonowaniu solidnie mnie zaintrygowały.

Wzmianka o telefonie była najnowszym sukcesem w odczytywaniu listu. Nie miała jeszcze pewności, lecz część rozpoznanych słów układała się

w wiadomość, że prababcia Helena zadzwoniła do pradziadka Poldka i odebrał ktoś niepowołany, co zakończyło się awanturą. Czy mogło chodzić o numer „domu własnego” wydrukowany na firmowej papeterii zakładu?

– Nie mam pojęcia, dziadku – przyznała uczciwie. – Teraz, gdy już udało mi się choć trochę rozgryźć to koszmarnie pismo, mam wrażenie, że pójdzie szybciej. Tylko co dalej? Jak to mnie ma przybliżyć do poznania swoich korzeni? Skąd mam wiedzieć, co było wcześniej, przed wojną? Nie wiesz nic o przodkach? – zapytała po raz kolejny z nadzieją.

– Wiesz, to dziwne, ale nie. Moi rodzice nigdy nie chcieli mówić, co było przed wojną. To zresztą cecha wielu ludzi, którzy przeżyli piekło tamtych dni. Tak jakby urodzili się na nowo po czterdziestym piątym roku i nie chcieli pamiętać poprzedniego życia. Odciąć, pogrzebać i żyć z czystym kontem. Mnie osobiście to nie dziwi, ponieważ tamto pokolenie musiało widzieć rzeczy straszne.

– To prawda, ale przecież jest tyle świadectw tamtych dni. Jednak ktoś wspomina – zauważyła Julka.

– Nie myl tych dwóch rzeczy – odparł dziadek. – Co innego zdawanie relacji historycznej, a co innego opowiadanie intymnych i okropnych rzeczy swoim najbliższemu. Tego się nie chce pamiętać i, wybaczone, górnolotne stwierdzenie, brukać życia rodzinnego minionymi koszmarami.

– To ma sens – zgodziła się. – Czyli uważasz, że pradziadkowie doświadczyli rzeczy zbyt strasznych, aby kiedykolwiek chcieli o tym mówić?

– Nie wiem. – Rozłożył ręce. – Może tak, a może nie? Zauważ, że same tu niewiadome. Nawet data tego listu nadal wydaje się niepewna.

– To prawda. – Julka poczuła, jak opuszcza ją entuzjazm i ogarnia beznadzieja.

– Hej, nie poddawaj się. – Dziadek natychmiast wyczuł jej zmianę nastroju. – Jestem pewny, że tylko ty jesteś w stanie rozwikłać tę zagadkę. Obejrzymy rodzinne zdjęcia? – zapytał. – Może twoje bystre młode oko znajdzie w nich coś, co umknęło mnie, staremu?

Wkrótce siedzieli pochyleni głowa przy głowie, oglądając albumy i przechowywane w jasnozielonych, starych kopertach luźne pliki fotografii. Dziadek z zapałem objaśniał okoliczności powstania każdego z nich, lecz choć ta podróż w czasie okazała się bardzo przyjemna, nadal

nie cofnęła ich dalej niż do końca wojny. Wcześniejszych zdjęć nie było. Julia spojrzała na fotografię młodej, ciemnowłosej Heleny i stojącego obok niej jasnowłosego Poldka. Według wyblakłej pieczętki warszawskiego zakładu fotograficznego zdjęcie ślubne wykonano w 1945 roku.

– Mogę pożyczyć tę fotografię? – zapytała Julka, sama nie do końca wiedząc, po cóż jej potrzebna.

– Oczywiście. Możesz ją wziąć na zawsze. Mam drugą, wisi na ścianie w sypialni – odparł dziadek.

Gdy Julia zegnała się pół godziny później, zauważyła, że dziadek, podobnie jak ona, robi to z pewnym żalem i ociąganiem. Nie widzieli się tyle czasu, a jednak od razu poczuli się w swoim towarzystwie swobodnie.

– Odwiedzisz mnie jeszcze? – zapytał z nadzieją.

– Odwiedzę – obiecała.

– Zatem będę czekał na telefon.

– Dziadku, nie musisz czekać, wiesz? Możesz zadzwonić sam, kiedy chcesz – powiedziała spokojnie. – Zawsze mogłeś, a jednak tego nie zrobiłeś – dodała, nie mogąc nic poradzić na łagodny wyrzut, jaki pojawił się w jej głosie.

– Tak, mogłem, masz rację – odparł zmieszany i uciekł spojrzeniem w bok. – Przepraszam. Tak. Zadzwonię.

Julia schowała zdjęcie pradziadków do torebki, pożegnała się i zbiegła po schodach na zalane słońcem podwórko. Rozejrzała się z uznaniem wokół. Schludnie przystrzyżona zieleń świadczyła o tym, że ktoś naprawdę troskliwie zajmuje się tą staromodną, lecz uroczą mokotowską enklawą. Oczywiście pamiętała to miejsce doskonale, lecz po kilku latach widziała je zupełnie nowymi oczami. I podobało jej się to, co widzi. Górny Mokotów posiadał klasę, a do tego miało się wrażenie, że z każdego kąta szepcze tu historia. Julia parsknęła śmiechem. Pomyślała, że przez sprawę z tym nieszczęsnym listem coś jej się zaczyna rzucać na głowę. Wyszła przez bramę na ulicę i poszła szybkim krokiem w stronę metra.

Janek Malinowski leżał na łóżku i dopadały go coraz bardziej ponure myśli, sprawiające, że kompletnie nie miał motywacji, żeby się zwlec i pójść do szkoły. Sama szkoła również nie wywoływała optymistycznych myśli. Wprawdzie chłopak uczył się przyzwoicie, ale na myśl, że po raz kolejny ojciec nie pozwoli mu jechać na wycieczkę szkolną, gdzie choć przez chwilę mógłby pooddychać innym powietrzem niż to, jakim oddychał jaśnie pan Apoloniusz Malinowski, wprawiała w przygnębienie.

Nie rozumiał tego. Co ojcu przeszkadzało te kilka dni? Wyjazd niedaleki, bo jedynie do Urli nad Liwcem, więc w dodatku tani. Ot, parę gorszy na jedzenie i przejazdy kolejowe. Zresztą Janek przypuszczał, że może tu chodzić nie o pieniądze, aż tak skąpy ojciec nie był. To tylko wymówka, a chodzić musiało o coś zupełnie innego. Stary nigdy nie puszczał jego ani Poldka na szkolne wyjazdy. Prawdę mówiąc, nawet jego ulubiona pupilka nigdy nie wyjeżdżała, a nawet nie pozwolono jej zapisać się do harcerstwa. To wszystko wydawało się Jankowi bardzo dziwne, lecz za nic nie odważyłby się zapytać ojca o prawdziwe motywy postępowania. Swoją teorię jednak miał. Apoloniusz Malinowski nie życzył sobie stracić władzy nad potomstwem choćby tylko na kilka dni.

W jadalni zegar wybił siódmą. Ostatnia chwila, żeby zdążyć na zajęcia. Janek wyskoczył z łóżka, dokonał pospiesznej toalety i prawie kompletnie ubrany zbiegł na śniadanie.

– Spóźnienie! – skomentował lakonicznie ojciec, patrząc na niego surowo.

– Dzień dobry, ojcze, dzień dobry, matko. Przepraszam, ojcze – odrzekł pokornie.

Ani Poldka, ani Dorotki już w jadalni nie było. Jedynie matka dolewała rozpartemu na krześle ojcu herbaty z samowara. Apoloniusz zatopił nos w porannej gazecie. Janek przycupnął, zjadł pospiesznie chłodną już zupełną mleczną i pożegnawszy się zdawkowo, pobiegł do przedpokoju.

– Pogłupieli już całkiem – dobiegł go rechot ojca. – Oni tu się rozpisują, moja duszko, o zawodach balonowych, które się odbyły na Polu Mokotowskim. Zawody, rozumiesz? Balonowe. W balona to oni cały ten naród robią. Tyle pilnych spraw, a oni się takimi bzdurami zajmują.

– Ale jednak nasi wygrali. Z Niemcami też – odparła łagodnie matka.

– Tyle przynajmniej dobrego, że nas Niemce na naszej ziemi znów nie biją – odparł ironicznie Apoloniusz.

Dalszej części rozmowy Janek już nie słyszał. Zbiegł po schodach na parter kamienicy i przeciąwszy podwórko, skierował się do bramy. Jeśli się pospieszy, może uda się nie spóźnić na pierwszą lekcję. Aż jęknął na myśl, jaką burę zbierze od surowego nauczyciela języka niemieckiego, gdy odważy się wejść do klasy po dzwonku. I nie miało znaczenia, że Janek był jednym z jego lepszych uczniów.

– Panie Janku, niech pan zaczeka! – dziewczęcy głos rozwiął wizję rozsierzonego belfra.

Zatrzymał się, widząc Michalikównę. Ku swojemu rozczarowaniu nie Basię, a jej przebojową siostrę Staśkę.

– Dzień dobry, panno Stasiu – przywitał się grzecznie. – Porozmawiałbym z chęcią, ale spóźnię się na zajęcia...

– Nie zajmę panu więcej niż minutę – weszła mu bezceremonialnie w słowo. – Ale żeby nie zatrzymywać, po prostu odprowadzę pana do rogu ulicy. Może być?

– Jak najbardziej – zgodził się, zaintrygowany, o co może chodzić dziewczynie.

Ramię w ramię wyszli na brukowaną ulicę i skręcili w stronę Tamki.

– Mam propozycję – powiedziała bez ogródek. – W sobotę jest zabawa dożynkowa na Sielcach. Z tańcami. Co by pan powiedział, żeby się tam ze mną wybrać?

– Panna mnie zaprasza? – Janek ze zdziwienia aż przystanął.

– Basia nigdy się nie odważy – odparła enigmatycznie, lecz do chłopaka chyba dotarł sens jej słów. – Namówiłby pan brata, żeby nam towarzyszył? W czwórkę raźniej, a poza tym nie trzeba wtedy wielkich słów. Ot, taki wieczorek towarzyski.

Janek milczał przez chwilę, ważąc w myślach propozycję.

– To wyśmienity pomysł, panno Stasiu – odpowiedział w końcu, a dziewczyna odetchnęła z ulgą. Jak do tej chwili jej plan działał bez zarzutu.

– Czyli ja mam zaprosić panią, a Poldek Basię? – upewnił się, czy dobrze zrozumiał.

– Boże broń, panie Janku! Baśka jak nic by uciekła ze strachu i powiedziała, że...

– Co by powiedziała? – zainteresował się.

– Chciałam powiedzieć, że zaproszenie by ją speszyło i pewnie by odmówiła – poprawiła się Staśka, zadowolona, że ugryzła się na czas w język. W pierwszym odruchu chciała wyjaśnić młodemu Malinowskiemu, że Basia z pewnością zapytałaby, dlaczego nie zaprasza jej siostry, czym z punktu by zdradziła, że Stasia się nim interesuje.

– Panna Basia jest chyba dość nieśmiała?

– Owszem, jest. Ale ja chyba niepotrzebnie przedłużam rozmowę, a pan, zdaje się, gdzieś się spieszy – przypomniała Stasia.

– Ach tak, rzeczywiście! – oprzytomniał w jednej chwili. – Zatem do zobaczenia później! Dobrego dnia pannie życzę.

– I wzajemnie, panie Janku!

Chłopak skłonił się lekko i niemal biegnąc, dotarł do rogu Tamki. Na szczęście do szkoły nie było daleko. Wpadł do klasy i zwinnie wsunął się za swoją ławkę, tuż przed przybyciem nauczyciela. Udając, że słucha lekcji, oddał się przyjemnym rozmyśleniom o najbliższej sobocie.

Basia wpadła mu w oko już od pierwszego wejrzenia. Rozpoczęła termin u jego ojca w czerwcu, tuż po skończeniu szkoły, i mniej więcej od tego czasu Janek wychodził ze skóry, żeby się z nią umówić. Nie licząc tych okazji, gdy niby przypadkiem szedł w tę samą stronę i odprowadzał siostry w stronę Solca, jak dotąd na nic się nie odważył. A teraz ta poczciwa Stasia zabawiła się w Amora i ułatwiła mu zadanie. Wystarczyło tylko jeszcze przekonać Poldka.

Gdy opadła pierwsza euforia, Janek zrozumiał, że wbrew pozorom to wcale może nie być łatwe. Bracia oddalili się od siebie, gdy Poldek skończył szkołę, i nie chodzili do niej razem, poza tym zawsze lubił chodzić swoimi ścieżkami. Może jemu pomysł podwójnej randki z dwoma szwaczkami ojca wcale nie przypadnie do gustu?

Kolega z ławki trącił go łokciem. Wyrwany z marzeń o pocałunku składanym na ustach Basi, Janek spojrzał na niego wściekle.

– Malinowski, wstań! – huknął tuż nad jego uchem nauczyciel. – Kawaler zakochany czy zwyczajnie ogłuchł? Drugi raz do odpowiedzi zapraszam, a trzeciego nie będzie – ostrzegł, po czym chwycił chłopaka za ucho i zmusił do wstania.

Po klasie poniósł się stłumiony chichot, a Janek pomyślał, że za chwilę zapadnie się ze wstydu pod ziemię.

– Wszyscy cisza – wrzasnął nauczyciel, puszczając ucho chłopca.

Janek odetchnął z ulgą. Podczas odpowiedzi był już bezpieczny, wiedział, że stary belfer niczym go nie zaskoczy. Od początku nauki języki wchodziły Jankowi bez wysiłku do głowy, a raz usłyszane słówka natychmiast zapamiętywał. W ostatniej klasie mówił płynnie po niemiecku i bardzo dobrze po francusku. Chciał nauczyć się jeszcze choćby podstaw angielskiego, lecz ojciec nie wykazał zainteresowania wyasygnowaniem funduszy na prywatną naukę.

Janka dziwiła ta krótkowzroczność ojca. Przecież nie wiązał z nim przyszłości zakładu, więc w sumie powinien być zainteresowany zapewnieniem mu jakiegoś zawodu. Mógłby na przykład udzielać dzieciakom z dobrych domów lekcji języków obcych. O pójściu na studia chłopak nawet nie marzył, przekonany, że nie jest dość dobry, by sobie poradzić. Zarówno z nauką, jak i z finansami. Zresztą bardziej ciągnęło go do warsztatu. Tyle że nie widział się tam w roli zwykłego pracownika. A już na pewno nie jako podwładny Poldka, który do rzemiosła wcale się nie garnął.

Helena do tego stopnia nie mogła się doczekać niedzielnego spotkania z Poldkiem, że już w środę nie umiała sobie znaleźć miejsca. Po powrocie ze szkoły czas dłużył jej się niemiłosiernie, na żadnej książce nie potrafiła skupić uwagi. Zdążyła już przygotować dla ojca zupę na jutrzejszy obiad, zamieść antykwariat, a nawet umyć szybę drzwi wejściowych. O dziwo, po tym wszystkim dzień wciąż był młody, a ona nie miała pomysłu, co dalej. Dotarło do niej, że gdy w przyszłym roku skończy szkołę, każdy dzień będzie wyglądał tak samo jak ten. Choć lubiła swoje spokojne życie, poczuła, że chce czegoś więcej. Tylko czego?

Oczywiście był antykwariat, lecz przez większą część dnia urzędował w nim ojciec. Nie działo się tu nic takiego, co by wymagało obecności dwóch osób przez cały czas. Codziennie po powrocie Heli ze szkoły jedli obiad, a potem ojciec szedł załatwić parę spraw, a gdy nie wypadało mu nic pilnego, udawał się na spacer do Ogrodu Saskiego. Towarzyszenie mu także miało się z celem, ponieważ Józef Małecki nieodmiennie od lat siadywał na tej samej ławce nieopodal wejścia do parku i zatapiał się w lekturze. Poza książką nic nie widział i nie słyszał. Siedział tak około godziny, po

czym wracał odprężony do antykwariatu i spędzał popołudnie z córką. Oczywiście gdy była nieco młodsza. Teraz Helę zaprzętały jej własne sprawy, lecz należało uczciwie stwierdzić, że dla ojca zawsze znajdowała czas, a gdy ją o coś poprosił, biegła na każde zawołanie. W każdym razie bezpieczna rutyna przestała dziewczynie wystarczać.

Nie mając sensowniejszych opcji, Helena postanowiła ponownie odwiedzić kuzyna w Szpitalu Starozakonnych. Najpierw pomyślała o ciotce Sarze, ale ta z pewnością zaczęłaby ją wypytywać o Poldka, a dziewczyna nie miała dzisiaj ochoty na podobne zwierzenia.

Gdy tylko ojciec wrócił, Helena zarzuciła płaszczyk i wyszła na ulicę. Nieraz ubolewała, że nie ma żadnej przyjaciółki, takiej powierniczki od serca. Z dziewczętami ze swojej klasy miała poprawne stosunki, lecz jakoś nie iskrzyło. Problemy rówieśniczek zwyczajnie ją nudziły. One na zmianę rozmawiały o chłopcach, o tym, że wyjdą za mąż, będą miały dzieci. Gdy nie snuły opowieści o przyszłych rodzinach, zawzięcie dyskutowały o strojach i fasonach, co Helenę śmiertelnie nudziło. Wolałaby porozmawiać o dalekich egzotycznych miejscach, o jakich czytała w książkach i które bardzo by chciała kiedyś odwiedzić.

To była zresztą kolejna rzecz, jaka dziewczynę przerażała: świadomość, że nie uda jej się spełnić marzeń, podsycanych kolejnymi lekturami. Czasem wyrzucała sobie, że tchórzy, że przecież do odważnych świat należy, a potem przychodziła refleksja, jak bardzo jest przywiązana do ojca i jego ukochanego antykwariatu. Na co dzień pogodzona z tym, że jest jej pisane spokojne życie w tym jednym miejscu na ziemi, Hela zrozumiała, że ostatnie spotkania z Wernerem ponownie obudziły w niej tęsknotę za przygodami.

Co ciekawe, od dnia, gdy zabrał ją na wystawę motoryzacyjną w gmachu Politechniki Warszawskiej, już się więcej nie pokazał. Dotąd nawet o tym nie pomyślała, zaprzętnięta marzeniami o Poldku, lecz dzisiaj nudziła się jak mops. Konrad Werner spadłby jej jak z nieba, gdyby tylko się domyślił i postanowił ją odwiedzić.

Z drugiej strony jaką miała pewność, że kiedykolwiek do niej przyjedzie? Znacznie od niej starszy, musiał wiedzieć, że jest zwyczajną uczennicą. Poza tym był sławnym, bogatym aktorem. A do tego, jak niosła warszawska plotka, spotykał się z aktorką Idą Wolińską, skończoną blond pięknnością rozświetlającą afisze filmowe niemal jak Marlena Dietrich.

Choć mniej sławna od równie zjawiskowej Iny Benity, w odczuciu Heleny była jeszcze bardziej magnetyczna i urodziwa. Kim wobec takiego zmysłowego wampa była Hela, by Werner miał jej poświęcić choćby pojedynczą myśl? Ot, chciał uspokoić wyrzuty sumienia, więc zabrał ją na przejażdżkę, pozwolił poprowadzić swoje czerwone torpedo, ale na tym koniec. Zresztą w gruncie rzeczy to bardzo dobrze, ponieważ Helena nie była aktorem kompletnie zainteresowana.

Zatopiona w myślach, nawet nie zauważyła, kiedy podjechał tramwaj. Wskoczyła do niego zwinnie i przesuwając niewidzące spojrzenie po reprezentacyjnych kamienicach Marszałkowskiej, ponownie rozmarzyła się na temat Poldka.

Do szpitala dotarła pół godziny później. Drzwi recepcyjne zastała zamknięto na głucho. Wisiała na nich karteczka oznajmiająca, że ze względu na podejrzenie żółtaczk szpital zamyka się dla odwiedzających do odwołania. Zła na siebie, że nie śledzi gazet, Helena odwróciła się na pięcie z zamiarem jak najszybszego powrotu do domu. Ten dzień od początku zapowiadał się na tyle beznadziejnie, że właśnie z czymś takim mogła się liczyć, przyjeżdżając na Czyste.

– Niech panna Helena tak nie pędzi! – zawołał ją ktoś po imieniu. Zanim zdążyła się odwrócić, zrównał się z nią chłopak, zatarasował drogę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Znamy się? – zapytała oburzona impertynencją. – Bo jakoś sobie nie przypominam?

– Kuzynka doktora Gutmana, prawda? – Niezrażony chłopak nadal stał jej na drodze. Spróbowała go wyminąć z lewej strony, więc i on dał krok w tę samą, a gdy postąpiła krok w prawo, on zrobił to samo. Jak irytująca zabawa z lustrem.

– Czego właściwie pan ode mnie chce? – zapytała, starając się, by jej głos nie zabrzmiał zbyt piskliwie. Cofnęła się i uniosła dumnie brodę.

– Przepraszam, nie chciałem być napastliwy – zreflektował się w końcu. Uniósł dłonie, sygnalizując, że nie ma złych zamiarów. – Nazywam się Izaak Brzeski. Pracuję w tym szpitalu – wyjaśnił.

– Ale czego pan ode mnie chce? – powtórzyła nieco spokojniej.

– Właściwie nie ja, tylko panna Róża – odparł zagadkowo. Helena zorientowała się, że Izaak nie wpatruje się w nią, tylko w coś ponad jej prawym ramieniem. Odwróciła się odruchowo. W ich stronę, stawiając

zamaszyste kroki, zmierzała ubrana w białoróżowy uniform postawna brunetka.

– No, zmykaj, Izaak! – powiedziała stanowczo, gdy podeszła. Chłopak uchylił czapki, po czym pospiesznie odszedł. – Przepraszam, że go nasłałam. To nasz goniec. Zobaczyłam panią z okna i w żadnym razie nie zdołałabym pani dogonić, więc wysłałam go przodem. Mam nadzieję, że nie zachował się w przykry sposób? – zapytała kobieta i nie dając Helenie dojść do słowa, mówiła dalej: – Trochę nieokrzesany, ale to dobry chłopak. Sierota. Doktor Michał prosił personel, żebyśmy mu trochę pomatkowały. Mieszka w stróżówce na terenie szpitala i przyzwoicie się sprawuje. Ale ja nie o sierocie Izaaku przecież chciałam z panią rozmawiać – zreflektowała się.

– O czym więc? – Helena była coraz bardziej zaintrygowana.

– Mam na imię Róża. Widziałyśmy się, gdy ostatnio odwiedzała pani kuzyna.

– Tak?

– Owszem, przyniosłam wówczas herbatę do gabinetu doktora.

– Ach tak, oczywiście. Przepraszam, nie poznałam pani.

– Głupstwo – ucięła. – Nie sposób przecież spamiętać wszystkie twarze w tak tłocznym miejscu.

– To prawda, mimo to proszę o wybaczenie – odparła grzecznie Hela, nadal nie rozumiejąc, dokąd zmierza ta dziwaczna rozmowa.

Stały w niewielkim parku otaczającym szpital. Podmuch wiatru zerwał z drzew kolejne żółte liście i z szelestem pognał po pustym chodniku. Uczennica szkoły dla pielęgniarek owinęła się szczelniej peleryną i uśmiechnęła do Heleny.

– To nie był pierwszy raz, gdy się widziałyśmy – wyjaśniła Róża. – Pamiętam panią z demonstracji pod ambasadą włoską.

– Była tam pani? Nie zauważyłam.

– Przecież nie poszłam tam w służbowym fartuchu – uśmiechnęła się pielęgniarka. – W każdym razie ja panią widziałam. Oczywiście do czasu. Zniknęła pani, zanim naprawdę zrobiło się gorąco, a między protestujących wpadła konna żandarmeria. Sprytna pani jest – wyraziła uznanie.

– Dziękuję – powiedziała zdawkowo, zachowując dla siebie informację, że ucieczkę na czas zawdzięcza jedynie przytomności Poldka. – A panią wówczas pojмали? – zapytała.

– Gdzie tam! – Róża machnęła ręką. – Ja jestem jak kot, zawsze się wyślizgnę. A do tego pewnie mam dziewięć żyć. Choć nie powiem, w którymś momencie zrobiło się gorąco. – Spoważniała na chwilę. – Ale ja znów zbaczam z tematu, przepraszam, taka już moja natura. Pani sympatyzuje z PPS-em? Z socjalistami ogólnie?

– Można tak powiedzieć – zgodziła się Hela. – Sama pani na pewno widzi, jakie niesprawiedliwości i nierówności są w naszym społeczeństwie...

– To prawda – przytaknęła Róża. – A może pójdziemy na kawę i porozmawiamy o tym? Oczywiście jeśli się pani nie spieszy?

– Nigdzie się nie spieszę. Odwiedzałam kuzyna właśnie dla zabicia czasu. I nawet tego nie udało mi się dzisiaj dokonać. Taki dzień!

– Do szpitala lepiej na razie nie wchodzić. Pójdziemy? Tu w okolicy wprawdzie nie ma żadnych kawiarni, lecz możemy podjechać tramwajem w stronę Marszałkowskiej.

– Właśnie stamtąd przyjechałam. I nie mam nic przeciwko temu, żeby tam wrócić.

– Zatem chodźmy.

Hela szła obok pielęgniarki, zastanawiając się, jak jej nudne życie z pasmem identycznych dni kręcących się wokół szkoły i antykwariatu zmieniło się w ciągu ostatnich tygodni. Poznała Poldka, Werner prawie ją rozjechał samochodem, a potem zabrał na wycieczkę do Mokotowa i wystawę motoryzacji, a teraz jeszcze Róża. Wprawdzie dziewczyna знаła wielu towarzyszy ze spotkań PPS-u, ale z nikim się nie bratała. Przeważnie siedziała gdzieś z boku i słuchała uważnie, nie angażując się w żadne rozmowy. Nie była przekonana, czy w ogóle ktokolwiek z osób tam przebywających choćby kojarzył jej imię. Inna rzecz, że twarze często się tam zmieniały. Ze dwa razy zdarzyło się, że na spotkaniu pojawił się jeden z działaczy partii, Stanisław Krzemieniecki. Mężczyzna w średnim wieku, choć o młodzieńczej sylwetce, umiał skupić na sobie uwagę i podsyć entuzjizm młodzieży. Mówił z pasją, lecz prostymi słowami, które trafiały wprost do młodych, gorących serc, wyczulonych na społeczną niesprawiedliwość. Właśnie to poderwało Helę do czynu i popchnęło do udziału w proteście przeciwko włoskiej okupacji Abisynii. Co prawie skończyło się katastrofą. Helena po raz kolejny poczuła wdzięczność do Poldka za to, że wyrwał ją na czas z opałów.

Uzmysłowiwszy sobie, że właściwie nie do końca wie, kim jest Róża, postanowiła na wszelki wypadek zachować ostrożność. Fakt, że znała doktora Michała, o niczym nie przesądzał. Hela postanowiła, że wypije z nieznaną kawę, posłucha, co tamta ma do powiedzenia, lecz w nic się nie będzie angażować, dopóki nie omówi tego gruntownie z kuzynem. Uspokojona tą roztropną myślą, momentalnie się rozpogodziła. Wizja smacznej kawy w intrygującym towarzystwie okazała się ciekawym zwieńczeniem tego nudnego dnia.

– Pani jest Żydówką? – zapytała wprost Helena, gdy już siedziały przy kawiarnianym stoliku cukierni Ziemiańskiej przy Marszałkowskiej. Ruch był tu spory, choć nie tak wielki jak w oryginalnej, Małej Ziemiańskiej na ulicy Mazowieckiej, gdzie tradycyjnie zbierali się od lat znani literaci i inne sławne osobistości warszawskiej bohemy.

– Oczywiście, myślę, że podobnie jak większość personelu szpitala. No, może z małymi wyjątkami. Nie rozmyślam, rzecz jasna, o pochodzeniu na co dzień. Jestem warszawianką po prostu – roześmiała się Róża.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska – speszyła się dziewczyna.

– Oczywiście, że pani nie chciała – zgodziła się pielęgniarka. – Po prostu usiłowała pani sobie wyrobić o mnie zdanie.

– To źle? – spytała Helena z niepokojem.

– Myślę, że nie. Rozum musi szukać dróg na skróty, różnych uproszczeń. Jak inaczej by sobie poradził w gąszczu zawitych ludzkich spraw?

Nie bardzo wiedząc, co mogłaby powiedzieć, dziewczyna milczała. Żeby zamaskować niezręczność, uniosła filiżankę z pierwszorzędną kawą.

– A pani? – zapytała Róża.

– Co ja? – nie zrozumiała Helena.

– Pytam, czy jest pani Żydówką.

– Po matce, ale wychowuję się w tradycji chrześcijańskiej – odparła. – Znaczący przeważnie...

– Czyli jednak sprawy nie są takie proste?

– Chyba nie – zgodziła się potulnie Helena.

– Dobrze, że pani to zauważa. Wydaje mi się, że to klucz do zrozumienia wszystkiego, co dzieje się w tym mieście.

– A cóż się dzieje?

– Słyszała pani kiedyś o organizacji Cukunft? – Róża odpowiedziała pytaniem. – Myślę, że tam znalazłaby pani wiele odpowiedzi. Także te

dotyczące zagadnienia, co się właściwie dzieje.

– Mówi pani zagadkami...

– To młodzieżówka socjalistyczna. Oczywiście otwarta dla wszystkich, niezależnie od pochodzenia. W sobotę parę osób spotyka się u mnie w mieszkaniu. Będzie miał miejsce cykl wykładów. Myślę, że bardzo ciekawych. Może ma pani ochotę do nas dołączyć?

– Doktor Michał wie, że ma wśród personelu socjalistyczną aktywistkę? – zapytała Helena z lekką kpina.

– Nie sądzę – odparła Róża. – Jest zbyt zajęтым człowiekiem, a poza tym w szpitalu nie ma miejsca na rozmowy o polityce. Natomiast ja o nim słyszałam, że wprawdzie nie angażuje się w żadną działalność, ale całym sercem popiera równość i sprawiedliwość społeczną. Odrzuca także religię, która jest przecież opium dla mas – odparła Róża. – Mam nadzieję, że nie obraziłam pani przekonań? – zreflektowała się po chwili.

– Nie, nie – odparła roztargniona Helena. Wprawdzie regularnie chodziła z ojcem do kościoła, ale umysł miała otwarty na wiele innych spraw.

– Zatem jak będzie? – zapytała Róża.

– Słucham? Przepraszam, zamyśliłam się!

– Pytałam, czy ma pani ochotę wziąć udział w spotkaniu.

– Tak, tak. Bardzo chętnie. Nie mam planów na sobotę, a przyznam, że wzbudziła pani moją ciekawość – odparła dziewczyna.

– W takim razie może mogłybyśmy sobie mówić po imieniu? Odrzucamy przestarzałe formy w naszej organizacji.

– Będę zaszczycona, Rózo.

– Zatem, Heleno, widzimy się w sobotę o trzeciej po południu. – Pielęgniarka wzięła serwetkę i coś na niej zapisała. – Proszę, to mój adres. Ja już będę powoli się żegnać. Jestem po dwunastogodzinnym dyżurze i ledwie się trzymam na nogach. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Oczywiście, świetnie to rozumiem. – Helena również wstała. Na pożegnanie mocno uściśnięły sobie dłonie.

Gdy młoda pielęgniarka odeszła, jeszcze przez dłuższy czas pozostawała widoczna w tłumie, dzięki postawnej sylwetce. Hela ponownie usiadła. Stwierdziła, że skoro już wykosztowała się na kawę w tym eleganckim miejscu, zabawi tu jeszcze chwilę. Otaczał ją gwar rozmów, brzęk sztućców na talerzykach i wybuchy śmiechu. Siedząc nieco na uboczu, czuła się jak niewidzialny obserwator chłonący aurę tego wyjątkowego miasta. Tuż za

oknem, po szerokim chodniku spacerowali przechodnie. Mężczyźni w płaszczech i kapeluszach, modnie ubrane warszawianki. Jakiś chłopiec w marynarskim ubranku podskakiwał z radości, ściskając w dłoni czerwony balonik. Potknął się przy tym, lecz odzyskał równowagę. Dalej za chodnikiem ruchliwą Marszałkowską przemieszczały się tramwaje, taksówki, prywatne samochody, a nieco rzadziej odchodzące powoli do lamusa warszawskie dorożki. Całości miejskiego pejzażu dopełniały żółknące drzewa, przez które przeświecało popołudniowe słońce. Idealny warszawski dzień.

ROZDZIAŁ 7

Piątki w domu Malinowskich były postne. Pan domu stosował się do zaleceń Kościoła w tej sprawie. Po skromnym obiedzie wieczorem domownicy mogli liczyć na jeszcze bardziej niewymyślną kolację, na którą przeważnie składał się chleb i ciepłe mleko do popicia. Oczywiście Dorotka, jako pupilka ojca, mogła oczekiwać szczególnego traktowania, więc dla niej na stole znalazła się jeszcze konfitura wiśniowa.

– To jeszcze dziecko – tłumaczył żonie Apoloniusz Malinowski. – A nasza dziewczynka jest wiotka jak trzcinka na wietrze. Słodkiego jej trzeba, bo przecież to krzepi.

– To cukier krzepi – powiedział Poldek.

Janek spojrzał na niego ze zdumieniem. Może i był pierworodny, lecz ojciec i tak trzymał go krótko. Do tej pory Poldek nigdy nie pozwalał sobie na takie odzywki, a teraz patrzył na ojca wyzywająco, kręcąc palcami kulkę z chleba. Janka bardziej zdumiało jednak to, że stary Malinowski kompletnie nie zareagował na impertynencję. Jakby w ogóle jej nie usłyszał.

– W konfiturze jest tyle cukru, że krzepi – wyjaśniła łagodnie Eleonora. – A w owocach są witaminy.

Janek pomyślał, że niezależnie od okoliczności, ich matka jest zawsze oazą spokoju. Jak falochron chroniący mir domowy przed wszystkimi sztormami. Z pogodną miną spojrzała na męża, a gdy ten nie zareagował, odchrząknęła znacząco.

– Słucham, moja duszko? – ojciec wystawił wreszcie nos zza wieczornego wydania „Kurjera Warszawskiego”.

– Mówię, że chłopcy wciąż rosną, idzie zima, więc im też witaminy potrzebne – w głosie Eleonory nie było przygany, jedynie subtelna prośba.

– No tak, tak – chrząknął z zakłopotaniem ojciec. – Zaiste masz rację, moja droga żono. – Poklepał ją delikatnie po wierzchu dłoni, po czym

wrócił do lektury, tym samym sygnalizując, że rozmowę uważa za zakończoną.

Eleonora uśmiechnęła się do synów, po czym podsunęła Jankowi salaterkę, a do Poldka puściła oczko. Dorotka coś próbowała powiedzieć, lecz matka natychmiast ją powstrzymała.

– W tym domu dzieci nie mówią przy stole bez pozwolenia. A już na pewno nie z ustami pełnymi chleba z konfiturą, której mamy na tyle dużo, że bez żalu podzielisz się z braćmi – ucięła stanowczo.

– To już nie wiedzieli, jak nazwać ten cały głośnik! – zaśmiał się na głos Apoloniusz. – Myślałby kto, takie ogłoszenia reklamowe dawać! Zobaczcie, chłopcy – podsunął synom pod nos płachtę gazety z rysunkiem głośnika marki Titanic.

– Wspaniały! – zachwycił się Poldek. – Ciekawe, jak głośno gra?

– A co za różnica – nie przestawał się śmiać ojciec – skoro przedsiębiorstwo pewnie zaraz pójdzie na dno? – Ubawiony własną grą słów klepnął dłonią trzy razy w stół.

Janek ze zdumieniem obserwował szampański nastrój ojca. Zwykle siedział naburmuszony, mrukliwie odpowiadając na pytania matki, a teraz rozgadał się na całego.

– Ten Mussolini to jednak sprytny gość jest – powiedział z uznaniem Apoloniusz. – Nie chcą mu tej Abisynii oddać, więc wymyślił, że naród włoski potrzebuje przestrzeni, bo mu na Półwyspie Apenińskim ciasno. A skoro Anglia i pozostałe kraje mają kolonie, więc odmawiając Włochom ziem do życia, popełniają hipokryzję. W końcu po to są kolonie, żeby je zasiedlać, kiedy w Europie ciasno!

– A co na to tubylcy? – zastanowił się na głos Janek.

– Niedoczekanie, żeby ich o takie rzeczy pytać! – obruszył się ojciec. – Człowiek przecież ma prawo do miejsca, gdzie będzie mu się lepiej żyło.

– Nie obawia się ojciec tych faszystów Mussoliniego? – odważył się zapytać Poldek.

– A czego tu się bać? Raz, że on tam porządek robi, a dwa, jest od nas daleko. I jeszcze prze do Afryki, więc co mu do nas? Ty, synu, lepiej na ruskich patrz! Jak co złego do nas przyjdzie, to jak zwykle od nich. A jeszcze kiedyś za cara to był prawie cywilizowany naród. Teraz to skończona swołocz czerwona, tfu! – Ojciec splunął z odrazą. – Na wojnie polsko-bolszewickiej byłem, swoje wiem.

– Opowie ojciec o Bitwie Warszawskiej? – Janek postanowił wykorzystać sytuację i dowiedzieć się czegoś ciekawego.

– O! Właśnie! Tam to ja się na tę czerwoną zarazę napatrzyłem! Wydawało się, że nie ma już ratunku dla Warszawy, że znów skończymy pod ruskim butem wzięci w niewolę, ale wszyscy tak pragnęliśmy wolności po tylu latach zaborów, a potem niemieckiej okupacji, że walczyliśmy jak lwy. Ja sam własnym bagnetem...

– Apoloniuszu, nie przy Dorotce, proszę – rozległ się łagodny głos matki.

– No tak, o czym to ja mówiłem? – zmieszał się stary Malinowski. – Także, ten tego, jak coś nam grozi, to zawsze ze wschodu.

– A Hitler i Niemcy?

– Tu byłbym spokojny. Nasz rząd utrzymuje z nazistami przyjazne stosunki. No dobrze, chłopcy, zajmijcie się lepiej czymś pożytecznym, a na mnie pora – oświadczył ojciec, wstając z za stołu.

– Wychodzisz, mężu? – zapytała Eleonora.

– Tak, moja duszko. Jeszcze mam interesy do załatwienia – odparł Apoloniusz.

Wkrótce wziął z przedpokoju płaszcz i kapelusz, po czym wyszedł z domu na oświetloną latarniami ulicę. Tryskając dobrym nastrojem, pojechał dorożką na Chmielną, gdzie umówił się z rzeźnikiem Melnerem w średniej klasy domu uciech. Od czasu ich sławetnego spotkania w restauracji hotelu Victoria Malinowski nie ustawał w knowaniach, jak wyswatać syna ze starszą córką Januarego. Nie chciał działać pochopnie, zwłaszcza że Melner, jak każdy ojciec nieletniej córki, odsuwał chwilę, gdy uzna dziewczynę za dość dorosłą, żeby mogła wyjść za mąż.

Takich detali jak wolna wola dziewczyny Apoloniusz nawet nie brał pod uwagę. O ile do pewnego stopnia pogodził się z faktem, że młodzi mężczyźni samodzielnie wybierają sobie żony, o tyle uważał, że ojciec wie najlepiej, kogo wybrać dla córki. Prawie sześćdziesięcioletni Malinowski żył tak, jakby nie zauważał, że świat po Wielkiej Wojnie zmienił się nie do poznania. A od tego czasu minęło ponad piętnaście lat, które przyniosły nie tylko Polsce, ale i całemu światu rewolucję kulturalną.

Jego żona nawet przed ślubem była potulną szarą myszką, a w latach dwudziestych, gdy wszystkie kobiety nagle zdaniem Apoloniusza poszwały, przerabiając się na chłopczyce, ona piastowała maleńką Dorotkę, a jej spódnicy czepiało się dwóch malców. Zajmowała się dziećmi, więc nie

w głowie jej było przerabianie sukienek na niekształtne worki i ścinanie włosów na krótko.

Od tego czasu Malinowski wyrobił w sobie przekonanie, że lekiem na wszystkie babskie brewerie jest macierzyństwo. A przy okazji umknął mu pewien detal: rodzice przestali mieć wpływ na wybory swoich pełnoletnich dzieci. Apoloniusz oczekiwał od synów absolutnego posłuszeństwa i nawet do głowy mu nie przyszło, że Poldek mógłby chcieć się zbuntować przeciw zaaranżowanemu małżeństwu. W opinii starego jego plan nie miał słabych punktów. Wystarczyło jedynie skłonić Melnera do współpracy.

Pogwizdując wesoło, Apoloniusz rzucił monetę dorożkarzowi i wygramoliwszy się z wozu, poszedł do lupanaru spotkać się z rzeźnikiem. Do lokalu, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, wiodły dyskretne drzwi ulokowane za bramą, w podwórzu, lecz Malinowski i tak był na tyle ostrożny, że wysiadł z dorożki trzy domy wcześniej.

Secesyjna kamienica mogła pochwalić się wyjątkowo schludną klatką schodową z wykładanymi białym marmurem stopniami. Lokal mieścił się na pierwszym piętrze. Żeby drzwi otwarto, należało trzykrotnie zadzwonić krótko dzwonkiem. Gdy Malinowski wszedł do środka, jego oczy musiały najpierw przyzwyczaić się do półmroku. W przestronnym przedpokoju zaaranżowanym na recepcję urzędował ubrany we frak portier. Odebrał od Malinowskiego okrycie i kapelusz. W dwuskrzydłowych drzwiach ukazała się odziana w szykowną czarną suknię wieczorową madame Viola.

– Drogi panie Apoloniuszu! To zaszczyt znów pana gościć! – rzekła z emfazą, wyciągając do mężczyzny dłoń.

– Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani! – Mężczyzna, cały w lansadach, ucałował upierścienioną dłoń.

Malinowski był tu mile widzianym gościem, gdyż nie szczędził grosza, a jeśli pił, to kulturalnie i nigdy się nie awanturował. W zamian oczekiwał sprawnej obsługi oraz pełnej dyskrecji. Lokal madame Violi wszystko to zapewniał, łącznie z urodziwymi prostytutkami w odpowiednim wieku. Apoloniusza nie interesowały młode, niedoświadczone i często drżące z przerażenia dziewczynki, w jakich gustowała znaczna część zбочeńców z wyższej klasy. Wykorzystywanie młodych ciał nie mieściło się w jego kodeksie moralnym pobożnego chrześcijanina. Kobieta musiała być dojrzała, chętna i sprawna w swoim fachu.

– Dobry wieczór, Apoloniuszu! – przywitał go Melner, wstając z wygodnego fotela. – Dobrze cię widzieć! Napijemy się?

– Naturalnie, drogi January! – zgodził się ochoczo. – W tak zacnym towarzystwie napić się koniecznie trzeba.

Na stół zaraz wjechały mięsne zakąski, które w tym miejscu zupełnie nie kłóciły się mężczyznom z piątkowym postem, i butelka zmrożonej wódki. Jedna z dziewcząt, czarnowłosa Lu, usiadła Melnerowi na kolanach, a inna stanęła za Apoloniuszem i zaczęła mu delikatnie masować kark. Mężczyzna aż sapnął z rozkoszy.

– Od razu wiedziałem, że to ty, turkaweczko – powiedział serdecznie. – Tylko moja Anette ma takie sprawne, miłe rączki. – Chwycił dłoń dziewczyny z zamiarem ucałowania jej. – A cóż to za rękawiczki? Pewnie od konkurencji. Przypomnij mi, moja piękna, a przyniosę ci ładniejsze z mojego zakładu. Jakie tylko będziesz chciała! – Ucałował jej nadgarstek, po czym przyciągnął dziewczynę, by usiadła mu na kolanach. Powąchał z lubością uperfumowane złote loki. – Cudowna z ciebie istotka! Polej nam wszystkim! – zarządził.

Gdy dziewczyna napełniła wódką cztery nieduże kieliszki, Apoloniusz podał jeden Januaremu, który przyjął go z ochotą.

– Za przyjaźń! – ogłosił rzeźnik, a Malinowski stuknął się z nim kieliszkiem, rozplývając się w uśmiechu. Nie wypili nawet jednej butelki, a ich świeża znajomość już wkraczała w fazę przyjaźni. Malinowski, uznawszy, że wszystko idzie po jego myśli, chwycił Anette w pasie, przyciągnął do siebie i zanurkował pomiędzy drobne piersi kobiety. Zapowiadała się wesoła, wręcz upojna noc.

Poldek wyciągnął się na łóżku z dłońmi pod głowę. Trwał piątkowy wieczór, on był dorosły i zamiast oddawać się zabawie na mieście albo chociaż z okolicznymi chłopakami szlifować bruki, popijając piwo, spędzał czas we własnym pokoju, niczym jakiś mnich albo skończony dzieciak. Co było nie tak z jego ojcem? Dlaczego traktował tak źle swoich synów? O ile jeszcze w jakimś stopniu potrafił zrozumieć, że trzyma krótko Janka, który w dalszym ciągu jeszcze chodził do szkoły, o tyle on pracował u ojca w pracowni na pełny etat, więc powinien żyć na własne konto i być

traktowany jak dorosły. Tymczasem ojciec w dalszym ciągu wypłacał mu kieszonkowe, tak jakby nadal pomagał w rodzinnym przedsiębiorstwie w soboty po szkole.

Poldek czuł, że utknął w pułapce, tylko że nie miał pomysłu, jak się z niej wyswobodzić. Za każdym razem, gdy postanawiał, że idzie do ojca i twardo stawia własne warunki, oczami wyobraźni widział, jak wyrzucony z domu odchodzi z jedną walizką na poniewierkę. Świat nie był przyjazny, a kogoś takiego jak on nie czekało w nim nic ekscytującego, jedynie bieda, pogarda i niepewny byt. To ostatnie chyba przerażało chłopaka najbardziej. Powiódł spojrzeniem po swoim przytulnym pokoju na poddaszu. Miał tu wszystko, co było mu potrzebne do spokojnego życia. Łącznie z fascynującym widokiem na Wisłę. Chłopak podszedł do mansardowego okna i zamyślił się głęboko. O tej godzinie wszędzie, gdzie była elektryczność, już paliły się żarówki. Nawet rzeka odbijała w swej toni nieliczne światła z praskiego brzegu.

Poldkowi nie dawała spokoju myśl, że umyka mu coś ważnego. Tak jakby nie docierał do niego sens własnego życia i choćby nie wiadomo jak długo się głowił, nadal nic nie rozwiewało mgły w jego umyśle. Nie mając nic lepszego do roboty, usiadł przy biurku i włączył lampkę. Żółte, niezbyt silne światło zalało politurowany blat. Chłopak sięgnął po książkę, którą pożyczył mu ojciec Heleny, i zaczął czytać.

Dwie godziny później wciąż tkwił w tej samej pozycji i z wypiekami na twarzy pochłaniał przygody inżyniera Roberta Darvella, który został podstępnie zwabiony przez złego bramina do Indii, a następnie wystrzelony na Marsa, gdzie spotykały go same niesamowite przygody. Poldek dokończył rozdział i nim rozpoczął kolejny, ponownie podszedł do okna, lecz tym razem zamiast na pogrążoną w mroku Wisłę spojrział w górę, na niebo. Częściowo przesłaniały je chmury, lecz dało się dostrzec gwiazdy. Tam gdzieś był również Mars, lecz chłopak nie wiedział gdzie.

Nigdy nie przykładał się do astronomii, której zresztą nie omawiano zbyt szczegółowo w szkole powszechnej. Westchnął ciężko. Czy to możliwe, że pisane mu były, tak jak inżynierowi Darvellowi, rzeczy wielkie, a tylko zupełnym przypadkiem urodził się i na dobre utknął w rodzinie Apoloniusza Malinowskiego? A może popełniał błąd? Może powinien pójść swoją własną drogą i raz na zawsze uwolnić się od ojca?

Podobne pytania dręczyły go, gdy wrócił do biurka z zamiarem kontynuowania lektury, i nie znajdował na nie żadnych odpowiedzi. Czy właśnie to, że nie wiedział, czego chce od życia, sprawiało, że płynął bezwolnie w nurcie wydarzeń? Spróbował się skupić na dalszych przygodach inżyniera Darvella, lecz w tej samej chwili usłyszał bardzo ciche pukanie.

– Proszę! – powiedział zdziwiony, że ktoś go odwiedza tuż przed północą, gdy cała kamienica wydawała się uspiona, a domownicy udali się już dawno na nocny spoczynek przed czekającą jutro wszystkich pracowitą sobotą. Poldek też powinien już spać. Zaczynał pracę pod okiem krojczego Blumana o siódmej rano. Mógł więc swobodnie udawać, że śpi, lecz zbyt go zaintrygowało, kim jest niespodziewany gość.

Otworzył drzwi i ujrzał Janka. Jasne włosy miał potargane, na ramiona zarzucił szlafrok. Na pierwszy rzut oka było widać, że musiał już wcześniej leżeć w łóżku.

– Nie mogłem usnąć, bo dręczyło mnie, że wcześniej nie miałem jak z tobą porozmawiać. A chciałem cię prosić o przysługę – wyznał.

– Wejdz więc i mów, w czym rzecz. – Poldek czuł irytację, że brat przerywa mu wciągającą lekturę, lecz widząc jego spłoszoną minę, natychmiast się opanował. – No chodź, bracie – dodał znacznie łagodniej.

Janek wszedł do pokoju. Nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić, stał na środku pokoju.

– No usiądźże, nie stój jak słup soli. Stało się co?

Chłopak nie ruszył się z miejsca, zamiast tego wpatrywał się w brata, intensywnie się zastanawiając, czy więź, jaka między nimi istniała jeszcze raptem rok temu, ma szanse kiedykolwiek się odrodzić. Gdy Poldek zdał do ostatniej klasy, ojciec – wcześniej traktujący obu synów sprawiedliwie – nagle się zmienił. Zaczął faworyzować Poldka, wbijać mu do głowy, że jest jego jedynym dziedzicem, a Janek odsunął się w cień, wciąż od nowa wściekając się zarówno na ojca, jak i na brata za niesprawiedliwość. Teraz obserwował Poldka, a Poldek jego. Mierzyli się przez chwilę spojrzeniami w milczeniu, a do Janka dotarła przerażająca prawda. Od tamtego dnia, gdy ojciec stanął pomiędzy nimi, już nigdy nie spojrzeli sobie otwarcie w oczy. Aż do teraz.

– Zaczynam się martwić – oświadczył po dłuższej chwili milczenia Poldek. – Co się stało, bracie?

- Chciałem cię prosić o przysługę – wyznał w końcu Janek.
- Usiądź wreszcie, bo mi głupio, jak tak sterczysz na środku.

Chłopak posłuchał, a że w pomieszczeniu oprócz krzesła, które zajmował Poldek, nie było żadnego innego siedziska, przycupnął na przykrytym wełnianą narzutą łóżku.

- Jutro jest zabawa dożynkowa na Czerniakowie.

– Co? – nie zrozumiał Poldek. Spodziewał się wszystkiego, lecz nie podobnie absurdalnego wyznania. Równie dobrze brat mógłby powiedzieć, że jabłka w północnej Nadrenii obrodziły w tym roku nadzwyczajnie.

- Pójdziesz ze mną na tę zabawę?

– Zapraszasz mnie na potańcówkę? – Poldek zamrugnął ze zdziwienia. – Nie znasz jakiejś dziewczyny?

Janek dopiero teraz zrozumiał, jak idiotycznie musiały zabrzmieć jego słowa. Zaczął się śmiać, a gdy spostrzegł, że brat patrzy na niego jak na wariata, zaczął rechotać na całego.

– To nie tak! – wykrztusił, gdy w końcu udało mu się w miarę uspokoić oddech. – Kojarzysz siostry Michalikówny?

- Pewnie. Mała cicha Basia i hałaśliwa Staśka.

– Tak je widzisz? – zainteresował się Janek. – W sumie one są bardzo podobne z wyglądu...

– Skoro tak twierdzisz – zgodził się Poldek. – Jakoś nigdy im się nie przyglądałem.

– Za to ja się przyglądałem – wyznał z ociąganiem jego brat. – Stasia wczoraj zaprosiła mnie na tę zabawę i powiedziałem, że pójdę.

– No to w czym problem? Po co ja ci do szczęścia jestem potrzebny? – zdziwił się Poldek. – Chyba sobie sam poradzisz z obtańcowaniem dziewczyny?

- Ale... – Janek nie wiedział, od czego zacząć, więc umilkł.

- Nie chodzi o Stasię? – domyślił się jego brat.

Janek przytaknął, a potem opowiedział o intrydze, jaką uknuła Staśka, żeby zwabić Basię na potańcówkę.

– A więc tak się sprawy mają! – Poldek wyszczerzył się w uśmiechu. – Pójdę, no pewnie! Tylko uważaj, żebym ci dziewczyny nie odbił. Mam ją zaprosić, tak? – droczył się, patrząc z rozbawieniem, jak Janek najpierw czerwienieje ze złości, a potem na jego twarz wypływa gwałtowna ulga. – Załatwione! Pójdziemy jako czwórka dobranych przyjaciół, pasuje?

– Dziękuję. – Janek patrzył na brata przyjaźnie, jak kiedyś.

Poldek pomyślał, że zabawa dożynkowa jest całkiem dobrym pomysłem i pomoże przełamać lody pomiędzy nimi. Siostry Michalikówny kompletnie go nie interesowały, ale jeśli Jankowi tak bardzo na tym zależało, mógł na ten jeden wieczór przeobrazić się w czarującego amanta. Ba! Jeśli idą na Czerniaków, poświęci się i przyliże włosy brylantyną, żeby modnie wyglądać.

Gdy Janek wyszedł, lżejszy o kamień zalegający mu wcześniej na sercu, Poldek stwierdził, że skoro zapowiada się aż tak pracowita sobota, powinien natychmiast położyć się spać. W tej samej chwili jego spojrzenie padło na książkę. Czytał kolejną godzinę, zanim zmorzył go niespokojny sen. Śniły mu się koszmary o Marsie, na którym zagubił się w pradawnej puszczy. Nawoływał Hełę, lecz dziewczyna nie odpowiadała. Najgorsza była świadomość, że Poldek już nigdy jej nie odnajdzie i utracił dziewczynę na zawsze. Gdy pięć godzin później zabrzączał budzik, chłopak tylko jęknął i nakrył głowę poduszką.

Helena bardzo lubiła soboty. Zajęcia w szkole kończyły się wcześniej niż zwykle, więc miała dużo czasu na zrobienie zakupów i niespieszne ugotowanie obiadu dla ojca. Antykwariat zamykali o drugiej po południu, rezerwując dla siebie całe leniwe popołudnie. Obydwoje lubili ten cotygodniowy rytuał. Do tego dochodziła świadomość, że czeka ich niespieszna niedziela. Czasami chodzili na spacer do któregoś z parków albo nad Wisłę, bywało, że jechali kolejką jabłonowską na wycieczkę za miasto, a raz nawet popłynęli statkiem wycieczkowym w kilkugodzinny rejs do Młocin. Na specjalne okazje ojciec zabierał ją na lody do jednej ze śródmiejskich cukierni, a zimą na łyżwy do Dolinki Szwajcarskiej. Uwielbiała to miejsce, od dawna stanowiące centrum rozrywkowe stolicy, niezależnie od pory roku. Zimą wylewano tu lodowisko, latem na drewnianej scenie obok restauracji organizowano muzykę i tańce. Bywali tam w niedzielę bardzo często. Jednak sobotnie popołudnia zawsze spędzali na czytaniu i jedzeniu.

Tym większe było zdziwienie Józefa Małeckiego, gdy przed pierwszą jego córką pospiesznie zaczęła podgrzewać wczorajszą zupę, nerwowo

spoglądając na wiszący w ich niewielkiej kuchni zegar.

– Stało się coś? – zapytał ostrożnie, patrząc z niepokojem na Helenę.

– Nic takiego, ojcze. Po prostu umówiłam się na spotkanie o trzeciej po południu i martwię się, czy uda mi się zdążyć na czas. Nawet nie bardzo pamiętam, jak tam dojechać – odparła.

– Jakie spotkanie? – zdziwił się. – Gdzie?

– Z taką znajomą ze szpitala. Poznałam ją, gdy odwiedzałam Michała. Syna ciotki Sary – dodała, nieporna faktu, że jej ojciec doskonale zna rodzinę swej zmarłej żony, a jedynie od lat się z nimi nie spotyka.

– Nie wiedziałem, że bywasz u kuzyna w szpitalu.

– Ach, ostatnio się tak złożyło, że dwukrotnie go odwiedziłam. Lubię z nim rozmawiać. To rozsądny, bardzo mądry człowiek.

– Zabawne – uśmiechnął się antykwariusz. – Właściwie wiem, że mówisz o dorosłym mężczyźnie, lecz ja wciąż widzę tego małego, czarnowłosego Michałka.

– Właściwie dlaczego ojciec nie utrzymuje kontaktów z rodziną mamy? Czy chodzi o to, że są Żydami? – zapytała wprost.

– Skądże znowu – obruszył się. – Twój dziadek... – Antykwariusz przerwał.

– Cóż z nim? Dlaczego ciągle napotykam jakieś tajemnice? Nawet nie znam swojego dziadka! Nie uważa ojciec, że to dziwne? Chyba mam prawo wiedzieć...

– Nie ma w tym żadnej wielkiej tajemnicy – odparł prędko MałECKI. – Szmul Gutman jest bardzo ortodoksyjnym wyznawcą wiary mojżeszowej. Nigdy nie pogodził się z tym, że twoja matka wyszła za mnie.

– Mnie też nie był ciekaw? – zapytała z goryczą.

– Tego nie wiem – przyznał ojciec. – To wszystko już minione dzieje. Nie trzeba rozdrapywać starych ran, Heleno.

– Mówi ojciec tak, jakby to, że się urodziłam, stanowiło dla kogoś przykrość.

– Nie wiem, co myślą inni, córko, i pewnie nigdy się nie dowiem – odparł z zadumą. – Mogę mówić tylko za siebie. A dla mnie to, że się urodziłaś, stanowi największą radość. Więc pod jaki adres właściwie się wybierasz? – zapytał.

Helena dobrze wiedziała, że to oznacza definitywny koniec rozmowy na tematy rodzinne. Postanowiła, że przy najbliższej okazji przycisnie

Michała, kuzyn musiał wiedzieć coś więcej. Coś, czego ojciec jej nie mówił.

– Wybieram się na Gęsią.

– Kawalek drogi. Aż na drugi koniec Woli. Na Gęsiej i na Nalewkach najlepszy handel. Wszystko tam można kupić albo zamówić.

– Lepszy niż na Kercelaku? – zapytała Hela z niedowierzaniem.

– Pewnie podobny – odparł. – I tu, i tam pełno wszystkiego.

Hela pobiegła do tramwaju. Ten na szczęście podjechał prawie natychmiast, więc zadowolona dziewczyna usiadła na drewnianej ławce i zaczęła obserwować świat za oknem. Najpierw jej myśli krążyły wokół czekającego ją spotkania i niedawno poznanej Róży. Miała nadzieję, że uda jej się dojechać na czas. Nie znosiła się spóźnić, a już szczególnie na pierwsze spotkanie.

Lecz niepokój o to, czy uda się jej być punktualną, wkrótce wyparło rozmarzenie. Zaczęła się zastanawiać, w co ubierze się jutro na spotkanie z Poldkiem. Zrobiła w myślach przegląd swojej raczej skromnej garderoby. Zapatrzona niewidzącymi oczyma w przesuający się za oknem obraz miasta, usiłowała sobie przypomnieć, w co była ubrana za pierwszym razem, gdy spotkali się pod ambasadą włoską, i za drugim razem podczas spaceru na Kercelak. Myśli pochłoneły ją do tego stopnia, że prawie przegapiła przystanek przy zbiegu ulicy Gęsiej i Nalewek. W ostatniej chwili wyskoczyła z tramwaju. Rozejrzała się po ulicy zabudowanej z obu stron różnej wysokości kamienicami. Zgodnie z tym, co mówił ojciec, handel kwitł tutaj w każdym parterowym lokalu od strony chodnika, ale też wiszące przy każdej bramie szyldy zapraszały do zakupów w głębi podwórek. Można było się tu zaopatrzyć w ubrania, buty, kapelusze, płaszcze czy walizki.

Oderwawszy z żalem spojrzenia od kuszących kolorami wystaw, Helena ruszyła szybkim krokiem. Zerknęła na uliczny zegar z wielkimi czarnymi wskazówkami i aż podskoczyła. Wskazywał za pięć trzecią. Dopadła do bramy trzypiętrowej kamieniczki. Przytrzymując kapelusz, prawie cwałem wbiegła na trzecie piętro. Ziajana, z rozpalonymi policzkami stanęła przed drzwiami. Nie zapukała od razu, najpierw chciała nieco uspokoić oddech. Chwilę później podniosła rękę, ale zanim dotknęła knykциями drzwi, te otworzyły się na pełną szerokość.

– Heleno, dobrze cię widzieć. – Róża ucieszyła się na jej widok. – Zastanawiałam się, czy uda ci się dotrzeć. Wejdz, proszę!

– Dzień dobry, Rózo, przepraszam za spóźnienie.

– Ależ jesteś na czas. Zresztą nawet gdybyś przyszła później, nic by się przecież nie stało, prawda?

Gospodyni zaprowadziła Helę do niewielkiego saloniku. Z tego, co dziewczyna zdołała zauważyć na pierwszy rzut oka, mieszkanie było nieduże, najwyżej dwupokojowe z małą, ciemną kuchnią. Drzwi do drugiego pokoju zamknięto.

Na niezbyt obszernej sofie w saloniku siedziało dwóch dość młodych mężczyzn, a trzeci stał przy oknie z szerokim parapetem, zastawionym doniczkami. Róża musiała mieć dobrą rękę do kwiatów, bo niektóre pięły się po sznurkach aż do samego sufitu, tworząc oryginalną, zieloną dekorację.

Na widok wchodzących kobiet mężczyźni wstali i skłonili się lekko, ale ten trzeci trwał pod oknem nieporuszony. Nawet nie odwrócił głowy.

– Paweł i Waldemar – dokonała prezentacji Róża. – Nazwisk nie używamy, zwracamy się po imieniu – wyjaśniła. – Obok okna stoi Antoni, lecz w tej chwili się nie przywita.

Hela obrzuciła mężczyznę zdumionym spojrzeniem. Dopiero teraz zauważyła, że nie wpatruje się w uprawy parapetowe, tylko z uwagą obserwuje ulicę. Frontowe położenie mieszkania dawało świetny widok na Gęsią i część skrzyżowania z Nalewkami. Dziewczynie skojarzyło się to z konspiracyjnym zachowaniem podczas zaborów, o których opowiadał ojciec. Tyle że Polska była wolnym krajem od ponad piętnastu lat, więc Heli zachowanie mężczyzny wydawało się niezrozumiałe.

– Usiądź, Heleno. Czekamy jeszcze tylko na Docenta i możemy zaczynać. Napijesz się kompotu? Niestety herbata się skończyła. – Róża familiarnie ujęła dziewczynę pod ramię i zaprowadziła w stronę jednego z dwóch sfatygowanych foteli stojących przy niewielkim okrągłym stoliku nakrytym szydełkową serwetą.

– Dziękuję, nie rób sobie kłopotu – odparła, odnotowując w głowie, żeby więcej nie przychodzić na podobne spotkania z pustymi rękoma.

Sądząc po skromnym wystroju mieszkania, Róży się nie przelewało. Korzystanie z jakiegokolwiek poczęstunku było nie na miejscu. Zresztą ani stojący na czatach rudzielec, ani dwaj mężczyźni siedzący na kanapie

niczego nie pili. Zerknęła na nich, siadając posłusznie na fotelu. Nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

– Idzie Docent – zameldował obserwator. – Bez ogonów.

Hela, zdziwiona tym, że miała rację z tą konspiracją, zaczęła baczniej obserwować otoczenie, lecz nie znalazła tu niczego podejrzanego, a już z pewnością nielegalnego. Coraz bardziej zaintrygowana zaczęła się wpatrywać z napięciem w drzwi. Tym większe było jej rozczarowanie, gdy do salonu wszedł niski, raczej krępy mężczyzna przed trzydziestką, a nie żaden siwy uczonek, jak go sobie wyobraziła. Jednak gdy Docent, przywitawszy się ogólnie ze wszystkimi, usiadł na fotelu i zaczął mówić cichym głosem, w pokoju zapadła cisza, a wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Mężczyzna miał niezwykłą charyzmę i wręcz magnetyzujący tembr głosu. Nie wiedząc kiedy, Helena zorientowała się, że wpatruje się w niego jak urzeczona i wręcz spija słowa płynące z jego ust.

– Największy problem z Polską polega na tym, że nikt, kto może coś zmienić, nie widzi takiej potrzeby – mówił Docent – a ci, którzy pragną zmian, nie mają głosu. Zobaczcie, cóż stało się podczas ostatnich wyborów do sejmu i senatu. Pozornie wszystko wyglądało dobrze, należało tylko oddać głos. Tylko na kogo mieliśmy głosować, skoro jeszcze przed wyborami tak utrudniono zgłaszanie kandydatów, że okazało się to prawie niemożliwe dla osób spoza obozu rządzącego? Ani socjaliści, ani przedstawiciele mniejszości nie mieli żadnych szans. A to przecież tylko jeden z przykładów, jak władza odbiera ludziom z innymi niż ona poglądami szansę na protest. Słyszeliście o Berezie Kartuskiej?

W pokoju rozległy się ciche potakiwania. Hela także wiedziała, w czym rzecz. Tak zwany obóz odosobnienia powstał rok wcześniej. Trafiali do niego przestępcy polityczni, a inspiracją do jego założenia był zamach na ministra Pierackiego na ulicy Foksal. Natomiast sam obóz w Berezie, choć podobno nie głodził więźniów, poddawał ich torturom psychicznym i plotkowało się na mieście, że także fizycznym tak długo, aż załamani przyznawali, że władza sanacyjna jest jedyną słuszną. Helena uważała, że to okropne, a gdy ojciec jej powiedział, że takie rzeczy dzieją się na całym świecie, nie tylko w Polsce, zaczęła tracić wiarę w ludzkość.

– Skoro więc nie możemy działać demokratycznie, żeby w końcu dać ludziom sprawiedliwość, należy ją osiągnąć innymi sposobami. Ale zanim się na to zdecydujemy, trzeba możliwie najdokładniej naświetlić wszystkie

problemy palące nasz kraj i Europę. Tylko człowiek przekonany o słuszności sprawy jest bowiem zdolny szczerze za nią walczyć. Jeśli wam to odpowiada, będziemy się spotykać w kolejnych mieszkaniach w następane soboty – zakończył Docent, a przez salon przeleciał szmer akceptacji.

Godzinę później Helena siedziała już w tramwaju jadącym w stronę Marszałkowskiej. Zamiast rozmyślać o strojach na spotkanie z Poldkiem, zadumała się nad słowami Docenta. Dziewczyna miała wrażenie, że właściwie każdy człowiek, z którym ostatnio się zetknęła, wieszczyl światu rychłą katastrofę. Docent widział zagrożenie wewnątrz kraju i ratunek ze wschodu, jej ojciec jak ognia bał się ruskich, a kuzyn Michał przestrzegał przed Hitlerem. I każdy miał inny przepis na ratunek dla Polski. Hela nie wiedziała już sama, co ma o tym wszystkim sądzić. Może to, że każda z ponurych wizji brzmiała inaczej, oznaczało, że tak naprawdę były to ostrzeżenia bez pokrycia, a ona niepotrzebnie się martwi?

Osiemnaście lat to nie wiek na zbyt długie zamartwianie się, więc Hela, obiecawszy sobie, że pójdzie znów posłuchać Docenta, chwilowo postanowiła o tym wszystkim nie myśleć. Z ulgą wysiadła z tramwaju na placu Grzybowskim, gdzie miała przesiadkę, lecz postanowiła nie czekać na kolejny tramwaj, tylko ruszyć chodnikiem w stronę domu. Uznała, że spacer pozwoli jej się uspokoić i odzyskać pogodę ducha. Stwierdziła, że ojciec z pewnością się ucieszy z jej wczesnego powrotu. Postanowiła go namówić na spacer i ciastko w parku Ujazdowskim. Pogoda wciąż była przyzwoita, nie czuło się dużego chłodu. Żal nie skorzystać, szczególnie że była sobota.

ROZDZIAŁ 8

WSPÓŁCZEŚNIE

Julia przeglądała fotografie starej Warszawy. Czarno-biały świat zamknięty w ziarnistych kadrach wciągał ją coraz mocniej, a każde zdjęcie niosło ze sobą nierzadko fascynującą historię. Jak choćby tę o „bombie” wspomnianej w liście pradziadka. Gdy już w końcu udało jej się rozczytać wzmiankę o niej, zdanie wydało się całkowicie bezsensowne.

Gdyby nie to wszystko, cały ten galimatias, po prostu spotkalibyśmy się pod bombą, a ty nie musiałabyś tam czekać przez wieczność, czego do dzisiaj nie umiem sobie wybaczyć.

W pierwszej chwili dziewczyna była bliska rezygnacji. Wzmianka o bombie wytrącała jej z dłoni argument, że pradziadkowie poznali się przed wojną. Jak by nie odczytywała tego zdania, nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Sprawę utrudniało jeszcze to, że choć udało jej się odszyfrować poprzednie oraz następne zdanie, dotyczyły one zupełnie innych spraw. W jednym Poldek wspominał o jakimś spacerze, w kolejnym o spotkaniu na plaży. Wtrącona pomiędzy nie uwaga o bombie miała charakter dygresyjny, a to dodatkowo frustrowało Julkę.

W desperacji zaczęła kombinować, czy list nie został z jakiejś przyczyny zapisany szyfrem, lecz to wydało jej się kompletnie absurdalne. W przypadku pradziadka i jego ciężkiego pióra nie mogło też chodzić o poetycką metaforę. Traktowanie tego fragmentu dosłownie również mijało się z celem. Nikt normalny nie stoi obok bomby, tylko w popłochu ucieka od niej jak najdalej, nawet jeśli okazała się niewybuchem. Julia uznała, że poszukiwana przez nią bomba musi być czymś zupełnie innym.

Wpadła na rozwiązanie zupełnym przypadkiem. Pomógł zdawkowy komentarz na zapomnianym forum dyskusyjnym, w którym ostatnia aktywność miała miejsce jeszcze w ubiegłym wieku. Ledwie wzmianka, że owa „bomba” szybko stała się zwyczajowym miejscem spotkań ówczesnych mieszkańców miasta. Czymś w rodzaju umawiania się jeszcze do niedawna pod Rotundą. Nawet matka opowiadała jej kiedyś, że na jedno z pierwszych spotkań umówiła się z ojcem właśnie pod okrągłym budynkiem u zbiegu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich.

Julię zafascynował temat „bomby”, bo tylko ta niewinna wzmianka o zwyczajach ówczesnych warszawiaków sprawiła, że przestali być płaskimi, papierowymi wspomnieniami z zamierzchłej przeszłości, uwięzionymi pomiędzy bezdusznymi datami podręczników do historii. Stawali się prawdziwymi ludźmi z krwi i kości, poprzednimi gospodarzami miasta, które obecni mieszkańcy traktowali jak swoje. Za jakiś czas przyjdzie kolejne pokolenie, przyniesie swoje zwyczaje, odkładając przodków na półki z archiwaliami cyfrowymi.

Dziewczyna uznała, że to jednocześnie przerażające i fascynujące, więc z tym większą energią zaczęła rozgryzać temat spotkań pod bombą. Ta okazała się być jednotonową atrapą, wyglądającą jak prawdziwa bomba. Została zainstalowana w 1935 roku przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej jako przestroga przed zagrożeniem czyhającym na mieszkańców miasta.

Mówiąc w skrócie, miała być straszakiem, że wojna jest już blisko, i dalej nakręcać propagandę, że Polska jest silnym krajem, a wkrótce będziemy nie do pokonania i ruszymy podbijać zamorskie terytoria. Na ironię zakrawał fakt, że atrapa przetrwała okupację, powstanie warszawskie i w nienaruszonym stanie doczekała końca wojny, prezentując się dumnie na tle potrzaskanego niemieckimi i sowieckimi bombami Śródmieścia, obróconego w kwartały gruzów.

Julia uznała, że niełatwo bez dogłębszych studiów stwierdzić, czy przedwojenni mieszkańcy miasta dali się nabierać na tę pompatyczną propagandę. Z jej punktu widzenia ważniejsze było, że w 1935 roku przy skrzyżowaniu Nowego Świata z Alejami Jerozolimskimi, przed siedzibą banku, vis-à-vis popularnej mleczarni Nadświdrzańskiej, postawiono makietę bomby, a pod nią spotykali się młodzi ludzie. Jak się okazuje, także jej pradziadkowie się tam umówili, choć z listu wynikało, że do spotkania

ostatecznie nie doszło. Zachęcona sukcesem Julka podziękowała w duchu za trywialną z pozoru poradę z forum, mówiącą, że poznanie epoki jest kluczowe dla rozszyfrowania treści.

Zadowolona z siebie wstała i przeciągnęła się. O dziwo, pierwszą rzeczą, jaka jej przyszła do głowy, był telefon do dziadka. Chciała mu się koniecznie pochwalić swoim najnowszym odkryciem.

1935

Poldek poderwał się z łóżka kompletnie nieprzytomny, lecz wystarczyło parę minut, żeby zaczął jako tako funkcjonować. W końcu młody organizm ma niemal nieskończone możliwości regeneracji. Ku własnej uldze nie spotkał ojca, gdy zbiegł na śniadanie. W jadalni zastał jedynie matkę. Dorotka właśnie szła w stronę kuchni, więc tylko przywitała się z bratem w przelocie.

– Dzień dobry, ojciec gdzie? – zapytał.

– Śpi jeszcze – odparła sucho Eleonora, zaciskając usta, jakby w obawie, że niepotrzebnie powie coś jeszcze.

– Chory? – przestraszył się Poldek. Na co dzień nie miał zbyt wielu ciepłych myśli dla rodzica, lecz przywykł go traktować jak niezniszczalną opokę i zwyczajnie nie wyobrażał sobie, że ojciec mógłby się źle poczuć.

– Nic mu nie będzie – odparła matka. – Jedz. Jajka już całkiem zimne – dodała z wyrzutem.

– Janka też nie ma? – zdziwił się chłopak, sięgając po kromkę chleba.

– Już w pracowni. Od pół godziny – Eleonora mówiła cicho, lecz z wyraźną przyganą.

– Przepraszam, mam, czytałem do późna... – wyznał uczciwie. Dobrze wiedział, że jego matka ma słabość do książek.

– Cóż takiego?

– *Więźnia na Marsie* – odparł, patrząc z rozbawieniem, jak matka mruga zdumiona.

– Cóż to za dziwaczna lektura, synu? – zapytała z zaniepokojeniem.

Poldek tylko na to czekał. Wyjął zza pazuchy niewielki tomik i położył go na stole. Eleonora wzięła go do ręki i pośliniwszy palec, otworzyła okładkę.

– Niech mama uważa na tę książkę, pożyczył mi ją ojciec jednej panny – rzucił nierozważnie Poldek.

– Panny? – natychmiast podchwyciła matka z nagłym błyskiem w oku. Chłopaka nieustannie dziwiło, jak bardzo jej zachowanie zmieniało się, gdy ojca nie było w pobliżu i nie przytłaczał tej wątłej kobiety.

– A jednej znajomej. Nikt, kogo by mama знаła – odparł nonszalancko, po czym poderwał się zza stołu. – Na mnie pora. Dobrego dnia, mamó.

Wychodząc z jadalni, zdążył jeszcze zauważyć, że Eleonora ostrożnie kartkuje powieść, po czym ponownie skupia się na pierwszej stronie. Chwilę później Poldek wbiegł do zakładu, gdzie powitało go pełne dezaprobaty cmoknięcie majstra Blumana.

– Szkoda, żeś w południe nie zawitał, panie hrabio – powiedział z przekąsem, potrząsając wybrylantynowaną fryzurą. – Chodź, dzisiaj będziesz dalej ćwiczył wykroj. Ojciec nalega, żebyś niedługo się zajął pracą mistrzowską. Ja tam uważam, że za wcześnie. Nawet czeladnik z ciebie jeszcze marny, ale zrobimy, co będzie trzeba.

Jeśli Mosze miał nadzieję, że zagra tym chłopakowi na ambicji, to srogo się przeliczył. Poldek nie wyglądał na przejętego. Właściwie, zamiast skupić uwagę na tej dyscyplinującej rozmowie, wodził oczami po maszynach do szycia za plecami majstra. W końcu dojrzał to, czego szukał, uśmiechnął się pod wąsem i bez słowa ominął zwierzchnika. Stary krojczy odwrócił się i z westchnieniem rezygnacji obserwował chłopaka podchodzącego do szwaczek.

– Jak to dobrze, że już nie jestem młody! – mruknął do siebie i poszedł w stronę granitowego stołu do wykrojów. – Przejdzie mu. Niedługo. Ale wcześniej Malinowski mnie ze skóry obedrze. – Bluman, nie przestając utyskiwać, sięgnął po ogromne nożyce i wymownie ciachnął nimi parę razy powietrze na wysokości własnego nosa.

Tymczasem Poldek, poinstruowany poprzedniego dnia przez brata, rażnym krokiem podszedł do Michalikówien siedzących przy sąsiednich maszynach Singera. Pierwsza zauważyła go Staśka. Uniosła głowę i rozpromieniła się jak słończko. Chłopak odwzajemnił uśmiech. Wiedział od Janka, że to ona uknuła tę intrygę, a jej ciepła reakcja świadczyła, że zamierzała dobrze odegrać swoją rolę.

– Dzień dobry, panno Stasiu – powiedział, z trudem powstrzymując się od filmowej manieri podpatrzonyj u Eugeniusza Bodo. – Ładny dziś dzień,

prawda?

– Bardzo ładny, panie Poldku – odparła dziewczyna, siląc się na powagę. Wiedziała, że chłopak ma szczerą intencję, lecz nic nie mogła poradzić, że ledwie powstrzymała parsknięcie śmiechu, gdy podszedł do niej, przęcąc się niczym kogut w kurniku. I to, że durzyła się w nim bez pamięci, nie miało teraz znaczenia. Pomimo młodzieńczych porywów serca Staśka była dziewczyną mocno stąpającą po ziemi, a do tego niepozobawioną humoru i z dużym dystansem do świata i do siebie.

– Doszły mnie słuchy, że się panny wybierają dzisiaj na zabawę? – Poldek, ku własnej rozpacz, coraz mocniej wchodził w rolę i nie mógł tego powstrzymać. Oczami wyobraźni już się widział, jak mruga porozumiewawczo do kamery i teatralnie podnosi brew. Miał ochotę ze wstydu zapaść się pod ziemię.

– Owszem, wybieramy się – odparła Stasia. Poldek wyobraził sobie, że siedzi przed nim Tola Mankiewiczówna. Nawet fryzurę miała podobną, o zalotnym uśmiechu nie wspominając.

– Wybieramy się? – Do rozmowy wtrąciła się Basia. Wodziła zdumionym spojrzeniem od siostry do młodego Malinowskiego.

– Owszem, wybieramy się! Razem – potwierdziła Stasia, kładąc szczególnie nacisk na ostatnie słowo.

– Zatem postanowione – ucieszył się Poldek, w ostatniej chwili powstrzymując się od teatralnego klaśnięcia w dłoń. – O której i gdzie mamy przyjechać po panny?

– Nie ma potrzeby, panie Poldku, spotkamy się na miejscu. Pan Janek wie, gdzie to jest. Potańcówka zaczyna się o czwartej.

– Co tu się właśnie wydarzyło? – syknęła do siostry Baśka, gdy młody Malinowski oddalił się dostojnie niczym paw.

Staśka tylko nachyliła się nad maszyną i zaśmiała cicho.

Poldek wyszedł przed pracownię z rękoma w kieszeniach. Oparł się o ścianę, naciągnął daszek czapki na oczy i zaczął wygrzewać się w porannych promieniach słońca.

– Weźmiesz się w końcu do roboty, wałkoniu?

Chłopak podskoczył do góry i zobaczył krojczego. Mosze stał rozeźlony, trzymając się pod boki, i patrzył złym wzrokiem.

– Już idę, panie majster – powiedział potulnie. – Sprawy musiałem załatwić.

– Dam ci ja sprawy! – zrzędził Bluman. – Nic nie mówiłem, gdy dałeś nogę z warsztatu, obijałeś się przez ostatnie dni tak, że jakbyś nie był synem właściciela, wywaliłbym cię na zbity pysk, ale jak teraz zaczynasz mi szwaczki bałamucić, to ci mówię, żebyś natychmiast przestał.

– A jak nie, to co? – Poldek spojrzał wyzywająco.

– Ojcu powiem – odparł krótko Bluman.

– Tego majster nie robi! – przestraszył się chłopak.

– Jeśli nie przestaniesz dziewcząt zaczepiać, to jak Boga kocham, powiem!

– Przecież pan majster w żadnego Boga nie wierzy – wyrwał się głupio Poldek.

– Bo pejsów i chałata nie noszę? – roześmiał się krojczy, dając się odwieść od zasadniczego tematu rozmowy. – A ty krzyżyk na szyi masz?

– Niech się majster nie gniewa, ja tylko tak...

– Jazda mi do środka, odrysujesz kciuki pod wykroje. Tego może nie spartolisz. I pamiętaj! Od szwaczek mi wara! – pogroził palcem.

– A dlaczego pan majster tak ich broni?

– Baśki Michalikówny mi się nie czepiaj, nie dla ciebie ona, tylko dla... – Mosze uciął.

– Toż przecież ja nie dla siebie! To spisek taki, żeby się z Jankiem na zabawie spotkała. Nie wiedziałem, że brat się panu majstrowi zwierzał.

– Niczego więcej ode mnie smarkaczu nie wyciągniesz – burknął Bluman.

– O jakiej zabawie mówisz?

– Tańce jakież. Na Czerniakowie. Nic takiego – machnął ręką Poldek.

– Uważajcie na siebie. Różni tam mieszkają.

– Się wie, panie majster!

Kolejne godziny upływały Poldkowi na żmudnej, powtarzalnej pracy, która kompletnie go nie interesowała. Choć z szacunku dla majstra Blumana usiłował wykrzesać z siebie choćby odrobinę entuzjazmu, co chwilę łapał się na tym, że jego myśli odpływają gdzieś daleko. Co jakiś czas zerkał na wiszący nad drzwiami zegar mozolnie odmierzający minuty, jakie pozostały do wolności.

Plusem sobotniej pracy było to, że mógł wyjść po pierwszej i nie myśleć o tym miejscu aż do poniedziałkowego świtu. Czekala go zabawa w towarzystwie brata. Obecność sióstr Michalikównien też mogła się okazać

bardzo sympatycznym akcentem wieczoru, a wyprawa na Czerniaków miała posmak egzotycznej wycieczki.

Poldek nie zapuszczał się w tamte regiony, a za Czerniakowską chyba jeszcze nigdy nie był. Z tego, co rozumiał, była to rodzinna okolica sióstr. Dzielnica nie cieszyła się dobrą renomą. „Ludzie z dołu”, jak zwykli się nazywać jej mieszkańcy, wyraźnie izolowali się od reszty, mieli jakiś własny kodeks honorowy i odcinali się od górnego Mokotowa, nierzadko wyrażając się pogardliwie o bardziej zamożnych sąsiadach. Tamci w większości mieli znacznie wyższy status materialny, a do tego w wymiarze zupełnie przyziemnym, topograficznym, mieszkali na górze skarpy wiślanej, która w umowny sposób dzieliła mieszkańców Warszawy właśnie na tych z dołu i tych z góry.

– Poldek! Patrz, co robisz! – wrzasnął mu nad uchem jakiś głos, sprawiając, że ciężkie nożyce z hukiem upadły na kamienny blat. W pierwszej chwili myślał, że to krojczy znów go obsztorcowuje, ale zaraz zrozumiał, że to jego brat Janek, udatnie udając głos Moszego, stoi przed nim i nabija się do rozpuku.

– Chcesz, żeby mi serce stanęło? – rozeźlił się.

– Stary poszedł na przerwę. Dawaj te nożyce, raz-dwa wytniemy i będziesz miał fajrant – odparł pogodnie Janek, łapiąc za ciężki przedmiot bez wysiłku, jakby ważył tyle co nic.

Poldek z niechętnym podziwem patrzył na smukłe dłonie brata pracujące szybko, z wyraźną wprawą. To, co w wykonaniu starszego z braci wyglądało jak nierówna walka z powierzoną płachtą skóry, w rękach Janka zmieniało się niemal w artyzm. Próbując nieporadnie go naśladować, Poldek dla odmiany skupił się na robocie i choć daleko mu było do wprawy Janka, i tak poszło mu znacznie sprawniej niż poprzednio. Pół godziny później całkiem udatne wykroje leżały w zgrabnym stosiku, a resztki niezużytej skóry starannie zebrali do dalszego wykorzystania na lamówki i elementy ozdobne. W zakładzie Apoloniusza Malinowskiego nic się nie mogło zmarnować.

– Dziękuję – szepnął z wdzięcznością Poldek.

Janek tylko mrugnął porozumiewawczo i zniknął za belami różnokolorowych skór leżących w schludnych stosach za stanowiskiem krojczych. Sprzątając z zadumą miejsce pracy, Poldek zrozumiał, że największym plusem całej tej intrygi z zabawą na Czerniakowie było to, że

po dłuższym czasie udało mu się odzyskać więź z młodszym bratem. Może jeszcze świeżą i kruchą, lecz przecież bardzo obiecującą. Przynajmniej zaczęli ze sobą rozmawiać i mieli wspólne tajemnice. Poldek postanowił, że nie pozwoli ojcu tego zniszczyć. Niezależnie od tego, co stary Malinowski miał w głowie, oni z Jankiem przecież nie muszą tańczyć tak, jak on im gra. Co innego otwarty bunt, a co innego zakulisowe działania, w myśl zasady „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek”.

– No! Zuch-chłopak! – cmoknął z uznaniem Mosze Bluman, gdy wrócił z przerwy. – Widzisz? Wystarczy tylko chcieć!

– Mogę już iść, panie majster? – przymówił się chłopak z błagalną miną.

– Idź, nicponiu! – roześmiał się. – I baw się dobrze wieczorem.

– Dziękuję, panie majster!

Poldek wyskoczył z pracowni. Być może Janka zaprzętała wyłącznie wieczorna poczwórna randka, lecz on miał do załatwienia wcześniej znacznie ważniejszą sprawę. Myśląc o niedzielnym spotkaniu z Heleną, przebrał się pospiesznie z roboczych ubrań, po czym pobiegł w stronę Tamki. Czekąło go dobre dwadzieścia minut szybkiego marszu aż za Ogród Saski, lecz postanowił niczego nie pozostawiać przypadkowi. Jutrzejszy dzień miał być perfekcyjny i pozbawiony niespodzianek.

Już wcześniej znalazł w repertuarze kin najciekawszy jego zdaniem seans, na jaki można było zabrać po południu dziewczynę, i zamierzał zawczasu kupić bilety. W kinie Capitol na Marszałkowskiej grali jutro o ósmej wieczorem *Małego pułkownika* z małą, słodką dziecięcą aktorką Shirley Temple, którą kochał absolutnie cały świat. Poldek uznał, że lepiej się nie mogło złożyć.

Mógł oczywiście kupić bilety jutro przed seansem lub zarezerwować telefonicznie, lecz wolał je trzymać w garści. Tak jakby to miało mu zagwarantować, że i całą resztę ma pod kontrolą. Wspinając się Tamką w stronę Śródmieścia, powrócił myślami do poprzednich rozważań na temat ludzi z dołu i z góry. Zaintrygowało go, co mieszkańcy z Czerniakowa sądzą o przynależności terytorialnej rodziny Malinowskich. Jakby się tak zastanowić, część ulicy Solec, przy której mieszkali, wciąż znajdowała się pod skarpą, na Powiślu, jednak od eleganckiego Śródmieścia było zaledwie pięć minut spacerem, podczas gdy tamci, odsunięci od miasta, dla reszty mieszkańców górnej Warszawy byli kimś w rodzaju biednych, niechcianych wyrzutów sumienia, którym wprawdzie

trzeba zapewnić opiekę dzielnicowego, a ich dzieci posłać do państwowych szkół powszechnych, jednak niekoniecznie się z nimi bratać. Trochę się jednak zmieniało. Sielce i Czerniaków rozrastały się, w okolicach Łazienek budowano nowe eleganckie domy, do których sprowadzali się „tamci z góry”. Ludność zaczynała się ze sobą mieszać terytorialnie, co nie znaczy, że wyrównywały się różnice w statusie materialnym. Czerniaków wciąż pozostawał zagłębieniem biedy dla Mokotowa, tak jak Śródmieście patrzyło z góry na bliskie Powiśle, gdzie mieszkał Poldek. Chłopak po namyśle uznał, że pomimo znacznej odległości pomiędzy Czerniakowem i Powiślem, rozciągającymi się wzdłuż lewego brzegu Wisły, jemu wciąż było bliżej sercem do ludzi z dołu.

Szedł Nowym Światem, nieustannie zachwycając się eleganckimi wystawami, samochodami i wielkomiejskim klimatem. Musiał się przebić do Marszałkowskiej i przez chwilę kusilo go, żeby odrobinę nadłożyć drogi i przejść Zgodą, tuż obok antykwariatu pana Małeckiego, lecz nie chciał się przypadkowo spotkać z Helą. To znaczy oczywiście właśnie o tym marzył, lecz wolał nie sprawiać wrażenia, że nachodzi dziewczynę. Skoro byli umówieni na jutro, nie należało niczego w tym planie zmieniać. Z pewnym żalem skręcił dopiero w Świętokrzyską, a potem Marszałkowską pognął w stronę kina Capitol. Godzinę później był znów na Powiślu, a bilety z miejscówkami na parterze widowni, po złoty siedemdziesiąt pięć groszy każdy, czekały na swoją chwilę w skórzanym portfelu.

Konrad Werner zerknął w stronę mniejszej sypialni swojego mokotowskiego apartamentu. Miał spory problem i była najwyższa pora, żeby to w końcu przyznać. Postanowił, że zanim się z tym zmierzy, musi się napić mocnej kawy. Było zbyt wcześnie, żeby zejść do jedynej w okolicy kawiarni, więc po starannej toalecie w łazience, która mogłaby z powodzeniem znaleźć się w żurnalach o modnych wnętrzach, mężczyzna poszedł do kuchni. Równie nowoczesnej jak reszta mieszkania.

Nowoczesne lokum nieustająco go cieszyło. A najbardziej to, że kupił je za własne, zarobione w filmie pieniądze, tym samym symbolicznie zrywając zależność finansową od ojca. Ulgi, jaka temu towarzyszyła, nie

dało się porównać z niczym innym, a fakt, że z ojcem utrzymywał poprawne relacje, nic do tego nie miał.

Ojciec Konrada, hrabia Karol Werner, był człowiekiem wykształconym, reprezentującym z godnością dawne tradycje polskiej arystokracji, których trzymał się kurczowo, nie przyjmując do wiadomości, że świat się zmienia, a dobre urodzenie to już żaden powód do dumy. W środowisku jeszcze nie tak dawno pogardzanych przemysłowców arystokracja skurczyła się do nieco zabawnego reliktu przeszłości, a dwory szlacheckie i posiadłości ziemiańskie już od pewnego czasu zamieszkiwali fabrykanci oraz inni bajecznie bogaci ludzie szeroko rozumianej finansjery. Przy ich ogromnych pieniądzach arystokratyczne tytuły już dawno wyblakły, przestały mieć znaczenie, a nowi bogacze, jeszcze nie tak dawno usiłujący pieniędzmi wkraść się w łaski arystokracji, zwyczajnie zaczęli tworzyć swoją własną wyższą warstwę.

Właśnie tej przemiany obyczajowej w wyższych sferach stolicy hrabia Karol Werner nie raczył w swym dostojeństwie zauważać. Konrad musiał uczciwie przyznać, że przy tym wszystkim ojciec był człowiekiem bogobojnym, uczciwym, zaangażowanym w pomoc społeczną najuboższym i całkiem sprawnie pilnował swoich interesów przy wsparciu oddanych zarządców. Co nie zmieniało faktu, że czynił to wszystko z piedestału dumy człowieka lepiej urodzonego, za jakiego zwykł się uważać. Odsunawszy na bok nimb boskości i nieuzasadnioną pychę, hrabia Karol okazywał się bardzo dobrym i lojalnym ojcem oraz mężem.

Matka Konrada, oczywiście również z arystokratycznym rodowodem, zmarła na gruźlicę, gdy chłopak miał osiem lat. To zbyt młody wiek, by mógł w pełni zrozumieć, co utracił, lecz wystarczająco, by pamiętał. Długo nie mógł wybaczyć ojcu, że ten ożenił się ponownie, choć trzeba uczciwie przyznać, że hrabia wychodził z żałoby przez ładnych kilka lat, zanim postanowił wrócić do życia. Konrad z macochą nigdy nie miał żadnych zatargów. Nie mógł mieć. Śliczna jak z obrazka Klara, Niemka skoligacona z polską arystokracją z Wielkopolski, była królową lodu. Może nawet nie tyle lodu, co obojętności. Fascynowała Konrada i, co tu dużo mówić, nieraz zdarzało mu się w środku nocy gasić samodzielnie żar własnego ciała na wspomnienie jej pięknej twarzy i zniewalająco zgrabnej sylwetki. Trudno mu się dziwić. Miał prawie czternaście lat, a ona niespełna dwadzieścia.

Szybko urodziła syna, Ignacego, lecz również w stosunku do niego potrafiła wykrzesać z siebie jedynie uprzejmą obojętność. Często siadała w ogrodzie mokotowskiej willi na swojej ulubionej ławce i z zadumą wpatrywała się w kaskady wodne nieobecny wzrokiem.

Jeśli ojcu taki stan rzeczy przeszkadzał, nigdy nie dał tego po sobie poznać. Małżonkę otaczał czcią, niczym nierzeczywistą, ulotną boginię, lecz nie frapowała go jej małomówność. Może nawet był zadowolony, a porcelanowa lalka dobrze pasowała do jego bogatej kolekcji rzeźb i bibelotów.

Mały Ignacy był oczywiście oczkiem w głowie ojca, radością średniego wieku i dowodem na nieprzemijającą witalność. Konrad jako spadkobierca stał, rzecz jasna, zawsze na pierwszym miejscu, lecz może właśnie dlatego Ignasz otrzymywał od ojca wyłącznie ciepło. Wobec niego hrabia nie miał oczekiwań, więc przelawszy ciężar sukcesji na starszego syna, młodszego traktował z pobłażliwością. Z czasem zaczęło to oznaczać tyle, że małemu należało we wszystkim ustępować. Jedenastoletnia różnica wieku też nie grała na korzyść Konrada.

Gdy Ignacy miał osiem lat, a Konrad kończył szkołę kadetów i zgodnie z życzeniem ojca miał zaczynać karierę w wojsku, Klara nagle, po raz pierwszy w życiu, obudziła się ze swojego marazmu i wykazała zainteresowanie otaczającym ją światem. Ruch turystyczny w Polsce przeżywał prawdziwy rozkwit, a podróżowanie dla czystej przyjemności zwiedzania świata stało się modnym zajęciem wśród wyższych sfer. Klara niezmordowanie śledziła atlasy i zaczytywała się we wspomnieniach podróżników. Najpierw ciągnęła ojca na wycieczki w Tatry, skąd przywoziła rozliczne pamiątki w postaci poroży jeleni i wypchanych zwierzątek. Ekspozyty szybko zapełniały pokoje mokotowskiej willi, lecz dla Klary to był dopiero początek. Nawiązała korespondencję z członkami Szwajcarskiego Towarzystwa Alpejskiego i wkrótce namówiła hrabiego Karola na alpinizm.

Z każdym rokiem apetyt Klary na świat stawał się coraz większy, więc obok zakopiańskiego poroża pojawiły się masajskie bębenki z Kenii, figurki z kości słoniowej przywiezione z Namibii oraz mnóstwo pamiątek z Indii i obu Ameryk. W ciągu pięciu lat małżonkowie zdołali zjeździć sporą część świata, a Klara przy okazji afrykańskich safari zaraziła się bakcylem polowania. Jej zdjęcia w tropikalnym stroju koloru khaki

i ze sztuczerem przewieszonym przez ramię zdołały biurko w praktycznie nieużywanym gabinecie ojca. Mokotowska willa podczas wielomiesięcznych podróży swoich gospodarzy stała pusta, nie licząc okrojonej obsady służby dbającej o czystość, a mały Ignasz dorastał pod niezbyt czujnym okiem kolejnych wychowawców w szkołach z internatem. Z rodzicami widywał się czasami w święta, jeśli udało im się na czas wrócić z wojaży, i w wakacje, które Klara organizowała gdzieś za granicą. Pomysły spędzenia rodzinnego urlopu w którymś z podwarszawskich lotnisk kwitowała lekceważącym wzruszeniem ramion i parsknięciem śmiechu. Efekt był taki, że czteroosobowa rodzina istniała wyłącznie w teorii. Obaj synowie, pozostawieni sami sobie, dorastali na własną rękę, szukając autorytetów i wychowawców.

O ile w przypadku Konrada rozstanie z ojcem nie było bolesne, bo przecież był już prawie dorosły, o tyle z pewnością musiało wpłynąć na Ignasia. Jego starszy brat mógł się tego tylko domyślać, ponieważ pochłonięty własną karierą nieczęsto znajdował czas, żeby odwiedzić przyrodniego w internacie. Gdy już do tego dochodziło, chłopiec witał się niespecjalnie wylewnie, na pytania odpowiadał półsłówkami i nawet pojedynczym uśmiechem nie kwitował dobrego obiadu w Ziemiańskiej czy czekolady u Wedla ani innych atrakcji, jakie Konrad przy takich okazjach dla niego organizował. Nawet z kina wychodził nieporuszony, nie dając się wciągnąć w dyskusję na temat filmu.

Z czasem spotkania stawały się krótsze, a Ignacy coraz bardziej nieobecny. Gdy wszedł w wiek dojrzenia, zaczął mieć problemy z emocjami.

– Zdaje pan sobie sprawę, że Ignacy ponownie pobił kolegę z klasy? – zapytał Konrada dyrektor internatu.

Łysiejący mężczyzna siedział za biurkiem w swoim gabinecie i wpatrywał się w Konrada. Ten poczuł się nieswojo. Przyjechał do brata z niedzielną wizytą, po raz kolejny w zastępstwie rodziców, i niemal od drzwi zaproszono go na spotkanie ze zwierzchnikiem placówki. Gabinet sprawiał ponure wrażenie, ciężkie draperie w oknach dodatkowo pogłębiały panujący tu półmrok. Na szarej ścianie wisiał ogromny krzyż z ciemnego drewna, obok gołdo państwowe, a jeszcze dalej portret marszałka Piłsudskiego.

– Nie wiedziałem – odparł Konrad. – Jednakże cóż ja mogę? W pierwszej kolejności należałoby zawezwać ojca.

– Wielokrotnie pisałem do hrabiego Wenera, lecz zawsze bez odpowiedzi – westchnął dyrektor.

Konrad oczami wyobraźni ujrzał stosik nieotwartej korespondencji leżącej na biurku ojca w zamkniętej na głucho willi na Mokotowie. Zgodnie z jego najlepszą wiedzą ojciec aktualnie zwiedzał wyspy Morza Śródziemnego i wróci nie wcześniej niż za kilka miesięcy.

– Nadal nie pojmuję, cóż ja mógłbym...

– Będę szczery. Jeśli nic się nie zmieni, będę zmuszony wydalić Ignacego z naszej placówki.

– Jestem przekonany, że to nie będzie konieczne – odparł pośpiesznie Konrad. – Porozmawiam z nim. Może jakoś przemówię mu do rozumu. To dobry chłopak, tylko pewnie się trochę pogubił. Nasi rodzice...

– Znam sytuację pańskiej rodziny – westchnął dyrektor. – Wiem też, że na spotkanie z hrabią Wenerem lub jego szanowną małżonką raczej nie ma co liczyć.

– Zatelegrafuję po nich.

– I być może za kilka miesięcy pojawią się porozmawiać z Ignacym. Niestety, lecz to rozwiązanie nie odpowiada... – dyrektor się zawahał – drugiej stronie konfliktu.

– Z kim tym razem Ignacy się pobił? – zapytał Konrad, przeczuwając najgorsze.

Nie pomylił się. Ofiarą agresji jego młodszego brata tym razem okazał się syn jednego z ważniejszych sanacyjnych pułkowników. Chłopak w wyniku starcia z Ignacym stracił ząb, na szczęście jeden z bocznych, i miał solidnie podbite oczy. Sprawa zrobiła się nieprzyjemna i właściwie polityczna. Oczywiście Konrad nie znał szczegółów, lecz doszły go słuchy, że jeden z donatorów szkoły, bliski kręgom władzy, oświadczył, że dalsze finansowe wspieranie szacownej placówki jest uzależnione od poziomu bezpieczeństwa jej uczniów. Słowem, Konrad powinien jak najszybciej zabrać brata ze szkoły.

Nie mając specjalnie wyboru, poszedł za radą dyrektora i zawiózł Ignasia do placówki o zaostrzonym rygorze i drylu wojskowym. Brat po raz pierwszy od dawna przerwał milczenie i błagał, żeby go tam nie odsyłać, ale Konrad był bezradny. Gdy za młodym zatrzasnęły się szkolne podwoje,

on czuł się tak, jakby pękło mu serce. Nie potrafił zrozumieć okrucieństwa obojętności, z jaką ojciec z macochą traktowali dzieciaka. Jeszcze tego samego dnia napisał do ojca długi, brutalnie szczery list, w którym zarzucał mu brak zainteresowania synem, niefrasobliwość, z jaką podchodził do życia, a także to, że zrzucił mu na głowę odpowiedzialność za Ignasia, a on się o to ani nie prosił, ani nie posiadał odpowiednich umiejętności, by się z tego należycie wywiązać.

W podsumowaniu zawarł nadzieję, że ojciec w końcu wpłynie na matkę chłopca, żeby jednak otworzyła serce dla swojego jedynaka.

Inaczej – napisał Konrad – chłopak stoczy się, a wina będzie spoczywać wyłącznie na Was. Wychowawca chłopca, nauczyciel niemłody, przez co doświadczony w obcowaniu z trudnymi uczniami, wyznał mi w poufnej rozmowie, iż podobne przypadki biorą się z tego, że dziecko usiłuje skupić na sobie uwagę. Innymi słowy, drogi ojczy, Ignacy broi z tęsknoty. Ma nadzieję, że kolejne wybryki skłonią ojca do powrotu. A gdy fortel zawodzi, uznaje, że kolejne wykroczenie winno być jeszcze poważniejsze, gdyż poprzednie nie zrobiło odpowiedniego wrażenia. Jakiej tragedii trzeba, żeby ojciec przerwał wojażę i zajął się swym młodszym synem?

Konrad wiedział, że jego śmiały list musi odpowiednio wstrząsnąć rodzicami, więc wysłał go natychmiast po napisaniu, bojąc się, że gdy ochłonie, może stchórzyć. Zgodnie z jego oczekiwaniami w tym samym tygodniu przyszedł krótki telegram, w którym hrabia Karol Werner informował o rychłym powrocie, jeszcze w tym samym miesiącu. Słowa dotrzymał. Zjawili się z Klarą w kwietniu i natychmiast pojechali odwiedzić Ignacego.

Wrócili sami, co wprawilo Konrada w osłupienie. Macocha z obojętną miną ściągała długie kremowe rękawiczki, a ojciec wyszedł na otoczony marmurowymi tralkami taras. Przechadzał się w tę i z powrotem pomiędzy terakotowymi donicami, w których kiełkowały już sprowadzane przez Klarę z Holandii najdroższe odmiany białych tulipanów z czerwonymi przebarwieniami. Hrabia palił papierosa i co jakiś czas nerwowo przeczesywał dłonią włosy. Konrad obserwował to w milczeniu. Nie

naciskał ojca na zwierzenia, tylko czekał cierpliwie, aż ten sam zacznie mówić.

– Wychowawca przekonał nas, że zabieranie chłopaka w połowie semestru nie ma sensu – powiedział w końcu Werner, a Konrad nie mógł się pozbyć wrażenia, że usiłuje przekonać przede wszystkim siebie. – W czerwcu Ignasz kończy gimnazjum i wówczas przeniesiemy go do jednego z warszawskich liceów, gdzie już będzie pobierał nauki, dojeżdżając z domu.

– Jak on się miewa? – zapytał cicho Konrad.

– Kto? – zapytał zaskoczony hrabia. – A! Ignacy? Chyba dobrze, nie skarżył się na nic. Natomiast Klara... – Karol Werner zaciągnął się papierosem, a potem z rezygnacją machnął ręką. – Klara, gdy usłyszała, że koniec z naszymi wozami, przestała się do mnie odzywać.

Konrad pomyślał złośliwie, że pewnie ukarze małżonka na wiele innych sposobów, choćby zamykając przed nim drzwi sypialni, lecz oczywiście nie powiedział ani słowa. Czuł narastające przygnębienie. On wprawdzie krótko, lecz miał prawdziwą matkę, która nie skąpiła mu zainteresowania. Cóż z tego, że matka Ignacego żyła, skoro nie posiadała ludzkich uczuć?

Zgodnie z przewidywaniami Konrada, Klara przekabaciła ojca. Jeszcze w tym samym miesiącu ruszyli na podbój świata.

– Wrócimy najdalej w czerwcu, gdy rok szkolny będzie się kończył – obiecywał hrabia przed odjazdem. – Chłopak skończy liceum w warszawskim Batorym. Raptem dwa lata – dodał, jakby sobie samemu chciał dodać w ten sposób otuchy.

Wiosna wybuchła gwałtownie, podobnie jak kariera Konrada. Grając bez wytchnienia od rana do nocy, nie miał nawet czasu pomyśleć o bracie. Otrzeźwienie przyszło w połowie czerwca, gdy zamiast oczekiwanego powrotu ojca i Klary na adres mieszkania Konrada przyszedł telegram wyjaśniający w lakonicznych słowach, że rodzice utknęli w Afryce, a przez niepokoję w Abisynii oraz knowania Mussoliniego ich powrót się opóźni.

Chcąc nie chcąc, Konrad pojechał do szkoły z internatem i odebrał brata. Zachowanie Ignacego zmroziło go wówczas jeszcze bardziej niż wtedy, gdy buntował się przeciwko wszystkiemu. Urósł sporo. Miał już szesnaście lat, oczy patrzyły na Konrada stalowo i beznamiętnie. Wojskowy dryl sprawił, że chłopak trzymał się prosto, miał sprężyste kocie ruchy, a usta zaciśnięte w wąską kreskę. Odnosił się do wszystkich arogancko, o ojcu mówił

z lekceważeniem. Zaczął się też mądrzyć na tematy polityczne i zdradzać chorobliwe przywiązanie do władz. O osobie zmarłego miesiąc wcześniej marszałka Piłsudskiego mówił w pełnych czci słowach, na granicy bałwochwalstwa.

Nie mając lepszego pomysłu, Konrad zabrał brata do siebie. Kupił biurko i wszelkie niezbędne pomoce naukowe, urządził Ignacemu pokój w gościnnej sypialni, a później upewnił się, że na chłopaka rzeczywiście czeka od września miejsce w liceum Batorego. Na całe lato zabrał go ze sobą nad morze, gdzie ekipa kręciła nową komedię, a gdy sezon się zakończył, wrócili do stolicy ukochanym torpedo Konrada.

Trzy tygodnie temu rozpoczęła się nauka, ale już tydzień wystarczył, żeby Konrad został wezwany przez dyrektora na rozmowę. Ignacy wagarował, lekcewał nauczycieli, źle odnosił się do kolegów. Ponieważ awantura, jaką urządził smarkaczowi po powrocie do domu, nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, Konrad postanowił dać mu areszt domowy, a żeby nie uciekał ze szkoły, codziennie go zawoził i po lekcjach odbierał. Coraz bardziej poirytowany, słał telegramy do hoteli, w których ojciec przebywał ostatnio wraz z Klarą, lecz bez żadnego odzewu.

Konrad nalał sobie kawy do filiżanki i zapatrzył się w okno kuchenne na urocze prostokątne podwórko. Przywodziło na myśl geometrycznie rozplanowaną, unowocześnioną wersję ogrodów wersalskich, z urokliwymi ścieżkami otulonymi równo przyszyżonymi żywopłotami. To ono przesądziło o zakupie mieszkania na pierwszym piętrze. Wprawdzie daleko stąd było do Śródmieścia, lecz Konrad wolał dojazdy niż uliczny gwar oraz szarą ciasnotę podwórek studni. Tutaj miał ciszę i spokój. Jego mieszkanie, znajdujące się w ostatnim domu zabudowy kolonii, graniczyło z łąkami. Z salonu wychodziło się do loggii z widokiem na bezkresną zieleni. Gdzieniedzie wciąż pasły się krowy. Sielskość połączona z wygodami nowoczesnego mieszkania były dokładnie tym, czego mężczyzna potrzebował. Dodatkowy atut stanowiła bliskość willi ojca. Choć, jak widać, nie na wiele się to przydawało. Ojciec i Klara przepadli jak kamień w wodzie. Od czerwca nie udało się nawiązać żadnego kontaktu. Postanowiwszy, że trzeba sprawą zainteresować władze, Konrad odstawił filiżankę na stół kuchenny, po czym poszedł oddać się niewdzięcznemu zajęciu, jakim było budzenie Ignacego.

ROZDZIAŁ 9

Czerniaków i Sielce stanowiły ostatni bastion warszawskiej cywilizacji. Obszar zaczynał się u podnóża skarpy, czyli tam, gdzie kończył się elegancki Mokotów. Z drugiej strony dzielnicy nie ograniczało już właściwie nic, oprócz łąk siekierkowskich i terenów fortu. Zdawałoby się, że to iście sielankowa okolica, jednak wszechobecne ubóstwo, bardzo złe warunki życia i nie najlepsza higiena sprawiały, że im dalej w głąb Czerniakowa, tym robiło się mniej przyjaźnie. Malownicze łąki w pewnej mierze rekompensowały te niedogodności. Poldek patrzył na nie jak urzeczony. Dopiero teraz, gdy opuścił szarość brukowanego Solca, zrozumiał, jak bardzo jego oczom brakowało zieleni. Na co dzień, żyjąc w miejskiej dżungli, człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo łąknie natury. Zieleni kojącej oczy i sprawiającej, że się zwalnia, zaczyna zastanawiać nad różnymi sprawami. Zdumiewające, ale choć ta okolica znajdowała się raptem piętnaście minut marszu lub kilka przystanków tramwajowych od pracowni Malinowskich, Poldek nie był tu chyba nigdy. A przynajmniej sobie nie przypominał. Zawsze gdy ruszał z domu, czy to do szkoły, czy załatwiać jakieś sprawy dla ojca, szedł w stronę Śródmieścia. Zawsze w górę skarpy.

– Coś tam zobaczył? – roześmiał się Janek, przystając tuż obok brata.

– A nic, ładnie tu.

– Tylko dlatego tak mówisz, że tu, na wysokości koszar nie masz zabudowań od strony Wisły – roześmiał się Janek. – Dalej już tak pięknie nie jest, ale fakt, wystarczy wyjść za ostatnie zabudowania od strony Wisły i dalej tylko przyroda.

Janek miał rację. Zabudowa obu pierzei ulicy Czerniakowskiej nie wyglądała bardzo zachęcająco. Kamienice były znacznie niższe, pomiędzy nimi coraz częściej pojawiały się wiejskie chałupy.

– Gdzie ta zabawa? – zapytał Poldek. Targały nim sprzeczne emocje. Z jednej strony nastawiał się na przyjemny wieczór, z drugiej marzył tylko

o tym, żeby ten dzień dobiegł końca, by mógł się jutro jak najszybciej spotkać z Heleną.

– Cierpliwości. Jeszcze parę minut spacerem. Niedaleko jest park Sielecki. Tam się umówiliśmy.

Poldek spojrzał na brata, który poruszał się po okolicy z wprawą stałego bywalca, więc jemu nie pozostawało nic innego niż zdać się na przewodnika. Z jakiejś przyczyny wyobraził sobie, że zabawa odbędzie się na malowniczych, nadwiślańskich łąkach, lecz gdy dotarli na miejsce, zrozumiał, jak naiwne i niepraktyczne było jego myślenie.

Teren długiego i raczej wąskiego parku Sieleckiego wyznaczało starorzecze. Choć odsunięte od rzeki kilka kilometrów, dawało pojęcie, jak blisko skarpy przebiegało niegdyś koryto Wisły. Owo jezioro przyrzeczne wraz z wysepkami stanowiło lokalną atrakcję. W pogodne dni można było popływać łodzią i podziwiać pozostałości ogromnych ogrodów angielskich, jakie na tych terenach założył niegdyś Stanisław August Poniatowski.

Na głównym skwerze ustawiono podest dla kapeli, a obok zбитy z surowych desek parkiet przystrojony różnokolorowymi papierowymi girlandami. Kilka stolików, prowizoryczne ławki i bar z beczkami piwa dopełniały całości wystroju. Z kuchni polowej dochodziły zapachy grochówki na wędzonce i gotowanych serdelków.

Popołudnie było dość ciepłe, raczej słoneczne, więc zabawa zapowiadała się dobrze. Siostry Michalikówny czekały w umówionym miejscu. W kwiecistych sukienkach wyglądały świeżo i uroczo.

– Spóźniliśmy się? – zapytał niespokojnie Janek, odruchowo zwracając się do Stasi, która tego wieczoru uchodziła za jego oficjalną partnerkę.

– Skądże – odparła dziewczyna. – To my przyszliśmy wcześniej, żeby panowie tu sami nie chodzili. Zabawa zabawą, ale to są jednak Sielce. Krewkich, chętnych do bitki sąsiadów tu nie brakuje, a tak wiedzą, że jesteśmy razem.

Poldek stał obok, uśmiechając się głupkowato. Nie bardzo wiedział, czego oczekuje od niego brat i Stasia. Baśka, podobnie jak on, milczała, ale nie potrzeba było wielkiej wnikliwości, by się domyślić, że obecność Janka robiła na niej piorunujące wrażenie. Co chwilę, jakby nie mogąc się powstrzymać, zerkała na niego, a gdy chłopak coś mówił, wpatrywała się w niego jak w obraz.

– Napijemy się czegoś, zanim kapela zacznie grać? – Poldek w końcu oprzytomniał i zwrócił się do dziewcząt.

Stasia patrzyła na niego z nieodgadnioną miną, natomiast w Janka jakby nowe życie wstąpiło. Spojrzał na Basię i po raz pierwszy, odkąd przyszli, zwrócił się bezpośrednio do niej. Banalna uwaga o pogodzie musiała na niej wywrzeć ogromne wrażenie, bo przytaknęła gorliwie, po czym ujęła Janka pod rękę. Nie oglądając się na resztę towarzystwa, poszli w stronę baru.

– Mam wrażenie, panie Poldku, że nasze pary nas wystawiły do wiatru – roześmiała się Stasia.

– Jeśli nie pogardzi pani zastępstwem, jestem do usług – odparł szarmancko chłopak, lecz niemal natychmiast zawtórował jej śmiechem. – Ale ich wzięło! A ja głupi o niczym nie miałem pojęcia!

– Nie tylko o tym – wyrwało się rozmarzonej Stasi, lecz natychmiast umilkła spłoszona.

– Co ma pani na myśli?

– Oczywiście to, że pan Janek wielokrotnie odprowadzał Basię po pracy – dodała prędko, celowo pomijając swój udział w tych nadwiślańskich spacerach. Tak wiele kosztowało ją zachowanie zimnej krwi przy Poldku, że właściwie najchętniej uciekłaby z zabawy i schowała się w mysiej dziurze. Dla niej sytuacja była podwójnie trudna, ponieważ musiała udawać spokój zarówno przed siostrą, jak i chłopakiem, w którym od miesięcy była nieprzytomnie i bez wzajemności zakochana. Cała ta mistyfikacja wiele ją kosztowała.

Zabawa rozkręcała się w szybkim tempie. Do parku ściągало coraz więcej ludzi. Poldkowi nie umknęło, że nieopodal zebrała się grupka młodych mężczyzn. Stali w zwartym kręgu, popijali piwo prosto z butelek, a co jakiś czas któryś łypał w ich stronę spod kraciastej czapki z daszkiem. Janek, wpatrzony w Basię, kompletnie tego nie zauważał. Dla tych dwojga czas jakby się zatrzymał, gdy rzucili się w wir tańców.

– A ci co tak się na nas gapią? – szepnął Poldek do Stasi.

– Nie wiem – zełgała dziewczyna. Zaczynała żałować, że namówiła synów Malinowskiego na tę zabawę. W grupce lokalnej ferajny zauważyła dwóch młodszych Prusickich, braci Robala, którego zamordował Bolek. Jeden z nich, kędzierzawy blondyn, właśnie energicznie gestykułował, tłumacząc coś kompanom. Słowa skutecznie zagłuszała głośna muzyka.

– Zatańczymy? – zapytał Poldek, spoglądając na wypełniony wirującymi parami parkiet.

– A może lepiej się przejdziemy? Taki tu hałas, że mnie głowa rozbolała. Obok jeziora jest bardzo przyjemnie – zaproponowała.

Chciała z nim zostać sam na sam i porozmawiać w spokoju, lecz przede wszystkim myślała o tym, żeby dyskretnie usunąć się braciom Prusickim sprzed nosa. Z jakiejś przyczyny kompletnie nie interesowali się Basią ani Jankiem, więc o nich była spokojna.

– Możemy się przejść, czemu nie – zgodził się Poldek, odstawiając na ladę baru niedopity kufel piwa. – Hałas tu straszny, też chętnie od tego odpocznę.

Stasia poprowadziła chłopaka w boczną alejkę. Na ławkach siedzieli jacyś ludzie, lecz kompletnie nie zwracali na nich uwagi. Za pierwszą linią krzewów Stasia odetchnęła z ulgą. Zaczynało zmierzchać, pod nogami chrzęścił żwir alejki, a tuż obok rozciągało się malownicze jezioro. Spokojnej wody nie marszczył nawet pojedynczy podmuch wiatru, a wszystkie łodzie spacerowe już dawno przybiły do przystani.

– Całe życie mieszkam w Warszawie, a nie miałem pojęcia o istnieniu tego parku – przyznał Poldek. – Ciekawe, co jeszcze mnie ominęło w najbliższej okolicy.

– Och, myślę, że wiele – odparła. – Miasto rozrasta się z roku na rok, a nawet i bez tego ma swoje tajemnice. Słyszał pan o tajnym podziemnym tunelu pod Wisłą, który ciągnie się spod Cytadeli aż na praski brzeg?

– Słyszałem, ale ile w tym prawdy?

– Tego nie wiem – stropiła się, jakby powiedziała coś niemądrego.

– Oczywiście nie mówię, że to niemożliwe. – Poldkowi zrobiło się głupio.

– Rosjan stać na wszystko, a siedzieli tutaj na tyle długo, że mogli się zdobyć na coś podobnego. Tajna droga ucieczki na wschód brzmi całkiem sensownie.

– Teraz to podobno inna Rosja. Mówią, że komunizm jest sprawiedliwy dla robotników i daje szansę na godne życie zwykłym ludziom – rozmarzyła się Stasia.

– Ja bym ruskim za bardzo nie ufał – odparł Poldek.

– Pan jest za sanacją? Nie popiera pan socjalistów? – zdziwiła się dziewczyna.

– Prawdę mówiąc, panno Stasiu, ja sam nie wiem, kogo popieram. – Rozłożył bezradnie ręce. – Chyba nie jestem za żadnymi. Ojciec mówi, że nieważne, pod jakim sztandarem, ruscy zawsze będą naszymi wrogami. Walczył w dwudziestym roku pod Radzyminem, więc trudno mu się dziwić, że nie darzy bolszewików sympatią. Mówił, że są jeszcze gorsi od carskich, bo pozbawieni honoru żołnierza. Ile w tym prawdy, nie wiem. Ale nie psujmy sobie miłego spaceru rozmowami o wielkiej polityce – zmiętył się. – Panie mieszkają nieopodal tego parku? – zapytał z miłym uśmiechem.

Dziewczyna zdecydowanie zyskiwała przy bliższym poznaniu. W przeciwieństwie do wielu panien pracujących w pracowni ojca ona nie śmiała się głupio, wstydliwie zasłaniając dłonią usta, nie wodziła za nim cielęcym wzrokiem, a do tego dało się z nią normalnie porozmawiać. W innym przypadku, gdyby jego głowy nie wypełniały szczelnie marzenia o czarnowłosej Helenie, z pewnością mógłby się zainteresować złotowłosą Stasią o szczerych, błękitnych oczach. Na dziewczynę patrzyło się z przyjemnością i jego zdaniem stanowiła znacznie ciekawszą kompanię niż cicha, mimozowata Basia. Poldek widział oczywiście, że siostry są do siebie bardzo podobne, lecz i tak nie mógł zrozumieć, co brat dostrzegł w Basi. Jego zdaniem lepiej pasowałaby do niego rezolutna, energiczna i niedająca sobie dmuchać w kaszę Stasia. Ale przecież serce nie sługa.

– Mieszkamy niedaleko, ale nie chciałby pan zwiedzać naszego sąsiedztwa – odparła Staśka, nawet nie kryjąc goryczy. – Zaniedbane kamienice, brudne uliczki, gdzieś tam wyszynki ze śpiącymi na chodnikach pijakami. A do tego problemy z bieżącą wodą i podciągnięty na dziko do mieszkań prąd, bo miasto nie wpadło na to, że mieszkańcy mogą go potrzebować.

– Nie myślała pani, żeby się stąd wyprowadzić? – indagował.

– Bo to raz, panie Poldku? Tylko dokąd? I za co?

Chłopak chciał powiedzieć, że przecież zarabia u jego ojca, lecz ugryzł się w język. Ostatnią rzeczą, o jaką można było podejrzewać Apoloniusza Malinowskiego, była hojność dla pracowników.

– Rozumiem – odparł zdawkowo.

Na chwilę zapadło milczenie, rozpraszane jedynie cichym chrzęstem zwirowej alejki. Zaczynało się robić coraz później, a nieliczne latarnie nie rozjaśniały dostatecznie coraz gęstszych ciemności.

– Wracajmy. Pana brat i Basia pewnie się zastanawiają, gdzie jesteśmy – powiedziała dziewczyna.

– Wracajmy – zgodził się Poldek, po czym przystanął strapiony. – Tylko nie bardzo wiem, w którą stronę – przyznał ze wstydem. Przez ostatnie minuty nie zwracał uwagi na to, dokąd wędrują, klucząc pomiędzy kolejnymi alejkami.

– Nie szkodzi – odparła Stasia, siląc się na powagę. Ta bezradna wersja młodego Malinowskiego wydała jej się jeszcze bardziej urocza i pociągająca niż chłopak, którego widywała na co dzień w pracy. Z każdą chwilą zakochiwała się w nim coraz mocniej, co przerażało i jednocześnie wprowadzało ją w euforię. – Na szczęście znam ten park jak własną kieszeń.

– Ciekawe, jak tam nasze gołąbeczki – mruknął pod nosem Poldek.

Fakt, że spacerując z nią sam na sam po mrocznym parku, chłopak myśli przede wszystkim o bracie i Basi, nie nastrojał optymistycznie. Stasia postanowiła nie tracić czasu na ponure rozmyślenia. Zastanawiała się, czy związek siostry z Jankiem ma jakieś szanse. Zdumiewała ją łatwość, z jaką Poldek zaakceptował uczucie tych dwojga, lecz Stasia była pewna, że ze starym Malinowskim już by tak łatwo nie poszło. Znając życie, chciał dla obu synów co najmniej księżniczek z bajki.

– Myślę, że doskonale obyją się bez nas, ale i tak pora wracać – powiedziała.

Doskonale orientowała się w terenie, o czym świadczyło to, że w miarę jak szli, narastały dźwięki muzyki. Kapela dawała z siebie wszystko, a zabawa chyba już wchodziła w fazę kulminacyjną. Stasia i Poldek mieli przed sobą kilkadziesiąt kroków do końca alejki, gdzie rozciągała się oświetlona lampionami polanka.

– Michalikówna! I ty tam, frajerze ciężki! – rozległ się za ich plecami męski głos.

– Nie zwracajmy uwagi – szepnęła dziewczyna. – Chodźmy.

– Głuchy jesteś, frajerze? – odezwał się intruz ponownie.

Stasia wzięła Poldka pod rękę i delikatnie pociągnęła. Na widok jednego z Prusickich zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

– To tylko głupie zaczepki – perswadowała, lecz męska duma oczywiście wygrała. Poldek zatrzymał się i uspokajająco poklepał dziewczynę po dłoni.

Odwrócił się błyskawicznie. Przed nim stał najwyżej piętnastoletni wyrostek, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– O co ci chodzi? – Poldek starał się, żeby pytanie zabrzmiało w miarę ugodowo, lecz i tak rozjuszyło intruza.

– Co, frajerze? – zarechotał. – Cykor cię obleciał? Czego tu po nocy wieszysz? I to jeszcze z Michalikówną? – wymawiając nazwisko dziewczyny, chłopak splunął z pogardą.

– Pytam po dobroci, czego chcesz, ale zaraz moja cierpliwość się wyczerpie – ostrzegł go Poldek.

Intruz zrobił wyrok i podniósł pięści na wysokość piersi. Schylił głowę raz w lewo, raz w prawo, rozciągając mięśnie. Ewidentnie szykował się do bijatyki i nic nie mogło go od niej odwieść. Poldek westchnął z rezygnacją i wyszedł dwa kroki przed Stasię.

– Przecież to tylko głupi dzieciak – bagatelizowała dziewczyna. – Chodźmy stąd. Przy ludziach nie odważy się nas zaczepiać.

– Zamknij się, durna dziwko! – wrzasnął histerycznie wyrostek.

– Coś ty powiedział? – Poldek uniósł pięści i podszedł jeszcze o krok. – Odszczekaj to, gnojku, bo nie ręczę za siebie!

– Nie napinaj się, frajerze! Zaraz się za ciebie zabiorę! – zagroził szczeniak. – Ty dobrze wiesz, jak jest, Michalikówna: oko za oko, ząb za ząb. Twój brat zabił mojego, więc ja się wezmę za twojego frajera. Dziewczyn nie wypada łać, a braci już żadnych nie masz.

– O czym ten typ mówi? – Zdumiony Poldek odwrócił się w stronę Staśki.

– Uważaj! – krzyknęła dziewczyna. Młody Prusicki wykorzystał moment nieuwagi i rzucił się z pięściami na przeciwnika. Poldek zablokował cios, po czym wyprowadził precyzyjny sierpowy. Wyrostek padł jak długi na żwirową alejkę. Nie mógł wiedzieć, że jego przeciwnik trenował w szkole boks. Wprawdzie przez rok utracił nieco refleksu, ale nadal potrafił skutecznie się obronić.

– Chodźmy stąd! – zarządził Poldek. Podszedł do Stasi i objął ją w pasie. Chciał jak najszybciej opuścić ciemną alejkę. – Co to za jeden? – mruknął pod nosem. – Myślę, że jest mi pani winna wyjaśnienie, ale to już może w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Tyle że takie nie nastąpiły. W ciągu następnych sekund wypadki potoczyły się błyskawicznie. Młody Prusicki ocknął się, poderwał z ziemi i wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy. Podbiegł z impetem do

odchodzącej pary. Zaskoczony Poldek odwrócił się do niego, wciąż obejmując w pasie dziewczynę, która chcąc nie chcąc okręciła się wokół chłopaka, także stając oko w oko z napastnikiem.

– Giń frajerze! – wrzasnął wyrostek, biorąc zamach nożem.

W tej samej chwili Staśka rzuciła się, żeby osłonić Poldka. Nie była wiele niższa od Poldka, więc przeznaczony dla niego cios ugodził ją prosto w serce. Nawet nie zdążyła jęknąć. Osunęła się na ziemię z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia w oczach.

– Stasia! – krzyknął zrozpaczony Poldek, przerywając nienaturalną ciszę, w jakiej rozegrał się przed chwilą dramat. Padł na kolana obok umierającej dziewczyny i nie wiedząc, co ma robić, zaczął wzywać pomoc.

Młody Prusicki stał poblady, z drżącą brodą. Z niedowierzaniem spojrzął na zakrwawiony nóż, a później na dziewczynę. Upuścił sprężynowiec i zaczął uciekać najszybciej, jak potrafił.

Doktor Michał Gutman z ociąganiem wstał zza biurka. Nie znosił wracać do domu w piątki po południu. Zawsze prosił administratora, by tak ustalał rozkład pracy na oddziale, żeby Michałowi przypadły dyżury nocne z piątku na sobotę, lecz tym razem nic z tego nie wyszło. Profesor potrzebował jego asysty przy niedzielnym zabiegu, więc nalegał, żeby do tego czasu Michał wypoczął. Osobiście interweniował w tej sprawie u administratora, więc nie dało się zaprotestować.

Po czwartej doktor odwiesił na haczyk swój fartuch, założył jesionkę i kapelusz, po czym wolnym krokiem opuścił gmach szpitala. Uznawał to miejsce za bardziej przyjazne od rodzinnego domu, więc właśnie tutaj najchętniej spędzał czas. Jedynym pocieszeniem było to, że matka się ucieszy z jego obecności na szabacie.

Michał całkowicie odrzucał istnienie bóstw pod każdą postacią, a wszelkie uroczystości religijne omijał szerokim łukiem. Do bożnicy też nie chadzał, ku wiecznemu niezadowoleniu dziadka. Zresztą właśnie jemu zawdzięczał ostateczny rozbrat z religią. Zwyczajnie spora część nauk do tego stopnia kłóciła się z tym, jak na co dzień postępowali wierni, że Michał nie miał zamiaru żyć w podobnej hipokryzji. Wykształcenie też nie pomagało posłusznie wierzyć w zawarte w księgach nauki. Nieraz

zarzucano mu, że skoro odszedł od wiary, to z pewnością jest komunistą. Tak jakby nie istniały inne możliwości. Od czasu gdy zbuntował się przeciwko religijnej tresurze, dziadek przestał się nim zupełnie interesować, choć nigdy nie przepuszczał okazji do uszczypliwości.

Szumł Gutman nie był złym człowiekiem, a przynajmniej za takiego się nie uważał. Z perspektywy czasu Michał widział to tak, że istotnie, złych intencji może nie miał, jednak despotyzm i niezachwiane przekonanie, że wyznawane przez niego wartości są jedynymi słusznymi na świecie, zamieniały życie rodziny w ciągły koszmar. Odkąd zmarła babcia Hajga, mieszkali w czwórce – Michał, jego rodzice Sara i Jakub, a także dziadek Szumł.

Często gdy dorośli ludzie wracają myślami do dzieciństwa, ich twarze rozpływają się w nostalgicznych uśmiechach. Michał podobnych odczuć nie miał, a do wspomnień wracać nie lubił. Jego życie stało się znośne dopiero wtedy, gdy przerósł wiecznie pijanego ojca o głowę. Wcześniej była wyłącznie przemoc, awantury, posiniaczona matka i kiwający ze zrozumieniem głową dziadek Szumł. Zwykł mawiać, że Bóg wie, co robi, a pobitą córkę podnosił na duchu pouczeniami z Talmudu. Czy próbował dyscyplinować zięcia? Tego Michał nie wiedział. Koszmarne wspomnienia zacierały się w jego pamięci, a on nie próbował przywracać im wyrazistości.

Pasmo udręki skończyło się, gdy Michał po raz pierwszy stanął w obronie matki. Chwycił pijanego ojca za ubranie i z całej siły odepchnął. Jakub niczym szmaciana lalka poleciał na ścianę, a ta niezapomniana chwila uzmysłowiła zarówno ojcu, jak i synowi, że status najsilniejszego mężczyzny w rodzinie został ustalony na nowo i na zawsze. Skończyło się bicie Sary, skończył się terror dziadka Szumła, a Jakub od tego dnia znaczył dokładnie tyle, co powinien, czyli zupełnie nic. Zyskał należny status pijaczka, którego odtąd nikt nie miał traktować poważnie. Oczywiście dziadek podjął próbę prawienia kazań o miejscu mężczyzny w rodzinie, ale zbiegło się to w czasie z sukcesami finansowymi, jakie przedsiębiorcza Sara zaczęła odnosić w handlu na Kercelaku. Od czasu, gdy syn stanął w jej obronie, a ona mogła wyjść między ludzi bez wstydu, że ma posiniaczoną twarz, jej strefa wpływów powiększała się z roku na rok. W końcu nawet i dziadek Szumł zamknął się wreszcie, wykalkulowawszy, że nie należy zadzierać z główną żywicielką rodziny. Szczególnie że jego zięć Jakub

nawet już przestał udawać, że szuka uczciwej pracy. Zadowolony się dorywczą pracą tragarza dla pobliskich kupców, zarabiając dokładnie tyle, ile potrzebował na pijaństwo.

Z każdym pokonanym krokiem w Michale narastała chęć, żeby zawrócić. Ostatnim, na co miał ochotę, była piątkowa wieczerza otwierająca szabat. Jak na zawołanie pamięć przywołała wspomnienie z dzieciństwa. Odświętany stół, zapalone świece, dziadek z poważną miną recytujący kidusz nad kielichem wina, ojciec łakomie spoglądający na ów trunek, posiniaczona matka podająca półmiski z mięsem i rybami. Dzielenie się chałką w tych okolicznościach wydawało się małemu chłopcu nieporozumieniem.

Trudno się więc dziwić, że Michał wracał do domu z ociąganiem. Nic nie uświadamiało mu aż tak mocno, że tkwi w pułapce, jak obrzędy szabasowe. Nieraz próbował namówić matkę, żeby wyprowadzili się we dwoje i w końcu zaznali w życiu spokoju. Stać by ich było. Matka zarabiała krocie, a pensja Michała też swobodnie by wystarczyła na wynajęcie wygodnego lokum. Ale Sara nie chciała o tym słyszeć. Mawiała, że jej miejsce jest w domu, przy mężu, natomiast Michał powinien zacząć żyć na własną rękę i w końcu się wyprowadzić. Tyle tylko, że gdyby to zrobił, Jakub pewnie znów zacząłby się posuwać do rękoczynów. I właśnie w ten sposób Sara była zakładnikiem obyczajowości każącej jej tkwić przy żalonym mężu i patriarchalnym ojcu, a Michał był zakładnikiem matki, bojąc się pozostawić ją na pastwę tych dwóch.

Helena kręciła się po niewielkiej kuchni dwupokojowego mieszkania mieszczącego się na tyłach antykwariatu. Nie było tu zbyt wiele miejsca, lecz mogła się schronić przed całym światem. Po zamknięciu lokalu i zgaszeniu świateł zaplecze stawało się prawdziwym domem, do którego nie miał dostępu nikt oprócz niej i ojca. Jeśli chcieli gdzieś wyjść, mieli do dyspozycji drzwi od podwórza. Dzięki temu nie ryzykowali, że do środka poza godzinami pracy antykwariatu wtargnie niespodziewany klient.

Większy pokój z kąciakiem jadalnym, na który nie było miejsca w kuchni, stanowił wraz z rozkładaną sofą królestwo Józefa Małeckiego. Jakby nie dość miał książek przez cały dzień, także i tutaj przez długość ściany

ciągnęły się półki z pedantycznie poustawianymi woluminami. Tych zbiorów nie widywał żaden klient. Stanowiły osobisty skarb antykwariusza, w części odziedziczony po ojcu.

Mniejszy pokój zajmowała Helena, lecz próżno by tu szukać pensjonarskich bibelotów i romantycznych akcentów. Proste, pościelone po żołniersku łóżko, biurko pod oknem wychodzącym na wiecznie spowite mrokiem podwórko studnię, a także regał z książkami, niewielki blaszany model fordka K i album z wszystkimi wycinkami na temat motoryzacji, jakie tylko dziewczyna zdołała znaleźć. Najcenniejsze zdobycze, czyli kolorowe ryciny kilku modeli samochodów, wkleiła na pierwszych stronach.

– Co tam dobrego gotujesz? – Józef Małecki zajrzał do kuchni i z lubością pociągnął nosem. – Czulent? – ucieszył się.

– Czulent – potwierdziła Hela. – Może ojciec już nakrywać do stołu.

W ich małym dwuosobowym gospodarstwie nie było podziału na tradycyjne role męskie i kobiece. Małecki wychowywał córkę sam, więc do czasu, gdy zaczęła się usamodzielniać, a także pomagać w domu, to on sprzątał, gotował i niańczył dziewczynkę, jednocześnie prowadząc antykwariat. Gdy obsługiwał klientów, niemowlę leżało obok lady w wózku, a gdy Helena podrosła, siedziała przy specjalnie dla niej skonstruowanym, niskim stoliku, zawzięcie rysując kolorowymi kredkami. Lata mijały, dziewczynka poszła do szkoły powszechnej, do której ojciec ją odprowadzał, a po południu odbierał. Niewzruszenie odwracał tabliczkę na drzwiach z godzinami otwarcia na niepozostawiający wątpliwości napis „zaraz wracam”. Cokolwiek robił Małecki, zawsze towarzyszyła mu Hela. Życzliwe sąsiadki nieraz doradzały mu, żeby się ożenił, że dziecko potrzebuje kobiecej ręki, lecz antykwariuszowi było dobrze i nie zamieniłby swojego życia z córką na nic innego.

– A z gotowaniem nie chcesz pomocy? – zapytał Małecki, patrząc z dumą na jedynaczkę krzątającą się z wprawą przy garnkach.

– Poradzę sobie, niech ojciec odpocznie, zaraz podam. – Helena zdmuchnęła z czoła kosmyk i wsypała więcej gałki muszkatołowej do czulentu.

Stosunek Heli do kuchni, a zwłaszcza do potraw narodowych, mógłby przyprawić o palpitacje serca niejedną ortodoksyjną żydowską panią domu i przy okazji połowę katoliczek z kościoła Świętego Krzyża na Nowym Świecie, do którego chodziła wraz z ojcem. Helena za nic miała tradycje,

więc czulent, który wedle zasad należało przyrządzić w piątek, by nie używać ognia w czasie szabat, gotowała, kiedy tylko jej się o tym przypomniało, więc na przykład właśnie w szabat, a przy okazji dorzucała do niego produkty uznawane przez wyznawców wiary mojżeszowej za trefne, jak na przykład smalec wieprzowy. Z drugiej strony potrafiła zaserwować w czasie wigilii katolickiej żydowskie latkes, czyli placki ziemniaczane z musem jabłkowym i cynamonem, a zamiast świec zapalić chanukije, małe lampki oliwne, podarowane jej przez ciotkę Sarę. Oczywiście już po tym, gdy podzielili się z ojcem opłatkiem i zjedli tradycyjny barszcz z uszkami. Czasem zamiast uszek były pielmieni, według przepisu pewnej ukraińskiej kumoszki z Kercelaka.

Hela zwyczajnie nie zważała na żadne konwenanse, brała z życia to, co jej odpowiadało, i kompletnie nie przejmowała się, co ludzie mogą o niej pomyśleć. Jej wyrozumiały, kochany ojciec tylko temu przyklaskiwał, a gdyby się głębiej nad tym zastanowił, uznałby pewnie, że w jego własnym domu spotyka się wszystko to, co różnorodni mieszkańcy Warszawy mieli sobie nawzajem najlepszego do zaoferowania.

– Ojcze! Gotowe! – wrzasnęła Helena, podnosząc ciężki garnek z czulentem.

Zaniosła go na stół. Ojciec wprawdzie nakrył do stołu, ale teraz drzemał w fotelu z okularami zsuniętymi do połowy nosa. Na kolanach leżała nieodłączna książka. Dziewczynę ten widok rozczulił. Gdyby nie fakt, że lekarz kazał antykwariuszowi regularnie się odżywiać, pewnie dałaby mu spokój. Lecz ojciec powinien zjeść kolację. Zanim lekko potrząsnęła go za ramię, pocałowała go w czoło.

ROZDZIAŁ 10

Poldek wielokrotnie czytał na kartach powieści, że jakiś bohater trwał w stuporze. Wiedział, że chodzi o rodzaj odrętwienia spowodowanego strasznymi przeżyciami, ale dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo osobliwy to stan.

Wszystko, co działo się wokół, docierało do niego, jakby był pod wodą, głosy, choć wyraźne, brzmiały niczym ze zbyt wolno puszczanej płyty gramofonowej. W uszach czuł pulsowanie, dokładnie w rytmie głośno walącego serca. Obserwował wszystko, lecz nie potrafił się zdobyć choćby na pojedynczy gest. Klęczał obok Stasi, tępo wpatrzony w jej woskową twarz, zastygłą w grymasie bólu. Ktoś krzyczał mu do ucha, chyba zadawał jakieś pytania, lecz Poldek zwyczajnie nie umiał się przedrzeć przez tę dziwną kurtynę i zdobyć na odpowiedź.

W pewnym momencie poczuł, że z dwóch stron jacyś ludzie podnoszą go pod ramiona. Starał się współpracować, lecz ugięły się pod nim kolana. Dłonie chwyciły go mocniej i niemal zaciągnęły na ławkę stojącą nieco na uboczu, tyłem do makabrycznego widoku zwłok. Już siedząc, Poldek oddał się refleksji, jak niewiele czasu i uczynków dzieli żywego człowieka od ciała leżącego bez życia i absorbującego swoim kłopotliwym stanem wszystkich wokół. Chłopakowi przyszło do głowy, że w żadnym momencie życia człowiek nie wywołuje takiego poruszenia jak po śmierci. Zwłaszcza tak gwałtownej i w młodym wieku.

Stasia będzie jeszcze przez wiele tygodni żyła na ustach rozemocjonowanych sąsiadów, opowiadających jej tragiczną historię. Przybędą do tej opowieści nowe barwne szczegóły, aż urośnie romantyczna legenda, o której być może ułoży balladę jakaś kapela. Tyle tylko, że nie było romantycznej historii, a zwyczajne, banalne zabójstwo. Poldek w końcu się poruszył. Niemal bezwiednie nachylił się i zatopił twarz w dłoniach.

Absurdalny ciąg myśli przerwał natarczywy głos napływający z lewej strony.

– Poldek! Poldek! Co tu się stało? – Janek prawie krzyczał mu do ucha.

Poldek z wysiłkiem odwrócił głowę i spojrzął na brata. Chciał odpowiedzieć na pytanie, lecz sine usta tylko drżały, nie mogąc sformułować słów. W tej samej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk. Basia. Musiała zobaczyć zwłoki siostry.

Janek poderwał się z ławki i pobiegł do niej. Poldek powoli się odwrócił. Tylko na tyle, żeby zobaczyć, jak jego brat mocno obejmuje dziewczynę, a lewą dłonią przyciska jej głowę do ramienia tak, żeby nie mogła patrzeć na Stasię.

Kilka godzin później, leżąc w łóżku z szeroko otwartymi oczami, Poldek wciąż nie mógł zrozumieć, jak to jest możliwe, że pełna życia dziewczyna ot tak leży teraz w swojej kwiecistej, uwalanej krwią sukience, bez ruchu, w ciemnościach, na twardej desce gdzieś na komisariacie albo w kostnicy. Nie miał pojęcia, dokąd ją zabrali. Wyobraził sobie światło księżyca wpadające do wnętrza przez zakratowane okienko i oświetlające sine usta na woskowej twarzy. Ostatnim, co Poldek zapamiętał, były szeroko otwarte, niebieskie oczy. Jakby porcelanowe, zastygłe w wyrazie bólu, a może też zdumienia. Miał nadzieję, że ktoś zamknie Stasi powieki.

Nie mogąc usnąć, Poldek wstał i nie zapalając światła, podszedł do okna. Musiało być już bardzo późno, bo wszędzie panowały ciemności nieco tylko rozpraszane mdłą poświatą przesłoniętego chmurami księżyca. Chłopakowi przywidziało się, że zobaczył w odbiciu szyby martwą twarz Stasi, więc odskoczył jak oparzony. Stłumił dłonią wrywający się z gardła krzyk i pospiesznie wrócił do łóżka. Wiedział, że nie uśnie, więc włączył lampkę. Sięgnął w stronę szafki, żeby wziąć pożyczoną od pana Małeckiego powieść, ale przypomniał sobie, że dał ją matce. Westchnął z rezygnacją i położył się na wznak. Wydarzenia wieczoru, wciąż tak świeże, nie chciały odejść, a niechciane obrazy bezustannie przesuwwały mu się przed oczami.

Przypomniał sobie, że prędko pojawił się stójkowy, później inni stróże prawa. Kazali gapiom się odsunąć. Do rozpaczającej i mdlejącej na zmianę Basi wezwano karetkę, która zabrała ją do szpitala. Janek chciał jechać wraz z nią, lecz mu nie pozwolono. Poldek pamiętał, że gdy ją zabierali, pomyślał, że może to i lepiej. Tutaj nie daliby jej spokoju. Niepomny faktu,

że to on był celem napaści, Poldek martwił się o bezpieczeństwo drugiej z sióstr. Nieletni czy nie, morderca wciąż pozostawał na wolności. Być może przerażony własnym czynem schował się w jakiejś dziurze, ale nie dało się wykluczyć, że znów czai się za rogiem. Poldkowi przeszedł po plecach dreszcz.

Dalsza część wieczoru była równie koszmarna. Gdy zapakowano zwłoki dziewczyny, policjanci kazali mu iść na posterunek. Tym razem Janek nie dał się spławić i choć serce wyrywało mu się do biednej, opuszczonej Basi, poszedł za bratem w stronę policyjnego samochodu.

Z posterunku chłopak niewiele pamiętał. Zadawali mu pytania, insynuowali, że z dziewczyną łączyło go coś więcej, że może to on pchnął ją nożem z zazdrości. W którymś momencie pojawił się ojciec. Teraz, gdy o tym myślał, podejrzewał, że to Janek skłonił policjantów, by po niego zatelefonowali.

Apoloniusz Malinowski miał nieprzeniknioną twarz. Nie spojrzął na Poldka nawet przelotnie, lecz od razu przystąpił do ataku na policjantów.

– Nie macie prawa przetrzymywać tutaj chłopaka – warknął. – A jeśli zaraz go nie puścicie, obudzę zaprzyjaźnionego mecenasa, który wam to wyjaśni dobitnie i nie będzie zadowolony, że ktoś mu przerywa odpoczynek.

– Pana syn jest świadkiem – zaproponował jeden z funkcjonariuszy.

– A być może też podejrzanym! – dodał piskliwie drugi.

Malinowski obrzucił mikrogo policjanta pełnym pogardy spojrzeniem.

– Ech, wy...! – westchnął z politowaniem. – Widać, żeście takie tępe łby i nawet dwu do dwóch nie umiecie dodać.

Obydwaj funkcjonariusze poruszyli się niespokojnie, lecz nie odpowiedzieli. Nie wiedzieli, kim tak dokładnie jest rzemieślnik i kogo zna. Może miał w rodzinie wojskowego? Lepiej nie zadzierać z ludźmi, którzy mogą mieć koneksje. Dla zwykłego stójkowego nic dobrego z tego wyniknąć nie może.

– Obejrzał któryś z was, geniusze, dłonie chłopaka? Przecież gdyby ugodził dziewczynę, byłyby powalane krwią.

– Wytrzeć mógł! – pisnął ponownie niższy z policjantów.

– W łeb się pan puknij! Chłopak opisał wygląd zbrodniarza, więc zajmijcie się jego łapaniem, a nie oskarżaniem niewinnego!

Pomijając upiorne tło, Poldek patrzył ze zdumieniem, ale i z przyjemnością na ojca, który choć nadal nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, walczył o niego jak lew.

– Ale przesłuchać musimy! – zaprotestował drugi policjant. – Jutro, na dziewiątą.

– Na pierwszą po południu i nawet minuty wcześniej – odparł z godnością Malinowski, gładząc poły surduta.

– Niedziela jutro, wcześniej sprawy trzeba załatwić!

– A idź ty, taki owaki! W niedzielę do kościoła się chodzi! – rozsierdził się stary. – A może mam mecenasowi szepnąć, że utrudnia się wierzącemu chłopakowi praktyki religijne?

– Niech będzie pierwsza po południu – poddał się policjant.

Poldek wyszedł za ojcem z komisariatu. Przed wejściem czekała dorożka. Apoloniusz wsiadł do niej, nawet nie oglądając się na synów. W tym wszystkim było coś krzepiącego, jakiś stały punkt życia, rodzaj emocjonalnej podpory. Co by się nie działo, stary Malinowski będzie się z godnością przemieszczał staromodną dorożką.

Janek trącił Poldka w ramię, ponaglając, by wsiadł jako następny. Posłuchał bez szemrania. Podczas drogi powrotnej na Solec ojciec nie odezwał się do synów nawet słowem, a gdy przybyli na miejsce, odesłał ich gestem do domu, a sam mruknął coś do dorożkarza, który zaciął konia batem i pojechał brukowaną ulicą w stronę Tamki.

Chłopcy stali przez chwilę, nasłuchując tętentu kopyt i stukotu kół dorożki w uśpionym wąwozie ich rodzinnej ulicy. Wreszcie, gdy nastąpiła kompletna cisza, poszli w głąb mrocznej bramy, prowadzącej na podwórze. W warsztacie było zupełnie ciemno, lecz przed kamienicą paliła się niewielka lampka, wskazująca drogę do drzwi wejściowych. Dystans na czwarte piętro Janek z Poldkiem pokonali w milczeniu. Właściwie od chwili opuszczenia posterunku nie padło ani jedno słowo.

Rozstali się pod drzwiami pokoju Poldka. Janek klepnął go krótko w ramię i poszedł do siebie.

Teraz, gdy Poldek leżał w łóżku z szeroko otwartymi oczami, zaczęły do niego docierać szczegóły. Dotąd skupiony na własnych przeżyciach, nie zastanowił się nawet nad tym, jak musiał czuć się Janek. Rozdzielili go z ukochaną, nie pozwolili jechać do szpitala. Poldek nawet nie miał pewności, czy brat wiedział, gdzie ją zabrali. Poza tym wprawdzie to

starszy z braci był świadkiem zbrodni na Stasi, lecz Janek musiał znać ją lepiej. A już na pewno bliżej. W końcu była rodzoną siostrą dziewczyny, do której, jak się okazuje, zalecał się od dłuższego czasu.

Dwie nagłe myśli uderzyły Poldka, aż chłopak usiadł gwałtownie w pościeli. Dlaczego Stasia rzuciła się w jego obronie? Dlaczego zasłoniła obcego w gruncie rzeczy człowieka własnym ciałem? Do Poldka z nagłą mocą dotarł sens tego wszystkiego. Stasia oddała za niego życie. Gdyby nie jej tragiczna ofiara, to on leżałby teraz nieruchomo na desce, z sinymi ustami, być może oświetlonymi przez mdłe światło księżyca wpadające przez zakratowane okienko. Chłopak poczuł się tak, jakby ktoś go uderzył w głowę tępym narzędziem.

Dlatego druga myśl odleciała gdzieś daleko i do Poldka nie dotarło w pełni, że skoro ma się stawić na posterunku o pierwszej po południu, to żadną miarą nie uda mu się dotrzeć na dwunastą pod bombę, gdzie umówił się z Helą.

Helena wstała tuż po świcie, podekscytowana czekającym ją dniem. Wprawdzie najpierw musiała przebrnąć przez niedzielną mszę, ale potem będzie tylko lepiej. Gdyby tylko chciała, wykręciłaby się od pójścia do kościoła, lecz wiedziała, że dla ojca to dość ważny rytuał, choć o klerze potrafił wypowiadać się bardzo krytycznie. Jednak Helenie niczego nie narzucał. A ona traktowała wyjścia na nabożeństwo bardziej jako coniedzielny zwyczaj niż potrzebę duszy. Oczywiście, że wielokrotnie zastanawiała się, czy istnieje jakaś siła wyższa, lecz dotychczas nie wyrobiła sobie opinii na ten temat. Ziarno niepewności zasiał w niej kuzyn Michał, który stanowczo twierdził, że porzucił religię i nie wierzy w nic.

Nie chcąc się zagłębiać w podobne rozważania, Helena umyła się szybko i ubrała w niedzielną sukienkę. Dzisiejszy dzień miał upłynąć pod znakiem Poldka. Najpierw spotkanie przy skrzyżowaniu Nowego Światu i Alej Jeruzolimskich, później spacer, może lody w którejś ze śródmiejskich cukierni. Hela długo o tym myślała w nocy i doszła do wniosku, że jeśli Poldek nie okaże entuzjazmu na propozycję spotkania z młodzieżą PPS-u, nie będzie nalegała. Prawdę powiedziawszy, wszystko, o czym tam mówiono, mniej już do niej przemawiało po tym, co usłyszała u Róży.

Słowa Docenta zdawały się logiczne, odzwierciedlały wszystko, co grało dziewczynie w duszy. Stwierdziła, że przy najbliższej okazji porozmawia z pielęgniarką i zapyta, czy na kolejne spotkanie będzie mogła przyprowadzić chłopaka.

– Wydaje mi się, że jesteś niespokojna – zauważył ojciec, gdy idąc pod rękę Krakowskim Przedmieściem, wracali powoli z kościoła. – A może raczej rozgorączkowana?

– Wydaje się ojcu – bąknęła Hela i natychmiast oblała się rumieńcem.

– Wyznasz, co tak zajmuje twoje myśli, czy to jakiś sekret? – Małecki uśmiechnął się dobrotliwie i pieszczotliwym gestem poklepał ją lekko po dłoni.

– Spotykam się w południe z jednym kawalerem – wyznała, patrząc z ukosa na ojca.

– Ech, ta dorosłość – westchnął teatralnie antykwariusz. – Nie jest łatwo, prawda?

– Nie jest – przyznała Hela całkiem poważnie.

– Ale jednocześnie cała piękna młodość przed tobą, wiele wspaniałych lat, wiele cudownych zdarzeń. Nic, tylko sięgać po życie i czerpać całymi garściami. Z tym Poldkiem się spotykasz?

– Tak. – Helena ponownie się spłoniła.

– Wydaje się być porządnym kawalerem. Ma myślące oczy i przyzwoite maniery. A to już coś!

– Nie znam go prawie wcale – przyznała Helena.

– Toteż dlatego się z nim spotykasz, żeby poznać – odparł pogodnie ojciec. – To jest najpiękniejsze w dzisiejszych czasach. Podoba mi się to nowoczesne spojrzenie na damsko-męskie sprawy.

– Ojczy! – wyrwało się zdumionej dziewczynie.

– Czyżbym nieprawdę mówił? – błysnął okiem Małecki. – Tak już ten świat urządzony, że ludzie się dobierają w pary. Dobrze, jeśli udane. I widzisz, kiedyś to była jedna wielka loteria. Młodzi przed ślubem nie znali się wcale lub bardzo krótko. Wiele nieszczęśliwych par utknęło na mieliźnie prozy życia, moja córko. Zbyt wiele. A innym znowuż szczęście odebrano przedwcześnie. – Zamyślił się.

Hela słuchała uważnie słów ojca, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że zanurzył się we wspomnieniach. Czyżby mówił o sobie i matce? Nie odezwała się. Cierpliwie czekała, aż ojciec znów się odezwie.

– O czym to ja mówiłem? – zreflektował się w końcu.

– O szczęściu i nieszczęściu – podsunęła Helena.

– Właściwie to zmierzałem do czegoś innego, ale jak wiesz, dygresje są ode mnie silniejsze. Otóż chciałem powiedzieć, że dzisiejsze, nowoczesne zwyczaje podobają mi się bardziej. Młodzi powinni się sami dobierać w pary, w końcu to oni potem będą żyć ze swoimi wyborami. Oczywiście miłość bywa ślepa. Czasem w ogromnym zauroczeniu nie dostrzegamy wad drugiej strony. Pewnie warto by było posłuchać wówczas rady doświadczonego rodzica, prawda? – Antykwariusz uśmiechnął się pod wąsem.

– Z pewnością – przytaknęła Hela.

– Z pewnością, powiadasz – odparł z zadumą ojciec. – Różnie z tym bywa. Zdarza się i tak, że im bardziej rodzice odradzają, z tym większym oporem się spotykają. Czasem jedyne, co pozostaje, to pozwolić dzieciom dokonywać wyborów z nadzieją, że wykażą się lepszą intuicją niż rodzice.

Hela spojrzała ze zdumieniem. Zawsze miała doskonały kontakt z ojcem, lecz rzeczy, o których mówił, tak dalece odbiegały od tradycyjnego modelu wychowania dzieci w posłuszeństwie wobec rodziców, że pewnie niejeden ojciec oburzyłby się, słysząc te słowa. Po raz kolejny uświadomiła sobie, jak wielkie miała szczęście, przychodząc na świat właśnie w tej niewielkiej rodzinie. Hela doskonale wiedziała, że pomimo emancypacji i uzyskania biernego i czynnego prawa wyborczego po odzyskaniu niepodległości, kobiety wciąż przeważnie żyją w cieniu mężczyzn, wychowane tak, by okazywać bezwzględne posłuszeństwo ojcu, a później mężowi.

Godzinę później szła z bijącym sercem na miejsce spotkania, zastanawiając się gorączkowo, po czym tak do końca można poznać, czy mężczyzna ma przyzwoite zamiary, i właściwie jakie plany ma wobec niej Poldek. Ona, co musiała przyznać, zadurzyła się po raz pierwszy w życiu, nie licząc przelotnego, platonicznego uczucia do aktora Eugeniusza Bodo.

Tuż przed południem Nowy Świat pełen był spacerowiczów. Jedni zmierzali w stronę Zamku Królewskiego, inni czekali na tramwaj na przystanku. Wypełnione do ostatniego miejsca kawiarnie tętniły gwarem rozbawionych rozmów. Helena maszerowała różnym krokiem. Wiedziała, że ma jeszcze trochę czasu do spotkania i zapewne będzie musiała czekać na chłopaka, co nie wyglądało specjalnie elegancko, więc gdy dotarła do skrzyżowania, postanowiła skręcić i przejść się Alejami Jerozolimskimi,

zamiast sterczeń pod bankiem obok masywnej atrapy bomby. Skręciła za róg, minęła mleczarnię Nadświdrzańską. Spacerując niespiesznie, myślała gorączkowo.

Jak poznać, czy ludzie są dla siebie stworzeni? Czy to, co odczuwała, dawało podstawy, żeby snuć plany na przyszłość? Czy fakt, że właściwie bez przerwy myślała o Poldku, oznaczał, że się zakochała? Kiedy człowiek nabiera pewności, że to właśnie ten jeden jedyny? Na te pytania Hela nie znalazła odpowiedzi. Punkt dwunasta zawróciła w stronę Banku Gospodarstwa Krajowego. Obrzuciła nieuważnym spojrzeniem obwieszczanie przyklejone do fasady mijanej kamienicy. Liga Ochrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej informowała o próbnym alarmie. W kolejnym dniu warszawiacy na dźwięk syren mieli wyłączać światła w mieszkaniach, zupełnie jak w czasie nalotu.

Hela wzdrygnęła się. Nie wyobrażała sobie, że coś takiego mogłoby wydarzyć się naprawdę, a podobne ćwiczenia uważała za podłą propagandę i straszenie ludzi. Z tego samego powodu nie przepadała za atrapą bomby wbity w chodnik nieopodal gmachu banku. Wyższa od niej, z pomarańczowymi literami LOPP, sprawiała złowieszcze wrażenie.

Dziewczyna stanęła nieopodal, zła, że to ona czeka na chłopaka. Kwadrans później zrozumiała, że Poldek nie przyjdzie. Odwróciła się na pięcie, wściekła i upokorzona, i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę domu, obiecując sobie w duchu, że raz na zawsze kończy z mężczyznami. A już na pewno z Poldkiem. Zdradzieckie łzy popłynęły, gdy już zbliżała się do antykwariatu.

– Panno Heleno, dzień dobry!

Konrad Werner stał oparty nonszalancko o swój samochód i machał w jej stronę jasnym kapeluszem. Hela otarła ukradkiem oczy rękawem płaszcza. Uśmiechnęła się dzielnie i podeszła do mężczyzny. Aktor, nawet jeśli zauważył, że dziewczyna płakała, w żaden sposób tego nie skomentował.

– Dzień dobry, miło pana widzieć – przywitała się Helena i w jednej chwili zrozumiała, że mówi to całkiem szczerze. Po niedoszłym spotkaniu „pod bombą”, które okazało się „niewypałem”, ostatnim, czego potrzebowała, była niedziela spędzona wyłącznie w towarzystwie niewesołych myśli.

Janek miał serdecznie dość wszystkiego, a nawet nie minęło popołudnie. Poranna msza w kościele Świętej Trójcy jak zwykle wynudziła go śmiertelnie. Gdyby to od niego zależało, w ogóle nie chodziłby do kościoła, ale to oczywiście było całkowicie wykluczone. Apoloniusz Malinowski uważał, że z chodzenia na msze zwalnia jedynie śmierć, bo wtedy i tak człowieka do kościoła zanoszą. Rodzina miała swoje stałe miejsca w jednej z przednich ławek. Odświętnie ubrani rodzice zasiadali w niej jako pierwsi, później Dorotka i on z Poldkiem. Bywało, że Jankowi zamykały się powieki, wówczas brat dyskretnie go szturchał łokciem w bok.

Dzisiaj jednak siedzieli obydwaj nieruchomo, z nieobecnyimi spojrzzeniami, myśląc tylko o wczorajszym tragicznym finale zabawy w parku Sieleckim. Poldkowi raz za razem przewijał się w głowie ten sam straszny film, w którym Stasia, nie wydawszy żadnego odgłosu, osuwa się na ziemię. Janek z kolei martwił się o Basię. Wiedział, że zabrali ją do pobliskiego szpitala, ale nie miał pojęcia, kiedy wypuszczą. Co więcej, miał pewność, że nawet jeśli pójdzie się czegoś dowiedzieć, raczej niczego mu nie powiedzą. Oczywiście miał zamiar spróbować, gdy tylko uda mu się wyrwać, lecz to nie miało prędko nastąpić.

Ojciec miał zabrać obydwu synów na posterunek, gdzie przede wszystkim Poldek, ale także i on mieli złożyć zeznania w sprawie zabójstwa. To słowo mroziło mu krew w żyłach. Natychmiast pomyślał o Basi. Nawet sobie nie wyobrażał, co dziewczyna musi w tej chwili przeżywać.

– Wreszcie! – mruknął pod nosem Poldek, gdy rozległ się dzwoneczek kończący mszę.

– Cicho – syknął Janek. – Potrzeba nam jeszcze tylko ojca rozsierdzić.

– Już gorzej chyba nie może być? – zapytał retorycznie Poldek, wstając.

Chłopak był wściekły. Wiedział, że nie zdąży na spotkanie z Heleną, i miał bolesną świadomość, że w żaden sposób nie uda mu się jej o tym zawiadomić. W antykwariacie nie było telefonu, a ojciec nie spuści go z oka na choćby dziesięć minut. Żadną miarą nie zdąży pobiec na Zgodę, by przełożyć randkę. Inna sprawa, że niespecjalnie miał ochotę na jakiegokolwiek rozrywki, choć było mu nieco żal biletów do kina. Z drugiej strony wydało mu się niestosowne, by opowiadać Helenie o koszmarnym zabójstwie. Po pierwsze nie chciał tego przeżywać ponownie, po drugie

uważał, że nie ma sensu zatruwać dziewczynie serca tą tragedią, a po trzecie zwyczajnie wstydził się faktu, że umówił się na tańce z inną dziewczyną. Wprawdzie między nim a Helą nie padły żadne deklaracje, jednak wydawało mu się to nietaktem. A ponad wszystko Poldka uwierała wypalająca duszę myśl, że Stasia ocaliła mu życie, płacąc za to własnym. To sprawiało, że myśląc o Helenie, czuł się tak, jakby zdradzał pamięć o zamordowanej dziewczynie. Poldek gubił się we własnych uczuciach.

Złożenie zeznań niewiele wniosło do sprawy. Obydwaj synowie Malinowskiego zrelacjonowali wydarzenia dokładnie w ten sam sposób, co poprzedniego dnia, a znudzony posterunkowy spisał protokół. Janek pomyślał, że jeśli w złapanie mordercy włoży tyle samo entuzjazmu, ów pozostanie bezkarny do końca życia.

– Dlaczego po prostu nie przyciśnięcie rodziny? – zapytał ze zniecierpliwieniem Janek.

– Byliśmy pod adresem. Zresztą to ja tu zadaję pytania – odparł flegmatycznie funkcjonariusz.

– To trzeba iść jeszcze raz! – zdenerwowany chłopak nie zamierzał odpuszczać. – Przecież to oczywiste, że rodzina go będzie kryć. Pewnie takie same szumowiny jak i on!

– Będziesz nas, szczeniaku, profesji uczył? – warknął policjant.

Janek położył uszy po sobie. Przede wszystkim marzył o tym, żeby jak najszybciej się stąd wynieść i ruszyć na poszukiwanie Basi. Postanowił, że jeśli nie uda mu się dowiedzieć niczego sensownego w szpitalu, wówczas wróci na Czerniaków i pójdzie do domu dziewczyny. Nigdy tam nie był, lecz w protokole widniał adres denatki. Samo to słowo wywoływało u Janka dreszcze.

– Nie będę, przepraszam – odparł pokornie.

Jednak nawet gotowość współpracy nie uchroniła Malinowskich przed prawie trzygodzinnym pobytem na posterunku. Gdy wreszcie wrócili do domu, dochodziła czwarta.

– Matka pewnie kolejny raz obiad grzeje – oświadczył Apoloniusz Malinowski, patrząc przy tym na synów z potępieniem.

Poldek zacisnął zęby i nic nie powiedział. Skoro ojciec uznał, że to oni są winni tarapatów, w jakich się znaleźli, nic nie przekona go do zmiany zdania. Próba dyskusji skończy się jedynie karczemną awanturą. Nie miało to najmniejszego sensu. Spojrzał na brata. Janek tylko spuścił głowę i choć

w środku gotował się ze wściekłości, posłusznie poszedł do domu. Wiedział, że próba ulotnienia się spełzłaby na niczym. Z domu udało mu się wymknąć dopiero dwie godziny później. Pognał w stronę szpitala, jakby go sam szatan gonił.

Helena prowadziła samochód Wenera po nieco wyboistej polnej drodze. Przeszło pół godziny wcześniej przeprawili się mostem Kierbedzia na praski brzeg, wyjechali z miasta, a przed chwilą minęli sosnowy las ciągnący się po obu stronach, by teraz jechać przez malownicze łąki. Po upokorzeniu, jakiego doznała dziewczyna, ten dzień nie mógł się lepiej zakończyć. Nawet niespecjalnie zwracała uwagę na młodzieńca z naburmuszoną miną, rozpartego na tylnej kanapie.

Zdziwiła się trochę, gdy Konrad przedstawił jej swojego młodszego brata i z rozbajającym uśmiechem wyznał, że jest jego tymczasową niańką. Nie pytała o nic. Przywitała się z Ignacym, starając się zachować powagę. Chłopak miał przylizane na bok jasne włosy, pochmurne spojrzenie i krawat ciasno przylegający do szyi. W zestawieniu z niemal dziecięcą aparycją sprawiało to komiczne wrażenie. Jak napuszony indor przywitał się z nią szarmancko, po czym przegnany przez brata na tylne siedzenie zastygł urażony, z głową zwróconą w lewą stronę, i uporczywie udawał, że interesują go wyłącznie mijane krajobrazy.

Z czasem w sielski widok wcięły się wiejskie zabudowania. Coraz liczniejsze, gdy dojechali do Świdra. Charakterystyczne drewniane domy letniskowe z finezyjnymi zdobieniami, nazwane przez Gałczyńskiego świdermajerami, stały wkomponowane w sosnowe zagajniki. Niektóre oplecione były płomiennie czerwonym winobluszczem. Żartobliwe określenie autorstwa poety ochoczo podchwycili warszawiacy, gromadnie spędzający letnie urlopy w podwarszawskich letniskach.

– Pięknie tu! Zwłaszcza teraz, po sezonie – zagaiła Helena, rozglądając się z zachwytem.

– To prawda. Znacznie ciszej, niemal bezludnie. Tyle tylko, że wszystko już pozamykane – odparł Werner. – Ale i na to znajdzie się rada. Spakowałem kosz z jedzeniem, więc możemy sobie urządzić piknik przy

rzece. Wciąż jest przyzwoita pogoda, a ja nawet wzięłem dodatkowy pled, gdyby pannie Helenie zrobiło się chłodno.

Zaparkowali na poboczu. Jak okiem sięgnąć nad niewielką, płytką rzeką Świder rozciągały się malownicze dzikie wydmy, z rzadka przetykane krzewami. Konrad wyjął z bagażnika wiklinowy kosz, a Ignacemu kazał wziąć koce. Młodzik posłuchał, wciąż z uporem milcząc. Nie odzywał się przez całą drogę i najwyraźniej teraz też postanowił trzymać się na uboczu. Gdy Helena z Wernerem usiedli na kraciastym kocu, Ignacy w końcu otworzył usta, ale jedynie po to, by poinformować burkliwie, że idzie się przejść po okolicy. Konrad nie zwrócił na niego specjalnej uwagi.

– Malownicze to pustkowie – stwierdziła Helena. – Jednak porę roku na piknik wybrał pan nietypową.

– Unikam miejsc, gdzie kręci się dużo ludzi – wyjaśnił.

– Dlaczego? – Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jej nic takiego nigdy nie przyszłoby do głowy.

– Zaczepiają mnie. To jeszcze mnie tak bardzo nie denerwuje. Wręcz przeciwnie, bywa miłe, gdy człowieka doceniają. Najgorsze jest to, że zawsze trzeba mieć na zawołanie uśmiech, nawet gdy w ogóle nie jest się w nastroju. Inaczej będą nazywać grubianinem.

– Och, no tak! – Helenie zrobiło się głupio. – Ciągle zapominam, że jest pan znanym aktorem. Proszę wybaczyć – bąknęła.

– Ależ tu nie ma czego wybaczać, panno Heleno. To dla mnie kapitalna pochwała! Widzi pani we mnie po prostu człowieka. Pewnie dlatego tak świetnie się z panią spędza czas.

– I ja się dobrze bawię. – Hela bardzo polubiła Wenera. Mężczyzna zachowywał się uprzejmie, lecz nienachalnie. Nawet teraz siedział spokojnie w pewnym oddaleniu i nie czynił żadnych awansów. Traktował ją po prostu jak towarzyszkę eskapad. A ona wolała nie brnąć w jakieś wyznania. – A Ignacy... – urwała, nie bardzo właściwie wiedząc, co chce powiedzieć. Najbardziej zależało jej na zmianie tematu, chłopak nieszczególnie ją interesował, do tego poniewczasie dotarło do niej, że o co by nie zapytała, mogłoby zostać odczytane jako wścibstwo. Chłopak już jakiś czas temu zniknął za zaroślami, zapewne spacerował ku ujściu Świdra do Wisły.

– Brat tymczasowo mieszka u mnie – wyjaśnił Werner.

– Rozumiem – bąknęła Hela.

– Natomiast ja, panno Heleno, nie rozumiem wcale.

Dziewczynie nie umknęło rozgoryczenie w jego głosie. Mężczyzna umościł się wygodniej na kocu, zdradzając tym gotowość do zwierzeń. Postanowiła go wysłuchać, jeśli to, co zamierzał powiedzieć, miało mu w jakiś sposób pomóc. Odłożyła na talerzyk nadgryzioną bułeczkę drożdżową, żeby nie rozpraszać uwagi Konrada.

– Czego pan nie rozumie? – zapytała łagodnie.

– Ignacy jest moim przyrodnim bratem. Mamy wspólnego ojca. Ani on, ani matka chłopca w ogóle się nim nie interesują. On, jak to dzieciak, przeżywa to po swojemu. Ostatnio popadł w złe towarzystwo, więc staram się jak najczęściej trzymać go przy sobie, żeby nie miał czasu na głupoty.

– Głupoty?

– Znika na długie godziny, a potem opowiada straszne brednie, i to z błyskiem fanatyzmu w oczach.

– Jakie brednie? – zapytała mimowolnie.

– Że robotników powinno się wystrzelać, że są pospolitym bydłem, które dobrze pracuje, tylko jak pod batem chodzi. Że wszystkiemu są winni Żydzi... – Konrad westchnął. – Nie przypomina to pani kogoś?

– Owszem. Chyba się zapatrzył na nowego kanclerza Niemiec.

– Nie musiał aż tak daleko szukać. Jestem patriotą, za kraj bym oddał życie bez wahania, ale oczy mam i widzę, co się dzieje po śmierci Piłsudskiego. Proszę zauważyć, że wielu jest u nas durniów, którzy upatrując w sojuszu z Hitlerem obrony przed agresją sowiecką, powtarzają słowa tego szalonego człowieka.

– Uważa pan, że Hitler jest szalony?

– Nie mniej niż bolszewicy – odrzekł Konrad. – W każdym razie, nie wchodząc w dywagacje natury politycznej, mam ze szczeniakiem utrapienie. Ale to brat, więc przecież się od niego nie odwrócę i przy odrobinie szczęścia być może jeszcze wychowam na porządnego człowieka.

– Jestem o tym przekonana. Jest pan dobrym człowiekiem – powiedziała szczerze.

– Nie zna mnie pani, panno Heleno – odparł.

– To prawda. Lecz i tak będę się upierać przy swoim zdaniu. Chyba mi wolno? – Uśmiechnęła się.

– Ależ naturalnie! – Błysnął zębami. – Skoro tak już na wynurzenia nam się zebrało, powie mi pani, dlaczego pani wcześniej płakała? – Konrad spoważniał.

– Ach, nic takiego – zbagatelizowała Hela.

– Jednak widzę, że coś. Nawet teraz nagle pani posmutniała. Oczywiście nie nalegam!

– Umówiłam się z kimś i on nie przyszedł – powiedziała z ociąganiem. – I jest mi przykro, bo może czymś go uraziłam...

– Panno Heleno, dlaczego szuka pani w sobie winy? – zdziwił się Werner.

– Przecież mogło mu coś stanąć na przeszkodzie.

– Tego nie wiem i pewnie się nie dowiem – szepnęła. – Chyba że sam przyjdzie z wyjaśnieniem, bo ja jego dokładnego adresu nie mam. Wiem tylko, że ojciec jego ma zakłady rękawicznicze na Solcu.

– Mówi pani o firmie Apoloniusza Malinowskiego?

– W istocie – potwierdziła.

– Często zachodzę do jego sklepu na Nowym Świecie. Ma pierwszorzędne wyroby. No to jesteśmy w domu! – ucieszył się Konrad. – Przecież ilu rękawiczników może być na Solcu? Nie ma co zwlekać, jedziemy! Idę tylko zawołać tego młodego bałwana i ruszamy do Warszawy. A pani w drodze mi opowie coś więcej o tym synu pana Malinowskiego!

Oszołomiona Helena dała się bez protestu zaprowadzić do torpedy. Gdyby sama wpadła na pomysł odwiedzenia Poldka, pewnie natychmiast by sobie to wyperswadowała. Uznałaby, że nie wypada się narzucać, że przecież nie będzie się uganiać za chłopakiem jak pierwsza lepsza, ale entuzjazm Wenera nieco zbił ją z tropu, a ona po namyśle uznała, że przecież nic zdrożnego w tym, że dowie się, czy u Poldka wszystko w porządku. Przecież może zwyczajnie zapytać o jego zdrowie i nikt nie powinien mieć do niej pretensji. A ona przestanie się zadręczać. Jak mawiał jej ojciec, lepsza najgorsza prawda od niewiedzy.

Basia wyszła ze szpitala i rozejrzała się wokół. Zalaną słońcem ulicą przejechał tramwaj, kilka samochodów. Warszawa wyglądała zwyczajnie, a dla dziewczyny skończył się świat. Wraz z siostrą odeszła też część jej

samej. Straciła najbliższą osobę, po czymś takim świat nie miał prawa funkcjonować dalej, a żółte liście nie powinny leniwie opadać na chodniki. Dziecko w popychanym przez matkę wózku irytowało ją radosnym gaworzeniem.

Niczym automat Basia zeszła po trzech stopniach i poszła w stronę domu. Nie wiedziała, jak długo szła. Wszystko wokół niej przestało się liczyć, a ona, oteępiąta z żalu, ledwie rejestrowała mijane ulice. Perspektywa powrotu do domu nie wydawała się zachęcająca. Pobyt pod jednym dachem z wiecznie pijanymi rodzicami był znośny jedynie ze Staśką przy boku, ale nie istniało żadne inne miejsce na świecie, do którego mogłaby pójść. Wspięła się z ociąganiem po drewnianych schodach i pociągnęła za klamkę. Drzwi były zamknięte, więc zdziwiona zapukała. Przez chwilę nic się nie działo, wreszcie rozległ się zgrzyt obracanego klucza. Basia zerknęła odruchowo. Zamek został niedawno wymieniony. Drzwi otworzyły się z impetem na pełną szerokość. Na progu stał brodaty mężczyzna po pięćdziesiątce w opinającym się na wydatnym brzuchu niezbyt czystym podkoszulku.

– O co chodzi? – warknął.

– To ja się pytam, o co chodzi. Co pan robi w moim domu? – wyjąkała Basia.

– Krewna Michalików? – zapytał domyślnie.

– Córka.

– Już tu nie mieszkają. Przehandlowali mi wszystko dzisiaj rano i poszli precz.

– Dokąd? – zdziwiła się Basia.

– A bo to mówili? Wiadomo, że gdzieś dalej. Przecież inaczej by ich tu zemsta Prusickich dosięgła. Ja sam trochę cykora mam tu mieszkać, bo to wiadomo, czy nie spalą po złości? No ale niech będzie moja krzywda, im pieniądz był potrzebny.

Dziewczyna zmilczała, choć krew się w niej gotowała na myśl, że intruz pewnie odkupił za bezcen wszystko, co posiadała rodzina.

– Ale z jakiego powodu Prusicy by do nas coś mieli? – zapytała zamiast tego. – Przecież to ich chłopak zabił moją siostrę!

– A wcześniej chłopak od was załatwił tulipanem ich chłopaka – odparł grubas. – Ja się tam w takie rzeczy nie mieszam, ale weź panna z ręką na

sercu powiedz, obchodzi tu kogo na Sielcach, kto zaczął? Honor się liczy, a ferajnie honoru nie brak!

– I ten honor kazał dziobatemu chłystkowi siostrę mi ubić? – zapytała z goryczą.

– Ja tam nic nie mówię. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Ale lepiej panna stąd zmykaj w podskokach.

– Pójdę – zgodziła się. Wiedziała, że intruz dramatyzuje, lecz ma sporo racji. – Ale najpierw zabiorę z mieszkania swoje osobiste rzeczy – dodała twardo.

– Przecie Michalik wszystko mi sprzedał – zdenerwował się nowy lokator i podjął próbę zatrzaśnięcia Basi drzwi przed nosem, ale dziewczyna była szybsza. Wsunęła stopę do środka, jednocześnie z całej siły chwytając za drewniane skrzydło.

– Mojego sprzedać nie mógł, bo sama zarobiłam, jeśli nie chcesz pan mieć kłopotów, to oddasz mi mój sierocy dobytek. A jak nie, to wrócę z posterunkowym! – wykrzyczała.

– Niech będzie moja krzywda – poddał się intruz i odsunął od wejścia. – Ale panna bierze tylko osobiste rzeczy i się stąd na dobre wynosi.

– Oczywiście. – Basia nie zamierzała wdawać się w dalszą dyskusję.

Wśliznęła się obok odstręczającego lokatora. Liche walizki, rzecz jasna, zniknęły wraz z rodzicami, więc w pośpiechu zawinęła w prześcieradło swoje nieliczne ubrania. Wraz z niedzielną sukienką, którą wciąż miała na sobie, te rzeczy stanowiły właściwie cały dobytek. Zerknęła na odrapany stolik stojący obok siennika, na którym zawsze spały ze Stasią. Stała na nim fotografia obu sióstr w szkolnych mundurkach.

– Zdjęcie możesz panna wziąć, nic mi po nim, ale ramka zostaje! – oświadczył mężczyzna, podążywszy za dziewczyną spojrzeniem.

Basia nie spierała się, choć tę ramkę kupiła za własne pieniądze i podarowała siostrze w poprzednie święta. Ważniejsza była fotografia. Jedyna, jaką miała. Przycisnęła kartonik do piersi i nie zaszczycając nowego lokatora nawet spojrzeniem, wyszła na klatkę. Sam fakt, że opuściła na zawsze rodzinny dom, nie zrobił na niej wrażenia. Nie spędziła tu szczęśliwego dzieciństwa, nie zgromadziła radosnych wspomnień, więc nawet się nie obejrzała. Dopiero gdy wyszła przed kamienicę i powiodła spojrzeniem po zaniedbanych budynkach, dotarło do niej z pełną mocą, że nie ma dokąd pójść.

W pierwszym odruchu uznała, że powinna pojechać do brata, na wieś, lecz wcale nie miała na to ochoty. Poza tym co miałyby tam robić? Dotarło do niej, że właściwie ostatnią rzeczą łączącą ją z normalnością jest praca u Apoloniusza Malinowskiego. Dopóki pracowała, wciąż miała szansę utrzymać się na powierzchni życia. Jeśli i to straci, równie dobrze może iść prosto do lupanaru albo pracować u brata na roli w zamian za miskę zupy i kąt do spania.

Basia uchwyciła mocniej węzełek z odzieżą, upewniła się, że niewielki portfelik leży bezpiecznie w przewieszanej przez ramię torebce, i ruszyła w stronę Solca. W pierwszej kolejności należało odebrać pieniądze od majstra Blumana. Wyłącznie dzięki temu, że Basia je u niego przechowywała, nie przepadły wraz z mieszkaniem. Nie wyobrażała sobie, by udało jej się wydostać banknoty choćby spod siennika, podczas gdy nowy lokator stałby tuż za nią.

Szła brukowaną ulicą, po której z rzadka przejeżdżały tramwaje, i zastanawiała się, czy zastanie na Solcu Janka. Wiedziała, że po wczorajszym zajściu już nie ma mowy o jakiegokolwiek zażyłości pomiędzy nimi. Stary Malinowski prawdopodobnie nałożył braciom areszt domowy, a ona uzyskała status czarnej owcy. Jeśli chciała zachować posadę, najlepszym pomysłem będzie trzymać się od chłopaka jak najdalej. Także ze względu na niego.

Najchętniej w ogóle ominęłaby zakład Malinowskiego i nie kontaktowała się z nikim z jego rodziny, ale była niedziela. Majster Bluman z pewnością był nieobecny na Solcu, a Basia nie знаła jego domowego adresu. Dowie się więc, pójdzie tam po pieniądze, a potem zanojuje w najtańszym pensjonacie. Jutro pójdzie do pracy i popyta wśród innych szwaczek, czy gdzieś nie znajdzie się kąt do wynajęcia. Starając się zdusić w sobie rozpaczliwy żal po siostrze, przeszła obok Wisły, później pod wiaduktem kolejowym, by po kwadransie stanąć przed wjazdem bramnym do podwórza Malinowskich. Basia, niezależnie od okoliczności, zamierzała przetrwać w Warszawie.

Solec nie wyróżniał się niczym szczególnym, a już z pewnością nie grzeszył urodą. Brukowana ulica, niespecjalnie czysta, rynsztok, latarnie

i różnej wysokości kamienice, zamieszkałe przez robotniczą brać. Przemysł rozwijał się tu od wieków, co miało ogromny wpływ na charakter miejsca.

Trudno więc zrozumieć, dlaczego właśnie ta niezbyt reprezentacyjna część miasta stała się niemyim świadkiem spotkania grupy ludzi. Spotkania, które połączy ich losy na zawsze i splecie, by popchnąć każdego z nich na ścieżkę przeznaczenia.

Dokładnie w chwili, gdy Basia stanęła przed wjazdem bramnym, wiodącym do podwórza mieszczącego kamienicę i zakład Malinowskiego, od strony Czerniakowa nadbiegł zdyszany Janek. Podszedł do dziewczyny, chwycił jej dłonie, a na jego twarzy odmalowała się radość pomieszana z ulgą.

– Szukałem cię! – powiedział, wzburzony.

Basi nie umknęło, że przeszedł na ty, co było dziwne bez formalnego zaproszenia z jej strony, ale ujęło ją to i rozlało się ciepłem w sercu.

– Przepraszam. Ja... – umilkła.

– To ja przepraszam! Nie powinienem słuchać ojca i zostawiać cię samą sobie. Szukałem w szpitalu, poszedłem na Czerniaków...

– Już dobrze, musieliśmy się minąć – szepnęła.

Janek mocniej ścisnął jej dłonie, a ona spojrzała mu w oczy. Błyszczały w coraz słabszym świetle dnia. Nad Powiśle nadciągał zmierzch. Chłopak pochylił się i zbliżył twarz do kuszących, chętnych ust dziewczyny, gdy jednocześnie usłyszał odgłos stóp i dźwięk silnika. Wspominając później tę chwilę, nie umiał się zdecydować, kto bardziej przeszkodził w pocałowaniu Basi. Poldek idący w ich stronę po nieudanej próbie odnalezienia Heli w antykwariacie na Zgodzie czy czerwony samochód Konrada Wenera, który zatrzymał się przed kamienicą.

Choć wydawałoby się, że po przypadkowym spotkaniu sześciu osób powinno zapaść kłopotliwe milczenie, nic takiego się nie stało. Jedyne naburmuszony Ignacy zignorował ostantacyjnie pozostałych i nawet nie wysiadł z samochodu.

– Ja panią znam! – ucieszył się Werner na widok Basi. – Całkiem niedawno wyskoczyła mi pani pod koła samochodu, a pani siostra solidnie mnie obsztorcowała.

Dziewczyna momentalnie posmutniała, w jej oczach zalśniły łzy. Zmieszany Konrad spojrzał pytająco na stojącego obok niej Janka.

- Stasia nie żyje – odparł cicho chłopak.
- Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia – szepnął Werner.
- Dziękuję – odparła.

W tym samym czasie Poldek wodził zdumionym spojrzeniem od popularnego aktora do Heleny. Nie miał pojęcia, że tych dwoje się zna, a dodatkowo pozostają w jakiejś zażyłości. Oczarowanie postacią ze świata jego ukochanego filmu walczyło w nim z zazdrością o dziewczynę. Jednak gdy Werner wyciągnął do niego dłoń, wygrało dobre wychowanie.

Najbardziej zaskakujące było jednak zachowanie Heleny. Gdy Basia wyznała, dlaczego przyszła na Solec z ubogim tobołkiem w dłoni, Hela zadziałała impulsywnie.

– Zanocujesz u mnie – oświadczyła. – Tułaczka po pensjonatach może się źle skończyć. A u nas miejsca aż nadto.

– Jakże to tak? – zdziwiła się Basia. – Tak po prostu? Nie znamy się nawet.

– Głupstwo. Przyjaciele moich przyjaciół – mówiąc to, spojrzała wymownie na Poldka – są także moimi przyjaciółmi.

– A ja zadbam, żeby obie panie bezpiecznie dotarły na Zgodę – oświadczył Werner. Nieco go bawiło, że bracia z miejsca napuszyli się jak indory, ale propozycja była bezsprzecznie korzystna dla dziewcząt, więc trzymali się w ryzach, co chwilę porozumiewawczo na siebie zerkając.

– Dziękuję – szepnęła Basia, a po jej policzkach potoczyły się łzy.

Dopiero to uświadomiło wszystkim, w jak złym stanie ducha jest ta wątła, cicha dziewczyna. Werner bez słowa wyjął z jej dłoni tobołek, a Helena otoczyła Basię ramieniem.

– Proszę przyjść jutro do antykwariatu na Zgodzie. – Helena zwróciła się do Janka. – Panna Basia będzie tam cała i zdrowa.

– Jutro muszę przyjść do pracy – zaprotestowała Baśka.

– Porozmawiam z majstrem Blumanem i z ojcem, wyjaśnię wszystko – obiecał Poldek. – Przecież nawet on musi mieć sumienie – dodał, po czym się zasępił i zamilkł.

– Przyjdę – odparła Basia. – Muszę mieć tę pracę. Inaczej zwariuję i pójdę na dno.

– Chodźmy – wtrąciła się Hela. – Podgrzejemy czulent, napijemy się herbaty i pomyślimy, co dalej – dodała pogodnie. Poczowała się nieswojo, gdy

ujrzała trzy pary męskich oczu wpatrujących się w nią natarczywie. – Powiedziałam coś niestosownego? – zapytała zadziornie.

– Nie, oczywiście, że nie. – Jako pierwszy zareagował Poldek.

– Nie wiedziałem, że... – Konrad przerwał, żałując własnej wyrywności.

– No tak, więc wyznam tę straszną tajemnicę – roześmiała się wymuszenie. – Moja matka była Żydówką.

– To nie ma żadnego znaczenia – uciął Werner. – Niech panny wsiądą do samochodu i uważają na tego bałwana, który lubi Hitlera i na moje nieszczęście jest moim bratem. A jeśli uchybi pannom choć słowem, przysięgam, że zrobimy postój nad Wisłą i osobiście go utopię. – Błysnął bielą zębów.

Bracia Malinowscy mogli jedynie zacisnąć dłonie w pięści i pozwolić sławnemu aktorowi odjechać w towarzystwie dziewczyn, na których tak im zależało.

– Chodźmy do domu. – Jako pierwszy odezwał się Janek. – Jeśli ojciec odkryje, że nas nie ma, pewnie zrobi piekło. Wystarczy, że jego zdaniem sprawa ze Stasią to nasza wina.

– Dobrze się stało, że Basia znalazła schronienie u Heleny. – Poldek przekonywał samego siebie. – Przecież gdybyśmy ją zabrali do nas, awantura murowana.

– Kiedyś do tego dojść musi – odparł twardo Janek. – Ja się z Barbarą zamierzam żenić...

Poldek tylko westchnął w odpowiedzi. Wsunął rękę do kieszeni i poczuł pod palcami bilety na seans, który przeszedł mu koło nosa. Natychmiast przypomniał sobie Wenera. Co, u licha, Helena robiła w jego towarzystwie? I dlaczego przyjechali razem pod kamienicę na Solcu?

ROZDZIAŁ 11

1935

Choinka, rześcicie oświetlona kolorowymi, elektrycznymi lampkami, wystawiona nieopodal Dworca Głównego, wyglądała bajecznie na tle śnieżnego puchu. Biała pierzynka wytłumiła miejskie odgłosy, choć i bez tego Warszawa wydawała się wyludniona. Kto mógł, wrócił już do domu i zajął się przygotowaniem do jutrzejszej wigilii.

Poldek niespokojnie przestępował z nogi na nogę, co jakiś czas chuchając w zgrabiące dłonie. W innej sytuacji może wydawałoby mu się zabawne, że syn rękawicznika wybiegł z domu, zapominając o rękawiczkach, lecz wzburzenie i rozpacz sprawiały, że nie było mu do śmiechu. Z trudem hamował łzy, ale przecież mężczyźni nie płaczą i muszą być dzielni. Ojciec wpajał mu to przez całe życie, a on powtarzał teraz w myślach jego słowa jak mantrę.

– Co się stało? – Helena zrozumiała, że coś jest nie tak, od razu, gdy do niego podeszła. Umówili się na to krótkie spotkanie prawie tydzień temu. Przed samymi świętami ruch w antykwariacie był znacznie większy niż zwykle, a zakład Malinowskiego pracował pełną parą, nie nadążając z realizacją zamówień. Obydwoje dobrze więc wiedzieli, że w przedświątecznej gorączce nie znajdą dla siebie nawet chwili. Przez ostatnie miesiące stali się sobie bardzo bliscy, choć nadal łączyła ich jedynie platoniczna przyjaźń.

– Moja matka... – zdołał wydusić zdławionym głosem.

– Co z nią? Przecież gdy widzieliśmy się u Róży tydzień temu, mówiłaś, że wydobrzała? Że grypa odpuściła na dobre, a matka odzyskała apetyt.

– Nie żyje. Zmarła rano.

Dopiero teraz, gdy Poldek w końcu to powiedział, dotarło do niego z pełną mocą, co się stało. Zgiął się, jakby otrzymał cios w brzuch. Helena

nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. W takich chwilach żadne słowa nie wydają się właściwe, za to wszystkie brzmią banalnie. Zamiast więc mówić cokolwiek, objęła go, a on wczepił się w nią desperacko, zamykając w silnych objęciach.

Kwadrans później wracał do domu, z każdym krokiem zwalnając. Miał wrażenie, że gdy tylko przestąpi próg kamienicy, nie będzie nawet w stanie zaczerpnąć powietrza. Pracownicy domu pogrzebowego zabrali już ciało, a ojciec z rana pozałatwiał formalności w kościele. Pogrzeb miał się odbyć po świętach, więc te zapowiadały się jak z najgorszego koszmaru.

Czasem w życiu bywa tak, że gdy wszystko idzie zbyt dobrze, człowiek zaczyna się zastanawiać, kiedy wydarzy się coś złego. Boi się różnych rzeczy, lecz podstępny los atakuje zwykle znienacka z najmniej oczekiwanej strony. Eleonora Malinowska cieszyła się dobrym zdrowiem, a przynajmniej nigdy się na nic nie skarżyła. Tym bardziej dziwiło, że jej organizm tak łatwo poddał się chorobie.

– Przeżyliśmy hiszpankę i nikt z naszej rodziny nawet się nie zakaził. A teraz zwyczajna influenza zabrała mi... – Apoloniusz Malinowski przerwał raptownie. Gdy Poldek bezszelestnie wsunął się do mieszkania, ujrzał z przedpokoju ojca siedzącego przy stole w jadalni. Przed nim stała szklanka, a nieco dalej karafka z wódką.

– Mój drogi Apoloniuszu – odezwał się męski głos, którego Poldek nie rozpoznał – jest mi niewymownie przykro z powodu twojej straty.

– A ja ci dziękuję, drogi January, żeś tak szybko się zjawił po moim telefonie. Nieznośnie byłoby mi dzisiaj siedzieć samotnie.

Poldek zachnął się w duchu. Trójka osieroconego przez matkę potomstwa to samotność? Po chwili dotarło do niego, że przecież sam zrobił dokładnie to samo. Zamiast zająć się młodszym rodzeństwem, głównie zrozpaczoną Dorotką, umknął z domu, żeby spotkać się z Heleną. Nieostrożnie odwieszona palto zsunęło się z furkotem na posadzkę.

– Poldek? – zareagował natychmiast ojciec. – Podejdź no tu.

Chłopak wszedł do pokoju i ujrzał nieznanego, nieco korpulentnego mężczyznę z zaczerwienioną od wypitego alkoholu twarzą.

– January, poznaj mojego najstarszego syna, oczywiście Apoloniusza – powiedział uroczystym tonem Malinowski. – Chłopak jak się patrzy! Udał mi się, nieprawdaż? – Cmoknąwszy z zadowoleniem, stary rękawicznik

wstał z krzesła i objął syna ramieniem, po czym niemal od razu odsunął się od niego, klepnął dłonią w ramię i ponownie zasiadł za stołem.

– Miło mi cię poznać, chłopcze – powiedział przyjaznym tonem mężczyzna. – Ja się nazywam January Melner.

– To dla mnie zaszczyt – odparł szarmancko Poldek, marząc tylko o tym, żeby jak najszybciej opuścić salon. Martwił się, co u Dorotki. Wprawdzie miał nadzieję, że Janek dotrzymał siostrze towarzystwa w tych ciężkich chwilach, ale nie mógł być tego pewien. Ponownie zawstydził się, że opuścił dom w takim momencie. – Mogę ojcu czymś służyć czy wolno mi odejść? – zwrócił się dla odmiany do Malinowskiego, w głębi duszy nienawidząc się za ten służalczy ton.

– Idź, chłopcze – zezwolił łaskawie senior.

Poldek ukłonił się Melnerowi, po czym pospiesznie opuścił jadalnię. Kompletnie nie rozumiał, co właśnie się wydarzyło. Jego zwykle do bólu oschły ojciec nagle puszy się jak paw i chwali się nim, choć przeważnie raczej nie szczędził mu przykrych słów. Do tego zamiast pogрузić się w żałobie, zaprasza do domu jakiegoś obcego i pije z nim wódkę. Chłopakowi nie mieściło się to w głowie.

Minął drzwi wiodące do pokoju matki, teraz zamknięte na głucho. Dalej, w niewielkim korytarzyku znajdował się pokój Dorotki. Poldek rzadko tu zaglądał. Wszystkim, co miało związek z dziewczynką, zajmowała się matka pospołu z Gienią. Teraz wszystko się zmieni. Kto zajmie się dorastającą panną, skoro w domu zostali sami mężczyźni? Uchylił drzwi i zajrzał do środka, ale Dorotki nie było. Ze ściśniętym z żalu sercem wspiął się na poddasze.

W pokoju Janka nie zastał ani jego, ani młodszej siostry. Trochę go to zdziwiło i jednocześnie zaniepokoiło. Poszedł do siebie, a widok sprawił, że zatrzymał się w progu, po raz kolejny wbijając w poczucie winy. Na jego łóżku, z poduszką przyciśniętą do piersi spała Dorotka. Janek siedział na krześle przy biurku i wpatrywał się w dziewczynkę. Gdy ujrzał Poldka, położył palec na ustach, po czym wstał bezszelestnie. Wyszli do przedpokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

– Przepraszam, nie powinienem wychodzić. – Poldek zwiesił smętnie głowę.

– Długo płakała, ale w końcu usnęła. Lepiej jej teraz nie budzić. Biedna mała. – Janek zbył kajania brata, od razu przechodząc do sedna. – To jest

jakiś...

– Jakiś koszmar, tak. Nawet do mnie nie dociera, że to się stało, więc jak Dorotka, najsilniej z nas wszystkich związana z... – Poldkowi głos uwiązł w gardle.

– Ten Melner dalej tu jest? – zapytał Janek.

– Tak. Piją z ojcem. Co to za jeden właściwie?

– Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej go na oczy nie widziałem. Całkiem nie pojmuję zachowania ojca.

To były najgorsze święta, jakie tylko można sobie wyobrazić. Czas pomiędzy śmiercią bliskiej osoby a chwilą złożenia ciała do grobu to dni pełne rozpacz, stan zawieszenia, od którego nie da się uciec. Trudno oczekiwać, żeby w takiej sytuacji choćby myśleć o kolacji wigilijnej, wspólnym siedzeniu przy stole. Wszystko w człowieku się buntuje przed wykonywaniem zwyczajnych czynności, bo właśnie na nich opiera się rodzinne życie. Jeśli kogoś zabraknie, w takich momentach najboleśniej odczuwa się stratę. Poldek nie wyobrażał sobie, że usiądą do wieczerzy. Bez matki nie miało to najmniejszego sensu. A jednak Apoloniusz Malinowski się uparł, żeby wszystko odbyło się jak zawsze.

– Ojczy, nawet nie mamy potraw wigilijnych – zaprotestował łagodnie Janek. – Nikt jakoś nie miał czasu o tym pomyśleć.

Siedzieli we trzech przy śniadaniu. Dorotka wciąż jeszcze spała. Ojciec wyglądał na skacowanego.

– Poślemy po sprawunki Gienię, niech szykuje co trzeba – odparł.

– Nie zdąży – wtrącił się Poldek. – Zwłaszcza że po południu ma wychodne. Wigilia w końcu.

– Zatem kupi gotowe dania w barze, a resztą zajmie się Dorotka. – Ojciec był nieugięty.

Bracia spojrzeli po sobie, ale nic nie powiedzieli. Legendarny upór Apoloniusza Malinowskiego wykluczał jakiegokolwiek protesty. Jedyne, czego nie zdołał wymusić ojciec, to zaangażowania w sprawę Dorotki. Siedziała apatycznie przy stole wigilijnym jak milcząca kukła, a po kolacji, której zresztą dziewczynka nawet nie tknęła, posprzątała jej bracia. Ona nawet tego nie zauważyła.

Janka uderzyło, jak blada jest jej twarz w zestawieniu z czarną sukienką, i zaczął gorączkowo rozmyślać, jak choć trochę ulżyć siostrze w cierpieniu. Nie wpadł na żaden pomysł. Kolacja była skromna – śledzie z cebulą, karp

po żydowsku i drożdżowe paszteciki. Niczego innego podkuchennej nie udało się zdobyć na ostatnią chwilę. Nie było prezentów, nikt nie wpadł na pomysł, żeby zapalić świece choinkowe.

Gdy tuż po świętach obaj z Polkiem w ukradkowej rozmowie doszli do wniosku, że gorzej być nie może, do mieszkania w kamienicy na Solcu wkroczyła ciotka Maria, ubrana na wiejską modłę w bury płaszcz, z narzuconą na plecy kraciatą chustą, i w futrzanych łapkach, które dostała niegdyś od Apoloniusza na jakąś okazję. Postawiła walizkę i spory wiklinowy kosz, po czym przysiadła na krześle. Rękawice rzuciła na stół, odpięła górne guziki płaszcza i sapała dobrą chwilę, rozglądając się po salonie.

– Wody mi przynieś, chłopcze! – rzuciła w stronę Janka. – Moje kondolencje, Apoloniuszu, co za straszna tragedia... Moja biedna siostra... – Ciotka wyjęła białą chustkę i donośnie zatrąbiła nosem. – Ruszyłam w drogę, gdy tylko przyszedł telegram. Od razu wiedziałam, że coś złego się stało, jeszcze zanim przeczytałam! No dobrze, trzeba brać się do przygotowań. Poldek, zanieś kosz do kuchni. Jajek i sera wam ze wsi przywiozłam. Bidulko, jakaś ty mizerna! – Ciotka dopiero teraz spojrzała na Dorotkę siedzącą apatycznie na sofie i załamała ręce. Zerwała się z cichym stęknieniem z krzesła i pogłaskała dziewczynkę po policzku. – A coś ty taka rozpalona?

Apoloniusz, wcześniej ze znużoną miną słuchający szwagierki, w jednej chwili się ożywił. Irytacja, jaką poczuł po tyradzie Marii, nagle zeszła na dalszy plan, podobnie niechęć, jaką zawsze do niej żywił.

– Dorotka, co ci? – zapytał z niepokojem, zły na siebie, że sam nie zauważył, co się dzieje.

Twarz córki, wcześniej kredowobiała, oblewał niezdrowy rumieniec. Szkliste oczy potwierdzały podejrzenie.

– Poldek, dzwoń po doktora – polecił spokojnie, nie chcąc przestraszyć dziewczynki. – Mario, zaprowadź ją do łóżka.

Apoloniusz z punktu uznał, że może dyrygować szwagierką, a o tym, że jest gościem w tym domu, nawet nie pomyślał. Traktował ją w ten sam sposób jak wcześniej jej siostrę i dla niego taki układ był oczywisty.

Lekarz przybył godzinę później i potwierdził najgorsze przypuszczenia Malinowskiego.

– Influenca. Ale proszę się nie obawiać. Dziewczynka jest w pełni sił. Z pewnością wyjdzie z choroby. Nie podzieli losu świętej pamięci małżonki – uspokajał.

Nie miał racji. Dorotka zgasła jak cichy ogień na dzień przed sylwestrem, pozostawiając swoich braci w głębokim szoku, a ojca na skraju szaleństwa.

– Bóg tak chciał – wygłosiła nabożnie Maria drżącym ze wzruszenia głosem. – Już tam dziewczuszka ze swoją matką szczęśliwa.

Poldek zerknął na ciotkę z odrazą. Miał ochotę ją udusić.

Basia po raz pierwszy w życiu tak do końca zrozumiała, że jej rodzinny dom na Czerniakowie właściwie nie był domem. Od trzech miesięcy mieszkała z Małeckimi. Hela dosłownie uratowała ją od skończenia na ulicy. Dzieliły jeden pokój, a drugi, jak dotychczas, zajmował pan Józef. Ku zdziwieniu Basi, ojciec Heleny przyjął ją bardzo ciepło, nie zadawał wielu pytań i przystał na to, żeby z nimi zamieszkała.

– Tak po prostu? – zdziwiła się dziewczyna, ściskając w dłoni tobolek z rzeczami.

– Tak po prostu – potwierdził antykwariusz. – Jeśli Helena pannę proteguje, ja nie mam żadnych wątpliwości.

Basie zdumiewała postawa mężczyzny i odruchowo zaczęła porównywać go do swojego ojca. Tamten nigdy w życiu nie zrobił dla niej niczego, nie wyciągnął ręki, a wręcz przeciwnie, niejednokrotnie usiłował okraść, przez co musiała przechowywać ciężko zarobione pieniądze u majstra Blumana. Jednym z jej najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa była zapita, czerwona twarz ojca. Najczęściej widywała go leżącego na podłodze jak kłoda, nierzadko z zabrudzonymi ekskrementami spodniami.

– Nie wiem, jak się panu i Helenie odwdzięczę – szepnęła Basia, a w jej oczach zalśniły łzy ulgi. – Oczywiście pokryję koszty. Mam pracę – zapewniła gorliwie. – Po prostu chwilowo zarabiam zbyt mało, żeby coś na własną rękę wynająć. Miałyśmy wyjechać z siostrą, ale ona... – Basia umilkła, gdy załamał jej się głos.

– Wróćmy do tego – powiedział uspokajająco Małeczki. – Na razie niechże się panna rozgości i czuje jak w domu.

W antykwariacie na Zgodzie Basię dziwiło wszystko. Od odgłosów ulicznych, jakże innych w tej części miasta, po skanalizowaną łazienkę. Leżąc na materacu obok Heli, wsłuchiwała się w stukot dorożek, klaksony samochodów, a czasem dźwięki jazzu napływające z radia sąsiadów z pierwszego piętra. Na Czerniakowie słyszała głównie pijackie kłótnie, wrzaski ulicznych łobuzów, a z muzyki jedynie dźwięki harmonii i mandoliny. Niewykluczone, że gdyby miała normalnych rodziców, odgłosy rodzinnej dzielnicy nie wzbudzałyby tak złych skojarzeń. Najbardziej na świecie żałowała, że Stasi już nie ma. Że nie doświadcza wraz z nią życia w tym ciepłym, rodzinnym antykwariacie. Z jednej strony czuła palący żal po stracie siostry, a z drugiej miała świadomość, że gdyby nie jej tragiczna śmierć, pewnie w dalszym ciągu tkwiłaby w melinie, przez kaprys losu nazywanej przez siostry domem.

Chociaż mijały miesiące, Basia wciąż przeżywała żałobę. Jeszcze nie nadszedł etap pogodzenia się z faktami. Nie umiała wspominać siostry czy wspólnych dobrych chwil. Każda próba opowiedzenia Helenie o Stasi kończyła się wybuchem płaczu.

Helena oczywiście nie naciskała. Wiedziała, że podobne rany goją się długo. Zresztą zaledwie kilka dni po przeprowadzce Basi na Zgodę z wizytą przyszli obydwaj młodzi Malinowscy. Żaden z nich nie chciał wejść do mieszkanek na zaplecze, nalegając, żeby Hela wyszła na zewnątrz. Grzecznie się przywitali z panem Józefem, raz za razem przeprasząc za najście.

– Obaj jesteście mile widzianymi gośćmi – zapewniał antykwariusz. – Jakże się podobała książeczka, Poldku?

– Ogromnie, proszę pana. Proszę wybaczyć, że jeszcze jej nie odniosłem, ale moja matka zapragnęła ją przeczytać. Mam nadzieję, że zgodzi się pan na te kilka dni prolongaty? – dodał zaniepokojony.

– Naturalnie – przystał ochoczo Małecki. – Ale nalegam, żebyś mi później opowiedział, jak się szanownej rodzicielce podobała szalona przygoda na Marsie. No, nie przeszkadzam wam, młodzi. Wracam do katalogowania niemieckich filozofów. – Małecki wycofał się do wnętrza sklepu.

– Basia zdrzemnęła się na chwilę po powrocie z pracy. Obudzić ją? – zapytała Hela, gdy została sama z Poldkiem i Jankiem.

– Nie trzeba, przecież my z Basią się właśnie w pracy codziennie widzimy. Przyszliśmy do pani – odparł Janek. – Chcieliśmy wytłumaczyć, co tak naprawdę się wydarzyło, i właściwie nawet lepiej, że Basia tego nie słyszy.

Mówiąc jeden przez drugiego, opowiedzieli jej niewesołą historię.

– Żeby tego było mało – dodał na koniec ponuro Poldek – dostaje jej się od naszego ojca w pracy. Uparł się, że to właśnie jej wina, że naraziła nas na tę sprawę z policją. Zapewne nie pomaga w tym wiedza, że o włos uniknąłem śmierci i żyję właściwie tylko dzięki Stasi i jej odwadze.

– On widzi to inaczej. Jego zdaniem nie byłoby całej sprawy, gdyby Stasia nie wyciągnęła nas na potańcówkę – dodał Janek.

Hela spojrzała z ukosa na Poldka. Chłopak wyraźnie spiekł raka i miotał wściekłe spojrzenia na brata. W jednej chwili dziewczyna pojęła, że nie dość, że Poldek nie przyszedł na spotkanie z nią, to jednocześnie umawiał się z inną dziewczyną. Nie skomentowała. Dla dobra Basi chciała wysłuchać do końca, co mają do powiedzenia bracia Malinowscy.

– Panno Heleno, to nie tak. Proszę nie słuchać tego cymbała, mojego brata. – Poldek, czerwony z wściekłości, ale i pewnie ze wstydu, zaczął się nieco jąkać. – Moje zamiary wobec pani... hmm... są, jak by to ująć, bardzo szczerze. Na zabawę poszedłem tylko po to, żeby ułatwić spotkanie Basi z tym oto niewdzięcznikiem. To Stasia wymyśliła ten cały fortel. Przecież gdyby nie doszło do tego nieszczęścia, ja bym się stawiał na niedzielne spotkanie, choćbym miał na kolanach iść! Nawet wciąż mam bilety na ten seans kinowy – zapewniał gorliwie, uderzając się raz za razem w pierś dla podkreślenia szczerości swoich słów.

– A cóż to miał być za wyjątkowy film? – zapytała filuternie Helena.

– *Mały pułkownik* z Shirley Temple! – odparł szybko. – Może gdzieś tu mam te bilety... – Poldek zaczął przeszukiwać kieszenie swojej skórzanej kurtki.

– Niechże pan da spokój! – roześmiała się dziewczyna. – Przecież ja panu wierzę. Wróćmy lepiej do Basi. Mówiliśmy o tym, że nie ma w pracy lekko.

– Nie ma – potwierdził Janek. – Robimy z bratem wszystko, żeby zadowolić ojca, ale on...

– Nigdy nie jest z nas zadowolony – wtrącił Poldek. – A pracowników traktuje...

– ...nie najlepiej – dokończył Janek.

– Może więc Basia powinna poszukać nowej pracy? – podsunęła Hela.

– To nie takie proste. U ojca, pod okiem majstra Blumana może zdobyć zawód, a pracownia nasza uchodzi za jedną z najlepszych. Oczywiście są inne, równie dobre, lecz Basia musiałaby zaczynać termin od nowa, od jeszcze niższej pensji – wyjaśnił Poldek.

– A mówimy to wszystko po to, żeby uprosić panią o choć parę więcej dni opieki nad nią. Myślimy, jak jej pomóc, lecz potrzebujemy więcej czasu – dodał błagającym tonem Janek.

– Basia może tu zostać, ile zechce! – Stary antykwariusz wystawił głowę przez drzwi, jednocześnie pykając fajkę.

– Ojczy! Obiecał ojciec nie palić! – jęknęła Hela, lecz jej głos utonął w chóralnym podziękowaniu, jakie wydobyło się z ust braci Malinowskich.

Helena uznała, że dobrze zrobili, przychodząc do niej na tę rozmowę. Dzięki temu wiedziała, co Basi w duszy gra. Sprawie przyczyniło się także podsłuchiwanie ojca. Ten emocjonalny przekaz z ust braci skruszyłby każdego, a co dopiero takiego pocziwca jak antykwariusz. Oczywiście pan Józef nigdy w życiu nie wyrzuciłby potrzebującego schronienia człowieka na ulicę, ale to znacznie upraszczało sprawę. A nieszczęsna dziewczyna odzyskiwała spokój ducha w zacisznym mieszkanku, w towarzystwie dwojga kulturalnych i wykształconych ludzi.

Z początku Basia miała ogromne kompleksy. Wiedziała, że jest żałośnie niedouczona, właściwie nigdy nie czytała żadnych książek poza obowiązującymi w programie nauczania. Skończyła wprawdzie szkołę, choć bardziej uczciwie należałoby powiedzieć, że to szkoła skończyła z nią. Po odzyskaniu niepodległości obowiązek szkolny dotyczył wszystkich dzieci, niezależnie od pochodzenia. To było jedno z wielkich marzeń Piłsudskiego. Temu marzeniu Basia zawdzięczała umiejętność czytania oraz pisania. Gdyby urodziła się przed wyzwoleniem Polski, prawdopodobnie pozostałaby do końca życia analfabetką. A przy okazji pewnie siedziałaby boso na wsi, ponieważ jej rodzice nie przyszliby do Warszawy. Im miasto zwichnęło kręgosłupy moralne, wpadli w alkoholizm, ale Basia nie zamierzała się łatwo poddać.

– Helu – zapytała pewnego październikowego popołudnia – czy mogłabyś mi polecić jakieś książki? Wiesz, nic wymyślnego. Nie jestem zbyt wyrobionym czytelnikiem – dodała ze wstydem.

– A jakiej wiedzy szukasz? – odparła Helena, przestając mieszać potrawkę z kury. Otrząsnęła drewnianą łyżkę, po czym położyła ją na krawędzi garnka. Spojrzała bacznie na Basię. Dziewczyna wyglądała na zmieszaną, a z pewnością nie wiedziała, jak odpowiedzieć na pytanie. – O czym chciałabyś poczytać? – Uśmiechnęła się ciepło.

– Może coś o dalekich krajach?

– Nigdy nie podróżowałaś? – zapytała Helena. Dokładnie w tej samej chwili zapragnęła odgryźć sobie język. Ona sama była jedynie w Zakopanem i parę razy u stryjostwa w Sopocie, więc dokąd miałyby wyjeżdżać uboga szwaczka z pijackiej rodziny, mieszkająca na Czerniakowie i pracująca za skromne pieniądze na Solcu? – Ja właściwie też nie, ale to musi być bardzo ciekawe – paplała, chcąc zamaskować gafę. – Chodźmy do ojca, on uwielbia geografię! Wie wszystko o prawie każdym miejscu na świecie.

Pan Józef przywiązał się do Basi. Dziewczyna była niekłopotliwą lokatorką, miłą i wyjątkowo pracowitą. Nieraz powstrzymywał ją od sprzątania, gdy wracała z morderczo długich zmian w pracowni Malinowskiego. Gdyby to od niego zależało, najchętniej zatrzymałby ją na stałe w antykwariacie, zwłaszcza że uśmiechnięta jasnowłosa dziewczyna, jakby skrojona na miarę ideału piękności forsowanego ostatnio w kinach i teatrach, przyciągała spojrzenia klientów. Wiedział jednak, że nie jest w stanie zapewnić jej odpowiedniej pensji. Skromne dochody z obrotu książkami wystarczały na opłacenie czynszu oraz utrzymanie mieszkania i dwóch osób. Oczywiście odmówił, gdy Basia zaproponowała płacenie komornego, ale dokładanie się do prądu i wyżywienia przyjął z niekłamaną ulgą. Z prawdziwą przyjemnością zajął się doksztalcaniem dziewczyny na prośbę Heleny.

Jednak tym, co Basię ożywiało tak naprawdę, były spotkania z Jankiem. Przy chłopaku potrafiła nawet zapomnieć na chwilę o żałobie. Choć spędzała w pracowni całe dni, nawet niespecjalnie odczuwała znużenie. Wypatrywała każdej chwili sam na sam, a przelotne pocałunki w ciemnym kącie warsztatu rozpały jej wyobraźnię, gdy zasypiała wieczorem. Wciąż jednak nie posunęli się dalej.

– Nie potrafię przestać o tobie myśleć – szeptał jej do ucha. Ciepłe powietrze owiewające jej szyję przyprawiało Basię o gęsią skórę. – Pobierzmy się jak najszybciej.

– Przecież jeszcze nie możemy – parskała zawsze śmiechem. – Jeszcze szkoły nawet nie skończył! Zresztą – dodawała zawsze, poważniejąc – twój ojciec na nasz ślub nigdy się nie zgodzi.

– Moja w tym głowa, żeby się zgodził. I tak nie zwraca na mnie uwagi, to co mu do tego, z kim się chcę żenić? – odpowiadał buńczucznie, choć w głębi serca wiedział, że jego ukochana ma rację. Właśnie dlatego zwykle odpuszczał. Wierzył, że czas przyniesie rozwiązanie. Nie zmieniało to faktu, że obydwójgu młodym coraz trudniej było oderwać się od siebie.

Chcąc wkupić się w łaski ojca, Janek dawał z siebie w pracowni wszystko. Przybiegał od razu po szkole, od wejścia brał się za robotę, a do domu wychodził prawie jako ostatni. Wraz z nadejściem chłodniejszych dni w zakładzie Malinowskiego pracy przybywało. Nieraz światła wewnątrz paliły się do późnych godzin wieczornych. Pracownicy nie narzekali. Wiedzieli, że ich szef, choć na co dzień skąpy, nigdy nie szczędził świątecznych premii, jeśli listopad i grudzień wypadły pomyślnie pod względem utargów.

– Starczy na dzisiaj, chłopcze! – majster Mosze odpędził Janka od stołu krojczego. – Ósma wieczorem, a ty przecież jutro do szkoły idziesz.

– Sobota jutro, panie majster, więc lekcji mało – zbagatelizował chłopak. Od czasu, gdy zorientował się, że Mosze Bluman jest powiernikiem Baśki i pomagał jej ukrywać pensję przed pijacką rodziną, polubił go jeszcze bardziej. Gdy dziewczyna przyszła do niego z prośbą o zwrot pieniędzy, bez słowa oddał jej także te należące do Stasi. Suma, choć skromna, Basi wydawała się zawrotna. Nigdy wcześniej nie miała przy sobie aż tyle.

– Jeszcze się zdążysz w życiu napracować – odparł Bluman, patrząc dobrotliwie na chłopaka.

Majstrowi nie mieściło się w głowie, że stary Malinowski w tak paskudny sposób ignoruje młodszego syna, podczas gdy ten rozpaczliwie zabiega o jego uwagę i daje z siebie wszystko, żeby tylko mu się przypodobać. Wiele ryzykując, postanowił porozmawiać z właścicielem zakładu. Okazja nadarzyła się w połowie grudnia, gdy obydwaj ślęczeli w pakamerze Apoloniusza, do późnego wieczora sprawdzając księgi buchalteryjne. Popijali przy tym niespiesznie doskonałą śliwownicę, prezent świąteczny od jednego z właścicieli składów towarowych.

– Jeszcze trochę i zatrudnimy kolejnych pracowników – Apoloniusz zatarł z uciechy ręce. – Zdaje mi się, że i zaufanych kierowników nam będzie

trzeba. Przecież ty, drogi Mosze, sam wszystkiemu nie podołasz, a ja zbyt często wyjeżdżam w interesach, żeby wszystkiego dopilnować.

– Może by się znalazło jakieś rozwiązanie, panie Malinowski – majster podrapał się w czubek głowy.

– Tyle razy prosiłem, żebyś mi mówił po imieniu, gdy jesteśmy sami – wtrącił właściciel. – Jakież rozwiązanie masz na myśli?

– Myślę o Janku, drogi Apoloniuszu – odparł spokojnie Bluman.

– Mam smarkacza zrobić kierownikiem? – roześmiał się Malinowski. – Przecież on ma jeszcze mleko pod wąsem. Jaki pracownik będzie szanował jego rozkazy?

– Niezupełnie o to mi chodziło.

– O cóż więc? – Szef uniósł do góry szklaneczkę ze śliwownicą zapraszającym gestem.

– Chłopak bardzo się stara. Już prawie się nie obydam bez jego pomocy – powiedział Mosze. Podkoloryzował to nieco, lecz w istocie Janek był bardzo pojętny i wiele pomagał.

– To prawda, jest zdolny, ale ja nie mogę mu dawać większych względów przed Poldkiem, bo jak by to wyglądało? Jednego mam dziedzica i nic z tym nie zrobię.

– To oczywiste – zgodził się majster. Wiedział, że o tym absurdalnym, staroświeckim poglądzie szefa nawet nie ma sensu rozmawiać. – Jednakże musisz, Apoloniuszu, pomyśleć o wnukach.

– O wnukach? – zdziwił się Malinowski. – Nie za wcześnie o tym mówić? – roześmiał się.

– Czas szybko płynie, doskonale o tym wiesz.

– To prawda – westchnął Malinowski.

– Więc pewnie chciałbyś, żeby najstarszy syn twojego pierworodnego otrzymał rodzinne przedsiębiorstwo w jak najlepszej kondycji?

– Na to nie mam już wpływu – powiedział Apoloniusz, nagle markotniejąc. Bluman doskonale wiedział, że uderzył w czuły punkt. Nie było dnia, a pewnie i nocy, żeby Malinowski nie myślał o tym, czy Poldek zdoła prowadzić pracownię pewną ręką.

– Otóż właśnie masz, drogi Apoloniuszu. Poldkowi pomoże Janek.

– Ma dożywotnie miejsce pracy tutaj! Nie wyrzucę własnego syna. Jak możesz tak w ogóle przypuszczać, Mosze? – obruszył się.

– O nic takiego bym przecież nie podejrzewał dobrego ojca, jakim jesteś – uspokoił go Bluman, zastanawiając się, czy nie przeszarżował. – Chodzi mi o to, że czasem ważniejsze od tego, co robimy, jest to, dlaczego to robimy. Janek staje na głowie, żeby zyskać twoje uznanie, a gdy go nie dostaje, nieświadomie zaczyna coraz bardziej rywalizować z Poldkiem. Jeśli zaczniesz chłopaka chwalić, doceniać jego starania, wówczas będzie wspierał brata, zamiast usilnie pokazywać, że jest od niego bardziej staranny czy pracowity. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. A przecież nie chcemy zostawiać ruiny twojemu pierworodnemu wnukowi, prawda?

Stary Malinowski nie odpowiedział. Przez chwilę pocierał brodę w zamyśleniu, jakby trawiąc słowa krojczego. Wreszcie rozjaśnił się i chwycił za szklaneczkę.

– Napijmy się jeszcze, Mosze. Twoje zdrowie! – powiedział.

– I twojego przyszłego wnuka! – podrzucił chytrze Bluman.

Ziarno zasiane przez majstra trafiło na podatny grunt. Oczami wyobraźni Malinowski już widział małego chłopaczka, syna Poldka i starszej córki Januarego Melnera, biegającego między maszynami i belami kolorowych skór. Ku uciesze Blumana przez kilka kolejnych dni okazywał Jankowi względy.

Tydzień później zmarła Eleonora, po niej Dorotka, a dla całej rodziny Malinowskich zatrzymał się świat. Mosze obserwował z tylnej ławy kościoła katolickiego zgarbione plecy Apoloniusza, gdy ten klęczał przed dwoma trumnami. Czarną i nieco mniejszą, białą, w której w ostatnią drogę miała ruszyć Dorotka. Ciotce Marii udało się załatwić wspólny pochówek Eleonory i jej córki. Malinowski, niezdolny do działania, po prostu robił to, co kazała szwagierka. Idąc w kondukcje pogrzebowym w stronę cmentarza Powązkowskiego, sprawiał wrażenie, jakby przez ostatni tydzień przybyło mu dobre dziesięć lat. A w chwili, gdy trumny z tabliczkami *Eleonora Malinowska de domo Chlebowska* i *Dorota Eleonora Malinowska* spuszczone do wykopanego z wielkim trudem zmrożonego dołu, ojciec rodziny skurczył się w sobie, jakby chciał wraz z żoną i córką zniknąć z tego świata.

Najgorsze obawy Blumana spełniły się już po Nowym Roku. Pograżony w rozpacz Malinowski nawet nie pojawił się w pracowni.

– Co z ojcem? – zapytał szeptem Poldka, gdy ten jak co rano przyszedł do pracy.

– Niedobrze, panie majster. Jak zaczął pić po pogrzebie, tak do tej pory nie przestał – mruknął chłopak.

– Może tak musi być – odparł z zadumą Mosze. – Chodź, weźmiemy się do roboty, chłopcze.

WSPÓŁCZEŚNIE

Wystarczy przejść przez jedną z bram Powązek, żeby cofnąć się w czasie. Jedna z najstarszych nekropolii Warszawy skutecznie broni się przed napierającym z każdej strony miastem. Choć każdy cmentarz z założenia wprowadza w przygnębienie, ten ma w sobie coś unikalnego. Może dzięki temu, że nie został po powstaniu warszawskim zrównany z ziemią, stanowił łącznik pomiędzy dawnym i obecnym miastem? Fakt, że był królestwem śmierci, dodatkowo potęgował wrażenie.

Julia szła główną alejką obok dziadka. Czy to właśnie jego obecność sprawiała, że Powązki wydawały jej się dzisiaj jakieś inne? Po chwili zrozumiała, że przecież zawsze przyjeżdżała tu z rodzicami jesienią. Alejki w dniu Wszystkich Świętych szczelnie wypełniały tłumy ludzi z donicami chryzantem i pobrzękującymi w plastikowych torebkach zniczami. Pod nogami szeleściły liście, a nad cmentarzem unosił się charakterystyczny zapach palonej stearyny.

Tymczasem był maj, pachniały bzy, ptaki ćwierkały, uwijając się gorączkowo w gałęziach starych drzew, a jak okiem sięgnąć poza Julią i dziadkiem na Powązkach nie było nikogo. Dziewczyna uznała, że ta afirmacja życia w wykonaniu przyrody zakłóca dostojną atmosferę nekropolii.

Jeszcze dzisiaj rano nawet nie przypuszczała, że spędzi tu przedpołudnie, i to w towarzystwie dziadka, ale przedzierając się z mozołem przez stary list, natrafiła na zdanie, którego nie potrafiła w żaden sposób zrozumieć.

Po odejściu Dorotki mój świat stał się piekłem i tylko dzięki Tobie wciąż istniałem.

Nie zastanawiając się długo, zadzwoniła do dziadka, a ten zaprosił ją na spacer. Nie zapytała, dlaczego przyjechali właśnie tutaj. Czekwała cierpliwie, aż dziadek zacznie opowiadać. On jednak wędrował niespiesznie cmentarnymi alejkami, dopytywał, co słychać na uczelni, opowiadał wesołe anegdotki ze studenckich czasów.

– Dziadku, co my właściwie tu robimy? – nie wytrzymała w końcu Julia.
– Nie zrozum mnie źle, jest bardzo przyjemnie, ale ciekawość mnie zżera.

– Wybacz, moja miła, myślałem, że to oczywiste? Ojciec nigdy nie pokazywał ci naszych rodzinnych grobów? – zdziwił się.

– Pokazywał. Przyjeżdżamy na Wszystkich Świętych do babci Wandy.

– Ach, pewnie sam już nie pamięta o starszym grobie – westchnął dziadek. – W takim razie bardzo dobrze się stało, że przyjechaliśmy.

Poprowadził ją wąskim przejściem pomiędzy ponadstuletnimi mogiłami o różnym stopniu zadbania.

– Widzisz ten wysoki grobowiec z drugiej strony alejki? – zapytał. – Należy do inżyniera Kierbedzia, konstruktora przedwojennego mostu w Warszawie. No dobrze, a tutaj jest nagrobek, który nas interesuje – oświadczył.

Julka podeszła bliżej. Kamienna płyta nagrobna, choć bardzo stara, wyglądała na zadbaną. Na steli wypisano tylko dwa nazwiska: *Eleonora Malinowska de domo Chlebowska (5 maja 1891 – 22 grudnia 1935)* i *Dorota Eleonora Malinowska (16 kwietnia 1922 – 30 grudnia 1935)*.

– Eleonora była moją babcią, a Dorota ciotką. Obydwu, jak się domyślasz po datach, nigdy nie poznałem – wyjaśnił dziadek Marek.

– Czyli Dorota była siostrą Poldka, twojego ojca? – upewniła się Julia. – Dlaczego ojciec nigdy mnie tu nie przyprowadził?

– Jak mówiłem, być może sam o tym grobie nie pamięta – odparł dziadek. – I właściwie trudno mu się dziwić. Ja sam nieczęsto tu zaglądam. To jest ta część historii, której prawie nie znam. Moi rodzice, Poldek i Helena, nie mówili o niczym, co wydarzyło się przed wojną. Każde takie pytanie zbywali.

– Ale nazwiska na nagrobku, jeśli chcieli, żeby to miejsce nie popadło w ruinę, zachować w tajemnicy nie mogli – domyśliła się Julka.

– Właśnie. Z ich suchej relacji wiem tyle, że obydwie zmarły na gripę przed wojną. Dlatego to zdanie, które odszyfrowałaś, poruszyło mną do głębi. Uświadomiło mi, że mój własny ojciec miał przed wojną cały swój

świat, którego ja nigdy nie byłem częścią. A teraz czuję się tak, jakbyś mi uchyliła rąbka tajemnicy. Właściwie to niezupełnie tajemnicy – zawahał się.

– Jakbyś nagle uzyskał dostęp do skrywanych uczuć swojego ojca i zobaczył go w nowym świetle?

– Właśnie tak.

ROZDZIAŁ 12

1936

Choć kończył się luty, zima nie chciała dać za wygraną. Raczyła Warszawę na zmianę opadami śniegu i roztopami. Nawet najbardziej reprezentacyjne punkty miasta wyglądały w tej aurze nieciekawie. Aż trudno było wierzyć w to, że wkrótce znów wszystko spowije odradzająca się do życia zieleń. Helena wracała ze spotkania Cukunftu w wyjątkowo nieciekawym nastroju. Wcześniej tego nie zauważyła, lecz grupka Róży i człowieka zwanego Docentem jakby poddała się fali coraz bardziej radykalnych nastrojów ogarniających całe społeczeństwo.

Właściwie miało się wrażenie, że wszyscy poszaleli, wypowiadając coraz ostrzejsze słowa i coraz swobodniej występując przeciwko wszystkiemu, co niezgodne z ich przekonaniem. Temu wszystkiemu towarzyszyło paranoiczne słowo „oni”. A więc nie Żyd Mateusz, sąsiad i właściciel sklepiku na rogu, którego znamy od zawsze jako porządnego człowieka, lecz „oni” – podstępna grupa z pewnością działająca na szkodę społeczeństwa. „Oni”, czyli Niemcy, „oni”, czyli katolicy, wreszcie „oni” robotnicy, „oni” fabrykanci czy „oni” z obozu sanacji. A to wszystko przy chórze głosów odmieniających słowo „wojna” przez wszystkie przypadki.

Helena nie miała pewności, czy chce dalej w tym uczestniczyć, lecz z drugiej strony co jej pojedynczy głos sprzeciwu mógłby zmienić? Świat jakby się uparł, by podążać po torach szaleństwa, wręcz dyszał chorobliwym oczekiwaniem na wybuch wojny. Ta na szczęście jakoś nie wybuchała. Po załagodzeniu konfliktu z Mussolinim, przy jednoczesnej ślepcie na poczynania Hitlera i Stalina, reszta Europy trwała w osobliwej stagnacji, stając się zakładnikiem rosnącego w siłę totalitaryzmu. Przy tym wszystkim życie toczyło się jak zwykle, teatry i restauracje pękały

w szwach, a dosłownie na dniach skończyła się zimowa olimpiada w niemieckim Garmisch-Partenkirchen.

Pogrążona w niewesołych myślach Helena ominęła kałużę z błota pośniegowego. Naciągnęła mocniej kaptur na głowę i pospieszyła w stronę antykwariatu. Nie miała ochoty na spotkania z klientami ani rozmowę z ojcem, więc do środka weszła od zaplecza. Tym większe było jej zdziwienie, gdy w saloniku, pełniącym jednocześnie funkcję sypialni jej ojca, zastała Poldka. Na jej widok chłopak zerwał się z krzesła i nerwowo przygładził nogawki spodni.

– Helu, dzień dobry – powiedział ochryple. Jeszcze nie doszedł do siebie po grypie. Doświadczyła go mocno. Po ponad dwóch tygodniach spędzonych w łóżku dopiero po raz drugi wyszedł z domu. Miał wrażenie, że droga z Solca na Zgodę zajęła mu wieczność, a podejście pod skarpe okazało się wyczynem na miarę zdobycia Giewontu.

– Nie powinieneś jeszcze wychodzić z domu! – przeraziła się dziewczyna.
– Usiądź, zaraz ci zrobię herbaty.

– Nie trzeba, pan Józef był tak uprzejmy, że mnie poczęstował. Właściwie to ja między innymi do niego przyszedłem. Gdy uświadomiłem sobie, że wciąż nie oddałem mu *Więźnia na Marsie*, zrobiło mi się tak wstyd, że postanowiłem niezwłocznie przyjść.

– *Więźnia na Marsie*? – zdziwiła się.

– Książki, którą łaskaw był mi wypożyczyć. Potem czytała moja... matka, a później tyle się wydarzyło, że zapomniałem. Zabawne, ale ostatnie słowa, jakie zamieniłem z matką, dotyczyły właśnie tej lektury – mówił przygaszonym głosem. – Gdy jeszcze miała siłę rozmawiać, powiedziała, że odkąd ją przeczytała, tak sobie zaczęła wyobrażać życie po śmierci. Jak wieczny spacer po pełnej nieznannej roślinności i mieszkańców planecie. Dziwne, prawda?

– Jeśli tylko jej to pomogło... – szepnęła Helena.

– Tym się właśnie pocieszam.

– Ale przecież nie musiałeś specjalnie po to wychodzić z domu. Może nie jesteś jeszcze całkiem zdrowy? – zaniepokoiła się. – Jeśli tak ci na sumieniu ciążyła ta książeczka, Janek mógł ją przynieść przy okazji wizyty u Basi.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Obydwoje przypomnieli sobie zenującą scenę, gdy Helena przyszła odwiedzić ciężko chorego Poldka. Chłopak przeszło tydzień majaczył w gorączce i zdawało się, że

podzieli los matki i Dorotki. Janek przybiegł do antykwariatu z niewesołymi wieściami, a Helena, niewiele myśląc, poszła wraz z nim do domu Malinowskich na Solcu. Poldek przecknął się na chwilę, choć później wcale tego nie pamiętał. Całe zajście znał z opowieści Janka, równie zażenowanego, gdy do pokoju wpadł Malinowski i zmierzył Helenę złym spojrzeniem, po czym zapytał drwiąco, czy to wypada, żeby porządna dziewczyna oglądała kawalera w łożu. Wygłosił to z taką pogardą, że biedna Helena z punktu poczuła się jak brudna ładacznica. Janek zacisnął zęby i pięści, w ostatniej chwili powstrzymując chęć rzucenia się na ojca. Jego zachowanie wydało mu się tak skrajnie niesprawiedliwe, zarówno wobec Heli, jak i gasnącego w oczach Poldka, że chwycił skołowaną dziewczynę za rękę i wyprowadził z pokoju. Policzki paliły go ze wstydu, gdy jękając się, przeproszał Helenę za afront.

Malinowski odprowadził ich spojrzeniem. Nie miał pojęcia, że jego starszy syn umawia się z jakąś panną. To mogło zagrozić jego planom ożenku chłopaka z córką Melnera. O ile oczywiście Poldkowi uda się wyzdrowieć.

Helena silnie przeżyła tę konfrontację. Najbardziej bolało ją to, że Malinowski jej nie znał i nawet nie dał szansy, by choć się przedstawiła. Próbowwała odepchnąć od siebie złe wspomnienia, lecz nie było to łatwe. Zwłaszcza że przełamawszy się, zadzwoniła później do kamienicy Malinowskich od sąsiada, by dowiedzieć się o stan zdrowia chłopaka. Na jej nieszczęście odebrał stary Apoloniusz, więc ponownie usłyszała kilka paskudnych słów. Na dalsze próby kontaktu już się nie odważyła.

– Prawdę mówiąc – powiedział Poldek – chciałem cię przeprosić za ojca. To, jak się zachował...

– Nie mówmy o tym – westchnęła.

Ignacy był wściekły. Upokorzenie wypalało mu rumieńce na twarzy, gdy koledzy otoczyli go w szatni i zaczęli wyśmiewać bez litości. Nie wpadłby w kłopoty, gdyby trzymał język za zębami na lekcji historii, ale oczywiście musiał się wychylić, gdy nauczyciel zadał pytanie o największych przywódców w historii świata. Co go podkusiło, żeby się wyrwać z Mussolinim i Hitlerem?

Najgorsze było to, że nauczyciel, zamiast go obsztorcować, wciągnął go w rozmowę. Ignacy nie wyczuł pułapki. Przez chwilę rzucał jak z rękawa wiadomościami o cudzie gospodarczym, jaki dokonał się we Włoszech i w Rzeszy w ostatnich dwóch latach. Nie zreflektował się na czas, gdy nauczyciel niewinnym tonem zapytał o stosunek niemieckiego dyktatora do Żydów.

Niewiele myśląc, chłopak palnął coś o czystości narodu jako gwarancji porządku w kraju. Nauczyciel odebrał mu głos i gładko przeszedł do Sobieskiego. Ignacy rozejrzał się i ujrzał rozeźlone twarze kolegów. Przez chwilę nie wiedział, o co im chodzi, a później zapomniał o tym aż do końca lekcji. W szatni, poszturchiwany przez chłopaków z klasy, zrozumiał, że pomylił elitarność szkoły z nacjonalistycznymi sympatiami, a na patriotyzm nie mieli monopolu wyłącznie chłopcy z katolickich rodzin.

– Nazista – warknął jakiś blondyn z przylizanymi włosami.

Inny splunął mu pod nogi, a kędzierzawy brunet, zapewne wyznania mojżeszowego, oderwał mu od mundurka szkolną tarczę.

– Nie jesteś godzien jej nosić – oznajmił.

Gdy koledzy wreszcie zostawili go w spokoju, Ignacy usiadł na drewnianej ławce. Zatopił twarz w dłoniach i ostatkiem sił powstrzymał się, by nie zacząć płakać. Jak zwykle wyszedł na ostatniego kretyna, a przecież chciał dobrze. Zawsze chciał dobrze, od dziecka marzył wyłącznie o tym, żeby ktoś go w końcu polubił. Tymczasem nawet własny ojciec miał go w nosie, by o matce nie wspomnieć. Był starszy brat, choć właściwie zachowywał się bardziej jak nadzorca. Ignacy żywił dla niego niechętny podziw. Konrada kochali wszyscy. Gdziekolwiek poszli, ktoś – przeważnie jakaś młoda kobieta – podsuwał kajecik albo kawiarnianą serwetkę z prośbą o autograf. Na Ignacego nikt nie zwracał uwagi, a fakt, że nadal nosił krótkie spodnie, dodatkowo wprawiał go w zażenowanie. Szczególnie wtedy, gdy Konrad ciągnął go za sobą na plan filmowy, gdzie wszystkie swobodne w obyciu aktoreczki traktowały go jak dzieciaka.

Ignacy zasepił się. Dotychczas sądził, że chociaż w liceum znajdzie przyjaciół, ale najwyraźniej nawet tu był odmieńcem, kimś, komu można jedynie oderwać z ramienia tarczę, plunąć pod nogi i wysyczeć prosto w twarz, że jest intruzem. Z mocnym postanowieniem, że więcej tu nie wróci, zdjął z haczyka płaszcz, ciesząc się w duchu, że chociaż od niego nie oderwali mu tarczy, bo inaczej pierwszy napotkany posterunkowy złapałby

go za ucho i odprowadził wprost do domu. Zamkniętego na głucho domu. Rodzice nadal nie dali znaku życia, więc mokotowska willa stała pusta. Po tym czekałby go upokarzający przemarsz przez podwórko osiedla, na którym tymczasowo mieszkał z Konradem.

Ignacy zarzucił teczkę na ramię, wspiął się po schodach, prawie przewracając się o oblodzony stopień. Choć zaczął się marzec, zima nie zamierzała odpuścić. Przy fasadzie szkolnego budynku leżało wysokie zwałowisko mokrego śniegu, przetykanego czarnymi żyłkami ulicznego kurzu. Z nieba spływał leniwie biały puch. Ignacy stanął przy bramie. Trwał w milczeniu, choć najbardziej na świecie chciał zwyczajnie zniknąć. Oparł czoło o zimny mur. Miał nadzieję, że Konrad o nim nie zapomni i przyjedzie, żeby odebrać go ze szkoły. Właściwie nie miał pojęcia, skąd bierze się ta obawa, bo jak do tej pory przyrodni brat zawsze stawał na wysokości zadania.

– Dali ci w kość, co? – głos momentalnie wytrącił Ignacego z marazmu.

– Co tu robisz? – zdziwił się, widząc dziewczynę. – To męska szkoła!

– Ojej! Wezwij woźnego albo od razu dyrektora! – Wywróciła oczami, po czym okręciła się wokół własnej osi. Czarna suknia załopotiała, zmiatając świeży śnieżny puch z alejki. Dziewczyna zgarnęła jasne włosy za ucho, po czym naciągnęła głębiej czapkę z lisa. – Idziesz ze mną czy będziesz się mazgał, że paru niezłomnych patriotów ze szkoły Batorego spuściło ci łomot? Czego się spodziewałeś po tych paniczekach z dobrych domów? – roześmiała się.

– Kim jesteś?

– Alina, daj już spokój, nie męcz chłopaka – rozległ się męski głos.

Ignacy odwrócił się. Za nim stał kolega z klasy, Tadeusz, w nonszalancko rozpiętym płaszczu i kapeluszu nasuniętym na czoło. Ignacy odruchowo przyjął postawę obronną. Najwyraźniej pasmo upokorzeń tego dnia jeszcze się nie zakończyło.

– Spokojnie, nic ci nie zrobię – roześmiał się postawny chłopak z włosami zaczesanymi na brylantynę. Z przekrzywioną nieco głową wpatrywał się w Ignacego. Dziewczyna podeszła do Tadeusza.

– Czego ode mnie chcecie? – Ignacy spoglądał podejrzliwie raz na jedno, raz na drugie.

– Właściwie postawione pytanie brzmi, czego ty chcesz? – odpowiedział pytaniem Tadeusz.

Na to Ignacy nie znalazł odpowiedzi. Patrzył spode łba na osobliwą parę, nabierając coraz większych podejrzeń, że to kolejny z dowcipów szkolnych kolegów.

– Dobra, nie czas na podobne filozofie – wtrąciła się dziewczyna. – Idziesz z nami? – zwróciła się do Ignacego.

– Dokąd? – zdziwił się.

– Słuchałem tego, co mówiłeś na lekcji historii – odezwał się Tadeusz. – Nie wiem, na ile pilnie czytasz gazety, lecz widzę, że rozumu ci nie brakuje, a podobnie myślący ludzie chętnie cię poznają.

– Jacy ludzie? – Ignacy patrzył na kolegę nieufnie.

– Z Falangi – odparła krótko Alina.

Ignacy wiedział, kim byli. To dzięki ich wpływom na uczelniach wyższych powstały wydzielone strefy krzeseł dla studentów pochodzenia żydowskiego, zwane potocznie gettami ławkowymi. Dla chłopaka, przekonanego, że największym zagrożeniem dla niepodległej Polski jest socjalizm popierany właśnie w dużej mierze przez społeczności żydowskie, już tylko to wystarczyło, żeby popierać Falangę całym sercem. Poczł narastającą ekscytację na myśl, że wreszcie spotka podobnych sobie ludzi.

– Zatem chętnie z wami pójdę – odparł Ignacy, patrząc na rozciągniętą w uśmiechu twarz Aliny. Może nie należała do piękności, lecz było w niej coś pociągającego.

Niepomny faktu, że miał czekać na Konrada, Ignacy jak zaczarowany ruszył za szkolnym kolegą i nowo poznaną dziewczyną.

– Apoloniuszu, nic dotąd nie mówiłam, ale jeśli się nie opamiętasz, najpierw pójdiesz z torbami, a potem wprost do grobu. – Małomówna i trzymająca zwykle nerwy na wodzy Maria patrzyła gniewnie na szwagra. – Masz już swoje lata, a zachowujesz się niczym nieokrzesany kawalerzysta. Jest oczywiście zrozumiałe, że rozpaczasz, ale jeśli chcesz dalej zapijać smutki, to klnę się na wszystkie świętości, że za chwilę spakuję walizkę i tyle mnie w tym bezbożnym domu widzieli!

Tym, co w istocie najbardziej oburzało ciotkę Marię, nie było nadmierne zaglądnienie Apoloniusza do kieliszka, a fakt, że trwonił majątek na rozpustę, nawet się z tym nie kryjąc. Maria, wyczulona na punkcie tego, co pomyślą

sąsiedzi, z ogromną irytacją obserwowała zza firanek, jak jej szwagier późną nocą wytacza się z dorożki i śpiewając bełkotliwie, podąża chwiejnym krokiem tuż pod oknami okolicznych mieszkańców. Gdy Maria wychodziła z kamienicy Malinowskich, czuła na plecach świdrujące spojrzenia sąsiadów i – jeśli to nie wyobraźnia płatała jej figle – także ciche parsknięcia śmiechu.

Tego dla Marii było zbyt wiele. Postanowiła rozmówić się z Apoloniuszem i z pełną premedytacją wybrała poranek, gdy cierpiał na ciężkiego kaca. Zgodnie z jej oczekiwaniem szwagier milczał, zapewne cierpiąc katusze, i marzył w duchu, żeby w końcu zamilkła. Co więcej, zrobi wiele, a obieca jeszcze więcej, żeby tak się stało.

– Apoloniuszu – Maria podjęła poważnym tonem – tak dalej być nie może. Co by powiedziała twojej świętej pamięci żona?

Malinowski przemilczał tę uwagę, choć na usta mu się cisnęła odpowiedź, że Eleonora nie powiedziała by nic i że w przeciwieństwie do Marii wiedziała, gdzie jej miejsce, a w męskie sprawy nie ośmielała się wtrącać. Tyle tylko, że Maria nie była jego żoną, a to, że zajęła się domem, było Apoloniuszowi bardzo na rękę.

– To, co robisz, to, jak życia nie szanujesz, jest obrazą boską, mój drogi Apoloniuszu, więc tak sobie pomyślałam, że pójdziemy do kościoła i tam Najświętszą Panią o wybaczenie poprosisz. A teraz wypij soku z kapusty, od razu ci ulży. – Nieustannie gderając, Maria sięgnęła do kieszeni fartucha. Wyjęła z niej pudełeczko z tabletkami przeciwbólowymi Pszczółka, wytrząsnęła dwie na otwartą dłoń. – Proszę, zażyj je szybko, chociaż głowa cię przestanie boleć.

Ciotka Maria dopięła swego. Po południu zaciągnęła szwagra do parafialnego kościoła Świętej Trójcy, gdzie działając z zaskoczenia, wymogła na nim przysięgę przed Bogiem, że nie weźmie alkoholu do ust przynajmniej do Wielkanocy. Wiedziała, że Malinowski wręcz obsesyjnie dotrzymuje danego słowa, a że był bardzo wierzący, więc złożenie obietnicy w kościele czyniło ją nierozzerwalną. Odetchnąwszy z ulgą, że przynajmniej jeden problem ma z głowy, wzięła szwagra pod ramię. Wyszli z kościelnego półmroku na zalaną słońcem ulicę.

– Zwariować można z tą pogodą – utyskiwała Maria. – Raz mróz i lodowaty wiatr, za chwilę słońce jak w maju.

– Przejdziemy się? W końcu migrena ustąpiła, a ja się czuję jak nowo narodzony – odparł Malinowski.

– Może na Powązki? – podsunęła Maria.

– Nie, mam dość umartwiania się – oświadczył stanowczo. – Przejdźmy się Nowym Światem, a potem zapraszam cię na obiad. Wybierz lokal, jaki chcesz – dodał wspaniałomyślnie.

– Kiedy ja nie znam żadnych warszawskich lokali. – Maria uśmiechnęła się powściągliwie, ale to wystarczyło, żeby rysy jej twarzy złagodniały i stały się nawet ładne.

– Zatem ja coś wybiorę. A teraz chodźmy.

Godzinę później usiedli przy stoliku w eleganckiej Adrii. Onieśmielona Maria rozglądała się po lokalu i niewiele brakowało, a oddałaby ukłon kelnerowi, który ich obsługiwał.

– Nigdy nie byłam w tak wytwornym miejscu – powiedziała, patrząc z podziwem na ścianę udekorowaną kwitnącymi egzotycznymi roślinami. Lśniące marmury, wyściełane, miękkie krzesła i nienaganna zastawa na wszystkich robiły wrażenie, a cóż dopiero na ubogiej starej pannie mieszkającej na co dzień w skromnej chałupie w podwarszawskim Świdrze. – Apoloniuszu, lepiej stąd chodźmy – zdenerwowała się. – Te ceny to jakaś obraza boska!

– Nie patrz na nie w takim razie – roześmiał się Malinowski. Wyjął Marii kartę dań z rąk i odłożył na brzeg stolika. – Co powiesz na barszcz z pasztecikami i comber barani?

– Niech będzie – odparła zrezygnowana. – Ale nadal uważam, że...

– Mario, nie mówmy o cenach. Chciałbym cię o coś innego zapytać – przerwał Apoloniusz.

– O cóż?

– Właściwie nie tyle zapytać, co prosić cię o radę – poprawił się po namyśle Malinowski. – Na świecie zostali mi jedynie dwaj synowie. To właściwie wszystko, co mam i co po sobie zostawię. Jest oczywiście jeszcze pracownia i to właśnie o nią mi teraz chodzi. To scheda Poldka. Ale przecież jest także Janek. Majster, który jest mądrym człowiekiem, radzi mi, żebym młodszego zostawił na kierowniczym stanowisku jako wsparcie dla pierworodnego. A ja się biję z myślami. Co, jeśli ambicje wezmą górę, a bracia się pokłócą, zaprzepaszczając moje życiowe dzieło? – Apoloniusz

niespecjalnie liczył na poradę tej kobieciny, bardziej chodziło mu o możliwość wygadania się.

– Apoloniuszu, przecież to jest takie proste – Maria patrzyła na szwagra z uwagą. – Daj Janka na księdza.

– Co takiego? – Apoloniusz uznał, że się przesłyszał.

– Wyślij go do seminarium, przecież to świetne wyjście z sytuacji. Rozwiązesz problem schedy, a zarazem zyskasz uznanie. Mieć duchownego w rodzinie to przecież ogromny zaszczyt i nobilitacja.

Apoloniusz przez chwilę pożałował, że ślubował trzeźwość. Zdusiwszy w zarodku chęć zamówienia przedniego szampana, uśmiechnął się od ucha do ucha. Najwyraźniej nie doceniał szwagierki. W mgnieniu oka znalazła idealne rozwiązanie problemu, jaki go dręczył od dawna.

Konrad Werner zaklął pod nosem. Spędził pod szkołą Ignacego dwa kwadransy tylko po to, aby się przekonać, że czeka na marne. Zatrzasnąwszy z impetem drzwi torpeda, udał się do budynku. Jak się okazało, zamkniętego już na głucho. Do tej pory Ignacy zachowywał się bez zarzutu, choć nie przejawiał entuzjazmu dla metod wychowawczych starszego brata. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby nie zjawił się na umówione wcześniej spotkanie.

W pierwszym odruchu Konrad chciał pojechać na posterunek policji, ale po chwili uświadomił sobie, że podrostki miewają różne szalone pomysły, więc pewnie nie wydarzyło się nic poważnego, a on ryzykuje skandal. Nie miał pojęcia, jak to się dzieje, ale zawsze gdy było to niepożądane, na horyzoncie pojawiał się jakiś pismak w towarzystwie fotografa. Wiedział wprawdzie, że nieważne, jak mówią, byleby nie przekręcili nazwiska, lecz i tak go to irytowało. O ile Werner lubił grę aktorską i nie wyobrażał sobie innego zajęcia, o tyle drażniła go sama otoczka, atmosfera sensacji, a zwłaszcza wieczne życie na świeczniku pośród pochlebców i szyderców.

Werner wzruszył ramionami i wolno odjechał spod szkoły. Miał zamiar wziąć brata ze sobą na plan filmowy, ale skoro ten się gdzieś zapodział, nie będzie sobie nim zaprzętał głowy. Ignacy miał klucze od mieszkania, więc gdy w końcu wróci, dostanie się do środka. Torpedo ruszyło w stronę Śródmieścia. Dzisiejsze zdjęcia miały być kręcone w Małej Ziemiańskiej.

Konrad uwielbiał tę kawiarnię za niepowtarzalny klimat. Właściwie o każdej porze można tu było spotkać wybitnych polskich literatów z Lechoniem i Tuwimem na czele.

Na ulicach było dość pusto, więc do Śródmieścia dojechał w rekordowym tempie. Nie chciał przybyć na Mazowiecką przed czasem. Z doświadczenia wiedział, że pod lokalem będzie na aktorów czekał tłumek wielbicieli, więc lepiej za wcześnie się tam nie pokazywać. Zamiast tego pod wpływem niezrozumiałego impulsu skręcił z Nowego Świata w Chmielną, by wkrótce zaparkować przed antykwariatem Małeckich.

Nie rozmawiał z Heleną od jesieni. Tamtego dnia, gdy odwiózł ją do domu wraz z niemającą gdzie się podziać Basią, widzieli się po raz ostatni. Przez pierwsze tygodnie nawet tego nie analizował, a później zrozumiał, że nie chce wchodzić w paradę Poldkowi. Choć Hela zwierzyła się, że zależy jej na chłopaku, ów nie miał pojęcia, że Konrad nie stanowi żadnej konkurencji. Kruche, rodzące się dopiero uczucie łatwo zniszczyć. Choćby bezpodstawną zazdrością. Właśnie dlatego Werner wolał się wycofać, dać młodemu spokój i nie prowokować młodego Malinowskiego.

Później pochłonęły go obowiązki zawodowe, opieka nad przyrodnim bratem i strach o ojca. Choć Konrad wysyłał listy i dzwonił, gdzie tylko się dało, wciąż nie zdołał ustalić miejsca jego pobytu. Obydwoje z Klarą przepadli bez wieści i nie przydało się nawet to, że Konrad, z racji swojego statusu społecznego, znał wielu ustosunkowanych wojskowych. Choć Werner starał się trzymać w ryzach, coraz częściej opadały go czarne myśli, czemu trudno było się dziwić, skoro od wielu miesięcy ojciec nie dał znaku życia.

Na święta wyjechali z Ignacym do Zakopanego. Siedzenie w Warszawie przy pustym stole nie wchodziło w grę. Konrad uznał, że muszą zmienić otoczenie, żeby nie zwariować. Irytowało go, że nie umie nawiązać nici porozumienia z bratem. Miał wrażenie, że czego by nie zrobił albo powiedział, ten skwituje to milczeniem i pogardliwym półuśmiechem.

– Cieszysz się, że wyjeżdżamy? – zapytał Ignacego, gdy zmierzali zaśnieżoną szosą w stronę Częstochowy. Odpowiedziała mu cisza, więc westchnął z rezygnacją i skupił się na prowadzeniu wozu.

Zatrzymali się w sławnym pensjonacie Stamary, sąsiadując drzwi w drzwi z sędziwym już Wojciechem Kossakiem i jego małżonką. Choć uczciwiej byłoby powiedzieć, że pan Kossak prawie nie bywał w małżeńskich

apartamentach, bowiem prawie cały czas spędzał wraz ze swoją kolejną flamą w mieszczącym się po przeciwnej stronie ulicy budyneczku, gdzie miał urządzoną pracownię i przytulne atelier. Pani Kossakowa nie wydawała się tym specjalnie urażona. Spędzała czas w kawiarni pensjonatu, nieopodal trzaskającego wesoło kominka. Najczęściej towarzyszyła jej młodsza córka, Magdalena, i wnuczka Teresa, nazywana pieszczotliwie Szczurkiem. Konradowi imponowało towarzystwo krakowskiej bohemy, a jednocześnie nieustannie deprymowały go dowody uwielbienia ze strony wielbicielki, które opadały go podczas spacerów po Zakopanem.

Przez kolejne dwa tygodnie pobytu w górach Ignacy prawie się nie odzywał, a Konrad nie wiedział, jak przełamać mur, jakim otoczył się brat. Namawiał go na wycieczki, kuligi, a nawet na wieczorne rauty w hotelowej restauracji. Ignacego nie zainteresowało nic oprócz lekcji jazdy na nartach. Konrad wykosztował się na odpowiedni sprzęt i rękawice dla chłopaka, ciesząc się w duchu, że w końcu coś pobudziło go do życia. Jeśli liczył na przełom w ich wzajemnych stosunkach, to szybko doznał zawodu.

– Dlaczego jesteś taki małomówny? – zapytał, gdy wracali do Warszawy.
– Czy chodzi o rodziców? – indagował.

Ignacy spojrzał na brata spode łba, wzruszył ramionami i nie odezwał się nawet słowem. I nic się nie zmieniło przez kolejne tygodnie. Chłopak wstawał rano, zjadał naszykowane przez gosposię śniadanie i jak automat wsiadał do torpeda, którym Konrad zawoził go i odbierał ze szkoły. Już tylko to powinno dać Wernerowi do myślenia. Jaki podrostek ot tak dawałby się bez protestu cały czas kontrolować? Chłopcy w wieku Ignacego poruszali się sami po mieście, a jakakolwiek opieka stanowiłaby dla nich afront. Jednak Ignacy zdawał się nie mieć nic przeciwko temu. Aż do dzisiaj, gdy zniknął sprzed szkoły, nie uprzedzając ani słowem.

Konrad potrząsnął głową, próbując odgonić złe myśli. Wysiadł z samochodu i poszedł do antykwariatu. Przywitał się serdecznie ze starym Małeckim i nawet niespecjalnie zdziwił się, gdy z zaplecza wyłoniła się Helena w towarzystwie Poldka, który na widok aktora oczywiście natychmiast się najeżył. Konrad uśmiechnął się pojednawczo, co na chłopaku nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Puszył się jak kogucik przy boku dziewczyny.

– Panie Konradzie! Dawno pan do nas nie zaglądał! – ucieszyła się szczerze Helena.

– Proszę wybaczyć, panno Heleno, obowiązki zatrzymały. Dzień dobry, panie Poldku – dodał uprzejmie.

– Serwus – burknął lekceważąco chłopak.

Konrad stłumił parsknięcie, zamiast tego skupiając uwagę na ojcu Heleny, który właśnie wyjął jakiś zakurzony album ze zdjęciami Poli Negri i innych znanych aktorów poprzedniej dekady.

– Niechże pan podpisze – zaproponował antykwariusz.

– Jakżebym śmiał? – zdziwił się Werner. – Oni byli sławni, gdy ja chodziłem w krótkich spodenkach. Ale jeśli szanowny pan ma takie życzenie, mogę zostawić parę fotosów z podpisami. Może się przydadzą jako marnej jakości zakładki do zgromadzonych tu dzieł – roześmiał się serdecznie i wyjął zza pazuchy plik zdjęć.

Józef Małecki bez protestu je przyjął. Wiedział, że będą stanowiły świetny wabik dla klientów, gdy wyeksponuje je w witrynie. Jedno ze zdjęć, na którym widniał uśmiechnięty Werner uchylający kapelusza, przezornie schował do szuflady na pamiątkę.

– Cóż właściwie pana sprowadza? – Poldek nie wytrzymał napięcia i choć podobne pytanie w ustach kogoś, kto zdecydowanie nie był gospodarzem, mogło się wydawać impertynenckie, patrzył twardo na Konrada, ewidentnie żądając odpowiedzi.

– Ot, przejeżdżałem w drodze na plan filmowy w Małej Ziemiańskiej i postanowiłem się przywitać – odparł lekkim tonem Werner. – Pomyślałem, że panna Helena i pan, panie Poldku, z chęcią przejedziecie się ze mną, żeby obejrzeć życie z drugiej strony kamer – zełgał, patrząc młodzikowi prosto w oczy.

Poldkiem targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony doskonale widział, że Werner, przychodząc do antykwariatu, myślał wyłącznie o Helenie, a z drugiej zaproszenie poruszyło go do głębi. Serce załomotało mu w piersi na myśl, że mógłby zobaczyć film zza kulisów. Ostatecznie uznał, że przecież nic złego się nie stanie, jeśli okaże aktorowi uprzejmość. Już otwierał usta, żeby przyjąć zaproszenie, gdy Hela wystąpiła krok do przodu.

– Zatem jedźmy, panie Konradzie – roześmiała się perliście. – Obydwoje z Poldkiem nie możemy się doczekać tej pysznej zabawy!

Werner byłby idiotą, gdyby nie polubił tych dwojga jako pary. Pasowali do siebie świetnie, a jego bawiła rola swata. Helenę zwyczajnie uwielbiał za jej bystry umysł i ciągoty do motoryzacji. Jeśli młody Malinowski smalił do

niej cholewki, mogło to jedynie oznaczać, że chłopak ma dobry gust i umie docenić wartościową pannę.

– Zatem chodźmy – odparł rozbawiony. – Dziękuję szanownemu panu za rozmowę i polecam się łaskawej pamięci. – Skłonił się unizenie przed ojcem Heleny, który wniebowzięty oddał ukłon.

Gdy wyszli przed antykwariat, Poldek ze wszelkich sił starał się nie okazywać entuzjazmu na widok samochodu Wenera, choć ten wyglądał niezwykle szykownie i robił na nim spore wrażenie.

– Zapraszam na tylną kanapę, panie Poldku – oznajmił Konrad.

Poldek nieco się zachnął w duchu. Wydało mu się oczywiste, że to on usiądzie z przodu, ale nie odezwał się nawet słowem. Chwilę później, nawet gdyby chciał coś powiedzieć, nie udałooby się. Chłopaka zamurowało ze zdziwienia, gdy Konrad otworzył przed Heleną drzwiczki samochodu, a dziewczyna bez wahania usadowiła się na siedzeniu kierowcy.

– Gotowa? – zapytał Wener. Helena przytaknęła. – Dzisiaj mały ruch, więc możemy śmiało jechać – dodał.

– Umiesz prowadzić? – nie wytrzymał Poldek.

– Umiem! – potwierdziła z zadowoleniem.

– Panna Helena ma naturalny talent. Wystarczyło kilka wycieczek za miasto jesienią i opanowała naukę pierwszorzędną – pochwalił Wener.

Poldek poczuł wzbierającą zazdrość. Nie miał pojęcia, że Helena jeździła z aktorem za miasto. Pocieszające było jedynie to, że chyba nie praktykowali tego od jakiegoś czasu. Chłopak milczał z uporem, ale ani Konrad zajęty pilotowaniem, ani Hela skupiona na prowadzeniu maszyny nie zwrócili na to uwagi.

– Uważajcie na siebie, gdy podjedziemy pod Małą Ziemiańską – ostrzegł Wener, gdy samochód skręcił w Mazowiecką. – W prasie pisali, że kręcimy film, więc pewnie nie będzie łatwo przejść.

Miał rację. Przed wejściem do kawiarni stał spory tłumek. Na widok wysiadającego z samochodu Konrada zafalował gwałtownie, niektórzy mężczyźni zaczęli gwizdać na palcach, a kobiety zaczęły wykrzykiwać jego imię, chcąc na siebie zwrócić uwagę. Wenera zawsze zastanawiało, czy naprawdę wierzyły, że ta metoda ma szansę zadziałać.

– Chodźcie! – pociągnął za sobą młodych i z wprawą torując przejście przez tłum, doholował ich do wejścia.

– Pracować się nie da! Niech te cholerne pismaki zajmą się czymś innym, a nie zdradzaniem, gdzie kręcimy film! – Niska blondynka z ustami umalowanymi krwistoczerwoną szminką otworzyła im drzwi i nie przestawała utyskiwać na zgromadzonych przed wejściem ludzi. – No, wchodźcie szybciej – ponagliła Konrada. – A to kto? – zapytała, patrząc nieufnie na Helę i Poldka.

– Przyjaciele – wysapał Konrad. – Ida, zamykaj, bo za chwilę będziesz tu miała wszystkich!

Helena obrzuciła kobietę uważnym spojrzeniem. To była Ida Wolińska, przyjaciółka Konrada i jedna z najbardziej rozchwytywanych polskich aktorek. W pierwszej chwili jej nie rozpoznała. Na ekranie kinowym wydawała się wyższa i nieco tęższa. W rzeczywistości sięgała Heli do ramienia, a ważyła pewnie mniej niż pięćdziesiąt kilogramów. Wolińska okręciła się na pięcie i poszła w stronę zaplecza, gdzie urządzono garderobę dla aktorki.

– Wszystko jest kwestią perspektywy – powiedział do nich cicho Konrad, jakby czytając Helenie w myślach. – Kamery można ustawić tak, żeby dodawać i odejmować wzrostu, a każda ma tę osobliwą zdolność, że poszerza obraz. Także człowieka.

Poldek rozglądał się z roziskrzonym wzrokiem, co też nie umknęło Wernerowi.

– Jest pan entuzjastą filmu? – zapytał przyjaźnie.

– Uwielbiam kino – odparł chłopak z nietajonym zachwytem. – Polskie nawet bardziej niż amerykańskie.

– Dlaczego?

– Bo swojskie – Poldek roześmiał się. – Granie w filmie musi być kławe!
– rozmarzył się.

– Bywa śmiertelnie nudne, gdy trzeba w nieskończoność powtarzać ujęcia – wyznał szczerze Konrad. – Ale rzeczywiście zazwyczaj to pyszna zabawa – dodał pospiesznie, widząc zawód w oczach chłopaka. – Chciałby pan spróbować?

– Ja? – Poldka aż zatchnęło z wrażenia. – Naturalnie, że bym chciał!

Helena w duchu dopingowała Poldkowi, który ubrany w biały, kelnerski fartuch wkroczył na plan filmowy. Jego niewielka, naprędce zaimprovizowana rólka zawierała jedynie krótkie zdanie „Służę uprzejmie”. Chłopak miał postawić przed Konradem i Idą dwa kieliszki

wina, po czym się skłonić. Co ciekawe, udało mu się zagrać poprawnie za pierwszym razem, co zebrani filmowcy skwitowali gromkimi brawami. Poldek promieniał. Spojrzał roziskrzonym wzrokiem na Helenę, która posłała mu buziaka i uśmiechnęła się filuternie, widząc, że chłopak zaczerwienił się aż po cebulki włosów.

– Brawo! – Werner klepnął młodego Malinowskiego przyjaźnie w plecy. – Masz pan niekłamany talent do tego, a i kamera pana lubi – pochwalił go.

– Dziękuję – odparł rozradowany Poldek.

Zdjęcia na planie przeciągały się. Kawiarnia tonęła w dymie papierosów, aż Helenę zaczęły szczypać oczy. Poldek, gdy emocje już nieco opadły, siedział blady obok Heli. Łatwo się męczył, nie był jeszcze całkiem zdrów po przebytej chorobie. Niewiele myśląc, Helena pociągnęła go za sobą w stronę Konrada, który właśnie skończył scenę tańca z Idą Wolińską.

– Panie Konradzie, dziękujemy za to wspaniałe przeżycie, ale musimy już iść. Spotkamy się wkrótce?

– Z największą chęcią – odparł Werner kurtuazyjnie. Ukłonił się Helenie, uścisnął dłoń Poldkowi, po czym wrócił do swoich obowiązków. Hela z nieodgadnią miną odprowadziła go spojrzeniem, a Poldkowi nie umknęło, że lekko zmarszczyła brwi, gdy ujrzała, że aktor poufałym gestem bierze Idę Wolińską pod rękę i prowadzi w stronę zaplecza kawiarni.

– Idziemy? – zapytał Poldek.

Gdy wyszli w gęstniejący mrok, zapadło pomiędzy nimi milczenie. Helena zerknęła na zachmurzonego chłopaka, nie do końca wiedząc, co ma o tym myśleć. Spacerowali niespiesznie Mazowiecką, później skręcili w Świętokrzyską.

– Nie musisz mnie odprowadzać. – Helena przerwała ciszę. – Wiem, żeś jeszcze niezdrów, więc może idź prosto do domu, a ja pójdę sama.

– Nie ma mowy – uciął Poldek. – W życiu nie naraziłbym pięknej damy na podobne niebezpieczeństwo.

– Pięknej? – Hela zatrzymała się nagle i pociągnęła chłopaka za rękaw.

– Najpiękniejszej na świecie – wyznał ochryple.

Przysunął się do Heleny. Odgarnął jej potargane czarne włosy do tyłu i spojrzał dziewczynie głęboko w oczy. Uśmiechnęła się filuternie i w żadnym wypadku nie przypominała onieśmiałej dziewczycy.

– Helu – powiedział ochryple.

– Proszę, nie mów nic.

Nie mogąc się dłużej pohamować, objął kibić dziewczyny i przyciągnął Helę do siebie, aby wpić się w jej usta. Świat zawirował, a on poczuł, że znalazł przystań i niezależnie od tego, jak potoczą się ich dalsze losy, Helena już zawsze będzie jego latarnią.

ROZDZIAŁ 13

Ciotka Maria miała poważne zmartwienie. Stała w kuchni, spoglądając co jakiś czas przez okno na podwórze. To było idealne miejsce do obserwowania tego, co działo się wokół pracowni Apoloniusza. Przez większość czasu, gwoli ścisłości, nie działo się nic. Brukowany dziedziniec ożywał w czasie przerw w pracy, gdy pracownicy wychodzili przed budynek palić papierosy lub skorzystać z ustępu stojącego w głębi posesji. Maria nie zwracała uwagi na to ludzkie poruszenie, nie znajdując w nim nic ciekawego. Do czasu, gdy wypatrzyła Janka wymykającego się do niewielkiej szopy z narzędziami. Samo to z pewnością nie wzmogłoby jej czujności, w końcu młodzi mężczyźni zwykle mają swoje niewinne tajemnice, ale gdy zorientowała się, że za każdym razem, gdy chłopak znika, w odstępie kilku zaledwie chwil dołącza do niego ta sama jasnowłosa dziewczyna, zrozumiała, że coś jest na rzeczy.

Westchnęła ciężko i wstawiła garnek z barszczem na fajerkę. Wprawdzie kuchnia w mieszkaniu Malinowskich posiadała już kuchenkę gazową, ale ciotka Maria nie miała do gazu zaufania. Uważała, że potrawy na nim przyrządzane nie mają tak wybornego smaku jak te przygotowywane tradycyjnie na kuchni węglowej.

Zerknęła do duchówki, żeby sprawdzić, czy chleb odpowiednio wyrósł. To była kolejna rzecz w tym szalonym wielkim mieście, jakiej kompletnie nie pojmowała. Jak można zaniedbać najważniejszą sprawę, czyli wypiek własnego pieczywa? Życie na prowincji nauczyło ją, że choćby wokół domu przewalały się kolejne wojny, to jeśli gospodyni umie wyhodować zakwas i upiec z niego chleb, nawet jeśli posiadała jedynie śladowe resztki ziaren w spiżarni, dom jest bezpieczny i syty.

Maria wstawiła blaszki z wyrośniętym ciastem do pieca. Przetarła zroszone potem czoło i powróciła do obserwacji podwórza. Janek wyszedł z narzędziowni i niemal płynąc nad brukiem podwórka, poszedł do zakładu. Dziewczyna wychynęła z pomieszczenia minutę później. Poprawiła

spódnicę gestem, który ciotce dał sporo do myślenia, i poszła w stronę pracowni. Nie weszła do niej od razu. Zamiast tego oparła się o ścianę budynku, spomiędzy piersi wyciągnęła małe pudełko i zapaliła papierosa.

Ciotka przeżegnała się ze zgrozą. Z kim ten Janek się zadawał? O ile Maria akceptowała, że młodzi mężczyźni przepadają za tytoniem, o tyle w jej wyobrażeniu jedynymi palącymi kobietami były wyłącznie te lekkich obyczajów. Maria parsknęła z oburzeniem, wytarła dłonie w fartuch i wyszła z kuchni. Najwyższy czas, by Apoloniusz dowiedział się, że jego syn spoufala się ze zwykłą szwaczką. Ojciec chłopaka powinien w końcu zrozumieć, że bez dyscypliny nie uda mu się utrzymać w ryzach mocno doświadczonej przez los rodziny.

Choć wcześniej uważała, że to niemożliwe, Basia zaczęła odzyskiwać chęć życia. Żal po siostrze, choć nadal silny, już jej nie paraliżował. Potrafiła mówić o Stasi, a głos nie wiązał jej za każdym razem w gardle. Co dwa tygodnie jeździła na cmentarz Bródnowski, żeby zapalić świeczkę na grobie. Z tego, co się zorientowała, nikt oprócz niej tu nie zaglądał. Rodzice nie pojawili się nawet na skromnym pogrzebie, na którym towarzyszyła Basi Helena ze swoim ojcem, a także Janek z Poldkiem. Nie przyszedł żaden z sąsiadów z Czerniakowa, co sprawiło, że Basia odetchnęła z ulgą. Z ludźmi z dawnego sąsiedztwa nie chciała mieć nic wspólnego. Zresztą od śmierci Stasi minęło już pół roku, a Basia nadal nie odwiedziła starych kątów. Nic jej tam już nie ciągnęło.

– Zapalić świeczki czy sama to zrobisz? – zapytał cicho Janek. Od pewnego czasu towarzyszył jej w wizytach na cmentarzu. Stali się nierozłączni. Razem pracowali, spotykali się wieczorami i spędzali niedziele. Często odwiedzali wówczas grób Stasi, później wracali tramwajem do lewobrzeżnej Warszawy i jeśli pogoda pozwalała, szli na spacer do Ogrodu Saskiego, a w zimne czy słotne dni siadywali w jednej ze śródmiejskich kawiarni.

– Zapal, proszę – odpowiedziała. – Ręce mi zgrabiały z zimna.

Janek spojrzał na zbyt cienkie palto dziewczyny. Być może wystarczało na jesień, ale z pewnością nie na zimę. Wprawdzie Helena poratowała Basię ciepłą wełnianą chustą, która skutecznie dogrzewała w zimie, lecz

i tak przydałoby się kupić cieplejsze okrycie. Jednak Janek miał jedynie skromne kieszonkowe, a Basia stanowczo odmawiała naruszenia własnego budżetu. Obsesyjnie oszczędzała co tylko się dało ze skromnej pensji szwaczki. Twierdziła, że zbiera na czarną godzinę. Po tym, jak z dnia na dzień utraciła dom, stała się nieufna, nerwowa i przekonana, że za chwilę doświadczy kolejnej tragedii.

– Zatem chodźmy się rozgrzać do baru. Tu niedaleko jest wędliniarnia, a przy niej można kupić pierwszorzędną kiełbasę z rożna. Nie byłem jeszcze, ale jeden z krojczych polecał. Mieszka tu w okolicy. Ceny też ponoć niższe niż u nas.

– Za chwilę – Basia spojrzała z zadumą na mogiłę z prostym, drewnianym krzyżem.

Wyglądała bardzo skromnie, nawet nie było jeszcze żadnych kwiatów, by przystroić uklepaną ziemię. Na te z kwiaciarni, zwłaszcza na początku marca, zwyczajnie nie miała pieniędzy.

Janek czekał cierpliwie, aż Baśka zmówi po cichu modlitwę za duszę siostry, choć i jemu robiło się coraz zimniej. Skryte za chmurami słońce ani trochę nie ogrzewało ziemi, ponownie zmrożonej. Poczerniałe resztki śniegu leżące po obu stronach cmentarnych alejek dopełniały przygnębiającego wrażenia. Nigdy dotąd chłopak nie marzył tak mocno o nadejściu wiosny. Ostatnie pół roku przyniosło trzy pogrzeby. Najpierw Stasia, a później matka z siostrą. Cios prosto w serce. Janek nie rozumiał, skąd się bierze to dziwne przeświadczenie, że wraz z wiosną zacnie się dla niego nowe życie.

Wiedział natomiast, że gdyby nie wsparcie, jakiego udzielali sobie nawzajem z Barbarą, pewnie już dawno obydwójce oszaleliby z rozpacz. Być może tak im było pisane, a może to właśnie wspólna żałoba ich do siebie zbliżyła. Dziewczyna szukała u niego bliskości, która z czasem przerodziła się w namiętne pożądanie, w ostatnich tygodniach coraz trudniejsze do okiełznania.

Gorączkowe pieścizoty w zaciszu starej narzędziowni stawały się coraz śmielsze, a Janek zastanawiał się, czy długo jeszcze będzie w stanie nad sobą panować. Basia też mu tego nie ułatwiała. Miała niezwykły, choć skrywany temperament i zwyczajnie doprowadzała chłopaka do szaleństwa. Jednocześnie obydwójce wiedzieli, że przekroczenie tej ostatniej granicy bliskości narazi na szwank bezpieczeństwo ich obojga. Co by się stało

z Basią, gdyby wpadła w kłopoty? Stary Malinowski z całą pewnością nie pomógłby zakochanej parze. Zamiast tego raczej zwolniłby dziewczynę z pracy i pogonił precz. Im dłużej młodym udawało się zachować romans w sekrecie, tym większa istniała szansa, że uda im się znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Dopóki Janek nie skończy ostatniej klasy, nawet nie było mowy, żeby spróbował się usamodzielnąć. Poza tym życie zmienia się dynamicznie. Może za rok czy dwa lata twarde serce starego rękawicznika zmięknie?

Rozsądek trzymał ich w ryzach, lecz rozgorączkowane ciała nie chciały słuchać. Basia tęskniła za bliskością Janka, a on płonął z niezaspokojonego pożądania. Mimo to byli zdeterminowani, by walczyć o własną przyszłość.

– Możemy iść – oświadczyła w końcu dziewczyna, odwracając się od mogiły Stasi. – Prowadź do tego baru. Może da się tam napić gorącej herbaty? – wyraziła nadzieję.

Podjechali tramwajem do ulicy Ząbkowskiej. Okolica tętniła życiem, w końcu tuż obok znajdował się słynny bazar Różyckiego, gdzie można było kupić co tylko dusza zapragnie. Niektórzy powiadali, że tutejszy wybór towarów bił na głowę to, co sprzedawano na Kercelaku, ale w to akurat Janek tak do końca nie wierzył.

– Zobacz, pyzy w słoikach! – zachwyciła się Baśka, wskazując na okutaną w kraciaste chusty handlarke, która właśnie odwinęła z gazet słoik z porcją ziemniaczanego przysmaku, suto pokraszonego przysmażoną cebulą i skwarkami ze słoniny.

– Chcesz? – rozochocił się Janek.

– A nie mieliśmy iść na kielbasę z rożna?

– Zjemy pyzy, a potem pójdziemy na kielbasę – odparł wesoło Janek. – Ja mam apetyt na wszystko, a tu można zjeść dwie porcje w cenie jednej kawy na Nowym Świecie.

– Wolę pyzy od kawy – oświadczyła Basia.

Pyzy okazały się pyszne. Handlarka musiała właśnie donieść nową porcję, bo słoik po odkręceniu buchnął parą. Wraz z pierwszym kęsem Basię ogarnęła błogość i stojąc tuż koło wiklinowego kosza, jadła pospiesznie, wiedząc, że w dobrym tonie jest zwrócić słoik, żeby handlarka miała w czym przyszykować nowe porcje na kolejny dzień.

– Już chyba nic nie zmieszczę – sapnęła dziewczyna, gdy uporała się z pyzami. Pochłonęła porcję do ostatniej skwarki.

– A ja z chęcią zjem jednak tę kiełbasę!

Basia roześmiała się. Janek ciągle rósł. Wydawało się, że zamiast ciała przybywa mu jedynie centymetrów, przez co jego chude ramiona sterczały spod płaszcza, a nadgarstki były szczupłe jak u wiotkiej panny. Zrozumiałe, że chłopak w jego wieku zawsze ma apetyt na jedzenie.

Do lokalu poleconego przez kolegę z pracowni dotarli parę minut później. Basia nie miała wcześniej wielu okazji, żeby odwiedzić Pragę, więc bacznie się rozglądała. Ktokolwiek rozpuścił po lewej stronie Wisły plotkę, że ta część miasta jest biedna i zaniedbana, chyba nigdy nie spacerował w okolicy placu Weteranów 1863 roku i obrzeżem parku Praskiego. Szerokie ulice, aleje spacerowe i mnóstwo roślinności, która wiosną rozkwitnie feerią barw, a chwilowo, starannie przycięta, czekała cierpliwie na rychły koniec zimy. Wędliniarnia z barem znajdowała się w niskiej kamienicy przy ulicy Zygmuntowskiej.

Janek uchylił drzwi. Zadzwoił dzwoneczek, a jednocześnie do nozdrzy chłopaka napłynął zniewalający aromat. Krojczy z pracowni ojca miał rację. W tym miejscu sprzedawano pierwszorzędne wędliny i kiełbasy.

– Dzień dobry – powiedziała Basia, wchodząc do środka. Janek wszedł za nią i starannie zamknął drzwi.

– Dzień dobry – przyjemna dla oka blondynka z prostymi włosami obciętymi na pazia wygładziła odruchowo firmowy, błękitny fartuszek i uśmiechnęła się uprzejmie. – Czym mogę państwu służyć?

– Powiedziano nam, że tutaj dostaniemy smacznej kiełbasy z różną – wyjaśnił cel wizyty Janek, a Basia prawie parsknęła śmiechem, słysząc desperacką nadzieję w jego głosie. Sprzedawczyni chyba także to zauważyła, ponieważ porozumiała się wzrokiem z Basią i wyglądała przy tym na rozbawioną. Dziewczyna sprawiała miłe wrażenie i chyba była w tym samym wieku, co oni.

– Dobrze panu powiedziano – odparła. – Ojczy! Ojczy? – krzyknęła w stronę zaplecza. – Możesz przynieść kiełbasy na rożen? Najlepiej większą porcję! – Mrugnęła porozumiewawczo do Basi.

Zza kotary wyłonił się czerwony na twarzy mężczyzna w białym fartuchu i z sumiastym wąsem. Niósł naręczę wędliny, którą podał dziewczynie. Janek od razu poznał Januarego Melnera, ulubionego towarzysza do wypitki własnego ojca.

– Dzień dobry panu! – Janek skłonił się nisko. – Szanowny pan mnie poznaje? – zapytał uprzejmie.

– Młodszy chłopak Malinowskiego? – odparł rzeźnik po chwili zastanowienia.

– We własnej osobie, proszę szanownego pana.

– Dawnom ojca nie widział. Zdrów? – zapytał Melner.

– Jak najbardziej, proszę pana.

– To dobrze – mruknął mężczyzna. – Przekaż mu pozdrowienia. A to moja starsza córka, Paulina – przedstawił uśmiechniętą dziewczynę z wyraźną dumą. – Kiełbasa na koszt firmy, Paulinko – wydał polecenie. – Syn mojego drogiego druha nic nie płaci.

Janek zaczął gorączkowo protestować, ale Melner zbył go machnięciem dłoni.

– Młodym zawsze apetyt dopisuje – oświadczył, po czym z godnością wycofał się na zaplecze.

Paulina zakręciła się obok różna i po chwili podała Jankowi i Basi aromatycznie przyrumienione kiełbaski na kawałkach tekturki.

– Bardzo dziękujemy – powiedziała Basia. – Smakuje wybornie – pochwaliła po ugryzieniu niewielkiego kęsa.

– Ojciec robi najlepszą kiełbasę na Pradze – odparła radośnie Paulina. Miała bystre orzechowe oczy, piegi na nosie i wysportowaną sylwetkę. Na Janku i Basi od razu zrobiła dobre wrażenie.

– W istocie, najlepsza, jaką jadłem w życiu – przyznał Janek. – Jeśli kiedyś panna będzie na Solcu, to zapraszamy do nas. Takimi wyrobami nie jesteśmy w stanie uraczyć, ale ciotka Maria piecze przepyszny chleb i robi doskonały smalec.

– Nie omieszkam zajrzeć – odparła kurtuazyjnie Paulina.

Młodzi ponownie spróbowali zapłacić, ale dziewczyna odmówiła stanowczo, więc pożegnali się najuprzejmiej, jak umieli, ponowili zaproszenie na Solec i wyszli na ulicę. Do mostu Kierbedzia brakowało im raptem paru minut marszu, a ponieważ postój w wędliniarni Melnera rozgrzał ich przyzwoicie, postanowili przejść do Śródmieścia spacerem.

Wiosna w Warszawie zawsze wybuchała z dnia na dzień, a na miasto spływała ta jedyna w swoim rodzaju radosna atmosfera połączona z zapachem tulipanów sprzedawanych przez kwiaciarki na wszystkich rogach ulic. W kawiarniach urządzono już ogródki. W jednym z nich, przed Adrią, siedział doktor Michał Gutman i czytał poranną gazetę.

– Co tam, panie, w polityce, Chińczycy trzymają się mocno? – rozległo się żartobliwie tuż nad jego głową.

Michał spojrzał ciepło na Helenę. Nie widzieli się od kilku tygodni. On, zbyt zajęty pracą w szpitalu, nie miał siły choćby pomyśleć, co słyhać u kuzynki. Hela z kolei intensywnie przygotowywała się do egzaminów końcowych w szkole. Przerażała ją myśl o tym, co zrobić ze swoją przyszłością. Chociaż miała już osiemnaście lat, nadal nie wiedziała, czego chce od życia. Lubiła się uczyć, osiągała bardzo dobre wyniki, lecz żadnego przedmiotu nie wyróżniała na tle innych. Wszystkie wydawały jej się tak samo zajmujące. Oczywiście literatura i książki były zawsze na pierwszym miejscu, lecz czuła wewnętrzne pragnienie, żeby sprawdzić swoje siły w czymś innym. Chciała nadal pomagać ojcu w antykwariacie, lecz zanim na dobre osiadzie w rodzinnym interesie, miała nadzieję czegoś w życiu dokonać.

Pomysł, żeby pójść na studia, już od dawna chodził jej po głowie. Problem stanowił wybór kierunku. Właśnie dlatego umówiła się z kuzynem, będącym najlepiej wykształconym członkiem jej rodziny. Chciała zasięgnąć jego porady. Wierzyła, że rozmowa z Michałem pomoże jej podjąć jakąś decyzję.

– Miałaś bardzo poważny głos, gdy prosiłaś o spotkanie. – Michał był nieco zaniepokojony. – Przyznam, że gdy poproszono mnie do telefonu, sądziłem, że coś się stało. Twój ojciec zdrowy?

– Zdrowy, dziękuję. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam. Zadzwoiłam od sąsiada, mecenasa Mirowskiego, bo zależało mi na spotkaniu poza szpitalem. Chciałam spokojnie porozmawiać – wyjaśniła. Nie dodała, że chodziło jej też o to, żeby uniknąć spotkania z Różą, która z pewnością zasypałaby ją pytaniami, dlaczego nie pojawiła się na ostatnim spotkaniu z grupą Docenta. Prawda była taka, że Helenę coraz częściej dopadały wątpliwości, czy związała się z właściwymi ludźmi. Co więcej, miała wyrzuty sumienia, że wciągnęła do organizacji Poldka. W przeciwieństwie do niej chłopak zaangażował się w sprawę całym sercem.

– Napijesz się kawy? – zapytał kuzyn.

– Chętnie. Od rana zakuwam do egzaminu z historii i już mi głowa pęka – poskarżyła się.

– Rzeczywiście, przecież za chwilę matura! Wybacz, Heleno, siedzę jak ten zgorzkniały stary grzyb w szpitalu i zupełnie nie pamiętam, co się dzieje na pięknym świecie.

– To nic takiego. Myślę, że zaliczę wszystko bez potknięcia – odparła.

– Słyszę w tym jakieś „ale”. Cóż cię trapi?

– Zupełnie nie wiem, co mam zrobić ze swoim dalszym życiem – wyznała Helena i natychmiast się roześmiała, słysząc, jak egzaltowanie to zabrzmiało.

– A co cię interesuje? – zapytał Michał poważnie.

– Wszystko i nic – odparła zgodnie z prawdą. – Przyszło mi do głowy, żeby studiować medycynę, i właściwie dlatego chciałam się z tobą spotkać.

– Heleno, jestem przekonany, że zdolności ci nie brakuje.

– Teraz ja słyszę jakieś „ale”. – Hela uśmiechnęła się blado do kuzyna.

– Przepraszam, nie miało tak zabrzmieć. Chodzi mi tylko o to, że zawód lekarza to właściwie powołanie. Prawie jak dla rabina czy, jak wolisz, dla księdza. Jestem pewien, że podołasz. Wyższe uczelnie wreszcie traktują studentki prawie tak samo jak mężczyzn, już nie musisz przecierać szlaków. Pytanie brzmi, czy właśnie tego chcesz od życia?

– A skąd mam wiedzieć, skoro właściwie niewiele tego życia zaznałam? – zapytała z goryczą.

– Sądziłem, że bardziej pociąga cię świat literatury – odparł ostrożnie Michał. Nie miał wprawy w rozmowach z nastoletnimi dziewczętami. Prawdę mówiąc, Helena była jedyną, z jaką czuł się w obowiązku rozmawiać. Młodziutkie salowe i uczennice pielęgniarstwa przewijały się przez jego życie zawodowe, ale nie musiał wysilać się, żeby zwracać na nie uwagę.

Z jednej strony zaufanie Heleny mu pochlebiało, z drugiej irytowało go, że oczekuje od niego odpowiedzi na fundamentalne pytania. Medycyna była niełatwym kierunkiem, a ponadto bardzo trudno rozmawiało mu się na temat powołania do zawodu. On sam uznał w dzieciństwie, że musi umieć opatrywać matkę po kolejnym pobiciu przez wiecznie pijanego ojca. Dziadek nie chciał się wtrącać, a matka często krwawiła. Kilkuletni chłopczyk znosił kuchenne ścierki, żeby nieporadnie opatrywać krwawiącą

Sarę. Po czymś takim wybór medycyny wydał mu się czymś absolutnie oczywistym. Tylko jak to wytłumaczyć nastoletniej Helenie, której w życiu włos z głowy nie spadł?

– Świat literatury to moja codzienność – odparła Hela. – Coś, w czym przyszedłam na świat, w czym się wychowałam. Chciałabym się wypróbować w innych dziedzinach. Mniej oczywistych. I lepiej poznać własne korzenie – dodała cicho.

Michał z trudem powstrzymał westchnienie. A zatem dziewczyna chciała się na nim wzorować. Aluzja była tak oczywista, że właściwie nie wiedział, co odpowiedzieć, żeby nie zadrażnić sprawy. Cóż mógł powiedzieć Helenie o ich wspólnych krewnych? Najchętniej nic.

– Mam pomysł. Zresztą kiedyś ci o tym wspominałem – odparł wreszcie, mieszając łyżeczką w filiżance kawy. – Skoro nie jesteś pewna, czy świat medycyny jest miejscem, w którym się odnajdziesz, może wstąpisz na rok do naszej szkoły pielęgniarek na Czystem? Nie ma lepszej placówki w tym mieście. Po roku odbytej praktyki będziesz wiedziała, czy szpital to miejsce dla ciebie.

Helena myślała gorączkowo. Propozycja Michała była sensowna. Właściwie nic nie ryzykowała. Co więcej, doświadczenie i wiedza zdobyte pod okiem kuzyna mogły zwiększyć jej szanse przyjęcia na studia, gdzie mimo wielkiej zmiany, jaka się dokonała, w dalszym ciągu kobiety nie były przez część profesorów mile widziane, przez co oceniano je surowiej niż męskich kandydatów.

– Zgadzam się – odparła po chwili. – Uważam, że to jest bardzo dobry pomysł.

– Nie powinnaś omówić tego z ojcem?

– Powinnam i omówię, ale jestem pewna, że pochwali ten plan.

Helena poczuła, że z piersi spada jej ciężki gład. Zanim przyszła na spotkanie z Michałem, sprawa przyszłości wydawała jej się pogmatwana, a teraz wykrystalizował się plan pozwalający patrzeć z optymizmem w przyszłość.

Po kilku spotkaniach w anonimowych lokalach, o których Helena nawet nie wiedziała, do kogo należały, grupa ponownie spotkała się w niewielkim

mieszkaniu Róży przy ulicy Gęsiej. Poldek siedział zasłuchany w słowa Docenta, a Hela dyskretnie obserwowała zgromadzonych.

Już od jakiegoś czasu wydawało jej się, że coś tu nie gra. Właściwie nie umiała wskazać niczego konkretnego, jedynie jakiś rodzaj fałszu, ciężkie do sprecyzowania wrażenie, że oboje z Poldkiem biorą udział w mistyfikacji. Za każdym razem dochodziła do wniosku, że ponosi ją wyobraźnia. Nawet nie opowiadała o tym chłopakowi, bo właściwie cóż mogła mu powiedzieć? Helena złościła się w duchu na siebie, że go w to wciągnęła. Gdyby nie to, już dawno przestałaby przychodzić na spotkania, jednak on zaangażował się mocno i nawet nie chciałby o tym słyszeć.

Innym powodem, dla którego Heli obrzydły spotkania, była Róża. Choć Poldek na razie nie dostrzegał, co się dzieje, Helena wyczuła pismo nosem. Nie od razu to zauważyła, ale sygnały, z początku subtelne, z czasem stały się wręcz nachalne. Róża podkochiwała się w młodym Malinowskim. Próbowwała mu nadskakiwać, dyskredytować Helenę drobnymi uszczypliwościami albo złośliwymi komentarzami. Zawsze kręciła się wokół chłopaka. Nawet teraz siedziała obok niego i choć pozornie wpatrzona w przemawiającego Docenta, tak manewrowała, żeby co jakiś czas musnąć dłonią rękę Poldka.

Helena starała się nie zwracać na to uwagi, ale z trudem opanowywała złość. Jednocześnie próbowała skupić się na słowach Docenta. Ta sztuka również jej nie wychodziła, bo myśli wciąż uciekały w stronę Róży.

– Musimy zacząć działać. Samymi słowami niczego nie wskóramy – mówił w tym czasie Docent.

– Co masz na myśli? – Poldek z miejsca się ożywił. Róża otwarcie pogłaskała jego dłoń. Trwało to zaledwie mgnienie oka, lecz Helena była pewna, że jej się nie przywidziało. Natomiast podekscytowany chłopak niczego nie zauważył. Z wypiekami na twarzy wpatrywał się w Docenta, czekając, co tamten odpowie.

– Czas włączyć się w protesty uliczne – odparł mężczyzna.

– W jakie protesty? – zapytał Poldek.

Helena zerknęła na Różę i pozostałych towarzyszy, i w końcu zrozumiała, co jej wcześniej zgrzytało. W czasie gdy ona i Poldek spijali słowa z ust Docenta, pozostali, zamiast także się w niego wpatrywać, bacznie ich obserwowali. Tak jakby analizowali reakcje na to, co mówi przywódca. Nie

bardzo wiedząc, co o tym sądzić, Hela poczuła się jak statystka w odgrywanej sztuce.

– Będę informować – oświadczył tajemniczo Docent. – Ale musicie być gotowi.

– Będziemy – odparł gorliwie Poldek.

Róża spojrzała na Helenę wyczekująco. Ta, zdumiona, że wcześniej nie dostrzegła presji, jaką pielęgniarka na nią wywiera, i manipulacji, jaką stosuje, poczuła, że zaczyna się bać.

– Będziemy gotowi – odparła jak automat. Miała nadzieję, że jej słowa zabrzmiały w miarę szczerze.

Gdy wyszli z mieszkania Róży i ruszyli w stronę przystanku tramwajowego na Nalewkach, Helena milczała, starając się zebrać myśli, lecz rozentuzjasmowany Poldek skutecznie ją rozpraszał.

– O tym właśnie mówiłem! Docent ma rację. Od gadania nad herbatą nic się nie zmieni. Nie wiem jak ty, ale ja mam serdecznie dość tej propagandy, jaka nas otacza z każdej strony. Mój ojciec codziennie wyczytuje z gazet, że wszystko jest piękne i cudowne, tylko powiedz mi, dlaczego ja tych cudowności nie widzę? – gorączkował się Poldek. – Zobacz choćby Basię. Dziewczyna tyra od rana do nocy, a mój ojciec płaci jej tyle, że nie stać jej na nowe palto, nie wspominając nawet o wynajęciu pokoju. A to tylko mój ojciec! Mała płotka w świecie wielkich fabryk, które traktują robotników jak robactwo. Ja sam, gdybym tylko... – Poldek zamilkł.

– Gdybyś co? – Helena wzięła go pod rękę i pogłaskała po ramieniu.

– Gdybym mógł odejść od ojca i utrzymać się na własną rękę, uczyniłbym to bez wahania – odparł cicho.

Helena milczała, zastanawiając się w duchu, czy Poldek powie coś jeszcze. Po spotkaniu twarzą w twarz z Apoloniuszem Malinowskim zrozumiała, że życie z nim pod jednym dachem nie może należeć do przyjemności, lecz nie zdawała sobie sprawy z rozmiaru rozgoryczenia chłopaka.

– Prawie wszystko byłoby lepsze od tego ciągłego pomiatania mną i Jankiem. To pewnie zabrzmiałoby jak bluźnierstwo, ale tak sobie myślę, że gdyby Dorotka nie zmarła, ją pewnie też zacząłby tresować jak w cyrku. Nie powinienem tego mówić, przepraszam – zreflektował się.

– Współczuję ci – powiedziała łagodnie. – Wprawdzie nigdy nie poznałam matki, lecz ojca nie zamieniłabym na żadnego innego.

- O tak, pan Józef jest wspaniałym człowiekiem – przyznał Poldek.
- Może nie chodźmy już na te spotkania z Docentem? – Helena powróciła do zasadniczego tematu.
- Dlaczego? – zdziwił się chłopak.
- Mam jakieś złe przeczucia – wyznała z ociąganiem. – Poza tym Róża...
- przerwała w pół zdania.
- Co z nią?
- Nieważne – wykręciła się Hela.
- Powiedz, skoro już zaczęłaś. – Poldek zatrzymał się na środku chodnika i wziął dziewczynę za rękę. – Bo widzę, że coś cię trapi, a ja nie wiem co.
- Nie zauważyłeś? Wpadłeś jej w oko. Te uszczypliwości, jakie ciągle mi serwuje, to przecież nic innego niż zazdrość – wyjaśniła cicho, zażenowana samym faktem, że tak otwarcie rozmawiają.
- Nie zauważyłem. Uszczypliwości także nie – odparł z rozbijającą szczerością. – Ale, Heleno! Moje uczucia są niezmiennie i żadna Róża mnie nie interesuje. Dla mnie istniejesz tylko ty – oświadczył uroczystym tonem i przyciągnął dziewczynę bliżej do siebie. Pocałował ją lekko i niechętnie się odsunął. – Jeśli nie chcesz tam chodzić, przecież nic prostszego. Po prostu nie będziemy. Można przystąpić do innej organizacji. Nie tylko Docent jest na świecie.

Helena poczuła, że kamień spadł jej z serca.

- Przepraszam, czy mógłby ojciec powtórzyć? – Janek był pewien, że się przesłyszał.
- Nie słuchasz – Malinowski skrzywił się z dezaprobatą. – Powiedziałem, że widziałbym twoją przyszłość w seminarium duchownym.
- Dlaczego akurat tam? – Janek zdębiał. Miał wrażenie, że ta rozmowa tak naprawdę nie ma miejsca, że śni mu się coś absurdalnego. – W pracowni jestem przecież potrzebny.
- W pracowni potrzebny jest Poldek – uciął z punktu ojciec. – Wrócimy do tego, a teraz marsz do szkoły. Zaraz matura, jeśli chcesz, żeby cię przyjęli, musisz się postarać z ocenami. Byle kogo na księdza nie biorą.
- Oślupiały Janek wyszedł na ulicę. Do egzaminów został niespełna tydzień, panowała piękna wiosenna pogoda, a jego serce płonęło uczuciem

do Basi. On na księdza? Parsknął śmiechem na tę niedorzeczność. Jeszcze wczoraj unosił się nad ziemią w euforii, a dzisiaj ojciec wyskakuje z czymś takim.

Chłopak wzruszył ramionami. Po chwili jego twarz wypogodziła się, a on sam wrócił myślami do poprzedniego popołudnia, gdy pojechali we dwójkę z Basią na piknik aż do Lasu Kabackiego. Wzięli ze sobą jedzenie i butelkę z kompotem, a wierzch kosza nakryli złożonym w kostkę pledem.

Janek był zdenerwowany. Wiedział, że dzisiaj może się stać to, o czym skrycie marzył i czego obiecali sobie z Basią na razie nie robić. Ale natura była silniejsza. Obydwoje płonęli pożądaniem, ich pieszczoty natomiast stały się tak śmiałe, że właściwie niewiele brakowało do pełnego zbliżenia. Chłopak, płonąc ze wstydu, kupił wcześniej w aptece pudełko prezerwatyw Olla-Gum. To między innymi o nich mówił zgrabny slogan reklamowy „Prędej serce ci pęknie”. Pokrzepiony tą wiedzą Janek co jakiś czas nerwowo sprawdzał, czy pudełeczko na pewno nadal leży bezpiecznie w kieszeni marynarki.

– Jak tu pięknie – Basia zachwyciła się na widok leśnej polany, gdy przeszli przez kwiecistą łąkę, chcąc być jak najdalej od stacji kolejki i ludzi.
– Mogłabym mieszkać w takim miejscu i nigdy by mi się nie znudziło.

– Zostawiłabyś naszą piękną Warszawę? – zapytał z przekorą.

– Jeździłabym czasem, gdybym zatęskniła – odparła z uśmiechem.

Janek rozłożył koc na trawie. Zaczekał, aż Basia usiądzie, i przyłączył się do niej.

– Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś pocuję, że jestem szczęśliwa – wyznała cicho dziewczyna.

– A jesteś?

– Tak.

– Kocham cię, Basiu. – Powiedziawszy to po raz pierwszy w życiu, Janek poczuł ogarniającą go euforię.

– I ja cię kocham.

Janek porwał ją w ramiona i zaczął obsypywać twarz dziewczyny pocałunkami. Jej wilgotne, gorące usta rozchyliły się w niemym zaproszeniu, więc wtargnął w nie niecierpliwym językiem, po czym przesunął wargi na smukłą szyję i zaczął ją całować. Basia westchnęła i przywarła mocniej do chłopaka. Niecierpliwie dłonie zwiedzały rozgrzane ciało.

– Jeszcze mogę przestać – jęknął cicho Janek.

– Nie przestawaj – zaprotestowała.

Dłoń Janka powędrowała po szczupłym udzie i zniknęła pod kwiecistą, letnią sukienką. Serce zaczęło mu bić jak szalone, gdy Basia objęła go z całej siły i zachęcająco wygięła ciało w łuk. Chwilę później chłopak nieporadnie odpięczętował pudełeczko z prezerwatywami. Ręce mu się trzęsły z nerwów, lecz jakoś się udało.

– Kocham cię – wyznał ponownie i powoli, nie chcąc sprawić kochance bólu, zaczął na nią napierać. Oszałamiające uczucie całkowicie nim zawładnęło. Prawie zmiądzzył usta Basi w pocałunku, jednocześnie tracąc nad sobą panowanie. Porwała go niekontrolowana rozkosz, w której całkowicie się zatracił.

Później leżeli przytuleni na kocu, patrząc na kołyszące się w lekkim wietrze korony majestatycznych sosen i raz za razem wyznając sobie miłość. Marzyli, żeby czas się zatrzymał, a ta chwila trwała już zawsze.

– Jak łazisz, hultaju! – wrzasnął tuż nad uchem chłopaka woźnica, wytrącając Janka z zamyślenia. Chłopak uskoczył w bok. O mały włos wpadłby pod wóz konny na skrzyżowaniu ulic.

Janek wrócił do rzeczywistości, co przypomniało mu o dziwacznej rozmowie z ojcem. Miałby zostać księdzem? Teraz, gdy zaznał prawdziwej miłości, zarówno tej duchowej, jak i cielesnej? Wiedział, że cokolwiek się stanie, na pewno się nie zgodzi. Zdawał sobie sprawę, że ojciec zrobi wiele, żeby przeprowadzić swoją wolę, lecz Janek postanowił, że się nie ugnie. Taka możliwość w ogóle nie wchodziła w grę.

ROZDZIAŁ 14

Koniec czerwca rozpieszczał Warszawę przepiękną pogodą. W mieście zrobiło się znacznie luźniej, gdy jego mieszkanki wraz z dziećmi wyjechały na podmiejskie letniska do Otwocka albo Świdra, a te bardziej zamożne do Gdyni czy Juraty. Nawet w biedniejszych, robotniczych dzielnicach panował mniejszy ruch, a i dzieciarni było jakby mniej. Część pojechała na obozy organizowane przez szkoły, inne wraz z hufcami Czerwonego Harcerstwa lub ZHP. Naród, przez nieustanne batalie propagandowe prowadzone przez zwalczające się nawzajem ugrupowania polityczne, zdołał wykopać między sobą tak głębokie przepaście, że nawet zgodny wypoczynek najmłodszych nie był już możliwy. Propaganda, indoktrynacja trwała nieustająco, siejąc spustoszenie także w głowach dzieciaków.

Helena miała wyjechać pod koniec lipca do stryjostwa mieszkających w Sopocie. Trochę się przed tym wzbraniała, bo choć uwielbiała morze i mogłaby bez przerwy wpatrywać się w szumiące fale, bardzo nie chciała rozstawać się z Poldkiem na pięć długich tygodni.

– Jedź, córeczko – namawiał ją ojciec. – Przecież jeśli zamierzasz uczyć się od września pielęgniarstwa, to nie będziesz miała chwili oddechu. Odpocznij wcześniej. Nad morzem woda najcieplejsza w sierpniu, a w Warszawie pewnie zacznie się taka spiekota, że trudno będzie wytrzymać. Zamknę antykwariat na czas urlopu i dołączę do ciebie, jak tylko będę mógł. Możemy zwiedzać okolicę, a jeśli zechcesz, udamy się pociągiem na Półwysep Helski. Powiadają, że niezwykle rozwija się Jurata, a bawi tam latem cała śmietanka towarzyska. Nawet premier zaszczyca tamtejszy hotel Lido, a sam malarz Kossak wykupił w towarzystwie działkowym willę na własność. Rad bym te cuda na własne oczy obejrzeć – rozmarzył się Małecki.

Chcąc nie chcąc, Helena przystała na propozycję ojca, jednak chciała przed wyjazdem choćby część lata spędzić w towarzystwie Poldka. Uczucie, jakie narodziło się między nimi, rozkwitło jeszcze mocniej.

Dziewczyna roztapiała się na widok chłopaka, a on skoczyłby za nią w ogień. Nic więc dziwnego, że starali się spędzać razem każdą wolną chwilę.

Gdy na początku lipca nadciągnęły dokuczliwe upały, wraz z Jankiem i Basią uciekali popołudniami nad Wisłę. Omijali przy tym modne, a zarazem płażne plaże, jak ta braci Kozłowskich. Wypatrzyli sobie dziką po praskiej stronie, nieopodal mostu Kierbedzia. Mogli tam swobodnie rozmawiać, wylegiwać się na piasku i cieszyć beztroskimi chwilami.

– Nigdy nie byłam szczęśliwsza niż teraz – wyznała Basia, gdy bracia Malinowscy poszli razem na brzeg. Dziewczyna opierała brodę o kolana i obserwowała dokazujących w płytkiej wodzie chłopców. Pryskali na siebie wodą, zanosili się śmiechem, zachowaniem przywodząc na myśl małe dzieci. – Nie wiem, co będzie dalej, nawet nie chcę o tym myśleć, ale tłumaczę sobie, że miłość góry przenosi.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszyła ją Helena, choć sama miała wątpliwości, czy cokolwiek jest w stanie skruszyć twarde serce Apoloniusza Malinowskiego. Kompletnie nie rozumiała, dlaczego ten człowiek był tak strasznie przeciwny szczęściu własnych synów. Czy strata żony i córki wywołała w nim aż tak zapiekłą gorycz?

– Zrobiliśmy to – mruknęła cicho Basia.

– Co? – Hela nie zrozumiała w pierwszej chwili.

– No wiesz, to – Basia mocno zaakcentowała ostatnie słowo.

– I jak? – zapytała bez tchu jej przyjaciółka. – Przepraszam, przecież to wścibskie i nie na miejscu.

– Cudownie – odparła rozmarzona Basia, zupełnie nie zwracając uwagi na przeprosiny. – Zmienia się cały świat. Wy jeszcze nie?

– Nie. Jakoś nie było sposobności, a poza tym... – Helena zawahała się.

– Mówże – ponagliła ją Basia. – Przecież mnie możesz się zwierzyć ze wszystkiego.

– Mam wrażenie, że Poldek jest dość staromodny. Sądzę, że nie wyobraża sobie, żeby robić takie rzeczy przed ślubem. Poza tym on mnie traktuje jak jakąś świętą – Helena zachichotała cicho.

– Zatem pokaż mu, że jest inaczej! – roześmiała się Basia.

Helena zamyśliła się. Jeśli wcześniej bliskość cielesna wydawała jej się czymś abstrakcyjnym, teraz dzięki przyjaciółce do głosu doszła fizyczna tęsknota. Hela osłoniła oczy i spojrzała na Poldka. Pod słońce widziała

jedynie ciemny kontur jego ciała i kaskady błyszczących w powietrzu kropli, gdy dokazując jak uczeń, chlapał wodą na Janka.

Poldek i Janek spojrzeli na siebie wymownie za plecami ojca, który jako pierwszy wsiadał do dorożki stojącej na rogu Solca i Tamki.

– Na Ząbkowską! – zadysponował Malinowski, gdy już wszyscy trzej rozparli się wygodnie. – Jeśli przyniesiecie mi wstyd... – przerwał w pół zdania i pogroził synom palcem.

– W żadnym wypadku. Może ojciec być spokojny. Będziemy uprzedzająco grzeczni dla państwa Melnerów i pełni uprzejmości wobec ich córek – wyrecytował Poldek posłusznie.

– Jedną z nich poznałem w wędliniarni pana Januarego – wyrwał się Janek. – Bardzo sympatyczna dziewczyna.

Obydwaj synowie Malinowskiego w zupełności nie mieli ochoty na niedzielne przyjęcie, lecz January Melner zaprosił ich wszystkich, a ojciec, z sobie tylko znanego powodu, nawet nie dopuszczał sprzeciwu. Nie tak chcieli spędzić pogodną, ciepłą niedzielę. Wcześniej zaplanowali piknik na plaży w towarzystwie Heleny i Basi, poza którymi nie widzieli świata, więc rozrywka w postaci imienin u obcych ludzi irytowała ich niepomnie.

– A ładna? – zainteresował się Apoloniusz.

Janek spojrzał na ojca ze zdumieniem. Nigdy w życiu nie słyszał od niego podobnego pytania. Poldek przerwał obserwowanie mijanego Wybrzeża Kościuszkowskiego i płynącej leniwie Wisły.

– Chyba ładna – odparł po chwili zastanowienia Janek. – Nie przyglądałem się jakoś szczególnie, bo... – w ostatniej chwili ugryzł się w język. Gdyby przyznał, że nie wypadało mu, ponieważ towarzyszyła mu dziewczyna, zaczęłoby się zadawanie pytań. Im mniej ojciec wie o jego zażyłości z Basią, tym lepiej dla wszystkich.

– Bo? – drążył Apoloniusz.

– Nie miała czasu. Tak. Nie miała czasu dla mnie, znaczy się, gdy do sklepu jej ojca weszli klienci, więc pożegnałem się i wyszedłem, żeby nie przeszkadzać.

– A coś ty tam właściwie robił, nicponiu? – zapytał ojciec z rozbawieniem. Miał ewidentnie dobry humor.

– Przechodziliśmy z ferajną ze szkoły, a że kielbasą z rusztu nam zapachniało, to wstąpiliśmy – skłamał Janek.

Końskie kopyta zadudniły głucho, gdy wjechali na obudowany metalowymi kratami most Kierbedzia. Ojciec zapatrzył się w nurt wody i chwilowo stracił zainteresowanie tematem. Wkrótce dotarli na praski brzeg, a po paru minutach przed kamienicę należącą do Melnerów.

– Niczego sobie budynek – pochwalił Apoloniusz. – Chociaż o piętro niższy od naszego – dodał z wyraźną satysfakcją.

Mieszkanie właścicieli znajdowało się na pierwszym piętrze. Poldek pomyślał złośliwie, że Melner, odwiedzając ich mieszkanie na czwartym, z pewnością musiał się zastanawiać, po co Apoloniusz czyni podobne oszczędności.

– No to jesteście – sapnął Malinowski, przyciskając dzwonek.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Spodziewali się służącego, lecz ujrzeli pana domu we własnej osobie. Ubrany w elegancki granatowy garnitur w białe prążki, przygładził krawat i rozłożył szeroko ręce.

– Wejdźcie, zapraszam! Witaj, Apoloniuszu. – January Melner niemal wciągnął ich do środka.

– Powinszować imienin – wygłosił Malinowski, wręczając solenizantowi opakowaną w zdobny papier butelkę pierwszorzędnego koniaku.

Chwilę później wszyscy trzej zostali przedstawieni żonie Melnera. Apoloniusz wręczył jej bukiet kwiatów, wcześniej trzymany przez Poldka.

– Rad jestem poznać. Całuję rączki szanownej dobrodziejki – przywitał się z kurtuazją stary Malinowski.

Teresa Melner, uczesana w ścisły kok, w skromnej, burej sukni, sprawiała odpychające wrażenie. Choć uśmiechała się do gości, Poldkowi przypominało to raczej grymas jak po wypiciu octu. Sztywna, skrępowana wszelkimi możliwymi konwenansami kobieta stanowiła jaskrawe przeciwieństwo jowialnego, dość głośnego męża.

– Poznaj, Apoloniuszu, moje latorośle. Paulina i Krysia – przedstawił z dumą January.

Obie dziewczyny dygnęły wdzięcznie. Młodsza, Krystyna, nie mogła być starsza od zmarłej zimą Dorotki. Na to niechciane wspomnienie Poldkowi ścisnęło się serce. Zerknął na ojca. Ledwie powstrzymywany grymas na jego twarzy wyjawiał chłopakowi, że Apoloniuszowi przebiegła przez głowę podobna myśl. Trudno zresztą było się dziwić. Dziewczyna, nie dość, że

była w podobnym wieku jak Dorotka, to jeszcze miała identycznej długości włosy sięgające połowy pleców i w zbliżonym odcieniu brązu.

Starsza, Paulina, obcięta na pazia blondynka, nie zachwycała Poldka. Choć uśmiechała się miło i miała szczupłą, wysportowaną sylwetkę, wydała mu się po prostu przeciętna. Ot, dziewczyna, jakich mija się dziennie setki, nie zwracając na nie większej uwagi. Jasne włosy miała spłowiałe, a skórę mocno opaloną, jakby spędzała mnóstwo czasu na świeżym powietrzu. Na Poldku, którego ideałem była czarnowłosa Helena o jasnej karnacji, Paulina nie mogła zrobić wrażenia.

– Paulina trenuje wioślarstwo – pochwalił córkę Melner, tym samym potwierdzając celność obserwacji chłopaka. – Ma dobre wyniki i nawet pewne sukcesy.

– Siadajcie, moi drodzy, za chwilę podamy obiad. – Pani domu zaprosiła wszystkich do jadalni.

Krzykliwe i kapiące złotym kolorem pomieszczenie obnażało nie najlepszy gust gospodarzy, ale zarazem wiele zdradzało, jeśli chodzi o ich majątność. Także wybór potraw to potwierdzał. Na przystawkę podano kawior z jesiotra, później chłodnik z cielęcina, a na danie główne wyborny boeuf Stroganow. Jednocześnie stół zastawiono półmiskami pełnymi wędlin oraz kiełbas.

– Wszystko mojego przetwórstwa – pochwalił się Melner, podsuwając Apoloniuszowi najbliższy talerz z szynką i salcesonem.

Przyjęcie przebiegało w miłej atmosferze. Zgodnie z przyjętym obyczajem rozmawiali dorośli, natomiast młodzież nie miała prawa odezwać się niepytana. Poldkowi to odpowiadało. Nie miał chęci zabawiać córek Melnera, a zamiast tego mógł się zatopić w myślach o Helenie.

– Wreszcie nam się wypogodziło – zagaiła Teresa Melner. – Dobrze, że burze nieco przegoniły upały, ale rada jestem, że jest cieplej i słoneczniej. W końcu mamy lato.

– Ma szanowna pani pełną rację, zwłaszcza że ludzie już na letniskach. Państwo wybieracie się gdzieś jechać? – zapytał uprzejmie Malinowski.

– A gdzieżby tam. – Melnerowa machnęła ręką. – Tu trzeba swoich spraw pilnować, lecz córki nasze jadą. Paulina na obóz sportów, zaś Krysia ze swoimi harcerkami na Mazury.

– Jeśli o pogodzie mówimy, moja droga żono, to ty lepiej się módl, żeby amerykańskie upały nie nastąpiły u nas – wtrącił Melner. – Już byśmy mieli

co dobrego wtedy – dodał z przekąsem.

– Pisali we wczorajszych gazetach, że przeszło trzysta osób zmarło od spiekoty, a temperatura w cieniu w Nowym Jorku dalece przekraczała czterdzieści stopni – dodał Apoloniusz. – Inna rzecz, że Amerykańcom jedynie gorąc pogody zagraża, w czasie gdy w Europie mamy istną polityczną parę z gwizdka.

– Gotuje się jak w tyglu – zawtórował mu Melner. – Choć Niemcy chwilowo przestali interesować się wcieleniem Austrii do Rzeszy, to zaczęli spoglądać łakomie na Gdańsk. Oj, marzy się Hitlerowi odcięcie Polski od morza.

– Żeby tylko to, drogi January, Anglia Hitlera boi się jak ognia. Ja tam twierdzę, że nie ma gorszej plagi niż ruscy, w końcu Niemcy to naród kulturalny, ale Anglia ma się czego obawiać – oświadczył Malinowski. – Już flirtują z Włochami, już król Jerzy sankcje gospodarcze Mussoliniemu zdjął. Jakby napaść na Abisynię w ogóle się nie liczyła. Po co to wszystko? A wiadomo po co, żeby Włochów od sojuszu z Niemcami odciągnąć.

– Wojna będzie jak nic – pokiwał smętnie głową January. – I to inna niż poprzednie. Samoloty i bomby zapalające zamiast konnicy z szablami.

– Może to zbyt czarnowidztwo. Większość prasy twierdzi, że Hitler te zbrojenia szykuje głównie po to, żeby odbić byłe niemieckie kolonie w Afryce – pocieszył go Malinowski.

– Ach, tematy polityczne przy stole niczego dobrego nie przynoszą – oświadczyła Teresa. – January, dopełnij kieliszek panu Apoloniuszowi, bo czas na imieninowy toast.

Żeby zapobiec dalszej rozmowie na przerażające tematy, zaczęła pytać Janka o wyniki końcowych egzaminów w szkole, a Poldka o to, czy należy do jakiejś organizacji przykościelnej. Bystre ucho Apoloniusza Malinowskiego wyłapało to na czas. Szybko wykalkulował, że faktycznie trzeba będzie chłopaka pogonić do kościoła, żeby przypodobać się pani Melnerowej. Zaczął żałować, że nie wziął na imieniny Marii. Dwie dewotki z pewnością natychmiast by się polubiły. Tyle że nie bardzo wypadało zabierać szwagierkę na prośzone przyjęcia. Ale przecież nic straconego.

– January, rad bym cię ugościć wkrótce wraz z małżonką. Moje imieniny były raptem kilka dni temu. Szwagierka po śmierci małżonki prowadzi mi dom. Nie organizowałem przyjęcia, bom przecież w żałobie, lecz spotkanie

przy obiedzie w niewielkim miłym gronie z pewnością Boga nie obrazi – powiedział.

– Naturalnie, że nie – odparła ze współczującą miną Melnerowa.

– Zatem postanowione – ucieszył się jej mąż.

Poldek miał serdecznie dość przyjęcia na Ząbkowskiej. Marzył tylko o tym, żeby wreszcie pożegnać się i umknąć do antykwariatu Małeckich. Niestety, nadzieje okazały się płonne.

– Na cóż tak siedzicie, młodzieży? – zapytała Teresa Melner. – Idźcie na jakiś spacer, wróćcie na deser.

Cała czwórka podniosła się posłusznie z krzeseł, choć żadne nie miało ochoty na towarzystwo pozostałych. Wszystko jednak było lepsze od siedzenia za stołem i słuchania rozmów dorosłych. Zwykle na tego typu przyjęciach młodzi i dzieci siedzieli osobno, lecz tu znikoma liczba gości zupełnie na to nie pozwalała. Poldek podejrzewał, że to ukłon pani domu wobec będących w żałobie gości, a bardziej huczne imieniny pana Januarego odbyły się pewnie w piątek, kiedy faktycznie wypadały.

– Idźcie, idźcie – zgodził się łaskawie Apoloniusz. – Ale Janek zostanie – dodał chytrze. – Nasza łaskawa dobrodziejka wie wiele o sprawach tutejszej parafii, więc może zechce ci, drogi chłopcze, co nieco o niej opowiedzieć. Janek będzie się szykował na księdza – dodał z radosnym uśmiechem, wiedząc, że akcje jego trzyosobowej rodziny nagle poszybują aż pod jej ukochane niebiosy.

– Ależ naturalnie, drogi chłopcze! – Teresa Melner momentalnie chwyciła przynętę, a Apoloniusz aż zatarł ręce z uciechy, że upiekł dwie pieczenie na jednym rożnie. – Krysia też zostanie – dodała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Pomoże desery z kuchni nosić.

Postawiony pod ścianą Poldek odczekał, aż Paulina odejdzie pierwsza od stołu, po czym smętnie powlókł się za nią w stronę wyjścia. Ostatnim, na co miał ochotę, był spacer z obcą panną po praskich ulicach. Pomyślał, że chyba gładzenie Melnerowej o kościele Matki Bożej Loretańskiej bardziej by mu odpowiadało.

– Dokąd się przejdziemy? – zapytał, gdy już wyszli przed kamienicę.

– Może do parku Skaryszewskiego? – zaproponowała.

– Bardzo chętnie – odparł grzecznie, ciesząc się w duchu, że nie zaproponowała parku Praskiego i dzikiej plaży, na której spędzał romantyczne chwile z Helą.

– Był pan w tym parku?

– Nie miałem okazji, więc tym chętniej skorzystam z zaproszenia. Nieczęsto bywam na Pradze, choć codziennie widzę ją z okna pokoju – dodał. – Po prawdzie, jeśli dobrze pamiętam plan naszego miasta, park Skaryszewski mam właśnie na wprost, za Wisłą.

– Ja natomiast bardzo często bywam w Warszawie – wyjaśniła. Już tylko to zdradzało, że dziewczyna jest rodowitą prażanką. Ludzie stąd wciąż jeszcze rozdzielali Pragę od Warszawy, choć przecież od lat stanowiły jedną tkankę miejską. Uartego zwyczaju nie dało się łatwo wykorzezić.

– Szkoła? – zapytał Poldek, niespecjalnie ciekaw odpowiedzi.

– Nie, raczej klub sportowy w przystani na Wioślarskiej. Trenuję już trzeci sezon pod okiem trenera.

– To nieopodał naszej pracowni i kamienicy. – Poldek zaklął w duchu na tę niefortunną zbieżność.

– Tak, już wcześniej ojciec mi o tym wspominał. Idziemy?

– Naturalnie.

Słuchając jednym uchem opowieści o technikach wiosłowania i co jakiś czas potakując, Poldek gorączkowo myślał. Po cóż Melner miałby opowiadać o kamienicy na Solcu swojej córce? Po cóż jego własny ojciec tak nalegał na te imieniny? Dlaczego zatrzymał Janka u Melnerów pod tak dziwnym pretekstem? Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna: zarówno pan January, jak i ojciec próbowali ich wyswatać. Pytanie brzmiało tylko, czy działali w porozumieniu.

Poldek spojrział z ukosa na maszerującą energicznie Paulinę. Czy także i ona bierze udział w tym podstępny planie?

– Pański brat istotnie planuje święcenia kapłańskie? – zapytała dziewczyna.

– Słucham? Eee... prawdę powiedziawszy, usłyszałem o tym pierwszy raz, tak jak i pani – palnął bez zastanowienia Poldek, po czym słysząc, jak absurdalnie to brzmi, zaczął gorączkowo tłumaczyć. – Wynika to pewnie z tego, że mój brat jest raczej skryty. Poza tym sądzę, że takie decyzje najlepiej dojrzewają w ciszy. Widać ojcu się zwierzył, a mnie nie – powiedział. Dotarło do niego, że musi koniecznie porozmawiać z Jankiem. Liczba tajemnic i intryg, jakie narosły w tej niewielkiej, okaleczonej przez los rodzinie, zdawała się rosnać z dnia na dzień.

– Nie chciałam być wścibska, proszę o wybaczenie.

W milczeniu i narastającym skrępowaniu dotarli do parku. W niedzielne słoneczne popołudnie przeżywał oblężenie. Okoliczni sprzedawcy kwiatów i przekąsek mieli pełne ręce roboty. Do automatu ze słodyczami Wedla, stojącym tuż przy wejściu do parku, ustawiła się spora kolejka.

– Prawdziwy wizjoner – mruknął pod nosem Poldek.

– Kto taki? – zapytała Paulina.

– Pan Jan Wedel, oczywiście. Dopiero co zadziwił Warszawę, kupując samolot do transportu swoich wyrobów, a teraz ten automat na monety. Podobno bardzo dba o pracowników, ale niełatwo się dostać do jego zakładu.

– Pan przecież chyba pracy nie potrzebuje? – zapytała rozbawiona.

– Nie, oczywiście, że nie – zreflektował się. – Tak tylko mówię. A jakie pani ma plany na przyszłość? – odbił piłeczkę.

– Oczywiście kariera sportowa! Zawody, wyjazdy klubowe. Nie myślę o takich rzeczach jak rodzina czy dzieci. Wolę zwiedzać świat, a sport to dla mnie jedyna do tego droga, bo przecież ojciec... – Paulina umilkła raptownie.

– Ale na olimpiadę się pani wybiera? – zapytał na poły żartobliwie.

– A gdzieżby!

– Coraz więcej głosów w Polsce jest za tym, że powinno się całkiem zbojkotować igrzyska w Berlinie.

– Ja tam tak nie uważam. Nie jadę, bo przecież kobiet się do igrzysk prawie nie dopuszcza! A już szczególnie do wioślarstwa. Dlatego przed następnymi będę trenować także pływanie. Na tym polu kobiety odnoszą już pewne sukcesy. W każdym razie nie jestem za bojkotem. Polityka do sportu nie powinna się wtrącać. Zresztą wiele można zarzucić Hitlerowi, ale propagowanie dyscyplin sportowych wychodzi mu bardzo dobrze!

Poldek się nie odezwał. Uznał, że wdawanie się w dyskusję nie bardzo ma sens. On widział to inaczej. Dla niego sport w wykonaniu niemieckim był przede wszystkim ogromną propagandą, a fakt, że Trzeciej Rzeszy pozwolono na organizację igrzysk, stanowił kolejną próbę podlizywania się jej przywódcy przez Francję i Anglię. Zresztą polski rząd robił dokładnie to samo. Nieprzychylna władzom prasa socjalistyczna nazywała zapraszanie nazistowskich polityków przez nasz rząd „żałosną strategią śniadań i polowań”.

– Przejdziemy się w stronę stawu? – zapytała Paulina.

Poldek przystał na propozycję, a niespieszna rozmowa o banałach toczyła się nawet znośnie. Park Skaryszewski ze swoimi oczkami wodnymi i sztucznymi wzniesieniami robił doskonałe wrażenie, lecz chłopak nie mógł się doczekać końca spaceru. Postanowił wrócić tu z Heleną i zaprosić ją na łódki. Uznał, że nawet najpiękniejsze miejsca tracą na jakości, jeśli się w nich jest w niemiłym sercu towarzystwie. Pocieszające w całej tej sytuacji było jedynie to, że Paulina, podobnie jak on, nie paliła się do małżeństwa.

– Więc powiadasz, Apoloniuszu, że Melner patrzy przychylnie na Poldka?
– Maria postawiła przed szwagrem szklankę z herbatą i przysiadła na sąsiednim krześle, podekscytowana najnowszymi wiadomościami.

– Nawet więcej, droga Mario! Gdyśmy po skończonych imieninach udali się na strzemiennego do... pobliskiego baru... – Malinowski ugryzł się w język. W rzeczywistości spędzili wieczór i pół nocy w ulubionym lupanarze – ...okazało się, że to January sam z siebie zaczął o tym mówić. Otóż nasz chłopak już mu wcześniej wpadł w oko, więc zaczął u mnie sprawę ożenku badać.

– Chłopak niczego sobie, lecz bardziej na rzeczy jest to, co Poldkowi przypadnie w majątku – mruknęła Maria.

– Oczywiście – zgodził się Apoloniusz. – Jednak jeśliby porównywać, to January nawet więcej dóbr posiada.

– Ale posag musi obu córkom dać. A skoro nie ma męskiego potomka, to wszystko wpadnie w ręce jego przyszłych zięciów – zauważyła przytomnie ciotka.

– I tu właśnie jest pies pogrzebany! A Janek wręcz nam z nieba spadł.

– Janek? – nie zrozumiała Maria. – Cóż on ma do tego?

– No więc wyobraź sobie, że wiadomość o tym, że Janek ma iść na księdza, upewniła Melnera w przekonaniu, że cały majątek przypadnie Poldkowi.

– Przecież to chyba od początku było oczywiste – zdziwiła się.

– Oczywiście, ale dla nas. January ma inne podejście do sprawy i uważa, że wszystkim dzieciom należy dawać po równo. Niezależnie od płci, wyobrażasz sobie?

– Syna nie ma, to tak gada – Maria machnęła ręką lekceważąco.

– Pewnie tak – zgodził się Malinowski. – Ale on to widzi inaczej. Dla niego oddanie Janka do kapłaństwa gwarantuje, że jego córka będzie niepodzielną gospodynią. Co więcej, Melnerowa udziela się w swojej parafii, więc myśl o księdzu w rodzinie z punktu ją zelektryzowała. Będzie parła do tego małżeństwa – roześmiał się. – Toteż właśnie tą sprawą w pierwszej kolejności należy się zająć. Zwłaszcza że January nie chce zenić córki od razu. Uważa, że młodzi muszą się najpierw lepiej poznać, a dziewczyna pocieszyć młodością, nim przyjdą obowiązki małżeńskie. A ja cóż? Mogłem mu jedynie przyznać rację.

– Dobrześ zrobił – pochwaliła Maria, lecz minę miała stropioną.

– Stało się coś? Nie cieszysz się?

– Cieszę się. Tyle że w tym twoim planie pojawiła się niewielka rysa – przyznała z ociąganiem.

– Jaka?

– Janek spotyka się z dziewczyną.

– Z jaką? Nigdy żadnej nie widziałem – zdziwił się Apoloniusz.

– A bo pod latarnią najciemniej – odparła ponuro Maria. – To szwaczka z twojej pracowni.

– A tam, szwaczka! – zbagatelizował. – Toż musi chłopak życie poznać, nawet jeśli duchowieństwo mu pisane. Przecież nie zainteresowałyby się na poważnie żadną zwykłą szwaczką – dodał buńczucznie. – Która to?

– Taka blondynka, Baśka. A widuję ich karesy od ładnych kilku miesięcy, więc to nie może być przelotna miłośćka.

– Michalikówna? Już prawie rok temu mieli się ku sobie. – Malinowski przypomniał sobie tragiczną w skutkach zabawę w parku Sieleckim. – No popatrz, popatrz, jak to cicha woda brzegi rwie. Jeszcze w tym tygodniu wyrzucę ją z roboty na zbity pysk, a chłopakowi baczniej się przyjrzę. A do ciebie mam prośbę. Porozmawiaj z kim trzeba w naszej parafii, może uda się Janka umieścić w seminarium już po wakacjach. Późno się do tego zabraliśmy, liczyłem, że jeszcze przez rok chłopak pomoże w pracowni, a tu, jak widać, czas ucieka. Im szybciej zrobimy z tym porządek, tym lepiej.

Ignacy od kilku miesięcy jakby unosił się nad ziemią. Odkąd dołączył do organizacji, jego życie nabrało sensu. Znalazł oddanych druhów, myślących tak jak on, i po raz pierwszy w życiu poczuł akceptację. Przynależał do grupy. Co więcej, Alina – ta sama, która wraz z Tadeuszem zwerbowała go do Falangi – okazywała Ignacemu specjalne względy. Imponowało mu, że dziewczyna rozkazuje chłopakom, wykląda im historię, a także prowadzi kursy wytrzymałościowe w lesie. Zawsze z nieodłącznym papierosem w ustach.

Chłopak podziwiał skrycie kształty Aliny, a leżąc nocą w swoim łóżku, w mokotowskim mieszkaniu Konrada, wyobrażał sobie, że dziewczyna przychodzi do niego, pochyla się, zaczyna całować, jednocześnie gładząc dłońmi jego tors.

– Musisz zostać prawdziwym mężczyzną – szeptała uwodzicielsko. Wizja bywała tak silna, że niemal czuł jej gorący oddech.

Za każdym razem zrywał się z łóżka spocony, by za chwilę, dygocząc z zimna, wpatrywać się w czerń za oknem. Nie do końca rozumiał, co się z nim dzieje. Czy właśnie tak objawiała się obsesja? Obiecywał sobie, że nigdy więcej nie spotka się ani z Aliną, ani z Tadeuszem. Oczywiście dzień zawsze rozwiewał absurdalne nocne majaki, a on pędził na kolejne spotkanie.

Teraz, gdy zaczęły się wakacje, miał dla organizacji znacznie więcej czasu, a Konrad nie zawracał mu głowy, bo zaczął kręcić nowy film. Na szczęście dla Ignacego w Warszawie, inaczej wywiózłby go poza miasto. Wiedział, że raczej nie wymiga się od wyjazdu w sierpniu do Krynicy-Zdroju, gdzie miał być realizowany kolejny film. Do tego czasu chłopak miał czas dla siebie, więc nie przejmował się przyszłością. Na rychły powrót rodziców też nie liczył. W dalszym ciągu nie dali znaku życia, pomimo intensywnych poszukiwań. Konrad odgrażał się, że jeśli nieznośna cisza będzie trwała dalej, na początku września ruszy do Afryki podjąć poszukiwania na własną rękę. Nawet słowem się nie zająknął, gdzie w tym czasie ma się podziać Ignacy, który uznał, że to wyłącznie czcze gadanie, próba uspokojenia wyrzutów sumienia. Zresztą Ignacy miał ważniejsze sprawy na głowie. Tadeusz zapowiedział, że dzisiejsze spotkanie będzie wyjątkowe.

Podeksytowany chłopiec wyszedł z mieszkania na zalane słońcem podwórko. Nieopodal uwijał się stróż z miotłą. Ignacy udał, że go nie

widzi. Nie nawykł do spoufalania się z ludźmi z gminu, a już z pewnością nie zamierzał im się kłaniać.

Na pobliskim przystanku, przy gmachu SGGW niecierpliwie czekał na tramwaj. Od niechcienia obserwował niewielki dworek mieszczący się po drugiej stronie Rakowieckiej. Ignacy miał do przebycia spory dystans. Tadeusz oświadczył, że ze względu na szczególny charakter spotkania nie wolno im ryzykować dekonspiracji, więc muszą umówić się poza miastem. Nie powiedział jednak gdzie.

– Każde z was – zwrócił się do najmłodszych stażem członków – spotka się w określonym miejscu z jednym ze starszych kolegów, a później wspólnie ruszycie dalej.

Ignacy dotarł do wyznaczonego punktu na ulicy Belwederskiej. Serce zabiło mu mocniej, gdy z daleka ujrzał Alinę, jak zwykle ubraną na czarno. Zmierzała w jego stronę, okrążając różany klomb.

– Idziemy na stację kolejki wilanowskiej – oświadczyła, nie zaszczycając chłopaka choćby zdawkowym powitaniem.

– Dokąd jedziemy? – zaciekawiał się.

– Jesteś z nami dostatecznie długo, żeby nie zadawać zbędnych pytań – skarciła go.

Ruszyła przodem, Ignacy dotrzymywał jej kroku w milczeniu. Czas spotkania miała tak obliczony, że zaledwie kupiła bilety, konduktor odgwizdał odjazd. W wagonie nie było wielu pasażerów. Trwał sezon wakacyjny, więc kto tylko mógł uciekł już z miasta. Kolejka zapełni się w sobotę po południu, gdy pracujący w stolicy mężowie ruszą na lotniska odwiedzić żony i dzieci.

Alina usiadła na pierwszym z brzegu miejscu, a Ignacy naprzeciwko niej.

– Za około pół godziny będziemy na miejscu – poinformowała go, po czym oparła głowę o drewniane oparcie i zamknęła oczy.

– Dlaczego ubierasz się zawsze na czarno? – zapytał chłopak i aż się skulił, gdy usłyszał jej poirytowane prychnięcie.

– Z żalu po Polsce – odparła, gwałtownie otwierając oczy. – Po tym kraju rozrywanych przez hieny.

Ignacy pomyślał, że żałobę narodową nosiły kobiety po upadku powstania styczniowego, a teraz jednak Polska jest wolna od ciemnych, lecz nie zdołał wtrącić nawet słowa.

– Z jednej strony socjaliści i komuniści plujący na Kościół i polski honor, wysługujący się czerwonym, z drugiej Żydzi kombinujący, jak by tu zawłaszczyć kraj dla siebie. Na pohybel z nimi! – ciągnęła rozgorączkowana. – Śmierć wszystkim wrogom ojczyzny! Tylko jednolity naród i system totalitarny mogą utrzymać porządek.

– Tylko życie i śmierć dla narodu! – Ignacy uroczyście wygłosił hasło organizacji. – Ręka z mieczem utnie dłoń każdemu, kto odważy się ją podnieść na Polskę.

– Właśnie tak. Tylko Bóg, honor i ojczyzna! – dodała.

Ignacy patrzył z zachwytem na Alinę. Na jej roziskrzone oczy, policzki zaczerwienione prawdziwym gniewem. W tej samej chwili, gdy kolejka wtoczyła się na stację w Wilanowie, chłopak poczuł dziwne ukłucie w sercu. A gdy Alina uśmiechnęła się ciepło, zrozumiał, że po raz pierwszy w życiu się zakochał.

– Idziemy – zakomenderowała dziarskim tonem.

Chłopak wyszedł z pociągu jak potulne cielę na powrozie i dał się zaprowadzić do zagajnika tuż za miasteczkiem, gdzie już urzędowało kilku członków ugrupowania. Jedni siedzieli na ziemi, rozmawiając półgłosem, inni ściągali z lasu chrust. Na polanie płonęło ognisko i sądząc po zapachach, kierownictwo zadbało o kiełbaski.

– Napijesz się? – usłyszał za plecami głos Aliny. Odwrócił twarz od ognia. Dziewczyna trzymała w dłoni butelkę wódki.

Przytaknął gorliwie i pociągnął sążnisty łyk. Natychmiast zakrztusił się, nie miał wprawy w picie.

– Spokojnie, nie tak prędko! – Alina roześmiała się i poklepała Ignacego po plecach. – Przed nami długa noc, więc się nie spiesz.

Speszony chłopak nie bardzo wiedział, jak ma rozumieć jej słowa. Patrzył na dziewczynę z przyjemnością. Może nie należała do piękności, ale dla niego była bardziej pociągająca niż największe gwiazdy ekranu z Idą Wolińską, Iną Benitą i nawet Marleną Dietrich na czele. Oddał jej bez dyskusji butelkę.

– Chodź, zajmiemy sobie dobre miejsca przy ogniu. Niedługo zaczną przemawiać!

– Kto taki? Tadeusz? Ktoś jeszcze? – zainteresował się Ignacy.

– Gdzie tam. Dzisiaj mamy ważnych gości z kierownictwa partii. Szychy z Ruchu Narodowo-Radykalnego. Podobno dzisiaj po raz pierwszy pokażą

się publicznie – ekscytowała się Alina.

Ignacy usiadł obok niej na suchym, nagrzanym mchu i czekał na rozwój wydarzeń. Wkrótce rozległy się gwizdy i klaskanie. Pomruk aprobaty zagłuszył okoliczne świerszcze, gdy po drugiej stronie ogniska pojawił się Tadeusz. Podniósł do góry dłonie, starając się uciszyć zebranych.

– Witajcie! Śmierć i życie dla narodu! – powiedział.

– Śmierć i życie dla narodu! – wyskandowali zebrani, a echo ich głosów poniosło się po lesie.

– Cieszę się, że stawiliście się tak licznie. Większość z was dopiero dzisiaj pozna innych wojowników o to, co słuszne! Gwarantuję, że jedzenia i napitków nie zabraknie do białego rana. Ale zanim zaczniemy zabawę, przedstawiam specjalnych gości. Powitajcie ich oklaskami!

Ignacy uniósł głowę, żeby lepiej widzieć. Alina parsknęła cichym śmiechem, gdy obok Tadeusza pojawił się niewysoki mężczyzna w średnim wieku i młoda kobieta w nijakiej sukience.

– Czołem przyjaciele! – powiedział nowo przybyły. – Jestem waszym zwierzchnikiem zbrojnym. Wiem, wydaje wam się dziwne, że poznajecie mnie dopiero teraz, lecz dotychczas pracowałem dla naszej sprawy w ścisłej konspiracji! Ale ten czas minął. Zbliża się godzina naszej chwały.

– Ciekawe jakiej – mruknęła cicho Alina i przysunęła się do Ignacego. Delikatnie ugryzła go w ucho. Chłopaka przeszył prąd. Zdumiony, odruchowo zwrócił twarz w stronę dziewczyny, gdzie czekały już na niego miękkie, wilgotne wargi. Nie protestował, gdy Alina wsunęła mu język w usta, a dłonią zaczęła masować kark. Po chwili zamruczała jak kotka i odsunęła się. Ignacemu zawirowało w głowie. – Słuchaj – poleciła. – Ciekawe rzeczy mówi.

– Jeden z największych wrogów naszej ojczyzny, socjalista, miłośnik Żydów, działacz Czerwonego Harcerstwa, które jest obrazą dla ZHP i Pana Boga, już wkrótce zostanie starty w pył. Dlatego potrzebujemy ochotników, którzy dokonają Bożej zemsty na zdrajcy narodu! Kto się zgłosi? – zapytał z mocą mężczyzna zza ogniska.

– Masz, napij się – szepnęła Alina, przystawiając Ignacemu butelkę do ust. Chłopak przełknął posłusznie. Chciał coś powiedzieć, lecz dłoń, która popęzła po jego udzie aż do krocza, skutecznie sparaliżowała jego ruchy. – Zgłoś się. To zadanie dla prawdziwego mężczyzny. A potem... – Alina

przerwała w pół słowa, zabrała dłoń i odsunęła się od Ignacego. Oblizła usta w niemej zachęce, po czym wskazała brodą ognisko.

– Zgłaszam się! – Ignacy poderwał się na równe nogi, jakby wbrew sobie, ale gdy wokół rozległy się gromkie brawa, poczuł się bohaterem wieczoru.

– Chodź do nas, młodzieńcze. Właśnie tacy jak ty są przyszłością naszej świętej ojczyzny! – wygłosił uroczyście mężczyzna.

Ignacy z żalem opuścił Alinę, lecz rozpierająca go duma dodała mu skrzydeł. Przeszedł na drugą stronę, witany serdecznymi uściskami.

– Jak masz na imię, bohaterze? – zapytał mężczyzna.

– Ignacy – odparł.

– Drogi Ignacy, pozwól, że przedstawię ci moją najbliższą współpracownicę, Różę. Mnie nazywaj Docentem. Poczekajmy na pozostałych śmiałków i wnet poznacie cel waszej przyszłej walki za ojczyznę.

Ignacy uśmiechnął się niemrawo. W spodniach wciąż pulsowała pobudzona męskość, ale jednocześnie żołądek zacisnął mu się ze strachu. Jedyne, o czym marzył, to klakson samochodu Konrada, który zwykle przybywał z odsieczą. Jednak tutaj nie pojawi się z pewnością.

ROZDZIAŁ 15

To przecież niemożliwe, tak nie wolno! – Basia zanosła się płaczem. Siedziała po turecku na łóżku Heleny w ich wspólnym pokoiku na zapleczu antykwariatu. – Jak mógł tak zwyczajnie wyrzucić mnie na zbity pysk? Tyrałam dla niego od świtu do nocy. A teraz nawet nie dostanę pensji za ostatni tydzień, bo mi powiedział, że skoro jest czwartek, a wypłata w piątek, to nie przepracowałam pełnego tygodnia, więc tygodniówka się nie należy! – Baśka rozbeczała się na dobre i rzuciła się na materac, ukrywając twarz w poduszce.

– Nie płacz! – Helena gładziła ją po plecach, równie zrozpaczona jak przyjaciółka. – No, nie rycz, bo to nic nie da! Coś wymyślimy! Słyszysz? Masz dach nad głową, masz mnie.

– I mnie – rozległ się cichy głos od progu.

Hela odwróciła się i ujrzała pocziwą twarz swojego ukochanego ojca, także zmartwionego sytuacją. Antykwariusz wszedł do pokoju i usiadł bokiem na krześle stojącym obok wersalki. Niezgrabnie poklepał po ramieniu rozpaczającą dziewczynę.

– Basiu, cokolwiek by się stało, prędzej sprzedam za bezcen wszystkie woluminy, niż pozwolę ci iść na poniewierkę – powiedział cicho. – Jesteś teraz częścią rodziny i przenigdy nie trać we mnie wiary, dziecko. Bóg nam cię tutaj zesłał. Nie płacz. Chodźcie do jadalni. Zrobiłem zupełnicę. Przydadzecie się coś słodkiego na pocieszenie.

Zupa mleczna z wanilią, podana z cynamonem i lekkimi jak chmurka bezikami, była smakiem dzieciństwa Heleny i absolutnym zachwytem kulinarnym Basi.

– Nigdy jej nie jadłaś? – zdziwiła się Hela.

– Nie, nie za bardzo miałam gdzie – speszyła się dziewczyna.

Małecki uśmiechnął się do Basi, lecz wzrok miał zatroskany. Helena doskonale wiedziała, że trzecia osoba na utrzymaniu antykwariatu solidnie

naruszy bezpieczeństwo finansowe. Załamywanie rąk nie miało sensu, więc wzięła się w garść, odniosła puste talerze do kuchni i od razu je umyła.

– Chodźmy na spacer – zaproponowała Basi. – Może to pozwoli nam poukładać myśli i znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie.

Połowa lipca przyniosła miastu wysokie temperatury. Helena miała wrażenie, że kostka brukowa bucha ciepłem jak piec kuchenny. Mimo to ruszyła dziarsko wraz z przyjaciółką w stronę Kercelaka.

– Dokąd tak pędzisz? – zdziwiła się Basia. – Myślałam, że mamy spacerować.

– Później. Coś mi przyszło do głowy. Spróbujemy coś załatwić – ucieła Hela. Zbywając pytania przyjaciółki, zaciągnęła ją na bazar, na którym jak zwykle panował rozgardiasz.

– Dawno cię nie było, Helu! – powiedziała w jidysz ciotka Sara, ucieszona niespodziewaną wizytą. Siedziała jak zwykle w barze, z którego zarządzała swoim królestwem na Kercelaku. – Wiem od Michała, że skończyłaś szkołę z wyróżnieniem. Gratulacje, moje dziecko.

– Przepraszam, że nie zaglądałam – zawstydziła się Helena. – Ciągle mam coś do zrobienia, a czas pędzi jak szalony.

– Zobaczysz, jak będzie pędził, gdy dojdiesz mojego wieku – roześmiała się ciotka. – I nie przepraszaj, nie ma przecież za co. Młodzi mają swoje sprawy.

– To prawda – spłonęła się Helena, gdy jej myśli natychmiast pomknęły do Poldka. – Ciociu, poznaj proszę moją przyjaciółkę Basię. – Zreflektowała się nagle i przeszła na polski.

Basia dygnęła grzecznie, coraz bardziej dziwiąc się nieznanemu wcześniej obliczu Heleny. Wprawdzie przyjaciółka wspominała, że ma korzenie żydowskie, ale w życiu nie wpadłaby na to, że umie się płynnie porozumiewać w jidysz. Oczywiście, nieraz słyszała brzmienie tego języka. W końcu nie sposób nie zetknąć się z nim, jeśli mieszkało się w Warszawie, lecz w ustach Heleny, zawsze mówiącej po polsku, brzmiał egzotycznie.

– Dzień dobry – przywitała się Basia.

– Ciociu, nie zna ciocia kogoś, kto szuka szwaczki? – przeszła do sedna Helena. – Basia straciła nie ze swojej winy posadę i pilnie potrzebuje innej.

Sara obrzuciła dziewczęta uważnym spojrzeniem. W ich oczach widać było błaganie, więc sprawa musiała być poważna.

– Coś wymyślę – obiecała. W pierwszym odruchu chciała zaproponować przyjaciółce Heleny pracę w jednym z kramów na bazarze, lecz dziewczyna wyglądała na wątłą, a zajęcie należało do niełatwych, szczególnie w zimne dni. Jeszcze nabawiłaby się zapalenia płuc albo nawet czegoś gorszego. Obecnie trwało upalne lato, więc bardziej prawdopodobny byłby udar z przegrzania, lecz Sara jak zwykle wybiegała myślami w przyszłość. Tego nauczyło ją życie z mężem pijakiem. – Głodne jesteście? Zjecie coś? – zapytała, uśmiechając się pokrępiąco.

– Zwariowałaś? Co ty wyprawiasz? – Osłupiały Poldek obserwował Janka pakującego skórzaną walizkę.

– Odchodzę! Idę na swoje! Mam tego dość. To, co ojciec zrobił z Basią... Ta nikczemność przelała we mnie czarę goryczy. Jak mógł ją zwolnić? I jeszcze sam słyszałem, jak później mówił innym czeladnikom, że kradła. Jak on może? – Janek, czerwony ze złości, z impetem zatrzasnął drzwi szafy.

– Zastanów się trochę. Ochłoń. Wiesz, jaki jest ojciec. Odejdiesz i więcej cię za próg nie wpuści. Co pocniesz?

– Znajdę jakąś pracę. Gdzieś mnie przyjmą! – odparł Janek z determinacją.

– A spać gdzie będziesz? – zapytał Poldek.

Janek nie odpowiedział. Zamiast tego przerwał gorączkowe pakowanie i usiadł na łóżku. Ze znużeniem potarł skronie, starając się nieco uspokoić. Zadanie było o tyle trudne, że po haniebnym zwolnieniu Basi Malinowski jak gdyby nigdy nic wezwał Janka na pogadankę o jego przyszłym kapłaństwie. Chłopak ostatecznie sił powstrzymywał się przed zaciśnięciem dłoni w pięści. Wiedział jednak, że okazanie jakiegokolwiek niezadowolenia może się dla niego marnie skończyć. Nerwy ostatecznie puściły mu w jego pokoju na poddaszu. Stąd spontaniczna decyzja o natychmiastowej wyprowadzce.

Poldek nie dziwił się bratu. On sam przecież marzył o tym, żeby wyrwać się spod władzy Apoloniusza Malinowskiego raz na zawsze, a kompletna bezsilność w konfrontacji z rodzicem nieraz doprowadzała go do szału.

– Uspokój się. Ledwie skończyłeś szkołę i nawet nie wyzwoliłeś się na czeladnika. Jeśli odejdziesz tak jak stoisz, bez grosza przy duszy, skończysz marnie w rynsztoku. Myśl o Basi. Przecież ona cię teraz potrzebuje jeszcze bardziej niż przedtem – perswadował Poldek, siadając obok niego.

– A ty nie masz poratować jakąś gotówką? – zapytał z nadzieją w głosie Janek. – Przecież oddałbym najszybciej, jak tylko bym mógł.

– A skąd niby mam mieć? – roześmiał się ponuro Poldek. – Ledwie mi na papierosy i kino starcza z tych marnych groszy, jakie ojciec mi asygnuje. Rusz się. Pomogę ci rozpakować walizkę. Jak chcesz z domu uciekać, zaplanuj to na zimno. Inaczej tanio sprzedasz skórę za pierwszym lepszym rogiem.

Janek wiedział, że brat ma rację. Teraz, gdy emocje nieco ostygły, zrozumiał coś jeszcze. Jeśliby musiał iść na poniewierkę, nie miałby najmniejszej szansy pomóc Basi. Chłopak wiedział, że antykwariusz Małecki nie wystawi jej na bruk, gdy nie stać jej będzie na dokładanie się do rachunków, lecz jeśli dojdzie do najgorszego, czyli stanie się bezdomna, on z domu ojca będzie miał większą szansę, żeby jakoś jej pomóc. Jeśli nic innego nie wymyśli, w ostateczności wyniesie z mieszkania parę cenniejszych drobiazgów do lombardu. Brzydził się kradzieżą, ale znacznie bardziej przerażała go myśl, że Basia mogłaby źle skończyć.

– Masz rację – powiedział po namyśle. – Wytrzymam jeszcze. Ale Bóg mi świadkiem, że...

– Nie mów tego, czego byś później miał żałować – przerwał mu spokojnie Poldek. – I pamiętaj, że co by się nie działo, masz mnie. A ja zawsze wyciągnę pomocną dłoń.

Janek wykonał niezgrabny gest, jakby chciał rzucić się bratu w ramiona, lecz w rodzinie Malinowskich podobna poufałość byłaby nie do pomyslenia. Poldek poklepał go zdawkowo po plecach i wstał.

– Chodźmy do pracowni. Jeśli zaniedbamy obowiązki, nasze szanse na wolność całkowicie stopnieją. Tego ojciec nam z pewnością nie wybaczy – powiedział. – Poza tym majster Mosze może mieć dla nas jakąś dobrą radę. Mądry i życzliwy z niego człowiek.

– Może zechce mnie przygarnąć, jeśli od ojca ucieknę? – zapytał z nadzieją Janek.

– Chciałbyś mu taki kłopot robić? Przecież gdyby ojciec dowiedział się o tym, wyrzuciłby i jego. A on pracuje tu od zawsze. Pracownia to jego cały

świat. Poza tym, choć lubi cię nadzwyczajnie, nadal jest lojalnym pracownikiem. Protekcji u niego nie szukaj.

Janek zwiesił głowę. Wiedział, że brat ma rację.

Tymczasem Poldka uderzyły jego własne słowa. Niezaprzeczalną prawdą jest, że jeśli pewne przemyślenia wypowie się głośno, nagle nabierają znacznie głębszego sensu. Przypomniał sobie, jak Konrad Werner chwalił go po odegraniu skromnej rólki kelnera podczas kręcenia filmu w Małej Ziemiańskiej. W jego głowie momentalnie zrodził się plan.

Piątek przyniósł miastu falę upałów. Mimo to czwórka przyjaciół spotkała się po południu, gdy tylko Helena mogła się wyrwać z antykwariatu, a bracia Malinowscy z pracowni. Basia, choć chwilowo bezrobotna, promieniała szczęściem. W zalanym słońcem Śródmieściu trudno było znaleźć choć odrobinę ochłody, lecz oni nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Nawet nie schronili się w cieniu, czekając na tramwaj, który miał ich zawieźć w stronę Mokotowa.

– Kiedy zaczniesz? – zapytał Janek, patrząc z zachwytem na Basię.

– Już w poniedziałek – odparła rozradowana. – I wszystko dzięki Heli.

– Jakaż w tym moja zasługa? – roześmiała się Helena. – Ślepy traf, że mam taką obrotną ciotkę. Uważaj tylko, bo jak cię tam z tym krawcem z Nalewek wezmą w obroty, to zanim się obejrzysz, będziesz w jidysz gadać.

– Zawsze to kolejna nauka – odparła Basia. – Poza tym pan Berliner kazał mi na egzaminie wyrysować wzory, jakie moim zdaniem są modne. I wszystkie mu się podobały. Obiecał, że oprócz szycia nauczę się projektowania!

– Kto wie? Może pewnego dnia będziesz wymyślać wzory dla Hersego, a twoje wieczorowe suknie zobaczymy w podświetlonych witrynach jego domu mody? – podekscytowała się Hela.

– Tak daleko bym wyobraźnią nie sięgała – spieszyła się Basia.

– A właściwie dlaczego nie? Przecież marzenia są po to, żeby je spełniać – powiedział Janek. – Prawda, bracie?

– Ponoć. Ale nadal jestem pewny, że moje nie ma prawa się spełnić, a cała ta wycieczka do Mokotowa nagle wydała mi się bezsensowną.

Przecież Werner w najlepszym wypadku wyśmieję mnie, a w najgorszym spuści kopniakiem po schodkach swojej wielkopańskiej willi – oświadczył ponuro Poldek.

– Nie mieszka w willi – roześmiała się Helena. – To osiedle. Wprawdzie nowoczesne i bardzo elegancko zbudowane z szarej cegły, ale bez przesady, żaden Wersal. Poza tym Konrad cię lubi. Myślę, że jeśli będzie w stanie pomóc, zrobi to z ochotą. Już sam fakt, że zarezerwował dla nas popołudnie i zaprosił do domu, daje pewną obietnicę na przyszłość.

– Nawet nie wie, po co dzwoniłaś, korzystając z uprzejmości swojego sąsiada – zaoponował Poldek.

– Co ma być, to będzie – zawyrokowała filozoficznie Basia. – Nadjeżdża tramwaj, i to ten z szyldem, że proszek Persil pierze wszystko, więc schowaj wątpliwości w kieszeń i wsiadajmy.

Jazda do Mokotowa nieco się dłużyła. Po dotarciu na Puławską musieli wysiąść tuż obok koszarów i rozciągającego się nieco dalej Pola Mokotowskiego, na którym jeszcze niespełna dwa lata temu istniało lotnisko cywilne i budynki LOT-u. Kolejny tramwaj dowiózł ich do pętli na Rakowieckiej, po drodze mijając monumentalny gmach Wyższej Szkoły Handlowej.

– Niczego sobie okolica – pochwalił Janek. – Bardzo tu nowocześnie.

– A za tymi eleganckimi koloniami domów pasą się krowy – roześmiała się Hela. – Chodźmy, lepiej się nie spóźniać.

Przestronne podwórze, będące właściwie bardziej zadbanym ogrodem z elegancko uformowanymi żywopłotami, przywodziło na myśl otoczenie wytwornej willi, a nie trzypiętrowych nowoczesnych kamienic.

– To musi być gdzieś tutaj. – Helena spojrzała na tabliczkę z numerem budynku.

– Nie byłaś tu? – zapytał Poldek.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Widziałam tę kolonię domów jedynie z ulicy, gdy Konrad udzielał mi lekcji jazdy samochodem.

– Ach tak. – Poldek, wciąż wyczulony na wzajemną relację Heleny ze słynnym aktorem, za wszelką cenę starał się zachować neutralny ton.

Wspięli się po schodach na pierwsze piętro. Helena nacisnęła dzwonek. Dosłownie w tej samej sekundzie drzwi otworzyły się gwałtownie na oścież. Nie było mowy, żeby ktoś tak szybko zareagował na ich wizytę. To musiał być zbieg okoliczności. Ze środka wystrzelił jak z procy Ignacy,

młodszy brat Konrada. Potrącił ramieniem Basię, niemal ją przewracając, lecz nawet tego nie zauważył. Tupiąc mocno, zbiegł po granitowych schodach.

– Cham! – mruknął pod nosem Janek, w jednej chwili czerwieniejąc z oburzenia.

– Panna Helena! Dzień dobry! – dobiegł ich głos Wenera z wnętrza przedpokoju. – Wejdźcie, zapraszam.

– Zły dzień? – Janek wskazał kciukiem na schody, po których zbiegł na dół Ignacy.

– Boże, chroń przed młodszym rodzeństwem. – Konrad westchnął. Helenie nie umknęło, że aktor był osowiały i wprawdzie uśmiechnął się na widok gości uprzejmie, lecz wymuszenie. Dziewczyna zaczęła zastanawiać się, czy pomimo zaproszenia nie przyszli jednak nie w porę.

Mieszkanie zrobiło wrażenie na całej czwórce. Przyzwyczajeni do ciężkich w formie, misternie zdobionych mebli, przeważnie dziedziczonych po przodkach, z zachwytem zerkali na nowoczesne wnętrza, stylowe kanapy i donice z kwiatami. Hela zapuściła żurawia do kuchni, gdy Konrad ją poprosił, by pomogła mu przynieść ciasto i lemoniadę. Ujednoliconą zabudowę, obstalowaną nad szafką zlewozmywak i kuchnia gazowa od razu ją zachwyciły. Nowoczesność, jaką widuje się jedynie w katalogach.

– Może pani wziąć dzbanek? – poprosił Konrad. – Obezwładniający upał, więc z przyjemnością orzeźwimy się wszyscy. Ruszam się dzisiaj jak mucha w smole.

– Z pewnością nie jest tak źle – uśmiechnęła się dziewczyna. – Natomiast pański brat pędził, jakby się paliło. Takim go jeszcze nie widziałam. Zdecydowanie lepiej pamiętam go jako nadąsaną figurę, siedzącą bez ruchu na tylnym siedzeniu samochodu. Wszystko z nim w porządku?

– Jest ostatnio bardzo niespokojny, wręcz nie umiem nad nim zapanować. Rozmawiać także nie chce, choć próbowałem pytać, jak mu pomóc. To, że wpadł w jakieś kłopoty, wydaje mi się oczywiste. Nie wiem, z kim się zadaje, gdzie włóczy. Dopóki trwał rok szkolny, wiedziałem przynajmniej, gdzie się podziewa w czasie godzin lekcyjnych, a nawet odbierałem go po nich. W tym jednym mnie słuchał, może dla wygody, a może zwyczajnie lubi jazdę samochodem? Teraz trwają wakacje, a on przepada na długie godziny. Przedwczoraj nie wrócił na noc. Próbowałem dowiedzieć się, co

takiego się wydarzyło, ale nic nie chciał mówić, choć widać było, że jest cały roztrzęsiony. – Konrad mówił szybko, jakby potrzebował się zwierzyć. – A teraz jeszcze ten list. Nie mogę zataić jego treści przed Ignacym, lecz potwornie obawiam się jego reakcji – dodał, po czym zwiesił smętnie głowę.

– List? Jaki list? – zapytała cicho Helena.

Werner wyjął z kieszeni złożoną na dwoje kartkę i bez słowa podał Helenie, która w pierwszej chwili się zawahała. Czytanie cudzej korespondencji nie mieściło się jej w głowie, lecz intencje gospodarza nie pozostawiały wątpliwości. List okazał się urzędowym pismem opatrzonym czerwoną pieczęcią. Helena szybko przebiegła jego treść. Przytknęła dłoń do ust i dla pewności przeczytała lakoniczną informację ponownie. Odłożyła list na kuchenny stół.

– Och, tak bardzo mi przykro! – powiedziała, czując, że do oczu napływają jej łzy.

– Od dawna przeczuwałem, że tak to się skończy. Nie miałem wieści od ojca i macochy od wielu miesięcy. Nikt nie potrafił ich odnaleźć. – Konradowi załamał się głos.

– Klara to, jak rozumiem, matka Ignacego? – zapytała cicho Helena.

– Tak. Nigdy nie traktowała go zbyt serdecznie. Właściwie nawet nie jestem pewien, czy w ogóle kochała. Od najmłodszych lat tułał się po placówkach wychowawczych jak podrzutek. Ojciec też zbyt wielu uczuć dla niego nie miał. Ale to jednak rodzice. A teraz...

– Nie żyją. To straszne. Ogromnie współczuję. I świetnie pojmuję, że właściwie nie wiadomo, jak przekazać te tragiczne wieści tak pogniewanemu ze światem wyrostkowi – dodała ze smutkiem. – Panie Konradzie – zreflektowała się po chwili – przecież pan jest w żałobie. Cała nasza gromada jest tu w tej chwili nie na miejscu. Gdy telefonowałam wczoraj, już otrzymał pan ten list?

– Tak, przyszedł z poranną pocztą – potwierdził Konrad.

– Dlaczego więc nie wymówił się pan z przyjęcia gości?

– Ponieważ ostatnim, na co mam teraz ochotę, panno Heleno, jest samotność.

– To zrozumiałe – odparła łagodnie – jednak w takich sytuacjach najbezpieczniej otaczać się najbliższymi. Czy pani Ida wyjechała na lato? Boże, przepraszam, to zupełnie nie moja sprawa. Proszę nie odpowiadać! –

Helena spłoniła się jak piwonia, jednocześnie marząc o tym, by zapaść się ze wstydu pod ziemię.

– Jednak odpowiem – uśmiechnął się Konrad. – Cały ten rzekomy *romance* – ostatnie słowo wymówił z francuska – to wyłącznie wymysł prasy brukowej. Ida wprawdzie żyje na kocią łapę, ale nie ze mną, tylko z pewnym pułkownikiem, który na co dzień pręży mięśnie w naszej dzielnej armii i udaje, że jest poprawnym małżonkiem. A mnie zwyczajnie nie interesuje, co o mnie piszą.

– Mimo wszystko nie powinnam wygłaszać podobnych kwestii – odparła Helena.

– Kwestii? Zupełnie jakbyśmy byli na planie filmowym albo w teatrze – zauważył Werner. – Rzeczywiście, nie ma co strzepić języka. Zadzwoiła panna wczoraj, a dla mnie to było prawie jak wybawienie z otchłani rozpaczy. I rad jestem gościć tych młodych ludzi. Wspomniała pani, że Poldek ma jakąś prośbę. Z uwagą wysłucham.

– Ogromnie za to dziękuję – powiedziała, odgarniając przepocony kosmyk włosów.

– Ten Poldek, miły chłopak, temu nie przeczę, ale czy jesteś pewna, że właśnie ten jedyny? – zapytał Konrad, znienacka zwracając się do Heli po imieniu. Jego głos wybrzmiał uczuciem, a może jedynie ów ton podyktowała troska?

– Jestem pewna – odparła z mocą i spojrzała Wernerowi poważnie w oczy.

– Chodźmy więc do reszty gości. Z pewnością są bardzo spragnieni w tym nieszczęsnym upale. – Konrad wziął z blatu srebrną tacę ze szklankami i puścił Helenę przodem. – Cokolwiek chcesz u mnie zjednać dla chłopaka, zgadzam się od razu.

W salonie Wenera zapanowało ożywienie, gdy Konrad ogłosił, że znajdzie dla Poldka zatrudnienie w filmie. Helena pisnęła z radości, pokraśniały Poldek objął ją ramieniem, a Basia zaczęła mu gratulować. Janek spojrzał z wdzięcznością na Wenera i lekko skinął głową.

– Dla ciebie też, młodzieńcze, znajdzie się rola. Masz niezwykle filmową urodę – oświadczył znienacka Konrad, przepijając lemoniadą do Janka.

Janek zmieszał się i oddał toast. Nigdy nie myślał o zagranii w filmie, ale słowa słynnego aktora bardzo mu schlebiły.

Ignacy wybiegł z mieszkania i choć zrobiło mu się wstyd, że potracił pannę na schodach, zwyczajnie nie mógł się zatrzymać. Za ledwie kilka minut wcześniej odebrał telefon. Miał szczęście. Konrad brał prysznic, próbując schłodzić się choć trochę przed wizytą gości, więc nawet nie usłyszał dzwonka. To pomogło uniknąć kłopotliwych pytań.

– Halo? – zapytał.

– Czy rozmawiam z Ignacym? – zapytał obcy męski głos.

– Kto mówi? – odparł chłopak, wciąż rozdrażniony ostatnimi wydarzeniami na ognisku.

– Przyjaciel. Czekam za godzinę na działkach za klasztorem jezuitów. Będzie ze mną pewna panna, którą znasz, ale chwilowo nie może się przywitać, bo ma zakneblowaną śliczną buźkę. Szkoda. Tak uroczo zabawialiście się w lesie. Muszę przyznać, że ten romantyczny poblask ogniska potrafi zawrócić w głowie – zarechotał rozmówca.

– Czego ode mnie chcesz? – krzyknął w panice Ignacy.

– Właściwie niczego specjalnego. Wypełnienia obietnicy, którą złożyłeś przed braćmi spod znaku Falangi.

Ignacemu zadrżała broda. Nie musiał już o nic pytać tajemniczego rozmówcy. Tamten więził Alinę i gotów był ją wymienić za konkretną przysługę. Czy to Tadeusz zlecił całą tę sprawę? Ten wariant wydał mu się niezbyt prawdopodobny. Do mieszkania Konrada musiał zadzwonić Docent, człowiek, który pojawił się nie wiadomo skąd i z miejsca ogłosił się przywódcą.

Polna droga prowadząca do działek pracowniczych i przedsiębiorstwa rolniczego wiodła tuż obok zasypywanej właśnie glinianki i terenu wytyczonego pod zabudowania Politechniki. Wokół cykały świerszcze, żarłał się z nieba, a spod stóp Ignacego wzbijał się piasek. Na tych peryferiach zwyczajnie traciło się poczucie, że człowiek wciąż jest w Warszawie. Na teren upraw Ignacy dotarł punktualnie. Stał, bacznie rozglądając się ponad krzakami pomidorów. Był nieco dezorientowany, gdyż rozmówca nie wyznaczył mu konkretnego miejsca spotkania, więc pozostawało jedynie czekać cierpliwie, aż sam się ujawni. W oddali rozległ się grzmot nadchodzącej burzy, kolejnej tego niespokojnego lata.

– Jest tu kto? – zapytał w końcu, gdy przez następne minuty nic się nie wydarzyło. – Halo? Alina? Niech ktoś się odezwie!

Jedyną odpowiedzią było wyładowanie atmosferyczne. Liśćmi zakołysał gwałtowny wiatr, przynosząc ukojenie od koszmarnego upału. Ignacy kompletnie nie zwracał na to uwagi. Nawet nie otarł czoła, gdy pierwsze, wielkie jak groch i ciepłe krople deszczu posypały się z nieba jako zwiastun potężnej ulewy.

– Alina! – wrzasnęła Ignacy, rozgarniając w panice zarośla i brnąc na oślep w kurzu unoszonym przez porywisty wiatr.

Nagle potknął się i przewrócił. Momentalnie poderwał się na nogi, gdy zobaczył skrępowane, zakneblowane ciało.

– Alina? – zapytał niepewnie, po czym rzucił się na ziemię i zaczął zdierać z twarzy dziewczyny szmatę, którą ktoś zakneblował jej usta. Ignorując wybałuszone, z pewnością od paru godzin martwe oczy, zaczął potrząsać dziewczyną za ramiona, chcąc obudzić ją ze snu.

W tej samej chwili otworzyły się niebiosy, zalewając Mokotów istnym potopem. Ignacy otarł mokrym rękawem twarz. Brnąc przez coraz bardziej grząski teren, wydostał się z gospodarstwa rolnego. Dysząc w panice, ze łzami w oczach dopadł do podwórza, lecz przypomniał sobie, że brat przyjmuje gości. Zamiast iść na górę, zszedł do piwnicy. Przytulił policzek do drewnianej kraty i zastygł w bezruchu.

Ignacy nie miał pojęcia, ile czasu spędził, siedząc na dole schodów. Burza dawno przeszła, na zewnątrz ponownie zrobiło się gorąco, lecz on trząsał się z zimna.

– Dziękuję ci. Z pewnością zapamiętam tę przysługę i odwdzięczę się zawiązką – rozległ się tuż nad głową chłopaka dźwięczny, dziewczęcy głos. – Bądź zdrow, Konradzie. I jeśli tylko będziesz potrzebował mojej pomocy, zawsze jestem. Ja i moja rodzina.

– Dziękuję, Heleno – odparł Konrad.

Ignacy parsknął z pogardą. Od kiedy to panna Helena i jego brat są po imieniu? I co miała znaczyć ta gadka o pomocy od jej rodziny? Żydzi stali się tak bezczelni, że chodzili po mieszkaniach i szukali współpracy z porządnymi ludźmi? Nie mieściło mu się w głowie, że jego starszy brat, potomek szlacheckiego rodu, wielki aktor, a jednocześnie człowiek spokrewniony z nim i jego matką pochodzącą z niemieckiego

arystokratycznego rodu, ot tak spoufala się ze zwykłą, nawet niespecjalnie urodziwą dziewczuchą z gminu i z korzeniami żydowskimi.

Na schodach zadudniły kroki. Ignacy przytulił się mocniej do drewnianej kraty, z premedytacją raniąc sobie policzek o szorstką powierzchnię.

– Właściwie to poczekajcie chwilę! – rozległ się w podziemiach bloku spotęgowany echem głos Konrada. – Wezmę kluczyki i was odwiezę.

Ignacy nie wierzył własnemu szczęściu. Mógł bez żadnych pytań po prostu wrócić do mieszkania. Miał plan, choć ten dopiero zaczynał się układać mu w głowie. Zamierzał odnaleźć skrytki z pieniędzmi Konrada, zebrać je skrzącnie w pliki i wyjechać z Polski. Wszystko było lepsze od stania w martwym punkcie.

W mieszkaniu zastał duchotę, więc otworzył okno balkonowe. Na stole w salonie zostały szklanki i talerze, lecz pobieżny rzut oka wyjaśnił Ignacemu, że w mieszkaniu nie odbyła się żadna libacja, a Konrad, kompletnie trzeźwy, zapewne odwiezie swoich gości i zaraz wróci. Należało więc się pospieszyć. Ignacy spakował parę książek, większość ubrań i mydło. Pomyślał, że zanim odnajdzie zachomikowane pieniądze, pójdzie do kuchni i zgarnie coś do jedzenia. Lepiej być przygotowanym na najgorsze.

Wszedł do przestronnej kuchni, w której od jakiegoś czasu jadał śniadania przyszykowane ręką gosposi. Jej troska tak dalece różniła się od wspomnień, jakie miał związane z matką, że aż trudno było uwierzyć, że Klara Werner faktycznie kiedykolwiek choćby próbowała udawać rodzicielkę. Poczawszy pragnienie, Ignacy nalał sobie wody z kranu i pijąc łąpczywie, stanął przy kuchennym stole. Tuż za solniczką leżała porzucona kartka. Odruchowo podniósł ją i skamieniał po przeczytaniu rozrywającej serce obcesowej wiadomości o śmierci rodziców. Cisnął zgnieciony w furii papier na kuchenną podłogę i poszedł do swojego pokoju. Rzucił się na łóżko i zaczął płakać.

Gdy ponownie zadzwonił telefon, Ignacy odebrał go z ociąganiem.

– Halo? – zapytał drżącym głosem.

– Jutro rano zaczynamy akcję. Czekaj pod bombą o dziesiątej rano. Czas wykorzystać zamieszanie. Jeśli masz radio, to lepiej je włącz, przyjacielu – powiedział rozmówca.

– Zabiłeś ją! – krzyknął do słuchawki Ignacy. – Nic dla ciebie nie zrobię, nie jestem głupi!

– Jeśli nie zjawisz się w wyznaczonym miejscu, następnym, który zginie, będzie twój brat. A później ty – oświadczył mężczyzna i przerwał połączenie.

Ignacy wiedział, że tamten nie blefuje, a martwa Alina stanowiła najlepszy tego dowód. Poczł się strasznie, uświadamiając sobie, że jej śmierć sprowadzała się w gruncie rzeczy do wiadomości dla niego. Czy raczej przesłania, żeby nie zadzierać z tym, kto ją zamordował. Kim trzeba być, żeby zakończyć życie młodej dziewczyny z takiego powodu?

Róża triumfowała. Patrzyła z zadowoleniem na Docenta leżącego przy jej boku na podwójnym łóżku w pokoju hotelowym. Dla bezpieczeństwa zatrzymali się tu na kilka dni, żeby nie spalić własnych mieszkań, które miały stanowić bezpieczne kryjówki po akcji. Nierozsądnie byłoby ryzykować wpadkę, jeśli ktoś ich obecnie obserwuje. Ich rola podwójnych agentów właśnie miała się ku końcowi.

Plan przygotowali z największą starannością. Nie istniała właściwie możliwość, żeby się nie powiódł. Czekali jedynie na jakieś głośne wydarzenie, które odwróci uwagę mediów. Resztę mieli przygotowaną w szczegółach. Zadbali nawet o wiarygodne alibi na wypadek wpadki po zamachu.

Róża, zaopatrzona przez braci narodowców w fałszywe dokumenty, zatrudniła się prawie dwa lata wcześniej w szpitalu, skutecznie udając Żydówkę. Zawsze miała talent aktorski, a teraz rozwinęła go ogromnie. Wraz z Docentem zgromadzili wokół siebie grupę socjalistycznych narwańców z ideałami miłości i równości. Głupcy z otumanionymi mózgami, ale w razie czego zaświadczą, że Róża nie może mieć nic wspólnego z Falangą, przecież wykazuje sympatie socjalistyczne. W trosce o swój wizerunek pozyskała nawet do fikcyjnej grupy kuzynkę doktora Michała Gutmana. W razie wpadki powinna zaświadczyć, że Róża z pewnością nie miała nic wspólnego z zamachem, a autorytet doktora byłby bezcenny.

Niestety, w tym jednym Róża się przeliczyła. Helena okazała się bardziej bystra, niż się wydawało. Zadawała zbyt wiele pytań, przyglądała się członkom fikcyjnej grupy, jakby próbowała ich przeświecić na wylot. Na

szczęście próba dyskretnego pozbycia się dziewczyny okazała się nader łatwa. Wystarczyło poudawać zainteresowanie tym jej szewczykiem czy innym czeladnikiem z Solca. Wszystkie dziewczęta w wieku Heleny są tak samo naiwne i emocjonalne. Róża wiedziała, że dziewczyna poczuje zagrożenie i więcej obydwój z Poldkiem nie pojawią się na spotkaniu. Co nadal nie zmieniało faktu, że Helena uważała, iż odejście z grupy było jej decyzją, i jeśli zajdzie potrzeba, poświadczy sympatie polityczne Róży przed policją.

Rozegranie sprawy z Aliną, głupią gęsią pełną brawury, też okazało się dziecinnie proste. Wystarczyło jej podsunąć myśl, żeby rozkochała w sobie tego małego bogatego gnojka z aktorskiej rodziny i podpuściła go, żeby zgłosił się do akcji. Wprawdzie Ignacy miał dobre, arystokratyczne pochodzenie, jednak nadal był tylko głupim dzieciakiem, idealnym kandydatem na zamachowca. A jak wiadomo, rewolucja zjada swoje własne dzieci.

Wszystko zostało zaplanowane perfekcyjnie, więc uda się z pewnością. Mimo to Róża nie mogła usnąć. Zazdrościła Docentowi, który chrapał od kilku godzin. Wyplątała się ostrożnie z jego objęć i wstała z łóżka. Zapaliwszy papierosa, podeszła do okna. Niebo zaczynało już jaśnieć, wkrótce miał nadejść świt.

ROZDZIAŁ 16

Jeszcze nie ucichły pogłoski po katastrofie samolotu, którym leciał do Gdyni generał dywizji Gustaw Orlicz-Dreszer, a już pojawiła się kolejna sensacja. W niedzielny poranek Warszawa mówiła wyłącznie na jeden temat. W Hiszpanii właśnie rozpętała się wojna domowa. Podobne wiadomości zawsze wstrząsały mieszkańcami, lecz teraz emocjonowano się podwójnie. Spodziewano się, że Hiszpania stanie się teatrem walk pomiędzy faszystami wspieranymi przez Hitlera a republikanami.

Tymczasem w kamienicy Malinowskich trwało niezwykle ożywienie. Sprowadzono nawet kelnera, który miał wspierać podkuchenną Gienię w obsłudze gości. Choć dom wciąż był objęty żałobą, a ciotka Maria na początku sarkała na plan zaproszenia Melnerów, w końcu przyznała, że to bardzo dobry pomysł. Osobiście dopilnowała, żeby dania zaplanowane na dzisiejszy obiad były pierwszorzędnej jakości. Malinowski wykosztował się na drogie alkohole, a z cukierni Bliklego przyniesiono już zamówione ciastka i torty. Kiedy trzeba było się pokazać, Apoloniusz potrafił sięgnąć głębiej do kieszeni.

– Myślę sobie, drogi Apoloniuszu, że wpierw podamy zupę, a dopiero potem zakąski, przed daniem głównym. Zastanowiłeś się już, jak usadzić gości? – zapytała ciotka Maria.

– Jakkolwiek sobie życzysz, moja droga – odparł uprzejmie Malinowski, nie wystawiając nosa spoza płachty gazety. Z zapalem czytał najnowsze doniesienia o wybuchu powstania pod dowództwem hiszpańskiego nacjonalisty, generała Franco.

Jak się wnet okazało, temat Hiszpanii zdominował większą część przyjęcia. Niepomni próśb pań, zarówno Malinowski, jak i Melner wciąż powracali do tej sprawy. I trudno było się dziwić. Każdy w przebiegu wydarzeń hiszpańskich upatrywał przyszłego scenariusza dla całej Europy, w tym także Polski.

– Powiem ci, Apoloniuszu, że nic dobrego z tego nie będzie – oświadczył Melner. – Z Hiszpanii wojna rozleje się na cały świat, i to już wkrótce.

– Matko Boska! – przeżegnała się trwożliwie Teresa Melner. – January, bój się Boga, dzieci słuchają...

– Niech słuchają, bo to o ich przyszłość chodzi – odparł twardo Melner. – Nim się obejrzymy, oni będą bronić wolności kraju.

– A wystarczyłoby po prostu, żeby ludzie żyli w zgodzie – mruknął pod nosem Janek. Nikt z dorosłych nie dosłyszał, jedynie Paulina obrzuciła go baczny spojrzeniem.

– Ech, napijmy się lepiej – wtrącił Apoloniusz. Podobnie jak January, był gorącym patriotą i za Polskę bez wahania znów poszedłby w bój, lecz dobrze pamiętał koszmar wojny polsko-bolszewickiej i zdecydowanie nie takich doświadczeń chciał dla swoich synów. Melnerowi łatwo było mówić, bo miał tylko dwie córki. Im raczej nie groziły trudy frontowych walk, jeśli dojdzie do najgorszego.

Poldek spoglądał spode łba na Paulinę. Usadzono ją tuż obok niego, co już samo w sobie ogromnie go irytowało. Choć dziewczyna wydawała się miła, coś go od niej odrzucało na kilometr. Miał wrażenie, że gdyby była ostatnią kobietą na ziemi, wolałby zostać mnichem, niż się z nią związać. Tym mocniej przerażały go plany matrymonialne ojca. Jediną nadzieją w tej chwili był Konrad Werner. Zabawne, że człowiek, którego wcześniej miał za największego rywala, nieoczekiwanie stał się dla niego nadzieją na przyszłość u boku Heleny. Poldek szczerze wierzył, że po zdobyciu roli w filmie zabezpieczy finansowo siebie i dziewczynę, a później odejdzie od ojca, by nigdy nie wrócić.

– Czy mogę prosić o dolewkę kompotu? – Krysia zwróciła się do Poldka.

– Służę uprzejmie – odparł z uśmiechem. Z całej rodziny Melnerów jedynie ją polubił od pierwszego wejrzenia. Trzynastoletnia dziewczynka miała słodką twarzyczkę, wielkie, jakby wiecznie zdumione oczy i włosy zaplecione w dwa warkoczyki.

– Mario, wyśmienita sztufada – pochwaliła Melnerowa. – Będę zobowiązana, jeśli zechcesz podzielić się przepisem.

Poldek z trudem stłumił westchnienie. Zerknął na zegar. Dochodziła dopiero druga po południu, więc prędko się nie zmyją razem z Jankiem. Hela z Basią postanowiły spędzić dzień na plaży, a oni obiecali, że wyrwą

się z przyjęcia, gdy tylko będzie to możliwe. Obaj bracia Malinowscy siedzieli przy stole jak na szpilkach.

Józef Małecki nie uległ prośbom córki, żeby wybrać się wraz z nią i Basią na nadwiślańską plażę. Choć upał znacznie zelżał po kilku kolejnych burzach, jakie przetoczyły się w nocy nad miastem, nadal nie uważał za przyjemność smażenia się w słońcu na wszędobylskim piasku. Niech sobie młodzi tam przesiadują, on wolał pójść do Ogrodu Saskiego, by w cieniu drzew poczytać sobie któregoś z klasyków filozofii antycznej.

– W Sopocie chadza ojciec na plażę bez protestu, a nawet z własnej woli – skomentowała przekornie Helena.

– Sopot to Sopot, Warszawa to Warszawa – skwitował enigmatycznie antykwariusz.

Helena wiedziała, co ma na myśli ojciec. Co jego zdaniem uchodziło w nadmorskim uzdrowisku, niekoniecznie wypadało robić w rodzinnym mieście.

– W takim razie my z Basią już pójdziemy – odparła z uśmiechem. – Życzę ojcu miłego spaceru! Obiad zostawiłam w spizarce.

– Nie wróćcie na posiłek? – zdziwił się Małecki.

– Wzięłyśmy wałówkę, żeby posiedzieć dłużej. Będziemy udawać, że mamy prawdziwe wakacje.

Po południu ulice Śródmieścia wyglądały na wymarłe. Kto mógł, wyjeżdżał na niedzielę, by odwiedzić rodziny na letniskach, reszta spędzała dzień nad Wisłą albo w którymś z licznych parków miejskich. Ogromną popularnością cieszyły się także niedzielne wycieczki parowcami rzecznyymi do Młocin albo dalsze rejsy statkami salonowymi aż do Torunia i Gdyni czy w drugą stronę – do Sandomierza albo Krakowa.

– Piękny dzień – powiedziała Basia, poprawiając na ramieniu torbę plażową. – I wreszcie wolny.

– Dużo masz pracy? – zapytała Helena.

– Dużo – potwierdziła z westchnieniem przyjaciółka. – Ale uczciwie płacą, więc nie mam co narzekać.

– Przejdźmy na drugą stronę – poprosiła Helena, gdy skręciły w Chmielną. – Za gorąco mi w pełnym słońcu, a tam jest cień.

Przy jej jasnej karnacji i ciemnych włosach długie przebywanie na słońcu groziło udarem. Na plaży też często chroniła się pod parasolem lub w cieniu nadrzecznych krzewów.

– Już nie mogę się doczekać, aż nasi chłopcy uwolnią się spod tyranii Malinowskiego – rozmarzyła się Basia.

– Rzeczywiście jest taki okropny? – zapytała Helena. – Spotkałam go tylko raz i faktycznie nie zrobił dobrego wrażenia. – Na wspomnienie sceny, gdy Apoloniusz Malinowski wyprosił ją z pokoju chorego Poldka, dziewczyna zaczerwieniła się z zażenowania.

– Wiesz, na pewno jest uparty i surowy, ale czy zły? Tego nie potrafię powiedzieć. Moim zdaniem znacznie gorsza jest ta ich ciotka. Za każdym razem, gdy mijałam ją w podwórzu, jej oczy zwięzały się w takie gadzie szparki. Okropna, odpychająca sekutnica – parsknęła śmiechem Basia.

Helena nie odpowiedziała. Zamiast tego chwyciła Basię za rękaw i przyciągnęła do siebie. Obie przywarły do ściany, porażone sceną, która nagle rozegrała się na ich oczach.

Do idącego środkiem chodnika mężczyzny podbiegł jakiś chłopak. Znacznie młodszy, lecz równy mu wzrostem. Helena rozpoznała Ignacego.

– Boże – szepnęła ze zgrozą, gdy ujrzała, że młodszy brat Konrada wyciąga nóż i podchodzi bliżej.

Chłopak zawahał się, co nie umknęło uwagi ofiary. Mężczyzna już miał rzucić się do ucieczki, gdy z tyłu zaszła go kobieta, a z drugiej strony nadbiegł kolejny napastnik, w chustce nasuniętej na twarz. Kobieta popchnęła mężczyznę, a zamaskowany osobnik zadał mu kilka ciosów nożem w klatkę piersiową. Napadnięty człowiek bezgłośnie osunął się na ziemię.

Ignacy stał w tym czasie bez ruchu, z opuszczonym nożem. Nawet ze swojego miejsca Helena widziała, że wyrostek jest przeraźliwie błydy i trzęsie mu się broda.

– Zdrajca! – wrzasnęła kobieta do Ignacego, po czym jednym zdecydowanym ruchem wbiła mu nóż w brzuch. Młody chłopak zgiął się wpół i opadł na kolana.

Helena wydała mimowolny okrzyk. Próbowała stłumić go dłonią, lecz było za późno. Tamta usłyszała i spojrzała wprost na nią. Helena rozpoznała Różę. Jej wykrzywiona złością twarz, tak inna od tej, którą dotychczas widywała, wzbudziła w dziewczynie przerażenie. Stała jak sparaliżowana.

– Pospiesz się! – wrzasnął na nią zamaskowany napastnik. – Musimy wiać! Ktoś się zbliża.

Róża postąpiła krok w stronę Heleny, lecz zatrzymała się, niezdecydowana, co zrobić.

– Rusz się, bo wpadniemy! – ponaglił ją mężczyzna. W tej samej chwili Helena poznała go po głosie. Zbyt wiele razy go słyszała, gdy wygłaszał pełne pasji przemówienia na spotkaniach grupy. Docent. Heli nie mieściło się to w głowie, lecz dwoje ludzi, wobec których odczuwała szacunek, właśnie napadło z nożem na bezbronny człowieka. A później Róża, na co dzień ratująca ludzkie życie w szpitalu, bez wahania ugodziła Ignacego.

Róża usłyszała stukot kół dorożki. Otrzeźwiło ją to na tyle, że zerwała się do ucieczki. Gdy obydwójce z Docentem zniknęli za rogiem Nowego Świata, Helena odzyskała władzę w nogach i względną trzeźwość myślenia. Nie wahając się nawet chwili, podbiegła do rannego chłopaka. Dorożka, która spłoszyła napastników, musiała gdzieś się zatrzymać, bo stukot ucichł.

– Ignacy! Żyjesz? Powiedz coś! – nalegała natarczywie, potrząsając go za ramię.

Pobieżny rzut oka na obcego mężczyznę utwierdził ją w przekonaniu, że już skonał. Miał zamknięte oczy i nienaturalnie bladą, jakby woskową twarz. Kogoś jej przypominał, lecz nie zaprzętała sobie tym głowy.

– Basia, bierzemy go! – zakomenderowała, chwytając Ignacego pod ramię.

– Dokąd? – zapytała rzeczowo, podtrzymując Ignacego z drugiej strony.

– Do Michała – zadecydowała natychmiast.

Jakimś cudem udało im się dowlec rannego chłopaka do postoju taksówek. Gdy wsiadły do samochodu, Basia wyciągnęła z torby ręcznik plażowy. Uciskała nim ranę tracącego przytomność chłopca.

– Do szpitala na Czyste, tylko szybko! – powiedziała Helena do taksówkarza. – Zapłacę podwójnie.

Na mieście panował niewielki ruch, więc na miejsce dotarli w rekordowo krótkim czasie. Helena zapłaciła taksówkarzowi podwójną stawkę, a po chwili dorzuciła jeszcze całe dwa złote.

– Za Warszawą byłem, jedną jejmość do Otwocka wieźłem – oświadczył taksówkarz. – Tak będę gadał, jeśli kto będzie ciekaw, proszę sianowej pani.

– Dziękuję panu bardzo – odparła z powagą Helena. – Idziemy! – rzuciła do Basi.

Ignacy stracił przytomność, więc do szpitala prawie go niosły, a on powłóczył nogami po chodniku. Helena była niemal pewna, że chłopak wykrwawi się na śmierć. Zerknęła na ręcznik, który Basia nadal dociskała do rany. Nasiąkł już prawie cały.

– Mam rannego! Pomocy! – wrzasnęła Hela, gdy tylko udało im się sforsować drzwi szpitala.

Kilka osób z personelu przybiegło natychmiast. Jacyś sanitariusze wyłuskali Ignacego z podtrzymujących go ramion dziewczyn i położyli ostrożnie na nosze.

– Helena?

Odwróciła się. Tuż za nią stał Michał. Patrzył na kuzynkę z niepokojem. Dopiero teraz zorientowała się, że obydwie z Basią mają ręce uwalane krwią.

– Nam nic nie jest. On – wskazała brodą na leżącego Ignacego.

– Zajmiemy się nim. Siostró Marto, proszę zaprowadzić panie do mojego gabinetu i pozwolić się umyć. Mają tam na mnie czekać! – rzucił do jednej z pielęgniarek, po czym nie oglądając się za siebie, pobiegł za noszami z rannym. – Prosto na salę operacyjną! – poinstruował sanitariuszy.

Helena z Basią pozwoliły się zaprowadzić do gabinetu doktora Gutmana. Dopiero tu, gdy już zmyły krew z rąk i z grubsza zaprały plamy na sukienkach, poczuły, że uginają się pod nimi nogi. Basia przysiadła na krześle, zaczęła trząść się z zimna, choć na zewnątrz wciąż trwał słoneczny, ciepły dzień. Helena poczuła, że również szczyka zębami.

– To z nerwów – wyjaśniła łagodnie pielęgniarka. – Nie wiem, w jaką się wpakowałyście kabałę, ale na pewno nie było to nic miłego. Zostańcie tu i czekajcie na pana doktora. Zrobię wam herbaty.

Wyszła z pomieszczenia, zamykając za sobą cicho drzwi.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, co właściwie się wydarzyło? – wyszeptała Basia. Miała nienaturalnie rozszerzone źrenice i na pierwszy rzut oka było widać, że znosi tę sytuację znacznie gorzej od przyjaciółki.

Helena spojrzała na nią z uwagą. Że też nie pomyślała o tym wcześniej. Koszmarne zajście musiało przypomnieć jej z pełną mocą śmierć siostry. Przecież Stasia zginęła pchnięta nożem przez młodocianego bandziora z Czerniakowa.

– Nie zrobiliśmy nic złego – szepnęła uspokajająco. – Widziałaś sama, że chłopak nie zranił tamtego mężczyzny. Może początkowo miał złe zamiary, ale ostatecznie się powstrzymał. Jest niewinny. A my, przywoząc go tutaj, być może uratowałyśmy mu życie. Postąpiliśmy słusznie – tłumaczyła łagodnie.

Basia pokiwała głową, lecz nadal nie potrafiła opanować się na tyle, żeby przestać trząść się na całym ciele. Wróciła pielęgniarka z dwoma szklankami herbaty.

– Siostrzyczko, czy koleżanka mogłaby dostać coś na uspokojenie? – poprosiła Hela. – Wydaje mi się, że to dla niej było za dużo wrażeń.

Pielęgniarka przyjrzała się uważnie Basi. Podeszła bliżej i chwyciła ją za brodę, podnosząc głowę.

– Zabieram pannę na oddział – oświadczyła. – To może być jakiś stupor po doznanych wstrząsach. Nie powinno się tego lekceważyć. Jak wróci doktor Gutman, proszę mu przekazać moją decyzję – zwróciła się do Heleny, jednocześnie opasując ostrożnie ramieniem Basię.

Helena została w gabinecie sama. Najchętniej zwiłaby do domu, ale prośba Michała wykluczała rejteradę. Zamiast tego przysiadła na blacie biurka i od niechcienia zaczęła spoglądać na stojące na nim zdjęcia w ramkach. Niektóre w prostych, inne w misternie rzeźbionych i posrebrzanych. Na kilku rozpoznała młodą ciotkę Sarę. Ani jednego portretu ojca czy dziadka.

Tuż obok zdjęć stał czarny, bakelitowy aparat telefoniczny. Helena pod wpływem impulsu podniosła słuchawkę i poczekawszy na ciągły sygnał świadczący o tym, że sieć jest wolna, wykręciła numer mokotowskiego mieszkania Konrada. Krótki ciąg cyfr zapamiętała, oglądając jego elegancki aparat stojący na komódce w salonie. Miał wypisany numer na przedzie. Sygnał połączenia zadziałał poprawnie, więc Helena przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Dom pana Wenera – rozległ się służbisty głos gosposi.

– Mówi Helena Małecka, czy pan Konrad odbierze połączenie?

– Proszę poczekać.

Hela gotowa była rzucić słuchawkę na widełki, jednak po chwili usłyszała aksamitny baryton Wenera.

– Heleno! Jak miło, że dzwonisz – powiedział.

– Och, Konradzie... – zaczęła mówić, lecz głos uwiązł jej w gardle.

- Heleno! Czy coś się stało? – zapytał zaniepokojony.
- Konradzie, przyjedź bezzwłocznie do szpitala na Czystem – wyjaśniła Hela. – Operują twojego brata, został zraniony nożem. Niczego więcej w sprawie jego zdrowia nie wiem.
- Jezu. W co on znów się wplątał? Już jadę. Dziękuję, Heleno.

– Operacja przebiegła pomyślnie. Chłopcu nic nie grozi – powiedział Michał tuż po tym, jak uściśnął dłoń Wenera.

Hela zauważyła, że słynny aktor zrobił na jej kuzynie spore wrażenie. Konrad chyba tego nie dostrzegł albo był przyzwyczajony do podobnych reakcji. Pomyślała, że ludzie są dziwnym gatunkiem. Przecież to specjalistów takich jak Michał, ratujących ludzkie życie, powinni otaczać najwyższą czcią, a nie aktorów. Tymczasem nawet jej kuzyn patrzył z podziwem na Konrada.

– Bardzo dziękuję, panie doktorze – odparł Werner.

Usiedli we trójkę w gabinecie Michała. Heli nie umknęło, że Konrad miał zmęczoną, bladą twarz. Trudno było się temu dziwić. Dopiero co dowiedział się o śmierci ojca i macochy, a teraz jego brat, ostatni członek rodziny, walczył w szpitalu o życie.

– Cóż więc się wydarzyło? – Michał zwrócił się do Heleny.

– Może później to omówimy? – wtrącił Konrad.

– Spokojnie, Konradzie. Michał jest moim kuzynem, więc można mu ufać – wyjaśniła Hela.

Najspokojniej, jak tylko się dało, rzeczowo opowiedziała o całym zajściu. Konrad wpatrywał się w nią z rosnącym niedowierzaniem.

– Jeśli ten głupiec przeżyje, będę musiał go zabić za narażenie cię na takie niebezpieczeństwo! – powiedział z oburzeniem.

– Przecież byłam tam całkowitym przypadkiem. I szczęśliwie się złożyło. Ignacy mógłby się wykrwawić, zanim nadeszłaby pomoc – oponowała. Wiedziała, że Werner powiedział to pod wpływem silnego wzburzenia. W rzeczywistości bał się o brata. – Co dalej z tym zrobimy?

– Nie wiem. – Konrad kompulsywnie obracał na palcu złoty sygnet. – Powinienem mu dać nauczkę i oddać w ręce policji. Człowiek nie żyje! Ale

ostatecznie to nie Ignacy zadał cios, a do tego sam ucierpiał. W co wplątał się ten dureń?

– Zgłaszanie się na policję nie będzie rozsądne – wtrącił Michał. – Jeśli dowiedzą się o tym napastnicy, życie Heleny i jej przyjaciółki jako naocznych świadków będzie zagrożone. Niewykluczone, że już jest, ale jeśli wychylą się bardziej, być może sprowokują tamtych do działania.

– Może Ignacy... – zaczęła mówić Hela.

– Ignacy nie piśnie nawet słówka. Dobrze go znam – wszedł jej w słowo Werner.

– Tak czy inaczej, Róży i jej współnikowi nie może to ujsć na sucho – upierała się Helena.

– Nadal nie mogę pojąć, że ktoś z pracowników naszego szpitala był zdolny do takiej niegodziwości. Róża, jeśli rzeczywiście tak nazywa się ta dziewczyna, miała życie ratować, a nie odbierać. – Michał był wyraźnie poruszony udziałem pielęgniarki w zamachu.

– Mimo waszych obaw zamierzam zgłosić się na policję! – oświadczyła stanowczo Helena. – Niedługo jadę przecież do Sopotu, więc nikt mnie tam nie wyśledzi. Tylko co z Basią? Nie mogę jej ze sobą zabrać, dopiero zaczęła nową pracę, nie będzie stać jej na bilet i utrzymanie, a ja nie mam jak zapłacić – zmartwiła się.

– Pożyczę Basi stosowną sumę na wieczne nieoddanie – zaoferował Konrad. – Pieniądzy mam więcej, niż potrzebuję, więc z tym nie ma najmniejszego kłopotu.

– Jest zbyt dumna. Nie przyjmie – powiedziała Helena.

– Zatem pożyczę tobie, a Basia nie musi o niczym wiedzieć – oświadczył Konrad.

– Nie próbujesz mnie odwieść od pójścia na posterunek? – zdziwiła się.

– Jak mógłbym?

– Nie powiem nic o Ignacym – zastrzegła.

– Za poświadczenie nieprawdy można trafić za kratki – ostrzegł Michał.

– Co więc robić? Ma to ujsć zamachowcom na sucho? – załamała ręce dziewczyna. – Zabili człowieka!

– Jesteś pewna, że nie żył? – zapytał Werner.

– Dostał przynajmniej dwa ciosy – powiedziała Helena.

– To jeszcze nic nie znaczy. Wszystko zależy od miejsca zadania rany – wyjaśnił Michał.

– Pójdę tam i czegoś dowiem się od gapiów. Zawsze węszą jak hieny w miejscach, gdzie wydarzyło się coś sensacyjnego – zdecydował Konrad.

– Idę z tobą! – Helena poderwała się z miejsca. Żaden z mężczyzn nie zaprotestował.

Konrad zaparkował przy Pierackiego, więc na drugą stronę Nowego Świata, do rogu z Chmielną, przeszli pieszo. Na miejscu zastali sporą grupkę gapiów rozprawiających w najlepsze. Nieco dalej stali dwaj posterunkowi, obserwujący okolicę bez słowa. Jeśli Helena miała nadzieję, że uda im się podejść niezauważenie i wmieszać między ludzi, od razu zrozumiała, że z takim towarzyszem jest to zwyczajnie niemożliwe.

– Pan Werner! – ucieszył się jakiś facet. – Dasz pan autograf?

– Oczywiście – odparł uprzejmie Konrad. – Panie, a co tu się stało? – zagaik.

– Tego polityka socjalistę chcieli ubić. Wiesz pan, tego Staśka Krzemienieckiego. Straszna rzecz, panie. A to taki kławy gość, z sercem do ludzi zawsze...

– Zabić chcieli? – podchwycił Konrad.

– Nożami podziurawiony, ale jeszcze dychał, jak zabierali – potwierdził mężczyzna.

Helena poczuła, że ludzie wokół zaczynają się coraz bliżej przysuwać, a jej zaczęło brakować powietrza. Wszyscy zauważyli już słynnego aktora i chcieli obejrzeć go z bliska.

– Ludzie, nie tłoczcie się tak, na litość boską! – krzyknęła, zwracając tym na siebie uwagę paru osób.

Konrad osłonił dziewczynę ramieniem i próbował wydostać się z tłumu. Gapie rozstąpili się niechętnie. Dwaj posterunkowi, zwabieni zamieszaniem, podeszli bliżej.

– To ona! To ta morderczyni! Widziałam ją tutaj! – rozległ się kobiecy głos zza przeciwległego rogu ulicy Chmielnej.

Helena odwróciła się gwałtownie i dojrzała uciekającą w pośpiechu Różę. Jeden z policjantów wykonał ruch, jakby chciał pobic za nią, ale drugi powstrzymał go, przytrzymując za rękaw. Podeszli do Heleny i Konrada.

– Kim pani jest? – zapytał wyższy. – Czy to prawda?

– Chyba nie bierze pan poważnie oskarżeń kogoś, kto czmychnął jak pierwszy lepszy zajac i nawet nie chce wziąć odpowiedzialności za swoje słowa? – zachnął się Konrad.

– Dokumenty proszę. – Policjant zignorował go. Na nim znany aktor najwyraźniej nie robił wrażenia, bo nawet nie zaszczycił go spojrzeniem.

– Przecież to po prostu śmieszne! – oburzył się Werner.

– Śmieszne czy nie, sprawdzić trzeba. A świadek może zwyczajnie bać się zemsty, dlatego uciekł – dodał z przekonaniem niższy z policjantów.

Konrad jęknął w duchu. Wyjaśnienie było idiotyczne, ale też i posterunkowy nie wyglądał na specjalnie bystrego. Helena podała drugiemu z nich swoje dokumenty.

– Gdzie pani była w południe i później? – zapytał policjant.

– Byłam... – Hela zawahała się. Chciała odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że w szpitalu. Lecz węszący tam policjanci szybko natrafiliby na ślad Ignacego. – ...byłam u znajomego na obiedzie – wymyśliła naprędce.

– U jakiego znajomego?

– Panowie, czy to naprawdę konieczne? Przecież Helena jest całkowicie niewinna – perswadował Werner.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – powiedział policjant.

– U pana Malinowskiego na Solcu – wypaliła Helena pierwsze, co jej przyszło do głowy. Chwilę później zrozumiała, że popełniła największy błąd swojego życia. Ale było już za późno.

– Dobrze więc. Skoro tak, uda się tam panna z nami. Jeśli pan Malinowski potwierdzi te słowa, puścimy wolno – oświadczył wyższy z posterunkowych. – A pan może odejść. Tylko niepotrzebną sensację pan wzbudza – zwrócił się do Konrada.

Werner gorączkowo myślał, co robić. Spodziewał się, że policjanci poprowadzą Helenę w stronę Nowego Świata, lecz oni poszli w głąb Chmielnej. Dopiero teraz zauważył policyjny samochód zaparkowany nieco dalej. To mu dawało bezcenne sekundy przewagi.

– Z drogi! Z drogi! – krzyczał na ludzi ponownie próbujących go obstąpić.

Przebiegł przez Nowy Świat i dopadł do swojego samochodu. W ostatniej chwili zawahał się. Przecież czerwone torpedo natychmiast wzbudzi sensację na Solcu, a jemu zależało, żeby dostać się tam niezauważenie. Zamiast wsiąść do środka, rzucił się szaleńczym galopem w głąb ulicy. Minął pałacyk i zaczął zbiegać po stromym, trawiastym zboczu skarpy wiślanej. Dalej wiodła wydeptana ścieżka, którą, o czym Konrad nie wiedział, Poldek chodził na skróty pod górę do Heleny.

Werner intuicyjnie wybrał najkrótszą drogę. Miał niezłą kondycję, jednak zanim dopadł do podwórza mieszczącego kamienicę oraz pracownię Malinowskiego, solidnie się zasapał, więc oparł dłonie o kolana i oddychał ciężko. Chwilę później wbiegł na czwarte piętro kamienicy. Załomotał pięścią w drzwi, modląc się w duchu, żeby ktoś jak najszybciej otworzył. Na szczęście głuchy odgłos zelektryzował domowników, więc uchyliły się natychmiast. W szparze ujrzał zdumionego Poldka.

– Wołaj ojca! Szybko! – wydyszał Werner.

Chłopak usłuchał natychmiast. Apoloniusz Malinowski wyszedł na klatkę schodową. Oczywiście od razu rozpoznał aktora, więc uśmiechnął się od ucha do ucha, ewidentnie połączony, że ktoś tak znany odwiedza go w domu.

– Uszanowanie drogiemu panu! – powiedział uprzejmie. – Zapraszam do środka! Cóż szanownego pana do mnie sprowadza?

– Nie teraz – przerwał mu obcesowo Konrad. – Nie ma czasu! Zaraz przyjdzie tu panna Helena Małecka w towarzystwie dwóch posterunkowych. Niech pan potwierdzi, że spędziła tu popołudnie. Błagam pana. Nie czas tłumaczyć, ale dzięki temu nie pójdzie do aresztu całkiem niewinna osoba. Zapłacę, ile trzeba!

Apoloniusz patrzył ze zdumieniem na aktora.

– Oszalał pan – stwierdził odkrywczco. – Nawet nie znam tej panny. A pana też słabo.

– Ojczy! Błagam, zgódź się. Pan Konrad jest uczciwym człowiekiem. Znam go. Pannę Helenę też znam. A nawet kocham! – wyznał pod wpływem emocji Poldek. Poniewczasie zrozumiał, że palnął straszną głupotę.

Oczy Malinowskiego zwężyły się w szparki. Szybko kalkulował w głowie, co powinien zrobić.

– Błagam, panie Apoloniuszu, niech pan uratuje dziewczynę. Tylko pana szlachetność może pomóc niewinnej. – Konrad postanowił użyć pochlebstwa. – Zapłacę, ile pan zechce – ponowił ofertę.

– Nie potrzeba mi pańskich pieniędzy – odparł Malinowski. – Dobrze, zrobię to.

– Dziękuję, ojczy! Trzeba uprzedzić Melnerów, żeby kto czego nie powiedział – wyrwał się Poldek, nie mogąc uwierzyć, że ojciec chce pomóc Helenie.

– Ech, durny ty! – zaśmiał się ojciec. – Jak ty nic kombinować nie potrafisz. Im więcej świadków, tym łatwiej o wpadkę. Zresztą ja Melnerów w nic mieszać nie będę. Zabierz dyskretnie pana Wenera do swojego pokoju. Tak żeby z salonu nikt nie widział! A potem zejdź do gości i powiedz, że musiał wyjść na chwilę i zaraz wracam. A ja pójdę na podwórze. Jakby policjanci zapytali, co tam robię, powiem, że z pracowni idę – wyjaśnił swój plan i poszedł do schodów.

– Bardzo zmyślnie – pochwalił Konrad i stwierdził w duchu, że Malinowski ma łeb na karku.

– Chodźmy, Konradzie! – szepnęła Poldek. – Pójdę przodem, a ty za mną. Ojciec dobrze mówi, nie ma co Melnerów w to mieszać.

Zakradli się obydwaj do pokoju na poddaszu. Okna wychodziły stąd tylko na stronę Wisły, więc żadną miarą nie dało się obserwować zajść na podwórzu. Konrad usiadł na krześle przy biurku, a Poldek zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

– Kim są Melnerowie? – zapytał Werner, bardziej żeby zająć czymś chłopaka niż z rzeczywistej potrzeby rozmowy na temat obcych ludzi.

– Melner to przyjaciel ojca. Do niedawna sami się spotykali i szli na miasto, ale ostatnio polubili wzajemne rodzinne odwiedziny i obiady. Umyślili sobie, że mam żenić się z córką Melnera – prychnęła Poldek, po czym zmarszczył czoło, myśląc o czymś intensywnie. – A może teraz zmieni zdanie? – zapytał z nadzieją. – Przecież obiecał pomóc Helenie, gdy usłyszał, że ją kocham.

– Tego nie wiem – odparł Konrad, momentalnie popadając w jeszcze większe przygnębienie. Nie chciał tego mówić Poldekowi, ale jego zdaniem stary Malinowski był przebiegłym lisem. Zbyt łatwo zmienił zdanie, gdy syn przyznał się do uczucia.

Przez całą drogę w policyjnym samochodzie panowała cisza. Policjanci milczeli. Zresztą co mieliby mówić? Zanim ruszyli, zapytali Helenę o adres. Innej wiedzy nie potrzebowali.

Hela z kolei nie odważyłaby się choćby pisnąć. Już wcześniej wiedziała, że zna mężczyznę, który padł ofiarą zamachu, lecz dopiero gdy padło jego nazwisko, przypomniała sobie, że Stanisław Krzemieniecki stał na czele

pamiętnej demonstracji pod ambasadą włoską. Wówczas z kłopotów wybawił ją Poldek. Czyż nie była to ironia losu, że ów polityk, choć bezwiednie, sprawił, że poznała miłość swojego życia, a teraz straci ją, bo pójdzie do więzienia? Helenę naszła refleksja, że życie bywa przewrotne. Jeszcze dzisiaj rano bez troski szła wraz z Basią nad Wisłę, aby teraz siedzieć w policyjnym samochodzie.

Myślała gorączkowo, jak wykaraskać się z trudnego położenia, w którym znalazła się przez własną głupotę. Rozważała ucieczkę, lecz szybko zrozumiała, że z dwoma mężczyznami nie miałyby żadnych szans. Poza tym co by to dało? Wylegitymowali ją, znali jej adres. Spisać nie spisali, ale pewnie zapamiętali. A jeśli nawet jakimś cudownym zrządzeniem losu nie zapamiętali, wciąż mogli dotrzeć do niej przez Konrada, będącego prawdziwą sławą.

Ostatkiem sił czepiała się nadziei, że może Malinowskich nie ma w domu albo jest sam Poldek, który domyśli się, co należy powiedzieć posterunkowemu. Nadzieja rozwiała się w tej samej chwili, gdy samochód wtoczył się przez bramę na podwórze przed pracownią Malinowskiego i zobaczyła ojca Poldka przyglądającego się nowo przybyłym z wyraźnym zainteresowaniem.

– Panno Heleno! Stało się coś? – przywitał się Malinowski z taką troską, jakby była najbliższą przyjaciółką rodziny. – Dlaczego zjawia się panna w towarzystwie policjantów? – zapytał. – Czyżby obiad nie smakował i kazała mnie panna aresztować? – uśmiechnął się szelmowsko. – Jestem niewinny, panowie. Musicie zakuć w dyby moją szwagierkę. Ona gotowała!

– Pan Malinowski? – zapytał słuźbiście jeden z policjantów, całkowicie odporny na żarty Apoloniusza.

– W samej rzeczy. A o co chodzi?

– Czy może pan potwierdzić, że obecna tu panna Helena Małecka spędziła dzisiejsze popołudnie w pańskim domu?

– Ależ oczywiście. Przecież panna Helena przyszła z wizytą. Mają się z moim synem ku sobie, więc urządziliśmy obiad zapoznawczy. A stało się coś? Panna zasłała czy okradli ją? – zaniepokoił się Malinowski.

– Wszystko ze mną w porządku, dziękuję za troskę, panie Apoloniuszu. – Helena starała się wejść w rolę, lecz z trudem powstrzymywała zdziwienie. Kompletnie nie rozumiała, czemu zawdzięczała wybawienie.

– A, to dobrze, dobrze. Dziękuję, że ją panowie przywieźli. Tu już zatroszczymy się o pannę należycie – oświadczył Malinowski tonem wyraźnie sugerującym, że sprawę uważa za zakończoną.

Policjanci zasalutowali i bez słowa wrócili do samochodu. Uśmiechnięty od ucha do ucha Malinowski pomachał im na do widzenia.

– Panie Apoloniuszu, zupełnie nie wiem, jak mam panu dziękować za ratunek – powiedziała Helena nabrzmiałym ze wzruszenia głosem.

– Milcz, bezwstydnico! – syknął Malinowski, a na jego twarzy odmalowała się pogarda. – Postój tu chwilę, żeby odjechali, a potem wynocha! Jeśli spróbujesz choćby pomyśleć o moim synu, pójde na posterunek i odwołam wszystko, co powiedziałem. Zabieraj się stąd, zanim zszargasz opinię mojej rodzinie!

Helena cofnęła się o krok. Czuła się tak, jakby ojciec Poldka uderzył ją w twarz. Z jej oczu popłynęły łzy, więc jak przez mgłę dojrzała, że Malinowski odwraca się i pospiesznie wchodzi do budynku. Przez dobrą chwilę dziewczyna kompletnie nie wiedziała, co robić. Zamiast wyjść przez bramę na ulicę, poszła w głąb podwórza i wyszła na tę samą udeptaną ścieżkę, którą Konrad przybiegł ledwie parę chwil wcześniej.

W tym miejscu skarpa wiślana wyglądała jak dzika łąka. Choć teren należał do klasztoru Szarytek, nikt o niego specjalnie nie dbał. Dzikie kwiaty pachniały zniewalająco, z traw wybrzmiewało jednostajne cykanie świerszczy. Wydawałoby się – istna sielanka, lecz Helena poczuła się tak, jakby właśnie skończyło się jej życie.

– Heleno! – rozległ się z tyłu męski głos.

Przez ułamek sekundy łudziła się, że to Poldek, jednak jeszcze zanim odwróciła się, zrozumiała, że to Werner. Minę miał zatroskaną, lecz w jego oczach malowała się ulga.

– Heleno! – powtórzył. – Puścili cię. Malinowski bez zarzutu wywiązał się z zadania. Ty płaczesz?

Kiwnęła potakująco, po czym rozpląkała się jeszcze mocniej. Konradowi wydała się tak krucha i bezbronna, że niewiele myśląc, postąpił krok do przodu i przytulił ją do piersi. Przywarła do niego. Jej plecy drgały, gdy zanosila się szlochem.

– Biedna mała – szepnął Werner i delikatnie pogłaskał ją po kruczoczarnych włosach.

ROZDZIAŁ 17

1936

Ojciec nie dał Helenie wyboru, choć z całego serca współczuł jej zawodu miłosnego. Całą sprawę zdał mu Konrad Werner, gdy odprowadził dziewczynę do domu. Choć Józef Małecki był mu niezmiernie wdzięczny za to, że wsparł jego córkę w tej całej awanturze, zrozumiał także, że mężczyzna może do Heleny przyciągnąć kolejne kłopoty. Podziękował mu więc, lecz jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych kontaktów. Aktor przyznał mu rację. Też uważał, że najrozsądniej będzie, jeśli zerwie znajomość. Zwłaszcza że byłoby bardzo niewskazane narażać Helenę na spotkania z Ignacym. To mogłoby wywołać niepotrzebne wspomnienia.

Antykwariusza najbardziej zdziwiło, gdy Konrad wyjął plik pieniędzy i wręczył mu z wyjaśnieniem, że to dla Basi, która także powinna wyjechać na jakiś czas.

– Heleno, rozchmurz się, proszę – powiedział Małecki do córki w dniu odjazdu. – Przecież czekają cię miłe chwile w Sopocie. Na dokładkę Basia jedzie z tobą. Pokażesz jej okolicę. Wiesz przecież, jak bardzo się cieszy, że po raz pierwszy w życiu zobaczy morze! A ja do was przyjadę za dwa tygodnie i pojedziemy na obiecaną wycieczkę do Juraty i Helu.

To wszystko brzmiało cudownie, jednak Helena czuła się tak, jakby jakaś jej część umarła. Wyjeżdżała z Warszawy z ciężkim sercem.

Od pamiętnej soboty nie widziała się z Poldkiem ani razu. Nie miała odwagi choćby odezwać się słowem. Janek też przestał się pokazywać w antykwariacie, co sprawiło, że Basia również była przygnębiona.

– A jeśli coś się stało? – załamywała ręce. – Może Janek mnie już nie chce?

– Nie. To nie jego wina. Jestem przekonana, że także i jego Malinowski musiał zaszantażować – odparła Helena. – Co więcej, to wszystko przeze

mnie. Nie wiem, jak mam ci to wynagrodzić, jak przeproszać, że przez moją bezmyślność także i ty cierpisz.

Helena nie pomyliła się. Apoloniusz Malinowski doskonale wiedział, jak wykorzystać posiadane informacje, i czynił to niezwykle skutecznie. Wziął na rozmowę obu synów jednocześnie, co samo w sobie już było niespodziewane, ponieważ zwykle podobne pogadanki odbywał w cztery oczy.

– Obaj moi synowie muszą cieszyć się poważaniem i nieposzlakowaną opinią – oświadczył pompatycznie Malinowski. – Jest dla mnie sprawą niewyobrażalną wręcz, żeby na moje podwórze przyjeżdżała policja. – Spojrzał z przyganą na Poldka. – Albo żebym przed własną szwagierką, waszą najbliższą ciotką, musiał najeść się wstydu, gdy ona nie wie, gdzie oczy podziać, podczas gdy jej siostrzeniec gzi się po kątach ze zwykłą szwaczką! – Zgromił spojrzeniem Janka.

Janek poczerwieniał z oburzenia i zaczerpnął głośno powietrza, szykując się do gniewnej odpowiedzi, lecz ojciec wystawił przed siebie dłoń, jednocześnie krzywiąc się z wściekłości.

– Za łagodny dla was byłem! Po dobroci chować chciałem, ale to się skończy, i to natychmiast! Zamiast pracować dla pomnażania majątku i rozkwitu przedsiębiorstwa, przynosicie mi wstyd! – grzmiał Apoloniusz. – Boga w sercu nie macie, żeby własnego ojca do grobu wpędzać! Dlatego będzie tak, jak postanowiłem! – Malinowski grzmotnął z całych sił pięścią w stół. – Janek od września szykować się będzie do kapłaństwa, a Apoloniusz młodszy, mój niewydarzony pierworodny, poprosi wkrótce o rękę panny Pauliny. Najdalej za rok ma być ślub! A teraz obaj marsz do pracowni na chleb zarabiać. Natychmiast!

– Nie chcę iść na księdza – zaprotestował cicho Janek.

– Jeśli nie pójdziesz, to możesz pakować manatki i wynosić się z domu, żeby żyć w rynsztoku na kocia łapę z jakąś szwaczką. Masz dziewiętnaście lat. Bez mojej zgody nie ożenisz się z żadną dziewczyną, a do tego zdechniesz z głodu, boś się przyuczył żyć jak francuski piesek w ciepłe i puchu – oświadczył ojciec.

Zanim Janek zdążył rzucić słowa, których nie dałoby się cofnąć, brat chwycił go za nadgarstek i z całej siły ścisnął.

– Co się tyczy ciebie – cedził wolno Malinowski, skupiając uwagę na Poldku – masz zakaz spotykania się z tą całą Heleną, zrozumiałeś? Niechby

ci lepiej nic głupiego do głowy nie przyszło. Zresztą też jeszcze przez rok musisz mieć moją zgodę na zawarcie małżeństwa. I zawrzesz je! Z Pauliną Melner. A potem przejmiesz pracownię, więc może łaskawie zabrałbyś się za swój majstersztyk, bo cech za piękne oczy nie promuje na mistrza. I wiedz, że nie żartuję! Jeśli mnie nie usłuchasz choćby w jednej sprawie, zmienię zeznania na posterunku i tę pannę o podejrzanym reputacji wsadzą do celi, gdzie pewnie jej miejsce! A teraz obydwaj zejść mi z oczu i brać się do uczciwej pracy!

Poldkowi krew odpłynęła z twarzy. Teraz to Janek musiał pociągnąć go za rękaw w stronę wyjścia z pakamery. Odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami szwaczek, przeszli przez pracownię i wyszli na podwórze. Szum maszyn z pewnością zagłuszył tyradę Malinowskiego, lecz i tak najedli się wstydu.

– Co teraz? – bąknął Janek.

– Skąd mam wiedzieć? Załatwił nas na szaro. Jedyne, co w tej chwili przychodzi mi do głowy, to wziąć się za robotę – odparł ponuro Poldek.

– Bardzo rozsądna decyzja, chłopcy! – pochwalił ich majster Mosze, wyrastając przy nich znienacka. – Rok to bardzo dużo czasu, wiele rzeczy może się zmienić. Na lepsze albo na gorsze. Kto to wie? – dodał z zadumą.

– Słyszał pan, co ojciec mówi? – zapytał Poldek.

– Ja słyszę wszystko, co usłyszeć muszę – uciął Bluman.

– Łatwo tak panu majstrowi mówić. Zaraz sierpień, a ojciec od września chce mnie do zakonu wysłać...

– Nie do zakonu, tylko do seminarium. Nikt nie powiedział, że od razu masz śluby jakieś składać – sprostował majster. – Jedyne, co udało wam się dzisiaj sensownie wykombinować, to że czas wziąć się do solidnej roboty. Zwłaszcza ty! – Wskazał palcem Poldka. – Chyba że nie zależy ci na tym, żeby własnym dzieciom bogatą spuściznę zostawić. I przecież wcale nie mówię, z kim masz te dzieci mieć. Powtarzam, rok to dużo czasu.

Wakacje zleciały w okamgnieniu. Wrzesień, w tym roku ciepły i słoneczny, przyniósł Warszawie kolejne doniesienia o krwawej wojnie domowej w Hiszpanii, a także ożywioną dyskusję na temat antysemityzmu. Coraz więcej Żydów domagało się od państw europejskich otwarcia im

drogi do Palestyny, w której chcieli założyć kolonię dla swoich braci w wierze z krajów, gdzie wrogość do Żydów stale rosła. Negocjacje ze społecznością arabską zamieszkującą Palestynę prowadziła Anglia, lecz jak dotąd żadnych pomysłów dla Żydów wieści nie było.

Ignacy zwinął gazetę w rulon. Pomyślał, że będzie pierwszym, który pomacha wyjeżdżającym warszawiakom wyznania mojżeszowego, gdy w końcu ruszą zadki do tej dalekiej Palestyny.

– Potrzebni tu jak dziura w moście – burknął pod nosem, niepomny faktu, że ledwie miesiąc temu leżał w Szpitalu Starozakonnych, a życie uratował mu jeden z ludzi, o których wyrażał się z tak jawną pogardą.

Tramwaj stanął, a ze środka wysypali się pasażerowie. Wszyscy zmierzali w jednym kierunku, czyli na plac Piłsudskiego, przed Pałac Saski, gdzie miały odbyć się główne uroczystości powitania garnizonu warszawskiego, który właśnie dzisiaj wracał z manewrów na wschodzie kraju. Ignacy poszedł jednak w drugą stronę. Miał nadzieję zobaczyć wjazd wojska od strony Pragi w nieco mniejszym tłoku, więc udał się na most Poniatowskiego. Po obu stronach stały już rzędy ludzi. Mężczyźni gwizdali, bili brawo i machali kapeluszami. Dziewczęta i dzieci dość nieostrożnie podbiegały pod końskie kopyta i wspinając się na palce, wręczały jadącym oficerom kwiaty.

Skandowane głośno „Niech żyją!” niosło się echem po całym mieście. Ignacy podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się mężczyźnie utrwalającemu wydarzenie nowoczesną kamerą Siemens. Filmowiec skoncentrował się na jednym miejscu, więc siłą rzeczy i Ignacy spojrzął w tamtym kierunku. Zobaczył sporą grupę młodych mężczyzn witających wojska rzymskim salutem, takim jak witają się hitlerowcy. Chłopak uśmiechnął się pod nosem i omijając kamerzystę, poszedł w ich kierunku.

Basia czekała na kompletnie pustej we wrześniu ulubionej plaży na czworo przyjaciół. Wpatrywała się w warszawską Starówkę rysującą się ciemnymi kolorami na tle czerwonego zachodu słońca. Dziewczyna zerwała się na równe nogi, gdy usłyszała za plecami odgłos kroków na chrzęszczącym piachu.

– Więc jesteś wreszcie, kochany mój! – powiedziała z uczuciem, rzucając się Jankowi na szyję. – To lato było okropnie długie bez ciebie.

– Mnie dłużyło się jeszcze bardziej. Dobrze, że mogliśmy po kryjomu wymieniać listy. Pan Józef to złoty człowiek, że przekazywał mi je w sekrecie. Pewnie miał mnie dość, gdy co drugi dzień przychodziłem do antykwariatu z pytaniem, czy co nie przyszło – roześmiał się Janek, trzymając dziewczynę w objęciach.

– Twój ojciec ciągle jeszcze taki zły na mnie i Helę? – zapytała, poważniejąc w jednej chwili.

– Ech, szkoda gadać. Uparł się wyswatać Poldka z Pauliną. To miła dziewczyna, ale przecież jego serce jest zajęte. Zresztą i ona do wyjścia za mąż się nie pali. To typ sportowca. Marzy o olimpiadach, zawodach. Świetnie pływa, wiosłuje. Gdzież jej w głowie mąż i dzieci?

– Helena nic o Poldku nie mówi. Zacięła się w sobie biedaczka i sprawia wrażenie, jakby nie chciała go znać – szepnęła Basia. – Tylko że mi to się wydaje nieprawdą. Zaraz na samym początku, gdy wyjechałyśmy do Sopotu, powiedziała, że to jest jej kara za marzenia. I że swoją głupotą zmarnowała życie tobie i Poldkowi. Potem już nie mówiła nic.

– On znowuż uważa, że jeśli tylko wykona jakikolwiek gest w stronę Heli, ojciec się o tym dowie i doniesie na nią na policję. Dlatego powiedział, że choćby mu miało serce pęknąć z żalu, za nic nie przyjdzie do antykwariatu na Zgodę.

– Uważasz, że wasz ojciec byłby zdolny do takiego okrucieństwa wobec Heli?

– Znasz go tylko z pracowni, a ja z nim żyję prawie dwadzieścia lat pod jednym dachem – powiedział gorzko Janek. – Dla niego najważniejsze jest to, żeby dotrzymywać danego słowa. Skoro umówił się z Melnerem, że jego syn oświadczy się Paulinie, tak ma być i koniec. Inaczej ucierpi legendarny honor Apoloniusza Malinowskiego.

– To jest absurdalne. Przepraszam, nie powinnam tak mówić, przecież to twój ojciec – zreflektowała się.

– I cóż z tego? Głupota i ośli upór nie mają wieku.

– A co będzie z nami? – zapytała cicho.

– Zacząłem naukę w seminarium – powiedział z ociąganiem w głosie. Dziewczyna zeszywniała w jego ramionach, lecz nie pozwolił jej się odsunąć. Zamiast tego przytulił mocno, zbliżając usta do jej ucha.

Rozkoszny dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy poczuła jego ciepły oddech na szyi. Janek zdecydowanie nie zachowywał się jak mężczyzna, który nagle odkrył powołanie od Boga.

– Basiu, to tylko na trochę. Uległem ojcu, ale tylko dlatego, żeby stracił czujność. Między nami nic to nie zmienia. Odkładam drobne sumy. Konrad Werner dotrzymał słowa. Załatwił mi małe rólki w filmach, w których gra. Poldkowi oczywiście też, ale ostatecznie mój brat odmówił. Powiada, że czas dorosnąć i zająć się poważnymi sprawami. Zgorzkniał. Prawdę mówiąc... – Janek zawahał się.

– Prawdę mówiąc co?

– Zaczął mi przypominać młodszą wersję naszego ojca – wyjaśnił z ociąganiem.

– Och nie! – wyrwało się Basi.

– O nas w każdym razie się nie martw. Jeśli tylko będziesz mnie chciała, na zawsze jestem twój. Uzbieram pieniądze i uciekniemy daleko stąd – obiecał.

– Zawsze będę cię chciała – odparła poważnie.

Janek nachylił się i pocałował ją. Oddała pocałunek, a gdy wsunęła mu dłonie we włosy, jęknął i chwycił Basię na ręce. Skryli się w najbliższych zaroślach i nie przestając szeptać słów pełnych miłości, zatopili w sobie po raz pierwszy po prawie dwóch miesiącach tęsknoty.

1937

Gdy człowiek zamknie się w sobie, głuchnąc na wszelkie uczucia, zapomina o wszystkim, co ważne i dobre. Z podobną obojętnością traktuje otaczający go świat, przyrodę, a nawet pory roku. Gdy Poldek otrząsnął się nieco z transu wiecznej pracy, kończyła się zima. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że upłynęło już siedem miesięcy od dnia, gdy ostatni raz widział Helenę. Konsekwentnie unikał rozmów na jej temat z Jankiem. Zresztą także i brat jakby wycofał się z ich dotychczas serdecznej relacji. Nie mówił mu o niczym, nie zwierzał się. Sprawiał wrażenie pogodzonego z przyszłym wstąpieniem w kapłańskie szeregi.

– Poldek, pomóż nam! – zawołała z salonu ciotka Maria, gdy tylko wszedł do domu.

Usłuchał od razu. Ciotka zadomowiła się na dobre, z pełną aprobatą ojca. Mieli wobec siebie wiele serdeczności, a gdyby Poldek był mniej skupiony na siedzeniu w swojej skorupie, zrozumiałby z łatwością, że między tymi dwojgiem coś jest na rzeczy.

– Co potrzeba? – zapytał, patrząc na chwiejącą się niebezpiecznie na krześle pomoc kuchenną, usiłującą dosięgnąć górnej części ramy portretu Eleonory, jego matki, przewiązanego czarną wstęgą. – Niechże Gienia uważa, bo zaraz kark skręci! – ofuknął ją. – Co tu się dzieje?

– Odsłaniamy lustra i portrety – wyjaśniła ciotka. – Minęła żałoba, czas tu nieco odświeżyć i wpuścić trochę życia.

Poldek pomyślał, że żałobę nosi się w sercu, a nie na lustrach i obrazach, lecz dla świętego spokoju nie odezwał się słowem.

– Więcej entuzjazmu, młodzieńcze! – roześmiała się Maria. – Przecież koniec żałoby po matce i siostrze oznacza, że teraz już bez przeszkód możesz oświadczyć się pannie Paulinie.

– Mądre słowa, moja droga Mario! – powiedział Apoloniusz, wchodząc do salonu.

– Za wcześnie – próbował wykręcić się Poldek. – Przecież Paulina wyraźnie dała do zrozumienia, że nie chce zbyt prędko wychodzić za mąż.

– Kto mówi, że prędko? – zapytała chytrze ciotka. – Przecież zanim przyjdzie co do czego, trzeba suknię uszyć, garnitur, salę zamówić i przede wszystkim dać trzy razy zapowiedzi w parafii panny młodej, żeby po bożemu było, a baby nie miały o czym plotkować. A może Teresa Melnerowa będzie wolała wesele u nich na Ząbkowskiej wyprawić? – zastanawiała się Maria. – No nic, jak postanowi, tak będzie. Po ich stronie są przygotowania, więc my wtrącać się nie będziemy.

– Zatem postanowione – oznajmił ojciec. – W przyszłym tygodniu pojedziemy do Melnerów i oświadczysz się Paulinie.

Poldek stał bez słowa, zamknięty w swojej skorupie, krzycząc w środku, że to wszystko nie tak, że on wcale nie chce zenić się z Pauliną, że kocha Helenę i żadnej innej nie chce. Ale skinął tylko potakująco głową, pomógł służącej ściągnąć płachtę zasłaniającą lustro, po czym opuścił salon i poszedł do swojego pokoju.

Basia bardzo lubiła swoją pracę u krawca, pana Berlinera. Uwielbiała też klimat Nalewek, Gęsiej, ten barwny rytm żydowskiej dzielnicy tak niepodobnej do wszystkiego, co pamiętała z Czerniakowa. Nie był to, rzecz jasna, zachwyty bezkrytyczny, widziała też biedę, wynędzniałych ludzi, lecz fascynowało ją, że w odległości kilku przystanków tramwajowych Warszawa zmieniała się w zupełnie inny, nieco egzotyczny świat. Krawiec płacił uczciwie, choć żydowskim zwyczajem przy każdej pensji rwał włosy z głowy, że go ta rozrzutność do plajty doprowadzi. Basia nic sobie z tego oczywiście nie robiła, ponieważ wiedziała, że jest to rodzaj rytuału. Z rozbawieniem odkryła, że przepowiednia Heli spełniła się. Nie wiedzieć kiedy osłuchiwała się z językiem jidysz w takim stopniu, że rozumiała, co mówią ludzie, a czasem, bardziej dla żartu, rzucała jakieś proste odzywki do krawca Berlinera.

Polubiła szefa, a jeszcze bardziej jego wiecznie roześmianą, zażywną żonę i gromadę dzieciaków. Krawiec, oprócz produkcji nowych fasonów sukien, miał widocznie tylko jedno zamiłowanie, jakim było płodzenie dzieci. Już miał ich ósemkę, a pani Hajga znowu była w ciąży. Mimo to wszystkie były czysto ubrane, choć raczej skromnie, i niewychudzone, co już stanowiło pewien wyznacznik zasobności domu.

Po skończonej pracy Basia wyszła na ruchliwą ulicę i ze zdumieniem zobaczyła, że przed sklepem czeka na nią Janek. Nie umawiali się na spotkanie, więc musiało stać się coś niespodziewanego. Podeszła do niego mocno zaniepokojona.

- Mów, widzę, że minę masz nietęgą! – przeszła od razu do sedna.
- Dowiedziałem się dzisiaj, że w tę niedzielę Poldek ma poprosić Paulinę o rękę – wyrzucił z siebie.
- Och! Może on już zapomniał o Helenie? Przecież od miesiący nie chcą ze sobą rozmawiać.
- Po prostu w to nie wierzę – powiedział Janek. – I pomyślałem, że może ty coś zaradzisz?
- Ale co? Przecież jeśli oni nie chcą, to cóż ja mogę? – zafrasowała się dziewczyna.
- Spróbuj przemówić Heli do rozsądku. Przecież ciebie jedną wysłucha.

– Nie wysłucha. Ale może razem z nią porozmawiamy? To przecież niemożliwe, że wszystko już stracone! Chodźmy od razu – zdecydowała.

Dojechali tramwajem do placu Grzybowskiego i puścili się pędem Marszałkowską w stronę antykwariatu. Słońce coraz mocniej grzało, z ulic zniknęły wszechobecne w porze zimowej ciężkie futra dam. Choć wciąż było zimno, a Wisłą płynęła kra, dawało się odczuć pierwszy nieśmiały oddech wiosny.

– Heleno! – powiedziała zdyszana Basia, gdy tylko wpadli do antykwariatu.

– Stało się coś? – zapytała ze zdziwieniem dziewczyna. Widać dopiero wróciła z kursów pielęgniarskich, bo wciąż miała na sobie biało-różowy uniform, charakterystyczny dla uczennic w szpitalu na Czystem.

– Stało! – Basia podeszła do przyjaciółki i chwyciła ją za rękę. – Poldek w tę niedzielę zamierza oświadczyć się Paulinie Melner!

Helena zbladła i zachwiała się. Jednak już po chwili odzyskała panowanie nad sobą. Spojrzała ponad ramieniem Basi na Janka.

– No cóż, rada jestem, że odnalazł swoje szczęście. Przekaż mu proszę serdeczne powinszowania – oznajmiła spokojnie.

– Heleno, przecież sama wiesz, że to nieprawda! Poldek nie kocha Pauliny, za to kocha ciebie! A ty jego! – perswadowała Basia.

– Och, jestem przekonana, że nikt nie oświadcza się bez powodu – zbyła ją Hela. – Zresztą jeśli o mnie chodzi, ja także nie jestem już zainteresowana. Miałam tego nie mówić, ponieważ to sekret, ale wam ufam, więc wiedzcie, że umawiam się potajemnie z Konradem Wernerem – zablefowała. W rzeczywistości nie miała z aktorem żadnego kontaktu od pamiętnego lipca, gdy dokonano skutecznego zamachu na Stanisława Krzemienieckiego.

– A więc to koniec? – zapytał cicho Janek.

– To już koniec. Życz bratu wszystkiego najlepszego – odparła drętwo.

Korki szampanów huknęły tak głośno, że mała Krysia pisnęła, zatykając uszy. Teresa Melner chwyciła w objęcia ciotkę Marię wystrojoną po raz pierwszy od przyjazdu do Warszawy w jasną suknię. January i Apoloniusz rozlewali do kieliszków pieniący się alkohol, a Poldek podniósł się

z klęczek po tym, jak wsunął na serdeczny palec Pauliny pierścionek z brylantem. Janek, korzystając z chwili nieuwagi, wziął ze stołu kieliszek z czystą wódką i wychylił zawartość, krzywiąc się niemiłosiernie.

– Za przyszłość! – wzniósł toast January Melner, klepiąc Poldka serdecznie w plecy. – Witaj w rodzinie, synu!

Apoloniusz podszedł do oblanej rumieńcem Pauliny i uniósł dłoń z pierścionkiem zaręczynowym do ust.

– Lepszej żony dla mojego pierworodnego nie mógłbym sobie wymarzyć, drogie dziecko! – oświadczył nabrzmiałym ze wzruszenia głosem i ucałował dziewczynę w dłoń.

– Apoloniuszu! – ryknął radośnie January. – Druhu serdeczny, teraz oprócz przyjaźni mamy wspólną rodzinę. – Na twarzy Melnera rysowało się autentyczne wzruszenie, a zaszklone oczy spoglądały ciepło na Malinowskiego.

– Przejdziemy się na spacer? – szepnął Poldek do Pauliny.

– Chętnie odetchnę świeżym powietrzem – odparła.

– Idźcie, kochane dzieci, idźcie! Tylko ubierzcie się ciepło, bo przecież pogoda teraz zdradliwa – powiedziała z rozrzewnieniem ciotka Maria.

– W marcu jak w garncu – zarechotał rozbawiony Melner.

Paulina i Poldek z ulgą opuścili mieszkanie Melnerów i ruszyli niespiesznie w dół Żąbkowskiej. Popołudnie było słoneczne, lecz znad Wisły wiał lodowaty wiatr. Dziewczyna szczerzej otuliła szyję szalikiem.

– To było całkiem niezłe – powiedziała z udawaną powagą. – Prawie wzruszyłam się do łez.

– Obiecałem przecież, że odegram tę rolę najlepiej, jak potrafię.

– Angaż w każdym teatrze masz zapewniony – parsknęła śmiechem. Odgarnęła z policzka jasny kosmyk i spojrzała na chłopaka.

– Sie wie! – zaciągnął z warszawska, czym znów rozbawił Paulinę.

– Czyli nasz układ pozostaje w mocy?

– Zajmujesz się sportem, ja się nie wtrącam do twoich spraw, ty nie wtrącasz się do moich. Przejmujemy zakład mojego ojca, kamienicę twojego i dla odmiany zaczynamy cieszyć się życiem – wyrecytował chłopak.

– Dokładnie tak.

– A co będzie, jeśli za jakiś czas w kimś się zakochasz? – Poldek ponieważ zauważył rysy na ich przebiegłym planie.

– Nie grozi mi to – odparła. – Interesuje mnie tylko sport! Ale może to ty kogoś pokochasz? – zapytała, uśmiechając się filuternie.

– Całkowicie wykluczone, droga Paulino! – oświadczył, krzywiąc się komicznie i przykładając dłoń do serca.

Ruszyli zalaną słońcem ulicą, każde z własnymi demonami w głowie. Poldek rozpaczliwie starał się zdusić wspomnienia związane z Heleną, które właśnie teraz musiały przypomnieć o sobie z pełną mocą, a Paulina starała się zrobić wszystko, by pod nonszalancką pozą stłumić kielkujące uczucie. Ostatnie miesiące pokazały, że choć sport w istocie jest dla niej na pierwszym miejscu, wrażliwy i inteligentny Poldek stał się jej bliski. Polubiła ich aranżowane przez rodziców randki, przekomarzanie się i wspólne wygłupy. Chłopak traktował ją jak kumpla, z którym łączy go dziwaczny sekret. Paulinie z początku bardzo to odpowiadało, jednak dzisiejszy dzień sprawił, że zrozumiała, jak bardzo się myliła. Gdy Poldek oświadczył się, patrząc jej prosto w oczy, poczuła, że rozpływa się pod jego spojrzeniem. Zakochała się i nic nie mogła z tym zrobić. A przecież nie miała prawa wyjść poza ramy układu, jaki zawarli.

Józef Małecki wstał wcześniej niż zwykle. Starzał się, a to nie sprzyjało długiemu wylegiwaniu się w pościeli. Przygotował sobie kawę zbożową i wyszedł na dwór od strony ciemnego podwórza. Niezależnie od pory roku, może z wyjątkiem zimy, gdy zalegał na nim śnieg, wyglądało tak samo. Wybrukowany, ocieniony placyk bez choćby źdźbła trawy. Antykwariusz zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby dobrym pomysłem postawienie kilku donic z roślinami tuż obok drzwi, ale po chwili coś innego zaprzętnęło jego uwagę. Wyszedł w kapciach za próg i dojrzał jakiś napis obok zawsze otwartej bramy. Podszedł bliżej, wciąż trzymając w dłoni kubek parującej zbożówki.

– Żydzi won! – przeczytał ze zgrozą. – Jezusie Nazareński, co dzieje się z tym światem? – wyszeptał pobladyłymi wargami.

Odwrócił się i dostrzegł, że na jego drzwiach wymalowano gwiazdę Dawida. Ten, kto to zrobił, musiał działać w pośpiechu, bowiem zacieki zbyt obficie użytej farby spływały do samego dołu drewnianego skrzydła. Wydawały się bardzo świeże.

Zastanawiając się, czy powinien wezwać policję, czy raczej udać się do mydlarni, żeby kupić jakiś środek chemiczny do usunięcia dzieła tajemniczego wandalą, antykwariusz wszedł do mieszkania i starannie zaryglował za sobą drzwi.

Słoneczny maj, pełen ćwierkających ptaków, błękitu bezchmurnego nieba i zieleni w pobliskich parkach, nagle wydał mu się ułudą, czymś ulotnym, co można łatwo stracić. A to przypomniało mu o bezsensownym uporze córki, która nie chciała przyjąć do wiadomości, że człowiek, którego kocha, właśnie dzisiaj złoży śluby małżeńskie. Jeśli Helena w końcu nie opamięta się i nie zdobędzie na wyciągnięcie dłoni do Poldka, wszystko przepadnie.

Józef doskonale pamiętał swój burzliwy związek z matką Heleny. Anna też się zapierała, jej krewni byli całkowicie przeciwni, a jednak Małecki postawił na swoim. Może życie nie potoczyło się tak, jak sobie wymarzył, ale przecież w tym musiał być jakiś boski plan, skoro na świat przyszła najwspanialsza na świecie Helena. Dla antykwariusza nie miało znaczenia, jaki Bóg patronował jej przyjściu na świat. Wiedział tylko, że jego ukochana jedynaczka i ten niepoprawny nicpoń z Solca tracą coś unikalnego, jedyne. Kto wie? Może również szansę na pojawienie się na świecie kolejnej cudownej Heleny?

Antykwariusz roześmiał się, gdy pojął, że niewiele różni się od tego całego Apoloniusza Malinowskiego, który postanowił zaplanować swoim dzieciom przyszłość skrojoną według własnych marzeń. Najwyższy czas zrozumieć, że młodzi posiadają własne pragnienia, które często nie mają nic wspólnego z tym, czego życzą im rodzice.

Poszedł do kuchni. Wydało mu się, że najlepszym, co troskliwy ojciec może zrobić dla swoich dzieci, jest pożywne śniadanie. Wbił jajka do miski, posmarował kromki chleba masłem, a potem zapukał do pokoju córki.

– Wstawajcie, dziewczynki, zaraz śniadanie! – oznajmił dwóm owiniętym w kołdry mumiom. – No, dalej! Bo zaczynam smażyć.

– Już, już, panie Józefie – mruknęła nieprzytomnie Basia. – Tylko dokończę ten świetny sen.

Małecki parsknął cichym śmiechem, po czym wrócił do kuchni i przygotował sobie drugą filiżankę kawy.

Ignacy wyskoczył jak oparzony zza drewnianych beczek stojących w głębi podwórza. W życiu by nie pomyślał, że ten durny antykwariusz wstaje w sobotę tak wcześnie. Przecież dopiero dochodziła szósta rano! Mało brakowało, a nakryłby go na malowaniu po ścianach. Gdy nowi koledzy, poznani na moście Poniatowskiego, zapytali, co jest w stanie zrobić dla Polski, przyszło mu do głowy, że może przestraszy trochę Helenę, żeby nie czuła się zbyt pewnie w jego ojczyźnie.

Pomysł spotkał się z aprobatą. Jego towarzysze uważali, że najgorszymi wrogami narodu polskiego są farbowane lisy, czyli Żydzi, którzy udają, że wcale nimi nie są. Ignacy pomyślał, że opis pasuje do Heleny jak ulał.

Pewnie by jej nawet odpuścił, ale przez Konrada znienawidził swoją wybawczynię jeszcze bardziej niż wtedy, gdy kokietując jego brata, prowadziła jego samochód po podwarszawskich bezdrożach. Nie stała wówczas pomiędzy braćmi, a po tym, jak Konrad odebrał Ignacego z tego żydowskiego szpitala, do którego na siłę zabrała go Helena, nagle sprawa ratowania życia przez doktora Michała i bohaterskich wyczynów jego kuzynki urosła w ich mokotowskim mieszkaniu do najważniejszego punktu dnia. Każdemu, czy chciał słuchać, czy nie, Konrad opowiadał tę samą historyjkę o przypadkowym zranieniu i niesłychanej wręcz akcji ratowania życia przez niezawodnych żydowskich lekarzy w szpitalu na Czystem. Ignacy czuł się upokorzony i miał serdecznie dość tych niczym nieuzasadnionych zachwyków. Jeśli dobrze pamiętał, obowiązkiem lekarza jest ratować życie i kropka.

– Mógłbyś tak nie rozpowiadać, że mnie jakiś Żyd uratował? – wycedził w końcu przez zęby do brata.

– Przecież to prawda. Helena też wykazała się nadzwyczajnym bohaterstwem. A także Basia. Katoliczka, jeśli ma ci to poprawić nastrój – dodał kpiąco Konrad.

– Helena! Co ty widzisz w tej głupiej Żydówce? – warknął Ignacy.

Konrad doskoczył do brata i spoliczkował go.

– Panna Helena, żaloszny gówniarzu, jest warta więcej niż dwudziestu takich jak ty, więc z szacunkiem, bo inaczej zacznę z tobą rozmawiać! – wrzasnął i wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami.

Tej zniewagi Ignacy nie mógł darować. Poprzysiągł sobie, że droga panna Helena popamięta go po wsze czasy.

Choć wcześniej zarzekała się, że zupełnie jej to nie interesuje, Helena ubrała się w elegancką sukienkę i wyszła z domu. Basia wykręciła się nawałem pracy u swojego krawca, co dawało Heli otwartą drogę. Nikt nie zada żadnych pytań.

Nie potrafiła tak do końca zrozumieć, dlaczego chce iść na uroczystość zaślubin Poldka z Pauliną. Może po to, żeby zobaczyć, jak jej marzenia zostają pogrzebane z należytą starannością, i już nigdy nie wracać do tego myślami? A może zwyczajnie chciała spojrzeć na chłopaka po raz ostatni, zanim stanie się mężem innej kobiety?

Maj dawał z siebie wszystko. Po błękitnym niebie przesuwały się leniwie białe, zgrabne obłoki, słońce świeciło, choć nie za mocno, tak w sam raz, żeby uprzyjemnić gościom weselnym ten radosny dzień, ale nie przypiekać ich przed nieosłoniętym drzewami wejściem do kościoła Matki Bożej Loretańskiej. Ptaki ćwierkały zapamiętale, a kwiaty pyszniły się w przykościelnych rabatach feerią barw. Stojąca z dala od tłumu weselników Helena pomyślała z rozbawieniem, że rodzice młodych musieli chyba zamówić cały ten anturaż u pana Walta Disneya. Wszystkie te wesołe myśli pierzchły, gdy pod kościołem zatrzymał się umajony wszelkim dostępnym o tej porze roku kwieciem biały powóz, a ze środka wyskoczył Poldek, ubrany w elegancki frak. Podał dłoń Paulinie uczesanej w przepiękne loki, zwieńczone misternym wiankiem z białych róż, do którego przypięto połyskujący w słońcu welon.

Cały ten dzień wydawał się Poldkowi tak nierzeczywisty, że parę razy uszczypnął się w dłoń dla sprawdzenia, czy nie śni jakiegoś koszmaru. Jakoś przeżył te wszystkie wybuchy szczęścia w wykonaniu ciotki, podołał serdecznemu poklepywaniu go po plecach przez ojca, a nawet bez grymasu dał się upakować w ślubny frak. Nie podołał za to konfrontacji z własnym bratem.

– A więc jednak – westchnął Janek, dopinając Poldkowi złote spinki do mankietów.

– O co ci chodzi? – obruszył się Poldek.

– O nic, mój drogi żonkosiu – odparł i zniemacka serdecznie przytulił brata.

– Stało się coś?

– Stało. Szanuję twoje wybory, ale dzisiaj, tuż po twoim weselu, zabieram Barbarę i wyjeżdżamy. Nie wiem, czy będzie okazja, żebyśmy pożegnali się należycie, więc czynię to teraz.

– Jak sobie dasz radę? – zapytał Poldek.

– Po prostu będę mężczyzną i otoczę ukochaną opieką. Co by się nie działo, zostaniemy razem na dobre i na złe. Zabawne, ale to właśnie słowa przysięgi, jakie dzisiaj wypowiedzisz. Mam nadzieję, że majątek ojca jest tego wart – powiedział Janek, lecz w jego głosie nie dało się wyczuć złości. Raczej głęboką rezygnację.

– Bracie, mam nadzieję, że znajdziesz swoje szczęście – zdołał wydusić z siebie Poldek.

Po chwili do salonu, pełniącego obecnie funkcję domu mody, wparowała ciotka Maria i zaczęła rozstawiać wszystkich po kątach. Poldek apatycznie poddawał się jej komendom, a gdy podjechał powóz, dał się sprowadzić po schodach na podwórze rodzinnej kamienicy.

– Wszystko będzie dobrze, synu. – Ojciec nabrzmiałym od wzruszenia głosem dodawał mu otuchy, gdy konie, stąpając miarowo, wiozły chłopaka w stronę Pragi, ku przeznaczeniu. Gdy przekroczyły Wisłę, kłusując niespiesznie przez most Kierbedzia, Poldek poczuł, że nić wiążąca go z Heleną bezpowrotnie pękła.

Ledwie zarejestrował, że powóz zatrzymał się przed kamienicą na Ząbkowskiej. Ojciec dał mu kuksańca i wytoczył się na ulicę. Poldek podążył za nim. O dziwo, pamiętał nawet o tym, żeby otworzyć drzwi i przytrzymać je, gdy z klatki schodowej wyszła wystrojona Paulina w towarzystwie szlochającej matki i ubranej w uroczą, błękitną sukieneczkę Krysi.

Dopiero teraz Poldek zrozumiał, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wszystkie żale wobec Heleny nagle okazały się śmieszne, strach przed ojcem nieuzasadniony, a umowa z Pauliną nawet więcej niż idiotyczna. Po plecach popęły mu dreszcze przerażenia, lecz zmusił się, by spojrzeć na

pannę młodą. Miała lekko kpiarski uśmiech przyklejony do twarzy, ale jej oczy promieniały szczęściem.

– Pani pozwoli? – zapytał uprzejmie, podając jej dłoń, by pomóc wsiąść do powozu.

– Z najwyższą radością – odparła.

Gdy parę minut później dojechali przed kościół, Poldek w pierwszej chwili zestresował się, widząc tyle par wpatrzonych w nich oczu, ale odetchnąwszy mocno, postanowił, że skoro już wpakował się w taką kabałę, nie przyniesie wstydu Paulinie, Melnerom, ojcu i ciotce Marii.

Pozazdrościł Jankowi, że umie tak po prostu odrzucić wszystko, co daje mu ojciec. Choć powinien skupić się wyłącznie na pannie młodej, rozglądał się po kościelnych ławach. Zdawało mu się, że zobaczył Helenę. Serce mocniej mu zabiło, lecz mózg natychmiast wytłumaczył sobie, że dziewczyna nigdy by nie przyszła na ceremonię. Zauważył Janka. Tkwił w drugiej ławce, tuż za ojcem. Basi, rzecz jasna, nie zabrał ze sobą. Ojciec pewnie urządziłby awanturę.

Poldek poczuł, że Paulina ściska go krótko za rękę. Spojrzał na nią z wymuszonym uśmiechem. Przededefilowali zgodnie przed rozmodloną Teresą Melnerową, jej mężem i rozplývającą się w zachwytach ciotką Marią z ojcem.

Ujął dziewczynę pod łokieć, starając się dodać jej otuchy. Spojrzała na niego nieśmiało, lecz z widocznym oddaniem.

Ksiądz mówił długo, Poldek nie miał jednak pojęcia o czym. Przez całą mszę walczył z pokusą, by odwrócić się i sprawdzić, czy w kościele rzeczywiście jest Helena.

– Czy ty, Apoloniuszu Malinowski, bierzesz sobie za żonę obecną tu Paulinę Melner i ślubujesz jej...

Poldek wyrecytował formułkę, ponownie skupiając spojrzenie na narzeczonej.

– Czy ty, Paulino Melner, bierzesz sobie...

– Tak – odparła dziewczyna, cała rumieniąc się wdzięcznie. Jej twarz zdradzała wszystko.

Gdy ksiądz pozwolił, Poldek nachylił się do kształtnych ust dziewczyny, by wycisnąć na nich pierwszy małżeński pocałunek. Wcześniej sądził, że to będzie czysta formalność, że w żadnym wypadku go to nie ruszy. Przecież mieli umowę! Tymczasem usta Pauliny były miękkie, ciepłe i chętne.

Poldek przywarł do nich z przyjemnością, lecz chwilę później otrzeźwiło go, więc odsunął się na bezpieczny dystans.

Jedno było pewne. Dla postronnych widzów przedstawienie przebiegło pomyślnie.

– Brawo, synu! – Chwilę później January Melner chwycił go w objęcia, po czym zaczął ścisnąć pierworodną córkę. – Zapraszamy wszystkich państwa na wesele w naszej kamienicy! Niczego nie zabraknie, a stoły uginają się pod wszelakimi potrawami i napitkami!

Goście wychodzili z kościoła. Poldek obejmował wąską kibić żony, lecz nie przestawał lustrować tłumu.

– Mężu, jeśli pozwolisz, chętnie oddałabym się z matką, żeby nieco się przebrać i odświeżyć – szepnęła Paulina.

– Oczywiście – odparł, niemal wzdrygając się na brzmienie słowa „mężu”. – Poczekam, ile będzie trzeba. Zresztą też udam się na stronę, jeśli mi wybaczysz.

– Oczywiście. Spotkamy się na weselu.

Poldek wymknął się z kościoła przez zakrystię. Właściwie nie wiedział, co chce zrobić i dokąd zmierza, jednak kroki powiodły go w stronę nieodległej praskiej, dzikiej plaży. Pomyślał, że przysiadzie chwilę na piasku i odzyska równowagę.

– Poldek! Co tu robisz? – zapytał Janek, pojawiając się jak spod ziemi.

– Muszę złapać nieco oddechu. A ty co tu robisz?

– Umówiłem się z Basią. Zaraz pewnie nadejdzie.

– Naprawdę odchodzicie?

– Tak. Są pewne sprawy, za które warto oddać wszystko, bracie.

– Dokąd pójdziecie?

– Na początek jedziemy do Poznania.

– Janek? Janku, jesteś tutaj? – rozległ się zza zarośli głos Basi.

– Bywaj, bracie. Mam nadzieję, że wybrałeś dla siebie szczęśliwą ścieżkę życia – powiedział Janek. Klepnął Poldka w ramię, po czym odszedł w stronę mostu Kierbedzia.

Poldek wiedział, że powinien już wracać na własne wesele, ale coś przykuwało go do tego miejsca. To na tej plaży spędził najszcześniejsze chwile życia. Życia, które właśnie zmieniał się diametralnie i na zawsze.

– Nie sądziłam, że cię tu dzisiaj zobaczę. Odprowadzałam Basię na most, a potem postanowiłam zejść na plażę, żeby przez chwilę cieszyć się

samotnością – rozległ się głos Heleny. Szła bezszelestnie przez piasek.

Poldek odwrócił się gwałtownie i zamarł, jakby zobaczył ducha. Serce zaczęło mu mocniej bić, lecz nie odważył się wykonać choćby gestu. Helena, ubrana w kawową sukienkę w białe groszki, z rozpuszczonymi włosami, wyglądała jak przecudna nimfa.

– Heleno – wychrypiał z uczuciem. – Dlaczego...

– Dlaczego co?

Poldek nie odpowiedział. Miał mętlik w głowie.

– Żegnaj – odparła Hela i odeszła.

ROZDZIAŁ 18

WSPÓŁCZEŚNIE

Julia nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Po niemal godzinie analizowania kolejnych liter udało jej się rozszyfrować następne zdanie. Duma rozpierała ją głównie dlatego, że tym razem odczytała imię i nazwisko.

Nieco ją śmieszyło, że aż tak mocno wkręciła się w pracę zaliczeniową. Miała ich przecież wiele, lecz właśnie ta wywarła na niej największe wrażenie. Dość powiedzieć, że dzięki temu ponownie skontaktowała się z dziadkiem i zainteresowała się historią Warszawy.

– Paulina Melnier? – mruknęła pod nosem, po raz kolejny wodząc szkłem powiększającym nad listem.

Poszła do kuchni zrobić sobie herbatę. Czekając, aż zagotuje się woda, myślała intensywnie. Czy jej rodzina wybiła się ponad stan i pojawiła się w niej jakaś francuska arystokratka? Roześmiała się i pokręciła przecząco głową.

– No to jeszcze raz – zachęciła samą siebie, chwytając szkło powiększające. – Melner? Okej, spróbujmy.

Julka wpisała w wyszukiwarkę hasło „Paulina Melner”. Wskoczyło sporo wyników, lecz dziewczyna właściwie nie wiedziała, od jakiego zacząć. Dużym plusem było to, że w odróżnieniu od rodziny Malinowskich, pojawiło się cokolwiek sensownego.

– No to może Paulina Melner i Apoloniusz Malinowski? – zagrzała się do boju, a chwilę później mrugała z niedowierzaniem, gdy komputer wyświetlił wynik z archiwów kościoła Matki Boskiej Loretańskiej. – Tato! – wrzasnęła. – Chodź szybko!

Marcin Malinowski wtargnął do pokoju córki, jakby palił się blok.

– Co jest? – zapytał przestraszony.

– Tato! Nie uwierzysz! Po prostu nie uwierzysz! – ekscytowała się Julia.
– Co się stało?
– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że właśnie znalazłam akt ślubu twojego dziadka Poldka z zupełnie inną kobietą niż twoja babcia Helena.
– Niemożliwe!
– Możliwe. Tu jest skan z księgi parafialnej – odparła Julia. – Świadkami byli January Melner, Teresa Melner, Jan Malinowski i Maria Chlebowska.
– Nie znam żadnych Melnerów – zdumiał się ojciec. – Nazwisko Chlebowska przypomina mi rodzinną opowieść o pewnej ciotce, która zajęła się rodziną po śmierci prababki. Zresztą to było nazwisko panięskie żony pradziadka.
– Nieważne. Ale nazwisko tej panny młodej sporo ułatwia. Jest zdecydowanie rzadsze niż nasze. Znajdę jej potomków – postanowiła.
– Jesteś przekonana, że aż tak trzeba się angażować na tych studiach?
– Już dawno przestało o to chodzić – uśmiechnęła się Julia. – Chcę wiedzieć, skąd się wzięłam. A teraz zacznę szukać Melnerów. Jeśli dobrze odczytuję nazwisko, jacyś musieli tu zostać po wojnie, prawda?
– Pewnie tak – odparł Marcin, zamykając za sobą drzwi.
Julia, czując, że złapała trop, zaczęła szukać na Facebooku ludzi o nazwisku Melner. Trochę ich było, lecz tylko jeden miał w adresie Pragę, co więcej, na zdjęciu w tle profilu zamieścił słoik z pyzami.
Filip Melner, absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, czyli Alma Mater Julii. Mieszkał na Żąbkowskiej, prowadził stronę poświęconą Pradze. Przyjemny dla oka, choć niewyróżniający się niczym szatyn z dredami o ciepłych brązowych oczach. Raczej nie był sztywniakiem. Na zdjęciu profilowym siedział po turecku na trawie i trzymał gitarę.
– No to spróbujmy – mruknęła do siebie. – *Dzień dobry* – napisała, po czym zamyśliła się na chwilę. Facet wyglądał na młodego, ale trudno przewidzieć, czy był przywiązany do form grzecznościowych. Stwierdziła, że lepiej dmuchać na zimne. – *Z góry przepraszam, że tak bezceremonialnie zaczepiam Pana w wiadomości prywatnej, ale poszukuję potomków Pauliny Melner, urodzonej w Warszawie, w 1918 roku. Prawdopodobnie mieszkała na Pradze. Będę wdzięczna za odpowiedź, nawet przeczącą. Z góry dziękuję.*
Julia wysłała wiadomość i z zapartym tchem czekała na reakcję. O dziwo, Filip Melner wyświetlił ją od razu.

– *Dzień dobry. Zanim odpowiem na zadane pytanie, chciałbym najpierw wiedzieć, do czego potrzebna jest Pani podobna informacja. Również pozdrawiam* – odpisał po kilku minutach.

– *Czyżbym od razu trafiła w dziesiątkę? – powiedziała do siebie. Przecież gdyby nie słyszał o nikim takim, po prostu zignorowałby wiadomość lub odpisał przecząco. – Podczas poszukiwań własnych przodków natrafiłam na akt ślubu zawartego pomiędzy Pauliną Melner a Apoloniuszem Malinowskim, który był moim krewnym, konkretnie pradziadkiem. Na akcie widnieją podpisy rodziców owej Pauliny, czyli Teresy i Januarego Melnerów* – odpisała.

– *Czy może mi Pani przesłać link do tego skanu? – Tym razem odpowiedź nadeszła natychmiast. Julia spełniła prośbę i czekała w napięciu.*

– *To jest absolutnie niewiarygodne, wszystko zgadza się co do joty! Paulina Melner była ciotką mojego dziadka, Bolesława. Nigdy nie słyszałem, żeby kiedykolwiek wychodziła za mąż.*

– *Proszę więc sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy nagle okazało się, że krewniak miał przed wojną tajemniczą żonę. I zdecydowanie nie jest nią moja prababka, Helena Malinowska, z domu Małecka.*

– *Zdumiewające. Mój dziadek, choć skończył już osiemdziesiątkę, wciąż ma bystry umysł. Zapytam go, czy wie coś w tej sprawie. Odezwę się.*

– *Dziękuję panu za pomoc!*

– *To ja dziękuję. Jestem historykiem, więc podobne sprawy zdecydowanie mnie interesują. Proszę pisać, jeśli uda się Pani ustalić coś więcej. Będę wdzięczny.*

– *Oczywiście.*

Julia odłożyła telefon na biurko. Podekscytowana, że w jej żmudnej pracy wreszcie nastąpił przełom, postanowiła iść na spacer, żeby zaczerpnąć nieco powietrza. W życiu nie pomyślałaby, że praca zaliczeniowa może być tak wciągająca. Szkoda, że inne takie nie są, pomyślała. Chociaż może to i lepiej, od nadmiaru wrażeń człowiek mógłby zwariować, nawet nie wychodząc z pokoju. Roześmiała się w duchu, po czym zbiegła na podwórko. Najwyższy czas nacieszyć się ciepłym majem.

Pociąg do Poznania odjeżdżał z Dworca Głównego tuż przed szóstą rano. Basia i Janek spędzili noc w poczekalni na twardej, drewnianej ławce. Gdy wagony wtoczyły się powoli na peron, chłopak chwycił ich walizki i puszczając ukochaną przodem, wskoczył zwinnie na stopień.

– Nie żałujesz? – szepnął do Basi, gdy wolno ruszyli.

– Niczego, kochany.

Basia się zamyśliła. Tak wiele przeszła, by znaleźć się w tym miejscu z człowiekiem, który był dla niej całym światem. Najpierw strata siostry, później domu i pracy. Ale zyskała oddanych przyjaciół i Janka. Zrozumiała, że życie nie jest bilansem zysków i strat, a jasne strony nie równoważą ciemnych. Co czekało ich jeszcze? Czy znajdą szczęście w tym dalekim Poznaniu?

– Kocham cię – szepnął Janek, a Basia zrozumiała, że dopóki będą mieli siebie, przezwyciężą wszystkie przeciwności losu.

Konrad Werner obudził się przed szóstą. Wiedział, że z dłuższego spania nici i choć niedzielę ma wolną, dalsze leżenie mija się z celem. Postanowił napić się kawy, ale najpierw poszedł do salonu, rozciągnął kotary i otworzył balkon na całą szerokość. Zapowiadał się bardzo ciepły dzień. Nad łąkami rozpościerającymi się za osiedlem unosił się opar. Mężczyzna odetchnął pełną piersią. Wczoraj odwiózł Ignacego na pociąg, którym wraz z resztą klasy wyjechał na tygodniową wycieczkę, więc chwilowo nieznośny chłopak był zmartwieniem szkolnych wychowawców.

– Zawsze tak wcześnie wstajesz? – rozległ się głos za plecami Konrada. Ciepłe dłonie oplotły go w pasie.

– Nie zawsze. Ale dzisiejszy dzień będzie dla nas tak piękny, że nie warto tracić czasu na spanie – odparł ze śmiechem Konrad.

– Będzie jeszcze wiele pięknych dni.

Konrad odwrócił się i spojrzał na doktora Michała Gutmana, ubranego jedynie w spodnie od piżamy.

– Właśnie tego nie jestem pewien, czy wiele nam tych pięknych dni zostało, kochany – powiedział ze smutkiem.

W Warszawie wstał nowy dzień. Kolejny wschód słońca, niczym licznik, bezlitośnie odmierzał dni pozostałe do nieuchronnego wybuchu wojny.

I jedynie co do tego panowała zgoda między ideowo skłóconymi ludźmi.
Ale to już inna historia.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18